



SHANA  
GALEN

*Tajemnice  
diamentów*

Przekład  
Agnieszka Dębska



*Książkę tę dedykuję tobie, Tero,  
dlatego że jesteś – mówię to całkiem serio –  
istnym geniuszem snucia powieściowej intrygi,  
jak również taką przyjaciółką, która dobrze wie,  
że owa branża przypomina jazdę górską kolejką w lunaparku,  
a jednak siedzi w tej kolejce obok mnie.*

Plotka głosiła, że to sam książę regent nadał Trzem Diamentom ich przydomki. Każdy galant w Londynie utrzymywał, że był przy tym obecny. Jeden lub drugi, być może, mówił prawdę. Nikt jednak, nawet bulwarowe pisemka, które wołały nazywać te damy po swojemu, nie kwestionował wyboru regenta.

Najbardziej pożądane z londyńskich kurtyzan istotnie traktowano bowiem jak swoistą arystokrację. Było więc czymś właściwym, by tym diamentom czystej wody nadać tytuły odzwierciedlające ich status w półświatku.

Książę regent wyróżnił Juliette, niezwykle jasną blondynkę o błękitnych oczach, tytułem Księżnej Zalotów. Potrafiła złamać serce jednym uśmiechem i nigdy się zbytnio nie przejmowała ani początkiem, ani końcem jakiegoś romansu. Flirty Juliette były legendarne, a, jak twierdzili niektórzy, jej kochankowie mdleli, kiedy zaczynała się rozbierać.

Książę regent obdarzył zagadkową Fallon o ciemnych oczach i kruczych włosach tytułem Markizy Tajemnic. Odkąd tylko pojawiła się wśród londyńskiej socjety, rozliczne pogłoski oploty jej osobę niczym aksamitna sieć. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła, choć wielu wysuwało różne przypuszczenia. Miała być księżniczką z obcego kraju, cygańską królową, córką upadłego maharadży...

Była też jeszcze Lily – żywa, błyskotliwa i ognista niczym jej kasztanowate włosy. Książę regent obdarzył ją mianem Hrabiny Uroku. Jak niektórzy twierdzili, zauroczyła ona księcia do tego stopnia, że wyrugowała z jego łóżka wszechwładną panią Fitzherbert. Inni z kolei utrzymywali, że okazała stanowczo zbyt

wiele względów opasłemu regentowi, który zanadto lubił sobie dogadzać, pozwalając mu na wstęp do swego buduaru.

Cały beau monde ogromnie lubił plotkować i snuć domysły. Nic go zaś bardziej nie intrygowało niż Trzy Diamenty. Ani burzliwy romans Caroline Lamb z lordem Byronem, ani krój fraka Beau Brummella czy sposób, w jaki wiązał swój halsztuk, ani nawet *ménage à trois*, czyli małżeństwo we troje, księcia i księżny Devonshire oraz lady Elizabeth Foster.

Albowiem Trzy Diamenty świadome były czegoś, o czym owa olśniewająca i chciwa ich względów śmietanka towarzyska zapomniała: że jedyną rzeczą bardziej fascynującą od niedyskrecji jest dyskrecja.

Diament można przeciąć tylko innym diamentem.

Juliette, Księżna Zalotów, rozłożyła egzemplarz „Kroniki Porannej” i roześmiała się. Spojrzała najpierw, jak zawsze, na kolumnę *Doniesień z Cytery*. Na samej górze widniała jej podobizna tuż koło wizerunku księcia Pelham, a tekst zamieszczony poniżej, poświęcony ich potajemnemu romansowi, okazał się tak zachwycająco figlarny, że niemal zapragnęła, by był prawdziwy.

Przeciągnęła się na łóżku, tak że pofałdowane jedwabne prześcieradła rozpostarły się wokół niej niczym zamarznięte jezioro. Upiła łyk czekolady, odgryzła kęs bułeczki i przyjrzała się uważnie wizerunkowi księcia.

Nigdy nie została mu przedstawiona, choć czasami widywała go z daleka. Rysownik „Kroniki Porannej” znakomicie uchwycił aroganckie ciemnobłękitne oczy, lecz kasztanowate włosy były zbyt gładko uczesane. Za każdym razem, gdy widywała Pelhama, wyglądały na tak rozwichrzone, jakby dopiero co wstał z łóżka. Nos jednak – perfekcyjny rzymski nos – pięknie wyrzeźbione kości policzkowe i zaciśnięte wargi artysta oddał z absolutną trafnością.

Rzuciła znów okiem na tekst, świadoma, że zaspokoi on ciekawość tych członków socjety, którym nic nie spodobałoby się bardziej niż prawdziwy romans Księżnej Zalotów z Groźnym Księciem, zwanym tak, gdyż miał najbardziej chyba pogardliwe spojrzenie w całym Londynie, a może nawet w całej Anglii. Był bogaty, potężny i wpływowy. Jeśli sprzeciwił się jakiemuś innemu lordowi w parlamencie, ów lord tracił wszelkie poparcie. A jeśli potraktował jakichś członków towarzystwa z góry, już nikt się z nimi nie liczył, nieodwołalnie.

Spojrzała po raz drugi na podobiznę księcia. Artyście nie udało się uchwycić otaczającej księcia aury niebezpieczeństwa. Było to jednak coś, co raczej wyczuwało się w jego bliskości, niż widziało. Juliette przeszedł dreszcz. Lubiła ludzi władczych, bo zawsze coś ją do nich przyciągało. Tylko że rezultat nie zawsze okazywał się miły.

A jako że towarzystwo żądne było plotek na temat ich dwojga, romans między nią i księciem dostarczyłby tematów plotkarzom na całe tygodnie.

Juliette złożyła gazetę, a potem zajrzała do niej znowu, bo zapomniała przyjrzeć się własnej podobiznie. Zmarszczyła czoło na jej widok i tym razem odłożyła pismo definitywnie. Portrecista zrobił z niej królową lodu – zimną, bezwzględną i wyniosłą. Nie mogła zaprzeczyć, że na ilustracji uchwycono podobieństwo, lecz nie sądziła, by którakolwiek z jej przyjaciółek tak ją właśnie określiła. Znały przecież jej pogodne, beztroskie usposobienie.

Wstała z łóżka, zdjęła bieliznę i zanurzyła się w ciepłej kąpieli, która czekała na nią w gotowalni. Nie wylegiwała się w wodzie, tylko szybko umyła. Weszła Rosie, jej pokojówka, ubrana cała na biało. Żeńska służba nie nosiła wprawdzie liberii, ale Juliette wołała, by jej służące ubrane były jednakowo. Miały nosić strój pasujący barwą do tego, co było jej znakiem rozpoznawczym – czystą biel z jasnobłękitną lamówką. Wszystkie Trzy Diamenty ubierały swoje służące na biało, bo biel symbolizowała diamenty, ale ubiór ten miał odmienne akcenty kolorystyczne. Lily wybrała zieleń, Fallon zaś czerwień. Rosie podała Juliette szlafrok z błękitnego jedwabiu, a ona włożyła go i wróciła do sypialni. Służąca zerknęła na rozburzoną pościel.

– Czy coś ciekawego piszą dziś w gazetach, Księżno? – spytała, układając z wprawą szczotki, grzebienie i inne narzędzia tortur na toaletce.

Juliette zasiadła w zgrabnym foteliku krytym kremowym jedwabiem.

– Mam jakoby skandaliczny romans z księciem Pelham.  
Rosie uniosła szczotkę i brwi jednocześnie.

– Naprawdę?

Pulchna, miła kobietka około czterdziestki ujęła jasne, sięgające Juliette do pasa włosy i zaczęła je szczotkować.

– O tak. Jego Wysokość zamierza uprowadzić mnie do Gretna Green.

– O rety. – Rosie spięła część włosów szpilką. – Czy mam przygotować strój podróży i spakować sakwojaż?

– Jeszcze nie. Myślę, że powinnam poczekać, póki mnie nie przedstawią księciu.

– Rozsądna decyzja. – Rosie skinęła głową i umocniła szpilką drugie pasmo. – Co pani ma zamiar dziś robić, madame?

Juliette zamyśliła się. Było już niemal popołudnie.

Poprzednią noc spędziła na raucie i wróciła do domu dopiero po czwartej rano. Miała kilka zaproszeń na ten wieczór, ale nie zdecydowała jeszcze, które wybierze. Wolałaby zostać w domu. Socjeta byłaby zdumiona, że najślawniejsza kurtyzana woli spokojny wieczór z książką od teatru i komedii muzycznych. Zdziwiliby się również, gdyby się dowiedzieli, jak rzadko jej łóżko służyło do czegoś innego niż zwykły sen.

Protector Juliette, hrabia Sinclair – lepiej znany jako Grzeszny Hrabia – bawił akurat poza Londynem. Lady Sinclair, jego żona, zapadła na zdrowiu i nie mogła przyjechać do stolicy z ich wiejskiej posiadłości Somerville. Juliette nie dalej niż wczoraj otrzymała od niej list i zamierzała na niego teraz odpowiedzieć, zastanawiając się, kiedy mogłaby złożyć przyjaciółce wizytę. Wprawdzie nie byłoby rzeczą stosowną opuszczać teraz Londyn ze względu na socjetę, lecz Juliette nie przejmowała się zanadto. Wątpiła też, czy przejmują się tym Fallon i Lily. Obydwie chętnie by się tam wybrały razem z nią.

Gdyby socjeta wiedziała, co naprawdę łączy Trzy Diamenty z Grzesznym Hrabia!

Dzięki prezentom od wielbicieli i hrabiego Sinclair Juliette miała pieniądze, choć bynajmniej nie była bogata. Oczywiście, nie byłaby najślawniejszą kurtyzaną Londynu, gdyby ich nie wydawała. Musiała przecież mieć najmodniejsze paryskie suknie,



wspaniały powóz, dobrany zaprzęg i cały rój służby. No i, jak wszyscy w Londynie, żyła na kredyt. Modne krawcowe skwapliwie ją ubierały, bo chciały, by publicznie podziwiano ich dzieło, a wiedziały, że Juliette przyciąga wzrok. Każdy kupiec chlubił się tym, że to on dostarcza koni, karety lub precjozów Księżnej Zalotów. Niewielu dopominało się natarczywie o zapłatę, ale czuła ciężar swoich długów.

Nie mogła jednak żyć ciągle na kredyt. Zbliżała się do trzydziestki, a zawsze znalazły się jakieś inne, młodsze, ładniejsze, bardziej urocze. Sinclair nie mógł bez końca uchodzić za jej kochanka. Słabe zdrowie jego żony sprawiało, że rzadko się pokazywał w Londynie, a Juliette nie chciała innego protektora. Przyjmowała upominki od wielbicieli, którzy mieli nadzieję, że utworzą sobie w ten sposób drogę do jej łóżka, i zastanawiała się nad tym, czy nie wziąć sobie jednego z nich jako przyjaciela. Nie chciała jednak doznawać pieśczot mężczyzny. Nie chciała zamykać oczu i udawać, że on i ona są kimś innym.

Pragnęła się zakochać.

Pragnęła męża. Sądziła, że jako rozwódka powinna się wyrzec małżeństwa na dobre. Zawsze jednak w duchu pozostawała optymistką.

Rosie patrzyła na nią wyczekująco, więc Juliette powiedziała:

– Myślę, że pojedę do Hyde Parku.

Tam bowiem najłatwiej spotkałaby Fallon i Lily, a pilno jej było porozmawiać z nimi na osobności – nie żeby Rotten Row o czwartej po południu był miejscem zapewniającym prywatność, ale przynajmniej mogłyby tam pogawędzić bez obawy, że je ktoś podsłucha. A dobre towarzystwo aż łykało ślinkę, by zyskać szansę ujżenia Trzech Diamentów razem, zatopionych w poufnej rozmowie. Juliette uśmiechnęła się.

– Doskonale, Księżno – odparła Rosie. – A więc błękitny strój do jazdy konnej?

– Tak. I pamiętaj o kapeluszu do kompletu.

– Dobrze, Księżno. Wiem, jak najlepiej panią do niego

uczesać. – I Rosie, zgodnie ze swoimi słowami, zabrała się do wyczarowywania odpowiedniej fryzury.

Kilka godzin później Juliette, wystrojona, upudrowana i uperfumowana, jechała dwukółką po South Carriage Drive na Rotten Row, pozdrawiając uprzejmie znajomych w Hyde Parku.

Niektórzy nawet odwzajemniali te pozdrowienia.

Starła się mijać obojętnie dżentelmenów, których znała, jeśli towarzyszyły im żony, siostry lub narzeczone. Nie byliby jej wdzięczni za spowodowanie małżeńskich lub rodzinnych kłótni. Parę razy zatrzymała się, by zamienić kilka słów z mężczyznami, którzy jechali samotnie. Przez cały czas czuła jednak na sobie nienawistne spojrzenia dam z socjety.

Nienawidziły jej, a ona rozumiała, z jakiego powodu. Z pewnością nie dlatego, że sypiała z ich mężami – bo nie sypiała. Powodem była siła, której one nie miały. Przyjmowano ją chętnie tam, gdzie ich obecność była wykluczona, mogła mówić wtedy, gdy one musiały milczeć, miała wiedzę, one zaś były ignorantkami.

Nienawidziły jej, bo nie wiedziały, gdzie pójda ich mężowie, gdy się wieczorem z nimi pożegnają, a że tego nie wiedziały, nienawidziły Juliette, gdyż ona to wiedziała.

Ciekawa była, czy są świadome tego, jak wielu z tych mężczyzn po prostu chce z nią pogawędzić. Oczywiście pragnęli mieć wstęp do jej buduaru, lecz jeśli nawet nie zyskali względów jej samej, byli aż nadto zadowoleni, mogąc się swobodnie wygadać. Mówili o swoich żonach i dzieciach, o porażkach i sukcesach, o planach na przyszłość. Odpowiadały im te pogawędki, bo czuli, że mogą jej zaufać.

Była ich życzliwą przyjaciółką w czasach, gdy większość małżeństw aranżowano z góry. Właśnie ta życzliwość stanowiła prawdziwy sekret jej atrakcyjności jako kurtyzany.

Juliette wyprostowała się, gdy dostrzegła przyjaciółki otoczone, jak zwykle, przez admiratorów. Fallon, Markiza Tajemnic, i Lily, Hrabina Uroku, stały pod kępą drzew, manewrując otwartymi parasolkami tak, by można było dostrzec

ich twarze.

Miały na sobie stroje amazoнок, podobnie jak ona. Kostium Fallon był jaskrawoczerwony i podkreślał jej ciemną karnację, Lily – bladozielony, co harmonizowało z jej rudymi włosami. Gdy Juliette podjechała bliżej, przyjaciółki dojrzały ją i uśmiechnęły się ciepło. Kurtyzany rzadko się ze sobą szczerze przyjaźniły. Każdej z nich mogło zagrozić powodzenie rywalki. Juliette, Fallon i Lily były już jednak przyjaciółkami, nim zostały Trzema Diamentami.

A że wszystkie trzy były protegowanymi Grzesznego Hrabiego, łączyła je dodatkowa więź.

– Powinni cię przyjąć do Klubu Zaprzęgów Czterokonnych – rzekła Lily, mając na myśli klub dżentelmenów uznawanych za najlepszych powożących.

– Skądże. – Juliette machnęła ręką. – Nie zniosłabym paradowania w tym ich sztywnym, przepisowym stroju.

Wierzchowce Lily i Fallon skubały spokojnie trawę. Nieopodal lekki wiatr marszczył powierzchnię stawu Serpentine i kilka kaczek kwakało, kołysząc się na jego płytkiej wodzie. Wszystkie trzy kurtyzany wspaniale wyglądały na koniach. Gdy zbierało się na deszcz, dwie pozostałe wyjeżdżały raczej w powozach, powierzając ich prowadzenie stangretom, lecz Juliette radziła sobie z tym doskonale i lubiła przy dobrej pogodzie sama powozić swoją lekką dwukółką.

Zwolniła tempo i zawahała się nieco, widząc, że jednym ze stojących przy nich dżentelmenów jest hrabia Darlington, zwany Pieszczoskiem Socjety z powodu miłej powierzchowności i uprzejmego obejścia. Darlington zalecał się do niej przez ostatnie pół roku i choć na wszelkie sposoby dawała mu do zrozumienia, że nic z tego nie będzie, nie poniechał jednak swoich wysiłków.

Drugim był niejaki Heyward, syn barona, znany z wydawania hucznych przyjęć. Juliette była na wielu jego rautach.

Nim jeszcze dwukołówka się zatrzymała, Darlington znalazł się tuż przy niej, gotów pomóc jej przy wysiadaniu.

– Księżno, miałem nadzieję spotkać tu panią!

– Dziękuję, lordzie Darlington. – Juliette przyjęła ofiarowaną

jej dłoń i wysiadła z powoziku najprędzej, jak tylko mogła. Nie chciała ośmielać zanadto Darlingtona. Jeden z jego chłopców stajennych podszedł, ujął jej konia za uzdę i zaczął go powoli oprowadzać, by rozgrzane mięśnie końskie nie traciły ciepła.

Juliette rozejrzała się, rozłożyła parasolkę i przystanęła przy Fallon, która cofnęła się trochę, by zrobić dla niej miejsce. Obydwie zwykle trzymały się razem, gdyż pastelowy koloryt Juliette ładnie kontrastował z ciemnymi włosami Fallon i jej smagłą karnacją. Efekt był oszałamiający.

Lily, z rudymi włosami i zielonymi jak nefryt oczami, robiła oszałamiające wrażenie bez niczyjej pomocy.

– Dzień dobry, Księżno – przywitał ją Heyward, przykładając palec do brzegu kapelusza.

– Dzień dobry, panie Heyward, Fallon i Lily. – Juliette uśmiechnęła się do przyjaciółek. – Co za piękny wiosenny dzień! Nie pojmuję, jak ktoś może siedzieć w domu w taką pogodę.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – odparła Fallon. Miała głęboki, gardłowy głos.

– Ach, jak ja lubię wiosnę – rzekła Lily, wystawiając twarz ku słońcu.

– Czy widziała pani „Kronikę Poranną”, Księżno? – spytał Heyward.

Juliette nabrała głęboko tchu, żeby się uspokoić przed odpowiedzią. Była pewna, że będzie o to pytana mnóstwo razy, nim jeszcze dzień się skończy.

– Widziałam.

Zaprzeczanie byłoby bezsensowne. Każdy by spostrzegł, że ona kłamie.

– Czy to prawda? – zapytał Heyward. Doprawdy, ten człowiek był bezwstydy.

Juliette uśmiechnęła się dyskretnie.

– Nie zdradzę.

– Oczywiście, że to nieprawda – odezwał się Darlington lekko zniecierpliwionym tonem. – Pelham przyjechał do Londynu dopiero wczorajszego wieczoru.

– Gazety donoszą, że Juliette i księżę wycofali się na wieś – powiedziała Lily. Juliette zauważyła już, że Lily lubi przeciwstawiać się Darlingtonowi przy każdej okazji. – Pańskie słowa podsycą tylko plotki.

Darlington pokręcił przecząco głową. Kasztanowate włosy zwichrzyły mu się nad kołnierzem, halsztuk się przekrzywił, a Juliette pomyślała – nie po raz pierwszy zresztą – że bardziej mu potrzeba niańki niż kochanki.

– Każdy, kto zna Pelhama, wie, że to beznadziejny typ – stwierdził Darlington, podkreślając swoje słowa stuknięciem laski. – Przyjeżdża do Londynu dopiero na otwarcie obrad parlamentu. Nic go nie obchodzą żadne flirty, ucieczki, uprowadzenia ani w ogóle jakieś rozrywki. Jeśli pojawi się choć na jednym balu, gotów jestem stanąć na głowie.

– Wezmę pana za słowo, lordzie Darlington – odparła Juliette.

– Nie dopuszczam innej możliwości, Księżno. – Skłonił się.

– Z pewnością pojawi się jutro wieczór na balu u księcia regenta w Carlton House – powiedziała swoim niskim głosem Fallon, uprzedzając Heywarda, który chciał się wtrącić do rozmowy. – Ten bal otwiera cały sezon.

– Nie założylbym się o to, Markizo.

– A ja tak, lordzie Darlington.

Darlington skłonił się ponownie, tym razem przed Lily.

– Do widzenia, Hrabino. – Ujął dłoń Juliette i ucałował ją przez rękawiczkę. – Do zobaczenia, Księżno.

Skinęła mu głową i cofnęła rękę, a potem patrzyła, jak idzie ku swemu wierzchowcowi – był to piękny, siwy wałach – dosiada go i odjeżdża. Dał przedtem znak swemu chłopakowi stajennemu, by nadal oprowadzał jej konia, i Juliette musiała przyznać, że Darlington jest człowiekiem dobrze wychowanym. Ciekawa była, czy zna on bliżej Pelhama. Nigdy nie miała żadnych zamiarów wobec księcia, choć nie byłaby przeciwna temu, by on się nią zainteresował. Socjeta koniecznie chciała uważać ich za parę, a ona chętnie przystałaby na to, czego ludzie z towarzystwa

oczekiwali. Oczywiście, nic by z tego nie wyszło. Pelham nie poślubiłby kobiety z jej reputacją.

– Mam nadzieję, że ujrzę wszystkie trzy panie razem na jutrzejszym balu u księcia regenta – powiedział Heyward.

– Niewątpliwie – odparła Lily. – Proszę się przygotować na niespodziankę.

Heyward aż klasnął w dłonie.

– Naprawdę?

Lily skinęła głową, najwyraźniej z satysfakcją. Lubiała niespodzianki.

– Nie spodziewam się, że zdradzi mi pani sekret? – zastrzegł się Heyward.

– Za nic.

– Jest pani zbyt okrutna.

– Za to nas właśnie lubicie.

Gdy się pożegnał, Lily, Fallon i Juliette spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– Czy twoja suknia jest już gotowa? – spytała Juliette, zwracając się do Fallon. Można się było założyć, że Lily, która uwielbiała modę i planowanie imponujących wejść, już od tygodnia ma suknię przygotowaną do włożenia.

– Czeka mnie jeszcze jedna przymiarka u madame Durand – odparła Fallon.

– Mnie również – powiedziała Juliette. Wzięła Fallon za rękę, a ta podała swoją Lily. Przechadzały się we trzy po trawniku, świadome wrażenia, jakie robią na widzach.

– Co myślisz o tej całej sprawie z Pelhamem? – spytała Lily.  
– Z pewnością wzbudziła zazdrość w Darlingtonie.

– O Boże – jęknęła Juliette. – Przecież to zupełny żółtodziób!

– Pelham nie jest żółtodziobem – stwierdziła Fallon, zatrzymując się, by uważnie obejrzeć jakiś polny kwiatek. – Gdybyś go zdołała złowić, byłby to największy wyczyn tego sezonu.

– Słyszałam, że ma się wkrótce zaręczyć – rzekła Lily.

Do Juliette nie dotarły żadne świadczące o tym pogłoski.

Zmarszczyła brwi.

– Nieważne. – Fallon ścisnęła jej dłoń. – Kiedyż to mężczyźni są wierni narzeczonemu, nie mówiąc o żonach?

Juliette doceniała wysiłki Fallon, żeby podtrzymać ją na duchu.

– Obydwie dobrze wiecie, że to tylko plotki. Nigdy mnie nawet nie przedstawiono Pelhamowi.

– Może to właśnie on rozsiewa te plotki – powiedziała Lily, uśmiechając się do markiza Cholmondeley, który nadjeżdżał na koniu.

Juliette zatrzymała się, gdy markiz podjechał bliżej.

– Wątpię. Już prędzej uwierzę, że gazety wymyśliły całą tę historię, by sprzedać więcej egzemplarzy.

– Cóż z tego? – spytała Fallon. Markiz przystanął, a one pożegnały się z Lily, wiedząc, że przyjaciółka chce z nim porozmawiać. Skinęła im dłonią skierowała się ku ścieżce, gdzie na nią czekał.

Fallon zwróciła głowę ku Juliette.

– Znasz moją teorię: wszystko, co piszą w prasie, to dobra prasa.

Juliette nie była tego pewna. Obawiała się, że wokół jej domniemanej zażyłości z księciem zrobiono zbyt wiele hałasu. Gdyby teraz rozczarowała socjetę, mogłaby wypaść z jej łask, a to utrudniłoby jej życie. Nie miała tyle pieniędzy, ile by chciała, i była winna spore sumy kilku krawcowym – w tym madame Durand – które szyły jej suknie na ten sezon.

Może powinna się rozejrzeć za innym protektorem?

– No, chodź. – Fallon obróciła ją ku sobie. – Czemu nie miałybyśmy pójść razem na przymiarkę? Przekonajmy się, czy plan Lily będzie tak spektakularny jak zwykle.

Juliette skinęła głową. Przymiarka sukni była dokładnie tym, czego potrzebowała, by uwolnić się od bliżej nieokreślonego niepokoju, który ją opanował.

William Henry Charles Arthur Cavington, wicehrabia Southerby, markiz Rothingham i książę Pelham, wszedł do swego

klubu dokładnie dwadzieścia po szóstej. Lubił jeść tam posiłek wpół do siódmej. Jak na londyńskie standardy, była to wczesna kolacja, ale Pelham wcale o to nie dbał. Zawsze jadał o wpół do siódmej, był zgłodniały o wpół do siódmej i nie miał zamiaru czekać na bardziej odpowiednią porę.

– Ten sam stolik, co zwykle, Wasza Wysokość? – spytał Harrow, klubowy zarządca, gdy tylko Pelham pojawił się w drzwiach klubu White’a na ulicy St. James 37/38.

– Tak, proszę. – Podał Harrowowi rękawiczki, laskę i cylinder, zarządca przekazał je lokajowi, ten zaś innemu lokajowi. Harrow asystował przy zdejmowaniu przez Pelhama płaszcza, po czym powtórzył się cały rytuał przekazywania sobie jego odzieży przez mężczyzn z obsługi. Pelham rozchylił poły granatowego fraka, by sprawdzić, czy łańcuszek jego zegarka nie jest splątany. Nie dbał przesadnie o modę – nie był Beau Brummellem – ale zależało mu na tym, by jego buty błyszcząły, a frak od Westona był dobrze skrojony.

– Mamy dziś wieczór udziec jagnięcy z ziemniakami i białą zupę, Wasza Wysokość – mówił Harrow, prowadząc księcia do stolika w bardzo wygodnym rogu jadalni, gdyż stał on tuż koło kominka i pozwalał obserwować wchodzących lub wychodzących z sali. Pelham nie wiedział, kto tu siadywał podczas jego bytności na wsi, choć był pewien, że kogoś musiano przy nim sadzać. W tej jednak chwili stolik wyglądał dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy opuścił to miejsce.

– Doskonale – powiedział i siadł w fotelu, który przysunął mu jeden z kelnerów.

– Mamy również znakomitą francuską sherry. Przysłano ją nam dziś rano. – Harrow dał znak lokajowi, by przyniósł Pelhamowi „Timesa”. Książę wziął gazetę, ale odmówił picia sherry.

– Dla mnie portwajn, Harrow. Angielski portwajn.  
Harrow skinął głową.

– Doskonale, Wasza Wysokość.

I odszedł, co pozwoliło Pelhamowi na spokojne przeglądanie



„Timesa”.

Przynajmniej do czasu, gdy krzesło naprzeciw niego zajął Darlington.

– Jesteś przewidywalny, jak zawsze – powiedział Darlington, unosząc kieliszek napełniony czymś, co wyglądało na sherry.

Pelham zasłonił się gazetą i usiłował skoncentrować uwagę na artykule poświęconym zmianie podatku na zboże. Miał też nadzieję, że dzięki temu nie będzie musiał patrzeć na jaskrawozieloną kamizelkę Darlingtona.

– Pewnie nie zagłędałeś do „Kroniki Porannej”? – zauważył Darlington, odsuwając dłonią gazetę sprzed oczu księcia. Pelham zmarszczył brwi. Odstraszyłoby to większość ludzi, lecz Darlington był nieświadom niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł.

– Nie czytuję „Kroniki Porannej”. To beznadziejny szmatławiec. – Pelham znów zasłonił się gazetą.

– Nie sądzę. W takim razie nie wiesz, że nawiązałeś płomienny romans z Księżną.

Jakże bardzo Pelham pragnął, by Darlington siedział po stronie jego głuchego ucha! Wtedy nie mógłby go słyszeć. Usłyszał jednak jego nedorzeczne stwierdzenie i musiał w jakiś sposób na nie odpowiedzieć. Opuścił więc gazetę.

– O czym ty mówisz, człowieku?

Darlington uśmiechnął się, a Pelham poczuł gwałtowną chęć, by palnąć go gazetą.

– Wiedziałem, że to nieprawda – oznajmił triumfalnie Darlington.

– Co ma być nieprawdą?

Kelner, ściśle nadzorowany przez zarządcę klubu, przyniósł zupę i portwajn. Pelham odłożył gazetę na stół. Darlington nachylił się, powąchał zupę i powiedział:

– Dobrze wygląda. Ja bym też zjadł coś takiego.

– Doskonale, milordzie. – Harrow skinął na kelnera, który pospiesznie odszedł.

Darlington znów się nachylił, żeby powąchać zupę. Pelham

spojrzał na niego niechętnie.

– Proszę bardzo, weź łyżkę i spróbuj.

– To bardzo wielkodusze z twojej strony – odparł

Darlington, sięgnął po łyżkę Pelhama i tak właśnie zrobił. Pelham skrzywił się z niesmakiem. Wyjął kieszonkowy zegarek. Była już za dwadzieścia pięć minut siódma, pięć minut od rozpoczęcia kolacji, a Darlington jadł jego zupę!

Darlington uniósł głowę znad talerza.

– Całkiem dobra. Chcesz trochę?

Pelham zacisnął zęby.

– Nie, nie. Jedz dalej.

Co Darlington właśnie czynił. Pelham znów wziął do ręki gazetę, gdy czyjaś dłoń klepnęła go po ramieniu.

– Słyszałem, że jesteś w Londynie, Pelham.

Warrick Fitzhugh, trzeci syn słynnego hrabiego Winthorpe, siadł w wolnym fotelu obok Darlingtona. Pelham postanowił powiedzieć Harrowowi, żeby na przyszły raz odsunąć od jego stolika wszystkie inne fotele.

– Witaj, Fitzhugh – powiedział, ponownie odkładając „Timesa”. Kamizelka Fitzhugh, odmiennie niż Darlingtona, była stonowana, czarna w prążki. Fitzhugh mówił też na ogół, w odróżnieniu od Darlingtona, sensownie i – dzięki Bogu – nie za wiele. Pelham uczył się razem z nim w Eton i podziwiał zarówno jego inteligencję, jak siłę pięści, cechę niezbędną, by poradzić sobie w Eton. Chodziły słuchy, że podczas wojny Fitzhugh pracował dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, być może jako agent. Szkaradna robota, ale Pelham nie wierzył każdej plotce.

A jednak Warrick jakoś dziwnie na niego patrzył.

– Cześć, stary chłopie – Darlington powitał Fitzhugh pomiędzy jedną a drugą łyżką zupy Pelhama. Choć Pelham wiele razy próbował, nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy i gdzie poznał Darlingtona. Najwyraźniej kiedyś mu go przedstawiono, a później nie był już w stanie się go pozbyć. Prawdę mówiąc, nie próbował tego zresztą zbyt gorliwie. Andrew był dosyć zabawny na swój sposób.

Kiedy nie jadł zupy Pelhama.

Harrow, jakby przywołany tą myślą, pojawił się ponownie z drugim talerzem zupy. Nie patrząc nawet na Darlingtona, postawił ją przed Pelhamem, a potem gestem ręki kazał kelnerowi postawić na stoliku również portwajn i udziec jagnięcy.

– Czy jeszcze coś, Wasza Wysokość?

Pelham już otwierał usta, żeby powiedzieć „nie”, gdy Darlington się wtrącił:

– Drugi kieliszek sherry, Harrow.

– Doskonale, milordzie. Co jeszcze, Wasza Wysokość?

Pelham spojrzał na Fitzhugh.

– Ty też coś zamawiasz?

– Kieliszek portwajnu, Harrow, skoro Pelham stawia.

– Doskonale, sir. – Harrow dał znak, przyniesiono zamówione trunki i Pelhama zostawiono wreszcie w spokoju – no, prawie w spokoju – z jego kolacją. Wziął do ręki nóż i widelec.

– A więc ta historia w gazetach z Księżną... – zaczął Darlington. Pelham odłożył widelec, ale spostrzegł, że Fitzhugh uniósł brwi z zaciekawieniem.

– ...to zupełna bzdura – ciągnął Darlington. – Nieprawdaż? – Darlington miał pewnego dnia zostać księciem Ravenscroft, lecz Pelham sądził, że musi się jeszcze wiele nauczyć o stoicyzmie, nim zgłosi pretensje do tego tytułu. Ojciec Pelhama wpajał mu jego obowiązki od samego urodzenia. Księżę zawsze musiał być pewny siebie, nie cofać się przed niczym, nie okazywać nigdy uczuć. No i nigdy nie mógł się spóźnić. Oparł się gwałtownej chęci ponownego wyciągnięcia zegarka.

Odłożył nóż na stół i spojrzał na Fitzhugh.

– O czym on do diabła mówi? Jaka księżna? Jaka gazeta?

Twarz Fitzhugh pozostała nieprzenikniona, lecz Pelham mógłby przysiąc, że Warrick delectuje się tą sytuacją.

– Pisano o tobie ostatnio w kolumnie *Doniesienia z Cytery*. „Kronika Poranna” połączyła cię z Księżną Zalotów.

– Z kim?

– Nie udawaj, że nie wiesz, kim ona jest – powiedział

Darlington, popijając swoją sherry. – Nawet taki wiejski kmiotek jak ty musiał słyszeć o Trzech Diamentach.

– Mówisz o kurtyzanach? – Powinien się być domyślić.

Darlington zawsze uganiał się za tą czy inną kobietą.

– Wreszcie zrozumiałeś – odparł Darlington, unosząc kieliszek.

– No to czemu wciąż nazywasz ją księżną?

Fitzhugh uniósł dłoń, nim Darlington znów się odezwał.

Dzięki Bogu.

– Księżę regent nazwał Juliette Księżną Zalotów. Właśnie w niej masz być według plotek na zabój zakochany.

Pelham popatrzył w roztargnieniu na kominek za plecami Fitzhugh, gdzie buzował ogień. Na jego gzymsie tykał stary zegar, odmierzając czas. Powyżej wisiał obraz ze sceną myśliwską, całą w zieleniach i brązach, dominując nad ścianą wyłożoną ciemną boazerią. Niejasno przypomniał sobie owe Trzy Diamenty.

Usiłował wyobrazić sobie tę Juliette.

– Czy to ta brunetka? – spytał.

– Nie. To Markiza Tajemnic – wyjaśnił mu Darlington.

Pelham pokiwał głową. Czy księżę regent nie miał nic lepszego do roboty niż wymyślanie tytułów kurtyzanom?

– To może chodzi o tę bladą blondynkę?

– Właśnie – powiedział Fitzhugh.

– Nie nazwałbym jej bladą – poprawił go Darlington. – Ma jasne włosy, ale karnację całkiem przyjemnie różową.

Zachwycającą.

– Może gazety powinny ją połączyć z tobą? – spytał Pelham, próbując łyżką zupy.

– Nic by mu się bardziej nie podobało – odparł Fitzhugh, obracając w palcach kieliszek z portwajnem. – Ale Księżna by go nie chciała.

Darlington spojrzał spode łba na Fitzhugh, a Pelham zanurzył łyżkę w zupie. Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widział Darlingtona patrzącego spode łba.

– A dlaczego by go nie chciała? – spytał, nabierając znowu

zupy. – Przecież jest kurtyzana. Nie przypuszczałem, by one były zbytnio wybredne.

Darlington pokiwał głową.

– Ona jest jedną z Trzech Diamentów, Pelham. Sama sobie wybiera kochanków i jest krańcowo wybredna.

– W takim razie dlaczego cię odrzuciła? Nie jesteś dość bogaty?

– Nie. – Darlington odwrócił wzrok.

– Za brzydkiego? – zaśmiał się Fitzhugh.

– Ładniejszy niż niektórzy inni – i Darlington wskazał oczami na Fitzhugh, który tylko wzruszył ramionami.

– Nie jestem kimś, kto nie może zdobyć kobiety.

– Zdobędę ją – zaprotestował, trochę zbyt głośno, Darlington.

– Muszę po prostu dowieść... – i wymamrotał ostatnie słowa tak niewyraźnie, że nie sposób ich było zrozumieć.

– Dokończ – zażądał Fitzhugh.

– ...że ja nie potrzebuję niańki.

Pelham uniósł do ust serwetkę, żeby zakryć uśmiech.

Fitzhugh nie był aż tak uprzejmy. Roześmiał się głośno.

– Czy tak się wyraziła?

– Zamknij się.

– Słuchaj, Darlington – powiedział Pelham. – Nie mam żadnych zamiarów względem twojej bladolicyj Księżnej. Zaryzykuję twierdzenie, że to ona sama się kryje za tą historyjką z „Kroniki Porannej”.

– Ona nie jest taka! – zaprotestował Darlington.

Pelhamowi niemal się go zrobiło żal. Ten chłopak całkiem dla niej zgłupiał.

– Jasne, że jest. Pewnie chce wzmocnić swoją pozycję.

– Podoba mi się jej pozycja – burknął Darlington.

– Znajdź sobie jakiś inny obiekt uczuć – podsunął mu

Pelham.

Darlington spojrzał na niego tak, jakby nie pojmował, co Pelham mówi.

– Nie potrafię o niej zapomnieć. Zakochałem się w niej.

– O rety. – Fitzhugh wznosił oczy do nieba i wypił do dna swój portwajn.

– Nie spodziewam się, żebyście to zrozumieli. Macie serca z kamienia.

– Skądże – sprzeciwił się Pelham. – Ja akurat zyskałem powód, żeby jakoś uczcić dzisiejszy wieczór. Właśnie się zaręczyłem i podpisałem odpowiednie papiery. Za kilka miesięcy będę miał swoją własną księżnę.

– Lady Elizabeth przyjęła twoje oświadczyzny? – spytał Fitzhugh.

Pelham uniósł kieliszek z portwajnem i wypił toast.

– Lady Elizabeth! – parsknął Darlington. – Przecież ty jej wcale nie kochasz!

– Znasz moje zasady – odparł Pelham.

– Ach, oczywiście. Główna zasada Pelhama: nigdy się nie zakochać. Przecież to jest najczystsza bzdura.

– Całkiem rozsądna reguła. Mężczyźni i kobiety podejmują błędne decyzje, kiedy się zakochują, i postępują jak szaleńcy. – Pelham spojrzał przenikliwie na Darlingtona. – To mi nie odpowiada.

– Ale jak możesz poślubić kobietę, której nie kochasz? – dziwił się Darlington.

– Darzę ją ciepłym uczuciem.

– Ty darzysz ciepłym uczuciem włości, które ci wniesie w posagu. Graniczą z twoimi posiadłościami w Yorkshire.

– To jej dodaje uroku – przyznał Pelham, nie tracąc kontenansu. Czym w końcu było małżeństwo, jeśli nie korzystnym dla obu stron interesem? Przecież interesy należy załatwiać najkorzystniej jak tylko można. Nie byłby bogatym, wpływowym szóstym księciem Pelham, gdyby jego przodkowie poślubiali zwyczajne kobiety lub też – Boże uchroni – kurtyzany. Lady Elizabeth była córką markiza. Dobrze ułożoną, inteligentną i z należytych posagiem, co zdecydowało o wszystkim. Nie odznaczała się wybitną urodą, ale miała miłą powierzchowność. I, co znacznie ważniejsze, zgadzali się w sprawach o zasadniczym

znaczeniu. Obydwoje lubili rutynę. Lubili żyć spokojnie i z godnością.

Unikali teatralnej ostentacji beau monde'u, w której tak gustowali Darlington i jemu podobni. Ożenek z lady Elizabeth gwarantował Pelhamowi zrównoważoną, trwałą i godną przyszłość.

Tego zaś właśnie pragnął i uzyskałby to, gdyby tylko zwrócił należyłą uwagę na pewien drobny, lecz nieprzyjemny szczegół.

*Eliza* wiedziała, że to szaleństwo. Nie powinna była tam wracać. Tylko szaleniec by to zrobił. Nie wiedziała jednak, jak poza tym mogłaby zaspokoić dręczące ją pragnienie. Ani jedzenie, ani napoje nie mogły tego dokonać.

Tylko i jedynie gra.

Oddała wierzchnie okrycie zarządcy Jaskini Lucyfera, który spojrzał na nią z ukosa, i poszła prosto do ulubionego stołu gry. Czowała wyraźnie, że inni stali bywalcy przyglądają się jej uważnie. Wiedzieli, kim była. Prosiła w duchu Boga, by nie wiedzieli, co zrobiła.

Prosiła w duchu diabła, by Lucyfer jej nie podejrzewał.

Spostrzegła Lucyfera przy jednym ze stołów do gry w faraona i o mało się nie cofnęła. Gdyby miała choć trochę rozsądku, uciekłaby stąd. Zamiast tego jednak szła coraz dalej, jakby wiedziona jakąś niewidzialną siłą. Nie mogła się oprzeć pokusie gry.

Ciemne oczy Lucyfera – tak ciemne, że niemal zupełnie czarne – śledziły ją. Nie odwrócił głowy, którą otaczały faliste pukle czarnych włosów z wyraźną białą linią przedziałka, gdy znalazła się poza zasięgiem jego wzroku. Wiedziała jednak, że i tak świadomy jest każdego jej ruchu.

Zatrzymała się przy stole gry, a Rafael, jej ulubiony krupier, spytał:

– Czy chce pani przyłączyć się do gry, madame? Pan Abernathy rzucił już kości, a pan Canby jest następny w kolejce.

– Dziękuję, chyba będę się tylko przyglądać.

Było to kłamstwo. Chciała grać, lecz najpierw pragnęła przyjrzeć się grze Canby'ego.



Canby położył na stole pięć funtów i powiedział:

– Sześć.

Uniósł kubek do kości.

– Sześć to większa liczba punktów – powiedział Rafael. –  
Stawka wynosi pięć!

Canby rzucił kości, a Eliza poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej. Nawet nie zdążyła jeszcze zrobić zakładu, a już krew zaczęła w niej żywiej krążyć. Pierwsza kostka zatrzymała się na jedynce. Druga zatoczyła się chwiejnie i odwróciła dwójką do góry.

– Trzy – oznajmił Rafael i potrząsnął kubkiem. – Czy chce pan spróbować jeszcze raz, Canby?

Canby odwrócił się w jej stronę.

– Może lady Eliza zechciałaby wejść do gry?

Nim jednak Eliza zdołała skinąć głową, po jej prawej stronie stanął Gabriel, najbardziej zaufany człowiek Lucyfera.

– Milady, czy zechce pani pójść ze mną?

Nie oznaczało to prośby. Dobry Boże, nie powinna była tu przychodzić. Nie miała jednak wyboru. Przełknęła z trudem ślinę, dała znak, że się zgadza, i podążyła za Gabrielem prosto w głąb piekła, do prywatnych apartamentów Lucyfera.

Strumyczek potu ściekał jej powoli po plecach. W domu gry zrobiło się nagle bardzo gorąco, a skierowane na nią spojrzenia jeszcze bardziej to wzmogły. Gdy jednak spojrzała na obserwujących ją ludzi, wszyscy unikali jej wzroku. Poczowała ucisk w żołądku, a jej oddech stał się urywany. Nie potrafiłaby jednak rozstrzygnąć, czy z podniecenia, czy ze strachu.

Ale tak się z nią zawsze działo – strach powodował podniecenie – a nikt w niej mocniej nie wzbudzał zarówno strachu, jak i podniecenia, niż Lucyfer.

Poszła w ślad za Gabrielem stromymi, wąskimi schodkami na piętro nad salą gry, gdzie mieściły się prywatne apartamenty Lucyfera. Gabriel wyglądał pod każdym względem jak anioł, którego imię nosił. Miał długie, jasne włosy, szczupłą twarz o harmonijnych, jakby wyrzeźbionych rysach i łagodny, melodyjny

głos. Był zbyt nieskazitelnym, zbyt pełnym oglądy i działał jej na nerwy. Była już przedtem w prywatnych apartamentach Lucyfera i znała drogę. Ale czy Gabriel prowadził ją do jego biblioteki, czy do sypialni? Jeśli do biblioteki, to na pewno stanie twarzą w twarz ze śmiercią.

Rzecz jasna, sypialnia nie była czymś dużo lepszym.

Gabriel zatrzymał się przed drzwiami sypialni, otworzył je i odstepił na bok, by ją przepuścić. Posłała mu uśmiech pełen zaufania, którego wcale nie czuła, i weszła do środka. Drzwi zamknęły się tuż za nią i usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Znalazła się w pułapce.

Dotknęła dłonią grubych drewnianych drzwi pomalowanych na czarno, żeby harmonizowały z wystrojem pokoju. Ściany i meble pokryte były jedwabiem. Zasłony również sporządzono z jedwabiu. Tylko monstrualne, olbrzymie łóżko miało inny kolor, przyozdobione jedwabiem czerwonym jak krew. Leżała już na nim wcześniej, naga i drżąca, czując się niczym baranek ofiarny, gdy Lucyfer klękał ponad nią.

A potem zostawiała go śpiącego w tym śliskim, czerwonym jedwabiu. I odchodziła – ale nie z pustymi rękami.

Co ona najlepszego zrobiła? Wsparła czoło na drzwiach, tuż koło jej dłoni. Drewno było ciepłe w dotyku.

Coś zimnego i twardego zacisnęło się na jej nagim ramieniu.

– Nie sądziłem, że cię znowu zobaczę.

Eliza ledwie zdołała stłumić krzyk. Zapomniała o szczególnym upodobaniu Lucyfera do nieoczekiwanego pojawiania się i znikania. Nawet nie słyszała, jak wszedł. Zmusiła się do uśmiechu, choć drżały jej wargi.

– Wiesz przecież, że nie potrafię się powstrzymać od przychodzenia tutaj.

– Mam dziwne wrażenie, że to nie moja osoba cię tutaj przyciąga.

– Cóż innego mogłoby wchodzić w grę?

– Istotnie.

Zdjął jej dłoń z drzwi, odwrócił grzbietem do góry i ucałował. Mimo woli westchnęła.

– Brak mi było ciebie – mruknął, spoglądając na nią spod czarnych jak sadza rzęs.

– A mnie ciebie – wyszeptała, gdy ją objął. Jego wargi spoczęły na jej ustach, a dłonie brutalnie przycisnęły ją do jedwabnego obicia ściany.

Eliza poddała się temu, czując, jak palce Lucyfera prześlizgują się po jej nagim udzie. Czy wiedział? Czy tylko droczy się z nią, nim ją zabije?

Nie, nie mógł wiedzieć. Była tak ostrożna, tak o wszystko dokładnie zadbała.

Czuła, jak cały dygotał, czuła, jak chwyta zębami jej ciało. Zawsze ją zdumiewało, że był na tyle ludzki, by doznać szczytowania.

Przywarł policzkiem do jej twarzy. Skórę miał ciepłą, a jego gorący oddech owionął jej ucho.

– No a teraz, kiedy wstępne uprzejmości mamy za sobą, chyba już nadszedł czas, żebyśmy pomówili o diamentach.

Usiłowała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Skurczyła się cała ze strachu, a on śmiał się długo, cicho i złośliwie.

Juliette stłumiła ziewnięcie i skinęła na zaspanego kamerdynera, który otwierał drzwi jej domu. Pierwsze promienie słońca błyszcząły już złoto i różowo na tle nieba. Wszechobecna w Londynie mgła przynajmniej tym razem opadła.

– Witam, Księżno. – Hollows skłonił się przed nią, zamykając drzwi. Jak zwykle nie nosił liberii, lecz zawsze miał dystygowany wygląd, cały ubrany w czerń i z białą różą w klapie. Wysoki wzrost i poważna mina dodawały mu godności.

– Jestem strasznie znużona – powiedziała Juliette, odwracając się ku niemu tyłem, tak żeby mógł zdjąć z niej wierzchnie okrycie – i chciałabym spać cały tydzień.

– Tak, Księżno. Czy mam obudzić Mary?

Juliette była z początku zaskoczona jego słowami, ale potem przypomniała sobie, że odprawiła Rosie i większość służby na tę noc. Jutrzejszego wieczoru – nie, już dzisiejszego, poprawiła samą siebie w myśli – odbędzie się bal u księcia regenta, chciała więc, żeby służba należycie wypoczęła, nim zaczną się przygotowania do niego.

Teraz jednak było późno. Teraz chciała spać. Źle zrobiła, przebywając poza domem tak długo, ale sztuka okazała się błyskotliwa, Vauxhall Gardens zaś pełne najzabawniejszych mężczyzn i kobiet w Londynie, i zanim się zorientowała, było już prawie rano. Rosie będzie się musiała bardzo nad nią napracować, żeby Juliette dzisiejszego wieczoru wyglądała olśniewająco w Carlton House.

– Owszem, Hollows, zbudź Mary i przyślij mi ją do pokoju.  
– Juliette miała wyrzuty sumienia z powodu służącej, bo tylko Mary, Hollows i kucharka nie dostali na ten wieczór wolnego, ale

nie mogła pójść spać w gorsecie i sukni, a sama nie potrafiła ich z siebie ściągnąć. Gdy tylko Mary ją rozbierze, pośle pokojówkę z powrotem do łóżka i skończy swoją toaletę samodzielnie.

Skierowała się ku schodom.

– Ty również idź do łóżka, Hollows – rzuciła przez ramię. – Nie będę cię potrzebować przez dobre parę godzin.

– Tak jest, Księżno.

Stopy ciążyły jej niczym kule armatnie; choć nigdy żadnej kuli nie widziała, wyobrażała sobie jednak, że muszą być niewiarygodnie ciężkie. Czemuż zgodziła się na tak wiele tańców? Nigdy niestety nie potrafiła odmówić sobie czekającej ją przyjemności, a dzisiejszej nocy muzyka była porywająca, tancerze mili i jej humor znakomity. Mogłaby tańczyć nawet do południa.

Dzięki Bogu nie musiała. Może kiedyś zdoła wreszcie przewidzieć konsekwencje swego postępowania.

Weszła na pierwsze piętro i zaczynała już wchodzić na drugie, gdzie mieściła się jej sypialnia. Drzwi salonu były zamknięte, lecz Juliette stanęła bez ruchu, gdyż dobiegł ją stamtąd jakiś dźwięk. Zatrzymała się więc, podeszła do drzwi, przyłożyła do nich ucho i nadśluchiwała.

Nic. Cisza.

Pokiwała głową. Była tak zmęczona, że własny umysł ją zwodził.

Znów skierowała się ku schodom, ale wtedy wyraźnie usłyszała głuchy łomot. Bez wahania odwróciła się i podbiegła do poręczy schodów.

– Hollows! – Serce tłukło się jej gwałtownie w piersi. – Hollows! Na po...

Czyjaś dłoń zatkała jej usta i ktoś odciągnął ją w tył. Zgubiła przy tym jeden z pantofelków.

Oliver.

Przyszedł policzyć się z nią, jak jej poprzysiągł, a ona odprawiła na tę noc swoich lokajów. Jak mogła postąpić tak niemądrze? Teraz on ją zabije. Hollows, który był nieco

przygłuchy, nie usłyszy jej krzyku.

Kopała i drapała napastnika, ale nie mogła mu się wyrwać. Ten mężczyzna – przypuszczała, że to mężczyzna, bo miał duże dłonie – chwycił Juliette w pól, żeby łatwiej mu ją było odciągnąć do tyłu. Ręką mocno zatkał jej usta; zaczynała się dusić.

Próbowała zaczerpnąć tchu i wtedy z trzaskiem otworzyły się drzwi salonu. Stał w nich jakiś mężczyzna, którego wcale nie знаła.

– Dzień dobry, Księżno – powiedział.

Juliette zamrugła oczami i przełknęła ślinę, wciąż walcząc o oddech.

To nie był Oliver. Dzięki Bogu.

Nosił stylowy, czarny strój i miał również czarne włosy, z przedziałkiem tak białym, jak perły na jej szyi. Uśmiechnął się do niej, lecz wzrok miał mroczny i groźny. Juliette uznała, że nie musi odpowiadać na to powitanie.

– Chciałbym, żebyśmy ze sobą pogawędzili – ciągnął. – Gabriel, ona robi się sina. Zabierz tę rękę. Nie będzie pani krzyczeć, prawda, Księżno?

Kiwnęła głową, ale zamierzała wrzasnąć, gdy tylko ten Gabriel zdejmie łapę z jej ust. Kucharka i Mary mogły ją usłyszeć, nawet gdyby Hollows nie zdołał.

– To dobrze, bo w przeciwnym razie i pani, i każdemu, kto by przybiegł z pomocą, nie spodobałyby się konsekwencje.

Gabriel usunął rękę z jej ust, ale Juliette nawet nie pisnęła. Coś w tym ubranym na czarno mężczyźnie kazało jej uznać, że mogłaby mocno pożałować, gdyby go nie usłyszała. Już wcześniej przyszło jej żałować nieposłuszeństwa i nabrała wtedy wprawy w stosowaniu się do poleceń. Przez dziesięć lat wiodła życie niezależnej kobiety, ale teraz znów czuła się jak wtedy, gdy miała siedemnaście lat. Powrócił instynkt przetrwania.

Odsunęła się od mężczyzny zwanego Gabrielem i zajrzała w głąb pokoju. W stylowo urządzonym i nieskazitelnie dotąd uporządkowanym wnętrzu panował totalny chaos. Kosztowne zasłony pocięto na strzępy, porozpruwano wyściółkę mebli, przewracano cenne stare lampy, a zawartość wysuniętych

ciężkich szuflad była wysypana na dywan.

Mogła ją uratować tylko ucieczka. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby uciec. Nie mogła jednak dopuścić, by ci mężczyźni zauważyli, że się boi lub że chce im się wymknąć. Bardzo szybko zostałyby wtedy ukarana.

– Czego szukacie? – wychrypiała.

Mężczyzna w czerni znów się uśmiechnął, ale tym razem rozbawienie widniało również i w jego oczach koloru obsydianu.

– Jest pani bardzo spostrzegawcza, Księżno. Czy mogę panią tak nazywać?

Podszedł spokojnie do przewróconego krzesła, postawił je i usiadł na nim w najzupełniej swobodnej pozie. Całkiem jakby to był jego dom, a nie jej.

Juliette oburzyła się w duchu, lecz umiała ukrywać swoje emocje. Hrabina Sinclair była bardzo dobrą nauczycielką.

– Wolałabym, żeby się do mnie zwracać „pani Clifton” – odparła, choć nikt jej tak nie nazywał od lat. Używał go Oliver, więc znienawidziła swoje nazwisko. W tej chwili wydało się jej jednak najwłaściwsze.

– A czemu nie Juliette? Chyba pasuje, bo my się zaprzyjaźnimy, Juliette.

Zaczęło ją dławić w gardle. Musi się stąd jakoś wydostać.

– A jak mam się zwracać do pana? – spytała zimno.

– Lucyfer, rzecz jasna. Czy wiesz, o czym chcę z tobą pomówić, Juliette?

Pokręciła przecząco głową. Dobry Boże – modliła się – oby tylko nie zamierzał jej zgwałcić! Umysł jej pracował gorączkowo. Usiłowała odgadnąć, kim on jest, lecz wcale go sobie nie przypominała. Chyba nie był kimś, kogo zaloty odtrąciła. Zapamiętałaby go, a poza tym zawsze traktowała uprzejmie tych, którym odmówiła swoich względów.

Czyżby nasłał go na nią Oliver?

Nie, jej były mąż lubił wszystko robić sam.

– Doprawdy nie wiem, o czym chce pan ze mną rozmawiać, Lucyferze – odparła z powściągliwą uprzejmością. – Postawił

mnie pan w niekorzystnym położeniu.

– No, no, w końcu jesteśmy przyjaciółmi. Powinniśmy być ze sobą szczerzy.

Kiwnęła głową, wpatrując się w drzwi salonu. Czy zdążyłaby stąd uciec? Gabriel – rosły i jasnowłosy – zdawał się jednak czytać w jej myślach. Zasłonił sobą drzwi i skrzyżował ręce na piersi.

– Jestem z panem szczerza – zwróciła się do Lucyfera, ogarnięta coraz większą paniką. – Nie znam pana. – Wiedziała jednak, że jej nie uwierzył. Zrozumiała, że przegrała z kretesem.

Lucyfer uniósł brwi.

– Ale za to ja znam ciebie i wiem, że masz coś, co do mnie należy. A teraz powiesz mi wszystko o diamentach albo będę musiał uciec się do bardziej konkretnych metod, żeby ci rozwiązać język.

Juliette usiłowała opanować drżenie rąk, lecz filiżanka herbaty, którą odstawiła na tacę, zadzwoniła na spodku. Była zupełnie wykończona, a jednak za każdym razem, gdy tylko przymykała oczy, zaczynała gorączkowo rozmyślać, rozważając różne warianty rozwoju sytuacji.

– Pij herbatę, kochanie – powiedziała Lily. Siedziała po jednej stronie jej łóżka, Fallon po drugiej. Juliette posłała Hollowsa po przyjaciółki, gdy tylko Lucyfer i Gabriel zniknęli. Kamerdyner chciał wezwać sędziego pokoju, lecz się na to nie zgodził. Lucyfer całkiem wyraźnie dał jej do zrozumienia, co się stanie, jeśli ona ujawni to, co nazwał ich rozmową.

– Ona ma już dość herbaty. – Fallon wstała. – Wypiła trzy filiżanki. Potrzeba jej pół kieliszka brandy.

Juliette pokręciła przecząco głową.

– Nie. Potrzebuję snu, ale jestem zbyt wstrząśnięta. Nie mogę przestać myśleć o tym Lucyferze.

– Jesteś pewna, że to nie Oliver go nasłał?

– Oliver nie miał z tym nic wspólnego. Lucyferowi wcale nie chodziło o moją osobę, on chciał wydostać ode mnie jakieś diamenty. Nie rozumiem, dlaczego uważał, że powinnam je mieć.

– Czy na pewno nie chcesz, żebyśmy posłały po sędziego



pokoju? – spytała Lily.

– Już wam mówiłam. Żadnego sędziego pokoju!

– A jeśli ten Lucyfer wróci? – spytała Fallon, nalewając sobie nieco brandy z karafki stojącej na stoliczku koło łóżka Juliette. – Czy zdołałaś go przekonać, że nie masz tych diamentów? Jesteś tego pewna?

– Nie jestem pewna niczego. Usiłowałam zachowywać się przytomnie i wytłumaczyć mu to, ale kiedy zagroził, że zedrze mi paznokcie, załamalam się.

– No oczywiście! – Lily objęła ją. – Ten okropny człowiek na pewno pomylił cię z kimś innym.

– Nie – zaprzeczyła Juliette. – Wiedział, kim jestem, i uważał, że skradłam jego diamenty.

Fallon, która była doświadczoną złodziejką kieszonkową, zaśmiała się.

– Ale ty nigdy nic nikomu nie ukradłaś.

– Tak mu właśnie powiedziałam. Ale on wciąż się upierał, że jesteście przyjaciółmi, muszę więc powiedzieć mu prawdę. – Wzdrygnęła się. Dostrzegła, że Lily wymieniła z Fallon spojrzenie, i znów pokręciła przecząco głową. – Nie. Cokolwiek postanowicie, nie zgadzam się!

– Myślę, że powinnaś dzisiaj wieczoru zostać w domu – powiedziała Lily. – A my już cię wytłumaczymy przed księciem regentem

– Nie! – zawołała i zaczęła wstawać z łóżka.

– Nie jesteś w stanie pójść na bal – upierała się Fallon, dopijając brandy. – Nie spałaś wcale i jesteś całkiem rozstrojona. Zostań w domu, a jutro wszystkie trzy pojedziemy do Somerville. Hrabina z pewnością pomoże nam dojść do siebie, kiedy nas zobaczy.

– Nie mogę zrezygnować z pójścia na bal. – Juliette wstała, choć nogi uginały się pod nią. Zdołała się jednak na nich utrzymać, zacisnąwszy zęby.

– Przecież to tylko jeden bal – upierała się Lily, chwytając ją za łokieć. – Będzie jeszcze sto innych!

– Ale nie takie jak ten. Cała socjeta oczekuje, że wezmę w nim udział. Chcę zobaczyć, do czego dojdzie, gdy Pelham i ja znajdziemy się w tej samej sali.

– Słyszałaś, co wczoraj mówił lord Darlington? – spierała się z nią Lily. – Księżę może się wcale nie pojawić na balu.

– Jeśli on rozczaruje ludzi – odparła Juliette, dzwoniąc po Rosie – to beau monde mu wybaczy. Jeśli zaś zawiodę ich ja, szybko wypadnę z łask.

– Nonsens – powiedziała Fallon, machając ręką na Rosie, żeby zaczekała na zewnątrz, póki nie skończą rozmowy. – Jeśli nie przyjdiesz, będą tylko nadal snuć domysły.

Juliette spojrzała na nią. Fallon zadarła podbródek do góry. Juliette spojrzała z kolei na Lily, lecz ta utkwiała wzrok w czubku swego różowego pantofelka.

– Wiecie obydwie, że mam rację – stwierdziła Juliette. – Wszystkie trzy balansujemy nad przepaścią. Na jednym jej brzegu jest nasza z trudem zdobyta popularność. To dzięki niej płacimy rachunki, a prócz niej mamy tylko pomoc Sinclairów, z której żadna z nas nie chce dłużej korzystać. Na drugim brzegu jest zaś ruina. Nie mam ochoty spędzić następnych kilkunastu lat na zadzieraniu w ciemnym zaułku kiecki za szylinga dla każdego chętnego.

– Nigdy nie pozwolimy, żeby cię spotkał taki los! – W zielonych oczach Lily błysnęło oburzenie.

– W takim razie będziesz robiła to samo w sąsiednim zaułku. Wszystkie trzy zbyt ciężko pracowałyśmy na to, co mamy, żeby teraz wszystko stracić. Nie pozwolę, żebyście się rujnowały dla mnie, i nie zamierzam pozwolić, żeby jakiś tam Lucyfer zyskał władzę nade mną.

Wypowiedziawszy te słowa, od razu przestała drżeć. Pewien mężczyzna miał już kiedyś nad nią władzę i przysięgła sobie, że to się nigdy nie powtórzy.

– W takim razie przynajmniej każ Hollowsowi wynająć kilku dodatkowych lokajów – wysunęła sugestię Fallon.

– Już to zrobiłam i sądzę, że dobrze byłoby na jakiś czas

wyjechać z miasta. Pobyt w Somerville to właśnie coś, czego nam trzeba.

Lily klasnęła w ręce.

– Wspaniale! Mam suknię, która świetnie nadaje się na wieś.

– Jak możesz myśleć o modnych strojach w takiej sytuacji? –

Fallon przewróciła oczami.

– Jeśli już mowa o modzie, mamy przed sobą mnóstwo roboty, skoro chcemy olśnić dzisiejszego wieczoru wyższe sfery.

Rosie! – Drzwi się otwały i Rosie zajrzała do pokoju. – Mam nadzieję, że zdołasz coś zrobić z tymi sińcami pod moimi oczami.

– Będzie pani wyglądać, jakby przespiała dwanaście godzin pod rząd, Księżno.

Lily podeszła do Fallon i wyciągnęła ku niej rękę.

– Chyba na nas pora, żeby się pożegnać.

Fallon pokiwała głową.

– Ty, Księżno, jesteś krańcowo uparta.

Juliette zaśmiała się i zasiadła przy toaletce.

– Nie bardziej niż ty, Markizo. Zobaczymy się wieczorem.

– Zajadę tu powozem wpół do dziesiątej – oznajmiła Lily. –

Musimy tam zjawić się wszystkie trzy razem dla pełnego efektu.

– W takim razie zobaczymy się wpół do dziesiątej.

Gdy Lily i Fallon wyszły, Juliette przymknęła oczy.

– Zaraz poślę po wodę do gorącej kąpieli – oznajmiła Rosie.

– Może po wykąpaniu się będzie pani mogła zasnąć.

– Nie ma czasu na spanie – Juliette stłumiła ziewnięcie. –

Muszę wyglądać zachwycająco.

– Niech pani mnie pozostawi troskę o to, Księżno, a tymczasem odpocznie sobie w kąpieli. Myślę, że uperfumujemy ją lawendą...

Rosie wyszła po wodę, a Juliette odetchnęła głęboko. Każdy mięsień bolał ją dotkliwie. Nie miała pojęcia, jak zdoła wytrzymać noc na balu, ale przynajmniej będzie miała przy sobie Lily i Fallon. Znów przymknęła oczy. Zadrżała, gdy przypomniała sobie nagle ciemne oczy Lucyfera i jego słowa:

„Jeśli mnie okłamujesz, Juliette, zabiję cię. Powoli. Boleśnie.

W taki czy inny sposób, dostanę te diamenty”.

*M*am coś dla pani – powiedział Pelham do lady Elizabeth.

– Doprawdy? – spytała. Siedziała skromnie na pokrytym błękitnym aksamitem szeszlunku w jego salonie, przyglądając się uważnie antycznej wazie greckiej, którą trzymała w dłoniach. Bardzo ostrożnie odstawiła ją na boczny stolik, a jej palce zatrzymały się przez chwilę na krawędzi naczynia. Potem wstała. Pelham uniósł rękę i wyciągnął ku niej małą drewnianą szkatułkę inkrustowaną złotem.

– Należał do mojej matki.

Otworzył szkatułkę, by pokazać jej piękny złoty naszyjnik z pojedynczym diamentem oszlifowanym w kształcie dużej łezki.

– Och! – lady Elizabeth uniosła rękę do ust. Pelham dał znak, by się odwróciła, i zapiął jej naszyjnik na szyi. Gdy odgarnął pasmo ciemnych włosów, żeby to zrobić, zdumiał się na widok sinego znaku.

– Co się stało z pani szyją?

Lady Elizabeth zeszywniała, ale gdy odwróciła się ku niemu, machnęła lekceważąco ręką i się uśmiechnęła.

– Pokojówka sparzyła mnie korbówkami do włosów. Myślę, że powinnam ją zwolnić.

– Ja też tak uważam.

Lady Elizabeth podeszła do lustra nad kominkiem i okręciła się wokół własnej osi, układając włosy w taki sposób, by znów zakryły ciemny ślad na szyi.

– Naszyjnik jest po prostu przepiękny, Wasza Wysokość. Mówi pan, że należał do pańskiej matki?

Pelham przytaknął. Nie był sentymentalny, ale jego matka zmarła, gdy miał dziesięć lat, a naszyjnik stanowił jedną z niewielu

pamiątek po niej.

– Tak. Mój ojciec podarował go jej z okazji ich zaręczyn. Osłonięte rękawiczką palce lady Elizabeth z szacunkiem dotknęły klejnotu. Uśmiechnęła się w lustrze do Pelhama nieco drżącymi wargami.

– A teraz pan mi ofiarowuje ten klejnot jako prezent zaręczynowy. Zachowam go na zawsze.

– Hm... tak. – Pelham odchrząknął, zaniepokojony, czy lady Elizabeth nie zacznie czasem płakać. Uczuciowe kobiety denerwowały go. Sądził, że lady Elizabeth będzie nieco bardziej powściągliwa. Miał nadzieję, że się nie przeliczył w swoich oczekiwaniach.

Podał jej ramię i poprowadził do westybulu, gdzie całe mrowie służby oczekiwało na nich z kapeluszami, płaszczami i wszelkimi innymi akcesoriami niezbędnymi na balu w Carlton House. Pelham, już w płaszczu, czekał, podczas gdy na lady Elizabeth wkładano pelisę, układano jej włosy przed nałożeniem kapelusza i poddawano ją całemu mnóstwu różnych innych zabiegów. Pelham pomyślał, że chyba oszalał, gdyby się kiedykolwiek miano tak krzątać wokół niego.

Wreszcie uznano, że lady Elizabeth wygląda zadowolająco, a wtedy poprowadził ją do czekającej już karety. Lokaje w liberiach stali rzędem wzdłuż podjazdu, a najstarszy z nich towarzyszył księciu i przyszłej księżnej w drodze do powozu. Pelham pomógł lady Elizabeth wsiąść i zatrzymał się przez chwilę, by spojrzeć na konie. Miał cztery doborowe, kare konie. Były to dobrze utrzymane, o lśniącej sierści, dziarskie zwierzęta, a ich czapraki lśniły w migotliwym świetle lamp. Herb na jego karecie miał barwy szkarłatne i złote, a on sam czuł się dumny z tego, że przynależy do tak długiej i znakomitej linii książęcego rodu.

Usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, Pelham wsiadł do powozu i zajął miejsce tyłem do kierunku jazdy. Miękkie welwetowe siedzenia nasunęły mu myśl, że wolałby teraz siedzieć sobie wygodnie we własnej bibliotece, niż jechać na bal u księcia regenta. Pelham go nie znosił. Uważał regenta za największego

głupca w Anglii, jeśli nie w całej Europie. Nie tolerował głupoty, ale jeszcze gorsza od głupoty była zdaniem Pelhama rozrzutność. Książę regent miał potężne długi i zwracał się nawet do niego kilkakrotnie z prośbą o pożyczkę. Chociaż trudno było czegoś odmówić przyszłemu władcy, Pelhamowi to się jednak udało. Nie zamierzał pożyczać pieniędzy człowiekowi, który przy pierwszej sposobności zaszalałby sobie za nie u Rundella i Bridge'a lub kupił najnowszej kochance jakieś błyskotki.

Miał nadzieję, że regent nie poprosi go kolejny raz o pożyczkę. Wolałby unikać go, jak tylko można, lecz lady Elizabeth okazała się nieugięta co do ich pójścia na bal w Carlton House.

– Milady, czy ma pani pewność, że nasza obecność jest tam konieczna? – spytał, choć zrobił to już przedtem i otrzymał dość stanowczą odpowiedź. Chciał jednak dać narzeczonej okazję do zmiany zdania.

– Wie pan, moi rodzice są staroświeccy. Matka pragnie, by książę wyraził aprobatę dla naszego związku. Wolałaby co prawda otrzymać ją od samego króla, lecz ze wszystkich relacji wynika, że jest bardzo niedysponowany.

Miała rzecz jasna na myśli to, że król jest szalony, uznał w duchu Pelham. Pierworodny syn Jerzego III był nędzną namiastką chorego na jakąś groźną przypadłość króla, ale Pelham nie bardzo mógł się przeciwstawić życzeniom przyszłych teściów. Nie żądali od niego wiele prócz tego, by zabezpieczył przyszłość lady Elizabeth i ewentualnego potomstwa, w razie gdyby zmarł wcześniej od niej. Gdy zaś Pelham pomyślał o posiadłości, jaką otrzymywał w zamian, zabezpieczenie owo wydawało się wręcz błahostką. Miał swoje plany co do tego majątku. Dotarło jednak do niego, że lady Elizabeth coś mówi, przestał więc myśleć o zwiększeniu plonów i ulepszeniu uprawy roli.

– ...to nie potrwa długo. Myślę, że wystarczy, jeśli zatańczymy tylko raz lub dwa.

Pelham omal się nie wzdrygnął. Omal. A przecież jako książę nie powinien okazywać emocji. Pomyślał jednak, że może zawiodło go jego głuche ucho.

– Mamy tańczyć? – spytał, usiłując mówić spokojnie.

– Raz czy dwa.

– Dwa? – Chyba nie usłyszał dobrze.

W jego głosie musiało zabrzmieć zaskoczenie, bo Elizabeth uniosła ciemne brwi.

– Czy sprawi to panu jakiś kłopot, Wasza Wysokość?

Miała brązowe włosy, brązowe oczy i była dosyć ładna.

Pelhamowi nie zależało specjalnie na jej powierzchowności, ale interesował go jej temperament. Była osobą poważną, przynajmniej tak zawsze sądził. Teraz jednak doszedł do wniosku, że chyba zakpiła sobie z niego, z uśmiechem na ustach. W powozie było zbyt ciemno – nawet mimo światła zewnętrznych lamp – by to stwierdzić.

Musiała go ponieść imaginacja.

– Taniec to czynność tak... – upiorna, pomyślał sobie, ale rzekł – ...niepoważna.

– Ale chyba umie pan tańczyć? – spytała lady Elizabeth.

Umiał i tańczył, ale nie sprawiało mu to żadnej satysfakcji. Taniec nie wydawał mu się czynnością pełną godności.

– Jeśli pani sądzi, że to absolutnie konieczne...

Lady Elizabeth nic nie powiedziała, a Pelham zaczął się zastanawiać, czy nie jest może za wcześnie, by jej wyłuszczyć w ogólnym zarysie kilka zasad. Na przykład w przyszłości nie zamierzał być zobowiązany do tańca. Ani chadzać na bale. Doprawdy, nie ciekawiła go zbytnio większość zajęć socjety, ale nie mógł mieć nadmiernych wymagań. Może wybiorą się na jeden wieczorek towarzyski podczas każdego sezonu...

Stangret oznajmił, że zajęchali na miejsce, i Pelham wyrzął przez okienko, by rzucić okiem na Carlton House. Od południa gmach wychodził na Pall Mall, a ogrody graniczyły z parkiem St. James. Pałac, palladiański w stylu, wydawał się z zewnątrz ascetyczny, sztywny i klasyczny. Wewnątrz wyglądał całkiem inaczej. Jego twórca, Henry Holland, zgadzał się na każdą zachciankę księcia regenta, wewnątrz było więc krzykliwe i przeładowane ozdobami.



Horace Walpole, z którego krytycznymi opiniami Pelham zazwyczaj się zgadzał, nazwał ten budynek „najdoskonalszym w Europie”. Pelham zastanawiał się w duchu, czy Walpole czasem nie zaczął tracić wzroku.

Powóz przejechał obok małej grupki gapiów, spragnionych widoku ludzi utytułowanych i bogatych – jako że niewielu posiadało jednocześnie tytuł i pieniądze – o których czytali w porannych gazetach. Lady Elizabeth pozdrowiła dyskretnie ten tłumek, lecz Pelham go zignorował. Powóz dołączył do długiego szeregu innych, a Pelham oraz lady Elizabeth po jakimś kwadransie wysiedli z niego i przeszli pod sześciokolumnowym portykiem w stylu korynckim. Znaleźli się w wielkim foyer z przedsionkami po każdej stronie, a potem wkroczyli do holu.

Miał on dwie kondygnacje i wspierał się na jońskich kolumnach z imitacji żółtego marmuru. Na Pelhamie nie zrobił wrażenia, lecz lady Elizabeth rozglądała się naokoło, jakby chciała wszystko dobrze zapamiętać. Pelham miał nadzieję, że nie podsunie jej to myśli, by przebudować jego powściągliwą w formie rezydencję. Nie sądził, by potrafił ścierpieć żółty marmur.

Zaprowadzono ich do sali balowej i zaanonsowano, a Pelham pozwolił narzeczonej wmieszać się w tłum. Jej rodzice pospieszyli do nich z pozdrowieniami i Pelham spędził dobry kwadrans, wymieniając z nimi grzecznościowe uprzejmości. Dowiedział się, że księcia regenta jeszcze nie ma, co oznaczało, że Pelham będzie musiał tu przebywać nie wiadomo jak długo. Przygnębiło go to i zaofiarował się przynieść lady Elizabeth i jej matce, markizie Nowlund, po kieliszku szampana. Wszędzie wprawdzie kręcili się lokaje z tacami, ale on potrzebował pretekstu do ucieczki.

Odszedł więc i z miejsca wchłonął go tłum gości. Skierował się ku francuskim oknom wychodzącym na taras. Ledwie wyszedł na zewnątrz i zaczerpnął świeżego powietrza, dołączył do niego Fitzhugh.

– Chyba mam halucynacje – rzekł – bo tylko to wyjaśnia, dlaczego widzę księcia Pelham na balu u regenta.

– Nie gładź – mruknął Pelham.

Fitzhugh parsknął śmiechem.

– Napijesz się? – spytał i podał Pelhamowi kieliszek czegoś, co okazało się brandy. Pelham przyjął go, zastanawiając się, dlaczego właściwie lubi Fitzhugh.

Wypił sporą porcję brandy, która, trzeba przyznać, była bardzo dobra, i powiedział:

– Chyba Darlington gdzieś się tu przyczaił. Będzie mnie pewnie zameczał do końca świata.

– Tak się składa – odparł Fitzhugh, ze wzrokiem utkwionym w ogrodzie – że Darlingtona nagle wezwano do domu. O ile mi wiadomo, nieoczekiwanie zmarła jego matka.

– Dobry Boże. To straszna wiadomość.

– Wyjechał dziś rano. Jak słyszałem, był tak wstrząśnięty, że nie pożegnał się nawet z Księżną.

– Mówisz o tej kurtyzanie? Musiał być rzeczywiście wstrząśnięty. To zresztą zrozumiałe, jak sędzę.

– Owszem. – Fitzhugh spojrzał na niego i Pelhamowi nie spodobał się wyraz jego twarzy. – Ona tu dzisiaj będzie, a twoja obecność... no cóż, nie muszę ci mówić, że rozpętały się różne domysły.

– Nie interesują mnie domysły. Przyszedłem tutaj, żeby przedstawić moją narzeczoną księciu regentowi, a potem opuszczam bal. Nie dbam, czy zobaczę tutaj tę kurtyzanę, czy nie.

Pelham musiał podnieść głos, gdyż w sali balowej za nimi zapanowało nagle poruszenie. Fitzhugh spojrzał tam przez ramię, a gdy znów odwrócił się w jego stronę, Pelham zmarszczył brwi. Fitzhugh się uśmiechał.

Fitzhugh rzadko kiedy się uśmiechał.

– Wygląda na to, że masz szczęście. Przybyły Trzy Diamenty.

Pelham odwrócił się gwałtownie. Nie dlatego jednak, by pragnął dojrzeć przelotnie Księżnę Zalotów. Nie dbał o nią ani trochę... no, może był nieco ciekaw... ot tak, jak wtedy, gdy ktoś idzie do menażerii w Tower, by popatrzeć na lwy. Odwrócił się, bo w gwarnej sali balowej zapanowała nagle zupełna cisza.

Z początku nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy zamarli

bez słowa. Nawet król, gdy był jeszcze przy zdrowych zmysłach, nie wzbudzał takiego respektu. Przez całe pięć sekund Pelham patrzył zdumiony na zachowanie tłumu, a potem je zobaczył.

Trzy kobiety w sukniach wyglądających tak, jakby wykonano je z samych klejnotów, zdawały się płynąć przez salę. Pelham nie zauważył, by je przedstawiano, ale były tym rodzajem kobiet, które nie potrzebują prezentacji. Zawsze utrzymywał, że kobieca uroda nie robi na nim wrażenia. A także twierdził, że jedna ładna kobieta jest podobna do drugiej ładnej.

Cóż za kolosalne łgarstwo.

Nie mógł oderwać wzroku od tych olśniewających piękności. Wiedział, że wykalkulowały sobie to wejście, by wywołać sensację, a jeśli Pelham czegoś naprawdę nie cierpiał, była tym czymś manipulacja. Rozsądek go jednak tym razem zawiódł. Patrzył na nie w nabożnym wręcz podziwieniu, razem z resztą tłumu.

Wszystkie trzy szły ramię w ramię. Po lewej czarnowłosa piękność z oliwkową cerą i żywo spoglądającymi oczami. Nosila suknię przywodzącą na myśl jezioro barwy miedzi. Spływała po jej figurze niczym woda, a choć dekolt i krój były powściągliwe, falujący jedwab ujawniał bardzo wiele. Sama zaś suknia skrzyła się od rubinów i diamentów.

Po prawej kroczyła rudowłosa zjawiskowa piękność z jaskrawozielonymi oczami, odziana w złocisty jedwab. Również i jej suknia była skromna w kroju, prawie dziewczęca. Uśmiechała się szeroko, niemal się śmiejąc, a w jej ruchach było coś niezwykle zmysłowego. Coś takiego, że Pelhamowi zaschło w ustach. Suknię jej ozdabiały naszyte szmaragdy i diamenty.

Pelham podziwiał dwa z Trzech Diamentów ledwie przez chwilę, gdy jednak jego wzrok spoczął na środkowym, uznał, że nie może zbyć jej tak łatwo. Serce załomotało mu w piersi, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały. Lecz jej jasnoblękitne oczy prześliznęły się zaraz gdzie indziej, a on uznał, że chyba to ich zetknięcie było tylko dziełem jego wyobraźni.

Była najbardziej klasyczną pięknością ze wszystkich trzech. Włosy, w odcieniu popielatoblond, ułożone miała wymyślnie i

lśniące od diamentów. Jasnoniebieskie oczy zdawały się patrzeć raczej przez otaczające jej osoby niż na nie, a jej figura...

Pelham nie mógł oderwać oczu od sukni ze srebrzystego jedwabiu, którą miała na sobie. Odmienne niż pozostałe dwa Diamenty, nie przybrała jej barwnymi kamieniami. Jedynym ozdobnym akcentem były migoczące diamenty. Pelham mógł się na własne oczy przekonać, dlaczego ta kobieta uważana jest za diament czystej wody.

Wysoka i gibka, miała smukłą i pełną wdzięku figurę, pięknie zarysowane kości policzkowe i elegancko wygięte brwi. Jej wargi były niesłychanie wręcz czerwone, a cera jasna, jedynie na policzkach lekko różowa.

W tej właśnie chwili Pelham zrozumiał, że był kłamcą. Pragnął tej kobiety jak niczego jeszcze w całym swoim życiu.

– Z pewnością wiedzą, jak się zaprezentować przy wejściu – mruknął Fitzhugh.

Pelham musiał przekrzywić głowę, by usłyszeć jego słowa. Fitzhugh mówił do jego głuchego ucha.

– Nie interesują mnie kurtyzany – powiedział Pelham zarówno dlatego, by przypomnieć o tym sobie samemu, jak i poinformować przyjaciela.

– Istotnie, wcale nie wyglądasz na zainteresowanego – zaśmiał się Fitzhugh. – Ta, na którą bez przerwy patrzysz, to Juliette, Księżna Zalotów.

Pelham oderwał od niej wzrok, by przyjrzeć się uważnie Fitzhugh.

– Tak, właśnie ta Księżna. Im dłużej się na nią gapisz, tym mocniej podsycasz plotki. Ach, dobry wieczór, lady Elizabeth.

Pelham drgnął i oprzytomniał, gdy narzeczona wraz z rodzicami zbliżyła się do niego. Dojrzał jednak, że lady Elizabeth uważnie na niego patrzy. Niewątpliwie widziała, jak przyglądał się Księżnej. Niech to diabli porwą, miał nadzieję, że nie dostarczył socjocie sposobności do plotek. A już z całą pewnością nie potrzebował, by jego narzeczona coś spostrzegła akurat wtedy, gdy oficjalnie się zaręczył.

Staął przy lady Elizabeth, odwracając się tyłem do Trzech Diamentów, które teraz wmieszały się w tłum. Gwar wzmógł się ponownie i Pelham gotów byłby przysiąc, że słyszał swoje nazwisko rozbrzmiewające wszędzie. Podjął jednak stanowczą decyzję, by zignorować kurtyzany i wszelkie związane z nimi domysły.

– Powinienem był przynieść szampana – odezwał się. Nie były to przeprosiny. Książęta nie przepraszają. – Ale Fitzhugh zagadnął mnie, nim zdążyłem pójść po niego.

– Miło mi znów pana widzieć, Fitzhugh – powiedziała lady Elizabeth.

– Proszę mi wybaczyć, że zatrzymałem tu Pelhama. Nie wiedziałem, że ma tak ważny obowiązek do spełnienia. Rad jestem jednak, że mam sposobność złożyć państwu gratulacje.

Pelhama zawsze zdumiewało, że ktoś taki jak Warrick Fitzhugh, człowiek, który, sądząc z tego, co o nim mówiono, miał raczej dziwną przeszłość i nie bardzo jasną terażniejszość, potrafi zachować się w równie stosowny i czarujący sposób. Przypuszczał jednak, że jako syn hrabiego zyskał należyte przygotowanie – jeśli nie pragnienie – by wieść godne szacunku życie.

Lady Elizabeth skłoniła głowę z ostentacyjną skromnością.

– Dziękuję panu, Fitzhugh. Jestem wprost niezwykle szczęśliwa – dodała, spoglądając na Pelhama.

Pelham poczuł, że zanosì się na jeszcze więcej sentymentalizmu, bo głos zabrała matka lady Elizabeth, oddalił się więc pospiesznie, obiecując wrócić z szampanem. Bez żadnych skrpułów pozostawił obie kobiety z Fitzhugh. W końcu ten człowiek sam się o to prosił. Nikt nie nawiązywałby do czyichś zaślubin, nie spodziewając się przynajmniej nieśmiałych uśmiezków, a może i łezek ze strony płci pięknej.

Pelham podszedł do lokaja niosącego tacę z szampanem, lecz nim zdążył zdjąć z niej trzy wysmukłe kieliszki, zagadnął go lord Ridgebury, inny kompan ze szkolnej ławy.

– Witaj Pelham, stary chłopie!

Pelham skinął mu sztywno głową. W szkole Ridgebury

zawsze próbował ściągać od niego zadania.

– Witaj, Ridgebury.

– Widzę, że szykujesz się do odejścia. Ale choć ci się spieszy, wciąż jeszcze mógłbyś poprosić do tańca Księżnę.

Pelham zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

– Chyba nie posuniesz się do przypuszczeń, że mógłbym zatańczyć z osławioną kurtyzaną w obecności mojej narzeczonej, a także jej rodziców, markiza i markizy Nowlund?

Ridgebury wzruszył ramionami.

– Coś mi się zdaje, że zrobiłeś już dużo więcej.

– Czy wierzysz wszystkiemu, co wyczytasz w gazetach, Ridgebury? Ja wolę fikcję w powieściach.

– A zatem zaprzeczasz, jakoby coś cię z nią łączyło? – spytał lord Casterly, wicehrabia ledwie mu znany. Pelham zdał sobie sprawę, że niezależnie od własnej woli budzi ciekawość mnóstwa osób.

– Zaprzeczam. Nie powinno to zresztą pana obchodzić. Proszę mi wybaczyć, ale... – i Pelham sięgnął po kieliszki, lecz w tejże chwili usłyszał, że oznajmiono przybycie księcia Walii.

Wszedł kaczkowatym chodem czerwony na twarzy książę regent, a jego poddani pochylili się w ukłonie. Przez kilka minut wszyscy pozostawali na swoich miejscach, książę zaś witał się ze swymi faworytami i żartował z Brummellem oraz Alvanleyem. Gdy goście znów zaczęli łączyć się w grupy, Pelham drugi raz sięgnął po kieliszki, lecz regent akurat wtedy zawołał:

– Pelham! Właśnie ciebie pragnąłem zobaczyć!

Pelham zeszywniał, dał znak lokajowi, by się odsunął, a potem odwrócił się i złożył księciu ukłon.

– Wasza Królewska Mość.

– Nie sądziłem, że cię tu dziś wieczór zastanę, Pelham – zaczął książę. Na czerwonym policzku miał naklejoną muszkę. Pelham nie mógł oderwać od niej wzroku. Po cóż mężczyźnie muszka? A jeśli już się zastanowić, to po cóż ona i kobiecie?

– Miałem nadzieję przedstawić Jego Królewskiej Mości moją narzeczoną – odparł oziębło. – Zapewne zna książę lady...

– Co, zamierzasz poślubić Księżnę?! – wykrzyknął regent. –  
Wszyscy o tym mówią!

Pelham zdenerwował się. Nie był przyzwyczajony do tego, by mu przerywano, ani do tego, by być przedmiotem plotek.

– Jeśli księżę chce mi dać do zrozumienia, że mógłbym poślubić tę ladacznicę...

Z otwartych ust księcia regenta wydobył się jakiś krótki i nieartykułowany piskliwy dźwięk. Pelham usiłował mówić dalej, lecz regent zaczął jak szalony wymachiwać rękami.

– Dosyć, dosyć!

Pelham usłyszał, jak z tyłu za nim ktoś mówi niskim, chłodnym głosem:

– Nazywano mnie już dużo gorzej.

Juliette ujrzała księcia Pelham, gdy tylko weszła do sali balowej Carlton House. Miała świadomość, że oczy wszystkich są zwrócone na nią i dwa pozostałe Diamenty. Rozglądała się ostrożnie w tłumie za Pelhamem, starając się nie czynić tego zbyt jawnie.

Lily i Fallon najwyraźniej czyniły to samo. Gdy zostały na chwilę same, Lily kurczowo chwyciła ją za ramię.

– Jest tutaj! Nie mogę wręcz uwierzyć.

– Ani ja – odparła Juliette, choć wciąż sobie powtarzała, że jego obecność nic nie znaczy. Oznaczała jednak, że Księżna Zalotów skupi na sobie powszechną uwagę. Socjeta chciała, by coś się wydarzyło pomiędzy ich dwojgiem. Dokładnie tego i ona pragnęła.

– Czy jesteś pewna, że Darlington dotrzyma swojej obietnicy? – spytała Lily.

Juliette drgnęła, usiłując nie spuszczać wzroku z Pelhama, bo gęsty tłum kłębił się pomiędzy nimi.

– Jakiej obietnicy?

Lily jęknęła z desperacją.

– Przecież obiecał, że stanie na głowie, jeśli Pelham pojawi się na balu, a ty powiedziałaś, że trzymasz go za słowo.

– Och, o to ci chodzi?

Nie zauważyła przedtem, że Pelham ma tak intensywnie błękitne oczy. Ani tego, że w jego brązowych włosach migoczą kasztanowe i złote błyski. Był też wyższy, niż się jej wcześniej zdawało...

Lily wciąż spoglądała na nią. Juliette przyznała z zaskoczeniem:



– Tak, wezmę go za słowo.

– Ale nie teraz – szepnęła Fallon. – Oto i księżę regent, no i twoja wielka sposobność, Juliette.

Fallon miała rację. Juliette złożyła regentowi ukłon, gdy ukazał się na balu, i uśmiechnęła się, gdy skinął na nią, nim podszedł do Pelhama, stojącego koło francuskiego okna, które wychodziło na ogród. A więc regent, podobnie jak wszyscy inni, cieszył się z góry na jej spotkanie z Groźnym Księciem. No cóż, nie mogła rozczarować swojego władcy!

Czuła, jak rośnie w niej podniecenie, gdy zaczęła iść przez salę. Nie była już Juliettą, lecz Księżną Zalotów. Nie była rozwiedzioną wiejską dziewczyną roszczącą sobie prawo do bycia piękną kurtyzaną w wielkim mieście, lecz wcieleniem królewskości i elegancji. Jedną z Trzech Diamentów.

Ludzie rozstępowali się przed nią niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Gdy wchodziła pomiędzy nich, zastanawiała się, czy w Morzu Czerwonym było tyle rekinów, ile w londyńskim dobrym towarzystwie. W każdym razie Mojżesz miał chyba więcej odwagi, niż przypuszczała. Niełatwo było iść między tymi rekinami i nie zważać na nie. Wpatrywała się jednak w Pelhama i była już tak blisko niego, że mogła słyszeć jego głos – niski i miękkki jak aksamit – oraz głos regenta – wysoki i o wiele za bardzo kobiecy w brzmieniu.

Księżę regent, jak zwykle, był jawnie podniecony perspektywą sceny, która miała się przed nim rozegrać, i rozmawiał z Pelhamem, plotąc coś o małżeństwie. Juliette zapragnęła odwrócić się na pięcie i odejść. Równie groteskowa wypowiedź nie dawała Pelhamowi wyboru. Musiał jej zaprzeczyć. Nie była to odpowiednia chwila na spotkanie z nim, lecz Juliette zabrnęła już zbyt daleko, by się teraz wycofać. Zatrzymała się tuż za Pelhamem i usłyszała, jak mówi, całkiem wyraźnie:

– Jeśli księżę chce mi dać do zrozumienia, że mógłbym poślubić tę ladacznicę...

Regent, rzecz jasna, ostrzegł go z miejsca o jej obecności. Juliette szczerze tego żałowała. Chętnie by usłyszała, jak Pelham

skończy to zdanie. Zyskałaby też kolejną chwilę, by oprzytomnieć. Gdyby miała skłonność do rumienienia się – straciła ją, odkąd skończyła siedemnaście lat – jej twarz oblałaby się czerwienią. A tymczasem, mimo iż zrobiło się jej gorąco, zdołała zachować niewzruszony wyraz twarzy.

– Nazywano mnie już dużo gorzej – powiedziała.

Pelham odwrócił się szybko ku niej, a ona zaczerpnęła gwałtownie tchu. Nigdy jeszcze nie znalazła się tak blisko niego. Widywała go tylko z daleka, w ogrodach i salach balowych. Mężczyźni wyglądali zwykle na przystojniejszych z dystansu, bo gdy się podeszło do nich bliżej, można było dostrzec włosy wyrastające im z nozdrzy, ślady po ospie na policzkach czy resztki jedzenia tkwiące między zębami.

Natomiast Pelham był samą doskonałością. Miał na sobie nieskazitelny wieczorowy strój. Doskonale skrojony frak leżał bez zarzutu na szerokich barkach. Halsztuk zawiązany był w prosty węzeł, lecz bez jednej zmarszczki, spodnie lekko opinały muskularne uda. Cerę miał ogorzałą, co wskazywało, że spędza sporo czasu na wolnym powietrzu. Może było to również przyczyną owych jaśniejszych, rudawych i złotawych pasm w jego gęstych, falistych, brązowych włosach, nieco dłuższych niż nakazywała moda, jakby miał co innego do roboty niż przesiadywanie u fryzjera.

A jego oczy były niewiarygodnie błękitne. Nie przypuszczała, by widziała kiedyś inne o tak głębokiej barwie. Mężczyźni często prawili jej komplementy na temat koloru jej oczu, ale Juliette uważała, że są zbyt blade. Oczy Pelhama były ciemne, błyszczące i... spoglądały hardo. Nic dziwnego, że nazywano go Groźnym Księciem. Zapragnęła się cofnąć, gdy spoczęło na niej ich spojrzenie.

Nie zrobiła tego jednak, lecz zadarła podbródek, uśmiechnęła się i zignorowała go, kierując wzrok na księcia regenta. Złożyła mu z wdziękiem ukłon. Lady Sinclair byłaby z niej dumna.

– Wasza Królewska Mość, to dla mnie zaszczyt znaleźć się tutaj.

Regent zachichotał – pewnie dlatego, że próbował zajrzeć jej w dekolt – i podszedł ku niej. Ujął jej dłoń osłoniętą rękawiczką i ucałował ją.

– Księżno, to dla mnie zaszczyt mieć panią na balu. Czy wolno mi rzec, że wygląda pani wspaniale?

– Wolno. Byłabym rozczarowana, gdyby ksiązę tego nie powiedział.

Juliette skupiła wzrok na czubku głowy księcia regenta, ale czuła na sobie mroczne spojrzenie Pelhama. Dziwne, że zrobiło się jej gorąco i przeszedł ją dreszcz, skoro patrzył na nią z taką wzdargą.

Regent znów zachichotał.

– Wygląda pani wspaniale, Księżno. Jak zawsze. Powiedziałbym pani jeszcze wiele innych komplementów, ale wolałbym to zrobić na osobności.

Juliette poradziła sobie zręcznie z aluzjami regenta. Spojrzała znacząco na Pelhama i odpowiedziała regentowi:

– Wasza Królewska Mość, proszę mnie przedstawić swemu przyjacielowi. Może przestanie się wtedy tak we mnie wpatrywać.

– Nie trzeba nas sobie przedstawiać – odparł Pelham tym swoim niskim, aksamitnym głosem. – Pani doskonale wie, kim jestem.

Uradowany regent aż klasnął w ręce. Juliette wiedziała, że goście podeszli bliżej, pragnąc słyszeć ich rozmowę.

– A Wasza Wysokość z pewnością wie, kim jestem ja. Czytałam o nas tak wiele, że z prawdziwą przyjemnością poznam wreszcie mężczyznę, z którym jakoby mam skandaliczny romans. – Miała wrażenie, że wargi Pelhama nieznacznie drgnęły. – Z satysfakcją się przekonałam, że wygląda pan jeszcze przystojniej niż na widzianych przeze mnie ilustracjach w gazecie.

Juliette niemal mogła dostrzec, jak całe towarzystwo wyciąga szyje, byle tylko usłyszeć coś jeszcze. Wszystkie głowy zwróciły się ku Pelhamowi. Przyszła jego kolej na zrewanżowanie się jej komplementem. Co powie?

– Wasza Królewska Mość – zwrócił się do regenta Pelham –

proszę mi wybaczyć, ale moja narzeczona czeka.

Regent aż zamrugał, zaskoczony.

– Ach... ja...

Pelham zaczął się wycofywać. Juliette oniemiała. Pelham wyrządził jej afront!

Wobec całego beau monde'u.

Regent wciąż jeszcze jąkał się, usiłując powiedzieć coś, co by powstrzymało Pelhama przed odejściem. Przed zrujnowaniem jej kariery.

Juliette nie mogła pozostawić tego księciu regentowi, podobnie jak nie mogła pozwolić Pelhamowi na bezkarne wyrządzenie jej afrontu. Nie miała czasu, żeby się namyślać nad odpowiedzią. Przybrała znudzony wyraz twarzy i stwierdziła:

– Szkoda, że gazety nie napisały o pańskim złym wychowaniu.

Księżę głośno nabrał tchu. A przynajmniej tak się Juliette zdało, że to właśnie on westchnął. W końcu mógł westchnąć ktoś inny w tłumie. Lecz chyba domyślała się trafnie, bo Pelham stanął. Powoli – jej serce uderzyło przez ten czas co najmniej dziesięć razy – odwrócił się i skierował swoje ciemnobłękitne oczy na nią.

– Przepraszam, czy pani coś mówiła?

Instynkt podpowiadał jej, żeby go przeprosić. Zamiast tego Juliette podeszła do niego i spojrzała mu w oczy. Stali teraz naprzeciwko siebie.

– Sądziłam, że ma pan lepsze maniery i nie będzie obrażał damy.

Pelham uniósł brwi.

– Ma pani słuszość.

Naprawdę? Juliette niemal się uśmiechnęła. Była uratowana.

– Nigdy nie obraziłbym damy. Ale pani, madame, nie jest damą, tylko hojnie opłacaną dziwką.

Cisza, jaka zaległa wokół nich, była tak gęsta, jak poranna londyńska mgła. Juliette niemalże słyszała, jak krew tętni jej w żyłach, a tętniła szybko i była gorąca, bo Juliette rozgniewała się nie na żarty. Za kogo on ją miał? Nie zrobiła mu nic takiego, by na

to zasłużyć.

Kątem oka dojrzała, że zbliżają się ku niej Fallon i Lily. Bez wątplenia miały zamiar się wtrącić, żeby ją uratować. Lecz Juliette nie chciała być ratowana. Chciała natomiast dać solidnie Pelhamowi po nosie. Odwrócił się od niej i zaczął torować sobie drogę w tłumie. Juliette odchrząknęła.

– Lepiej być hojnie opłacaną dziwką sir, niż nieznośnym głupcem.

Zatrzymał się gwałtownie i obrócił. Pięści miał zaciśnięte, a twarz czerwoną z furii.

– To pierwsze pochodzi z wyboru i może się zmienić – ciągnęła, podnosząc głos, tak żeby ją było wyraźnie słychać – natomiast to drugie jest wrodzoną cechą charakteru. Choć nie ma go pan za wiele.

A potem odwróciła się na pięcie i odeszła. Trzymała głowę wysoko i była opanowana, ale wewnątrz kipiała z gniewu. Gdy jednak spojrzała przelotnie na twarze gości, zaczęła w niej narastać panika. Ustępowano jej z drogi z minami pełnymi współczucia, a ona nie dbała o litość; ludzie, którzy woleli nie patrzeć jej w oczy, przyprawiali ją o skurcz żołądka. Jeśli stanie się persona non grata, to koniec jej kariery. Czym zapłaci za miejską rezydencję? Za suknie, za powóz?

Długi Juliette nie były zbyt wielkie, ale nie miała aż tyle zaoszczędzonych pieniędzy, by je pokryć, a nie chciała ani też nie mogła prosić Sinclaira, by je spłacił. Już i tak zrobił dla niej bardzo dużo.

Przeklęty Pelham! Oby nigdy o nim nie usłyszała!

Wciąż jeszcze szła, sama nie wiedząc dokąd, gdy Fallon i Lily pojawiły się po obu jej stronach. Gdzieś z dala słyszała orkiestrę, która zaczęła grać żywy taniec wirowy.

– To było wspaniałe – uznała Fallon. – Pokazałaś mu, gdzie jego miejsce.

Juliette pokręciła głową.

– No to czemu nikt na mnie nie patrzy? Dlaczego tylko wy dwie macie odwagę mnie pocieszać? Jestem skończona.

– Nonsens – mruknęła Lily, ale nie potrafiła dobrze kłamać i Juliette wychwyciła fałszywe nutki w jej głosie.

– Któż o to dba? – spytała Fallon.

– Ja! – syknęła Juliette. – No i moi wierzyciele. Jakże ich spłacę?

– Sinclair... – zaczęła Lily.

– Nie. – Juliette uniosła ostrzegawczo dłoń. – Nie chcę znów korzystać z jego dobroci.

– Uspokój się. – Fallon położyła rękę na jej ramieniu. – Pomówimy sobie o tym w powozie, podczas jazdy do Somerville. Lady Sinclair będzie wiedziała, co robić, jeśli my wszystkie nie zdołamy sobie z tym poradzić.

Fallon miała rację i Juliette odetchnęła głęboko, z ulgą. Serce przestało jej bić zbyt gwałtownie.

– Masz słuszość.

Być może przyszedł już czas, żeby opuścić Londyn. Najpierw ta historia z Lucyferem, a teraz znów Pelham.

– Istotnie – zgodziła się Lily. – Wyjazd na wieś jest dokładnie tym, czego nam trzeba. Chodźmy stąd i zacznijmy się pakować.

– Nie. – Juliette raz jeszcze pokręciła głową. Przewidywała, co zamierzają zrobić jej przyjaciółki, i nie chciała wciągać ich w swoją przegraną. – Zostaniecie na balu. Z pewnością macie jakieś zarezerwowane tańce. Ja pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza. Wymknę się jakoś na zewnątrz.

– Nie! – krzyknęła Lily. – Pójdziemy z tobą. Nie musisz się stąd wymykać. Nie zrobiłaś nic złego.

Juliette najchętniej by uściskała Lily. I Fallon także. Były doprawdy lojalnymi przyjaciółkami. Tylko że dobre intencje przywiodłyby je do ruiny. Juliette nie mogła na to pozwolić.

– Muszę na jakiś czas zostać sama – powiedziała stanowczym tonem, tak by Fallon wołała się z nią nie spierać. – Doprawdy, chciałabym, żebyście na jakiś czas zostawiły mnie samą.

Lily zmarszczyła czoło, ale zgodziła się.

– No, dobrze. Skoro sobie tak życzysz...

Juliette już miała odejść, gdy Fallon chwyciła ją za ramię.

– Wiem, co zamierzasz zrobić. Tym razem ci na to pozwolę, ale będziemy cię obie wspierać.

Gdy znikwały już w tłumie, zostawiając ją samą, szepnęła:

– Dziękuję wam.

Po raz pierwszy się zdarzyło, że nikt nie ubiegał się o jej względy. Żaden mężczyzna nie podawał jej szampana, nie prosił do tańca ani nie błagał o przyjęcie jakiejś cennej ozdoby. Żadna kobieta nie przyglądała się Juliette uważnie, chcąc naśladować jej maniery lub strój. Stała się wyrzutkiem, kimś całkowicie ignorowanym.

Znów zaczęła w niej narastać panika. Zrobiło się jej duszno. Naprawdę potrzebowała łyku powietrza. Przeszła przez francuskie okno i wsparła się na balustradzie. Niewielki balkon wychodził na ogrody księcia regenta, lecz Juliette nie interesowały piękne widoki. Skoncentrowała się na wciąganiu w płuca świeżego powietrza i usiłowała nie myśleć o Pelhamie.

Oddychaj. Po prostu oddychaj, nakazała sobie w duchu. Inaczej sobie wyobrażała zakończenie tej nocy, co nie oznaczało jednak końca świata. To był tylko kres jej królowania jako jednego z Trzech Diamentów. Przeżyła już gorsze rzeczy. Podźwignie się z tego.

Jak zawsze.

– Czy pani na pewno woli poczekać tutaj? – spytał męski głos. Juliette drgnęła. Brzmiał całkiem jak głos Pelhama. Czy też się jej może zdawało?

– Tak. Czuję, że zaraz zemdleję w tej dusznej sali balowej.

Juliette gwałtownie uniosła głowę. Nie, nie poniosła jej wyobraźnia. To niewątpliwie był Pelham i jego narzeczona. Juliette za nic nie chciała, by tych dwoje ją zobaczyło. Byłaby to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła. Puściła balustradę i wcisnęła się w ciemny zakątek za jednym z otwartych francuskich okien. Była to mizerna kryjówka w razie gdyby któreś z nich ją dostrzegło, ale innej nie miała.

– Przyniosę pani pelisę. Za chwilę wrócę.

– Dziękuję – odparła narzeczona Pelhama. Była ładna, ale nie uderzająco piękna. Juliette mogła jednak dostrzec, że ta kobieta ma wdzięk i zachowuje się z klasą. Choć strój, fryzura i twarz niczym szczególnym się nie wyróżniały, ona sama miała królewską postawę. Wyszła na balkon, gdy Pelham się oddalił. Juliette odetchnęła z ulgą, gdyż narzeczona Pelhama podeszła prosto do balustrady i wpatrzyła się w ogród. Nadeszła odpowiednia chwila, by prześlizgnąć się z powrotem do sali balowej, lecz Juliette tkwiła w kącie za francuskim oknem jak w pułapce. Gdyby miała na sobie ciemną suknię, mogłaby zaryzykować, ale srebrzysty strój był zbyt jasny i zanadto rzucał się w oczy. Nie mogło to jednak trwać długo. Za chwilę Pelham wróci, a potem odejdzie razem z narzeczoną.

Biedna kobieta.

Juliette miała nadzieję, że już nigdy więcej nie zobaczy Pelhama.

– Wiem, że tam jesteś – powiedziała tamta.

Juliette aż się zatrzęsała. Czyżby narzeczona księcia widziała, że Juliette wyszła na balkon? Po cóż więc i ona tam wyszła? Czy chciała z nią pomówić? Juliette nie miała jej przecież nic do powiedzenia. Już chciała wyrzec to na głos, gdy męski głos odpowiedział:

– Kazałaś mi długo na siebie czekać.

Juliette zdrewniała. Ten głos brzmiał znajomo. Wzdrygnęła się i przywarła do ściany tak mocno, jakby chciała się w nią wtopić.

– Z Pelhamem niełatwo sobie poradzić – odparła kobieta. Głos jej brzmiał teraz raczej ochryple niż królewsko. – Dobrze, że w ogóle nam się udało spotkać.

Mężczyzna ubrany na czarno przeskoczył przez balustradę. Balkon był niski i Juliette pojęła, że musiał pod nim stać już od dłuższego czasu. Czy ją widział?

Rozejrzała się wokoło, gdy stanął już na balkonie, i światło bijące z sali balowej padło na jego twarz.

Juliette ledwie zdołała stłumić krzyk.



To był Lucyfer.

Przez chwilę sądziła, że ją dojrzał, lecz on patrzył tylko na narzeczoną Pelhama. Wziął ją w ramiona, przechylił w tył i zaczął zapamiętale całować. Juliette patrzyła ze zgrozą na splecioną w uścisku parę. Chciała uciec stamtąd za wszelką cenę. Jak mogła sądzić, że świeże powietrze doda jej sił? Prędzej już padnie tu bez zmysłów!

Nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego narzeczoną księcia Pelhama całuje się z Lucyferem, a już na pewno nie chciała być obecna przy tym, jak księżę ich zaskoczy.

Na szczęście pocałunek się skończył.

– Nie chcę wracać do domu razem z nim – powiedziała narzeczoną Pelhama. – Wolę z tobą.

– Owszem, mamy sobie sporo do powiedzenia – odparł Lucyfer.

– Nie miałam na myśli rozmowy – odrzekła narzeczoną Pelhama. Juliette wyczuła w jej głosie złość i musiała zasłonić usta, żeby nie krzyknąć.

Czyżby narzeczoną Pelhama zdradzała go z Lucyferem? Juliette wcale nie miała ochoty o tym wiedzieć. Zamknęła oczy. Najchętniej stałaby się niewidzialna.

– Ja także nie miałem na myśli rozmowy. Już nie czas na rozmowy.

W głosie Lucyfera zabrzmiało coś, co się nie spodobało Juliette. Otworzyła oczy. Narzeczoną Pelhama też musiało to przestraszyć, bo usiłowała cofnąć się o krok, ale Lucyfer jej nie puścił.

– Co to ma znaczyć? – Narzeczoną księcia usiłowała mówić spokojnie, ale Juliette dosłyszała, że głos jej drży.

– Okłamałaś mnie, Elizo.

Eliza pokręciła gwałtownie głową.

– Nie, nie! Ja bym nigdy...

– Muszę mieć te diamenty. Już je wcześniej komuś sprzedałem.

Ścisnął ją rękami za szyję.

– Powiedz mi natychmiast, gdzie są!  
– Nie mam ich. Cóż bym z nimi zrobi...  
– Uprzedzam cię, że dowiem się tego w taki czy inny sposób.  
– Poczekaj! – Eliza kurczowo chwyciła Lucyfera za ręce. –  
Poczekaj! Tym razem powiem ci prawdę. Książę...

Nie dokończyła, bo Lucyfer powalił ją na ziemię.

– Nie ośmielisz się znów zełgać!

– Nie będę kłamać. Przysięgam!

Juliette trzęsła się cała ze strachu. Zaczęła się w duchu modlić, obiecując, że jeśli uda się jej wydostać stąd cało, to codziennie będzie czytać Biblię, przestanie pić brandy, zacznie się opiekować bezdomnymi psami i...

Ledwie stłumiła krzyk, gdy Lucyfer uniósł leżącą Elizę i rzucił nią z całej siły na balustradę. Eliza zatoczyła się w tył i zaplątana we własną suknię padła na twardą kamienną płytę. Juliette aż się skuliła, słysząc odrażający chrzęst kości. Lucyfer stał bez ruchu, patrząc na Elizę. Strumyczek krwi ściekał jej z czoła na kamienną płytę. Na balkonie panowała cisza i tylko z sali dobiegały słabe dźwięki kadryla. Juliette wstrzymała oddech, gdy Lucyfer zbliżył się do leżącej kobiety.

Niech tylko będzie żywa. Błagam, niech tylko będzie żywa, powtarzała w duchu Juliette.

Lucyfer ukląkł nad ciałem Elizy, zasłaniając Juliette widok. Dosłyszała jednak dość wyraźnie, jak wymamrotał:

– Przeklęta dziwko, co ja mam z tobą teraz począć?

Nachylił się i dźwignął zwłoki. Juliette, skulona za francuskim oknem, błagała go w myśli, by się nie odwracał.

Nie zrobił tego. Jednym ruchem przerzucił ciało ponad krawędzią niskiego balkonu. Juliette usłyszała głuchy łomot, gdy wylądowało na trawie. Cała zeszywniała, pewna, że teraz Lucyfer się odwróci i ujrzy ją. Lecz on przeskoczył lekko przez balustradę i zniknął.

Nie ośmieliła się choćby drgnąć. Pokręciła głową, jakby chcąc uwolnić się od tego, co widziała. Musi zaraz odszukać Fallon i Lily. Musi się stąd wydostać! Gdy miała już zamiar wstać,

musiała skulić się ponownie, bo na balkon padł czyjś cień.

– Milady? – spytał aksamitny głos.

To był Pelham.

Obyź sobie stąd poszedł!

Pelham wyszedł na kamienne płyty balkonu.

Oby sobie stąd poszedł!

– Cóż u diabła pani tu robi?

Juliette zatrzęsa się. W jaki sposób Pelham zdołał ją dostrzec?

– Ja...

– Czemu kuli się pani za tym oknem? – Pelham zamknął je i patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. – Co się stało?

– Muszę stąd odejść! – wyszeptała.

Odsunął się na bok.

– Nie będę stał pani na drodze.

Nogi się jednak pod nią ugięły, gdy usiłowała zrobić choć krok. Byłaby upadła, gdyby Pelham jej nie podtrzymał. Choć była to absolutnie nieodpowiednia chwila, doszło do jej świadomości, że on pachnie miętą, a pierś ma imponująco szeroką.

– Przepraszam – wyjąkała, odpychając go.

– Chwileczkę. – Chwycił ją za ramię i mocno przytrzymał, dzięki czemu, choć nie chciała się do tego przyznać przed sobą, zdołała utrzymać się na nogach. – Pani cała drży i jest blada. Czy źle się pani czuje?

– Nie. – Nie chciała mu powiedzieć, co widziała. Nie chciała być tą osobą, od której Pelham się dowie, że jego narzeczona nie żyje, a jej krew wsiąka w ziemię tuż pod miejscem, gdzie obydwójce stoją.

– Widziałam, jak...

Ciszę nocy rozdarł głośny huk i Juliette poczuła, jak coś gorącego bzyknęło tuż koło jej policzka. Odłamki kamienia posypały się na balkon i padły u jej stóp. Zdumiona spojrzała w niebo.

– Czy to ognie sztuczne?

Pelham chwycił ją, pchnął do tyłu i skulił się tuż koło niej. W

sali balowej smyczki zaczęły grać gwałtowne crescendo.

– Co pan robi?

– To był strzał z pistoletu, a jeśli moje domysły są słuszne, o mały włos kula nie trafiła w pani głowę.

Juliette już nie tylko drżała, ale wręcz się trzęsła.

– Proszę tu spojrzeć.

Spojrzała. Jego palec wskazał na boczną ścianę Carlton House. Tkwiła w niej mała ołowiana kula.

– Pani krwawi.

– Co takiego?

Dotknęła głowy, ale on wyciągnął chustkę i obwiązał nią jej ramię tuż nad rękawiczką. Utkwiło w nim kilka odłamków kamienia. Kilka kropli krwi splamiło srebrzystą suknię.

– Musimy się stąd wydostać! – Juliette usiłowała cofnąć się do sali balowej. – Ktoś do mnie strzelił!

Pelham wyrzwał w mrok za balkonem.

– Po cóż ktoś miałby to robić?

Juliette z trudem odzyskiwała koncentrację. Zamrugła.

– Kto do pani miałby strzelać i dlaczego? – spytał Pelham tak powoli, jakby mówił do małego dziecka.

– Och, to Lucyfer. Musiał się domyślić, że ja wszystko widziałam.

Znów chciała się przedostać do sali balowej, lecz on chwycił ją za zdrowe ramię.

– Diabeł? Czy pani straciła rozum?

– Nie. Nie diabeł, choć zaczynam sądzić, że to ktoś bardzo do niego podobny. Lucyfer. Człowiek, który zabił pańską narzeczoną.

Pelham otworzył ze zdumienia usta i puścił jej ramię.

Gdy tylko poczuła, że jest wolna, wmieszała się w tłum w sali balowej.

*Pelham* stał przez dłuższą chwilę bez ruchu. W uszach brzmiały mu ostatnie słowa Księżny.

„Lucyfer – człowiek, który zabił pańską narzeczoną”.

Pokiwał głową. Czyżby zawiódł go słuch? To nie miało sensu. Lady Elizabeth żyła i nic się jej nie stało. Zostawił ją ledwie kwadrans temu. I to dokładnie w tym właśnie miejscu. Rozejrzał się po pustym balkonie.

Gdzież w takim razie była?

Przecież nie umarła! *Pelham* nie wierzył w to nawet przez chwilę.

Ale dziewczyna – ta kurtyzana – wyglądała na bardzo przerażoną, a potem padł strzał z pistoletu. Spojrzał na kamienną ścianę, gdzie wciąż tkwiła ołowiana kula. Z pewnością istniało jakieś rozsądne wyjaśnienie tego wszystkiego. Kurtyzany zawsze dramatyzują. Znajdzie zaraz lady Elizabeth, co wyjaśni całą sprawę.

Schylił się, żeby podnieść pelisę lady Elizabeth, którą upuścił na ziemię, i przeszedł przez salę balową. Tłum gęsty jak szarańcza z egipskiej plagi rozstępował się przed nim pospiesznie. Nikt nie chciał stanąć na drodze Groźnemu Księżciu, zwłaszcza że ten podążał w wyraźnie określonym celu.

Rozejrzał się po sali, nie dostrzegając nigdzie swojej narzeczonej, i podszedł prosto do jej matki.

– Czy widziała pani lady Elizabeth? – spytał bez żadnych wstępów.

Markiza z zaniepokojeniem położyła dłoń na piersi.

– Elize? Nie, sądziłam, że jest z panem. Och, Boże, obawiam się, czy ona znów nie zniknęła.

– Zniknęła? – Pelham spojrzał na nią podejrzliwie.  
– Ja... och... – I markiza zatrzepotała gwałtownie rękami.  
Nie do wiary. Pelham nie wyobrażał sobie, w jaki sposób kurtyzana mogłaby namówić lady Elizabeth do zniknięcia, ale z nim nie było żartów. Tej kobiecie należało pokazać, z kim ma do czynienia.  
– Zaraz wrócę. – Pelham rzucił pelisę, którą wciąż jeszcze miał przewieszoną przez ramię, na ręce markizy i przeszedł przez całą salę balową aż do holu. Lokaj w liberii księcia regenta skłonił się przed nim. Pelham spytał go: – Widział pan Księżnę?  
– Którą księżnę, Wasza Wysokość?  
Pelham niecierpliwie zacisnął pięści.  
– Tę, którą nazywają Księżną – warknął. – Kurtyzanę.  
– Ach – lokaj uśmiechnął się. – Księżnę Zalotów?  
Czy to był jej przydomek? Niech ją diabli!  
– Tak, Wasza Wysokość. Dopiero co wyszła.  
Pelham podbiegł ku drzwiom.  
– Czy wezwała powóz? – zawołał przez ramię.  
– Chyba nie, Wasza Wysokość. Przybyła tu w powozie

Hrabiny.

Pelham zatrzymał się.  
– Której hrabiny?  
– Hrabiny Uroku.  
No oczywiście! Pelham przeszedł pod portykiem Carlton House i kazał stajennemu wezwać własny powóz.  
– I to szybko! – zażądał. – Jeśli nie uda ci się wezwać mojego stangreta natychmiast, przyprowadź mi któregoś z moich koni.

Chodził nerwowo w kółko, czekając na powóz i mruklawie pozdrawiając zapóźnionych gości. Księżna nie mogła pieszo ująć zbyt daleko. Bez trudu ją dogoni, jeśli tylko przekłety stajenny nie będzie się przejmował grzecznościami należnymi socjecie i nie pozwoli, by wszystkie inne powozy go wyprzedziły. Już on złapie tę kurtyzanę i da jej nauczkę za to, że wystrychnęła go na dudka, całkiem jakby był jednym z nadskakujących jej głupców.

Gdy już się niemal zdecydował iść pieszo, jego powóz zajechał z turkotem na podjazd. Stangret ściągnął cugle, ale na znak Pelhama przytrzymał konie tylko na moment, by księżę zdążył wskoczyć do środka.

– Jedź do bramy. Powoli. Szukam idącej ulicą kobiety.

– Tak, Wasza Wysokość!

Dojechali aż do Pall Mall, ale nigdzie jej nie zauważyli, i Pelham już zamierzał nakazać stangretowi, żeby jechał w stronę parku, gdy dojrzał, że gapie za bramą Carlton House wyciągają szyje, wpatrując się w ulicę. Pelham podążył za ich wzrokiem i dostrzegł postać w srebrzystej sukni.

– Mam cię! – Pelham wysunął głowę przez okienko. – Złap ją! – rozkazał lokajowi, wskazując na Księżnę.

– Ależ, Wasza Wysokość... – Lokaj wyglądał na zgorzzonego i było to całkiem zrozumiałe. Nie każdego dnia jego chlebodawca żądał od niego, żeby porwać kobietę prosto z ulicy.

– Nieważne. – Pelham uchylił drzwiczki, nie czekając nawet, aż stangret zatrzyma powóz. Wyskoczył z niego, zręcznie wyczuwając grunt pod nogami, i rzucił się w pogoń za Księżną. Tłum na zewnątrz Carlton House nie rozstał się przed nim tak łatwo, jak tamten w sali balowej, i Pelham musiał torować sobie drogę łokciami.

Póki nie został rozpoznany.

– To księżę Pelham! – krzyknął ktoś.

– Groźny Księżę!

Wtedy zaś wszyscy się przed nim cofnęli i wyraźnie teraz widział Księżnę.

A także widzów całego zdarzenia.

Dogonił ją już po kilku długich krokach i chwycił mocno za ramię w miejscu pomiędzy rękawiczką a rękawem. Jednakże puścił ją równie szybko. Miała skórę zdumiewająco miękką, co zapragnął natychmiast wymazać ze swojej świadomości. Gdzieś się podziały jego przekłete rękawiczki? Gdzieś je zapodział, co było kolejnym dowodem, że ta noc zmienia się w piekło.

– To pan?! – Księżna wlepiła w niego wzrok. – Czy pan mnie

ściga?

– Powiedziała mi pani, że moja narzeczona została... – tu ściszył głos – ...zamordowana i nie spodziewa się pani, że będę ją ścigał?

Pokręciła głową.

– Nie mam czasu, żeby się z panem spierać. Jeśli on mnie zobaczy, jeśli mnie złapie...

I znów zaczęła pospiesznie iść przed siebie.

Pelham ponownie chwycił ją za ramię i syknął. Znów dotknął tej aksamitnej skóry, niech to diabli! Ale tym razem jej nie puścił. Tylko dlatego, że nie chciał jej pozwolić, by uciekła, a nie dlatego, że dotknięcie jej sprawiło mu taką przyjemność.

Doprawdy, staje się notorycznym kłamcą.

– Proszę iść ze mną – zażądał. – Nie wiem, czego się pani tak boi, ale może mi to pani wytłumaczy w moim powozie.

– Ja nie jestem... – Spojrzała jednak za siebie i zdawała się zastanawiać. – No, dobrze. Ale Wasza Wysokość... – wymówiła jego tytuł w taki sposób, by zabrzmiał jak epitet – ...zdaje sobie chyba sprawę, że jego dzisiejsze postępowanie tylko potwierdzi plotki na nasz temat i wzbudzi kolejne.

Pelham niechętnie obejrzał się za siebie. Patrzył na nich tłum gapiów, a wielu z nich pomrukiwało coś lub szeptało, zasłaniając usta ręką. Spojrzał na nich ponuro. Kilku rozbiegło się pospiesznie. Inni cofnęli się tylko o krok.

– Zdławię wszystkie kolejne plotki – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Wspaniale! – mruknęła.

Pelham dał znak stangretowi i powóz natychmiast podjechał. Lokaj otworzył drzwiczki i pomógł Księżnej wsiąść. Pelham wsiadł tuż za nią. Gdy tylko znalazł się w środku, zaciągnął zasłonki i kazał stangretowi zaczekać.

Przyjrzał się kobiecie siedzącej naprzeciw niego, starając się nie wpatrywać w nią zbyt natrętnie. Była zarumieniona, oczy jej błyszczały. Choć z trudem mógł w to uwierzyć, wyglądała jeszcze piękniej niż wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzał ją tego wieczoru.



Spojrzenie jego odruchowo powędrowało ku jej ustom. Musiała je uróżować, bo czerwień ich była zbyt doskonała jak na dzieło natury. Przypominały mu jakiś egzotyczny owoc, którego rozpaczliwie zapragnął skosztować. Jeden pocałunek...

Zacisnął dłonie na kolanach. Co się z nim działo? Przecież nie może tego zrobić! Takiej kobiety nie godzi się całować. Była kurtyzaną. Dziwką. Uwodziła mężczyzn dla pieniędzy, a tymczasem on znalazł się pod jej urokiem.

Spojrzała na niego podejrzliwie jasnoblękitnymi oczami.

– Dlaczego pan na mnie tak patrzy?

– Ja... – zmieszał się i nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi. Cóż się z nim stało? Nie był niedorostkiem, któremu rozum odbiera widok ładnej dziewczyny. Zresztą już nawet w szkole taki widok nie odbierał mu rozumu. Takie zachowanie byłoby nie do przyjęcia.

Wciąż na niego patrzyła, zadał jej więc dość obcesowo pierwsze pytanie, na które zdobył się jego nieco zamroczony umysł:

– Jak się pani nazywa?

– Tego chce się pan dowiedzieć? – spytała i pokiwała głową.

– W takiej chwili? Lucyfer będzie mnie chciał zabić, bo widziałam... widziałam... – Zacisnęła pięści i nabrała głęboko tchu. – Dlaczego my tutaj siedzimy? Uciekajmy stąd, póki jeszcze możemy!

– Zostaniemy tu, póki mi pani dokładnie nie wyjaśni, co, jak sądzi, widziała. Ze mną nie ma żartów, madame. A teraz chciałbym się do pani jakoś zwracać, lecz nie bardzo mam ochotę, z pewnością rozumie pani dlaczego, nazywać panią „księżną”. Jak zatem brzmi pani nazwisko?

Potarła skronie.

– Jest pan męczącym człowiekiem, lecz jeśli chce pan bawić się ze mną w kotka i myszkę, ja również mogę się zabawić. Proszę mi podać własne nazwisko, a ja wtedy zdradzę panu swoje.

– Zna je pani. Jestem księciem Pelham.

Przesunął się nieco na siedzeniu, położył dłoń na poduszkach

i poczuł pod palcami cienką skórę swoich rękawiczek. Dzięki Bogu, przynajmniej jedna rzecz się wyjaśniła.

– Och, nie. Jeśli mamy siedzieć w ciemnym powozie i wymieniać sekrety...

Zamilkł na chwilę, naciągając rękawiczki.

– Nie mówiłem nic o sekretach.

Nagle zaczęły go jednak ciekawić sekrety. Ciekaw był, jakie były te, które jej dotyczyły, i w jaki sposób mógłby je poznać.

– Przynajmniej mógłby mi pan wyjawić swoje chrzestne imię.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Jestem księciem. Szóstym księciem Pelham. Oznacza to, że może się pani do mnie zwracać „Wasza Wysokość” lub, gdyby pani była jakąś bliską mi osobą, którą pani nie jest, „Pelham”. A gdyby była pani osobą o równej mi pozycji, którą również pani nie jest, „książę”. Ja nie używam chrzestnego imienia.

Uniosła cienką brew.

– Trudno mi uwierzyć, że martwe ciało pańskiej narzeczonej stygnie w tym momencie, a pan siedzi tutaj i sprzecza się ze mną o etykietę.

– Proszę mi więc wyjawić własne nazwisko.

– Nie! Jeśli mam zwać pana księciem...

– Już pani wyjaśniłem, że...

– ...to może mnie pan nazywać Księżną.

Ależ mu się odcięła! Że też ta nędzna damulka ma czelność mu przerywać! Przeszło mu przez myśl, żeby bez ceremonii wyrzucić ją na ulicę, ale jakaś drobna jego część buntowała się przeciwko temu. A gdyby tak mówiła prawdę? Nie zdołał odnaleźć lady Elizabeth w sali balowej, a w uszach wciąż mu jeszcze rozbrzmiewał strzał z pistoletu.

Zacisnął pięści, chcąc się opanować. Nie będzie w końcu musiał mieć z nią zbyt długo do czynienia. Zdoła wytrzymać jej zuchwalstwo jeszcze przez kilka minut.

– Jestem William Henry Charles Arthur Cavington, wicehrabia Southerby, markiz Rothingham i szósty książę Pelham.

Klasnęła w ręce.

– Brawo! Jak pięknie pan wyrecytował te liczne miana i tytuły. Myślę, że wolno mi zwracać się do pana „Will”.

Poderwał się, usiłując wstać, i uderzył głową o dach powozu.

– Nie, z pewnością pani nie wolno!

Wyciągnęła ku niemu dłoń w rękawiczce.

– Cześć, Will. Jestem Juliette.

Spojrzał na jej dłoń z pogardą.

– Czy powinienem się zwracać do pani po nazwisku?

Jasnobłękitne oczy ściemniały aż do barwy szafiru.

– Obawiam się, że nie potrafię ścierpieć nazwiska mego byłego męża. Jeśli chce się pan do mnie zwrócić, trzeba mnie nazywać „Księżną” lub „Juliette”.

A więc to rozwódka. Powinien był wcześniej się tego domyślić. Nie mieściło mu się w głowie, by jakikolwiek mężczyzna mający prawo do tej Juliette zechciał się z nią rozwieść, chyba że doprowadziła go do szaleństwa, do czego z pewnością była zdolna. Ale to nie miało nic do rzeczy.

Rozwódek nie tolerowano w dobrym towarzystwie. Kurtyzana i rozwódka! Pokiwał głową. Musi się jej jak najprędzej pozbyć.

Odchrząknął i odezwał się.

– Doskonale, madame. Proszę mi więc powiedzieć, co pani jakoby widziała dzisiejszej nocy.

– Wciąż się pan przy tym upiera?

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

– Nie! – Pokręciła głową, jakby miała go za półgłówka. – Wmawia mi pan, że coś sobie wymyśliłam. A ja niczego nie wymyśliłam, Will. Choć prosiłabym Boga, żeby tak było!

Zjeżył się wewnętrznie, gdy użyła zdrobnienia. Jeszcze nikt ani razu nie nazwał go Willem. Nawet ojciec zwracał się do niego „Williamie”. Jeśli w ogóle się do niego zwracał.

– A ja sobie tego nie wymyśliłam! – Uniosła rękę i jej okryte rękawiczką palce zaczęły bawić się skrajem aksamitnej zasłonki. Była całkowicie zaciągnięta, by ciekawscy gapie nie zaglądali do

środku, a jemu dosyć się nawet spodobało to siedzenie razem z nią w przyćmionym świetle lampy i obserwowanie gry światła na jej jasnej, delikatnej skórze.

Może powinien jej pozwolić na rozchylenie zasłonek? Nie zrobiła tego jednak, tylko lekko je pogładziła, a jemu aż zaparło dech, bo obserwując jej palce, wyobrażał sobie, że dotykają jego. Pokręcił głową. Musi odnaleźć lady Elizabeth i pozbyć się tej kurtyzany, która rzucała na niego jakiś urok.

– Wysłałam na balkon zaczerpnąć świeżego powietrza, kiedy zbliżył się pan tam razem z narzeczoną. Usłyszałam, jak pan mówi, że przyniesie jej pelisę.

– Podśluchiwała nas pani.

Spojrzała na niego gniewnie, ale w jakiś przedziwny sposób nie naruszyło to piękna jej twarzy.

– Byłam na balkonie już wcześniej, ale nie znalazłabym się tam, gdyby pan nie wyrządził mi afrontu. – Uniosła dłoń, żeby uprzedzić jego odpowiedź. – Ale nie o to chodzi.

Zacząła coś mówić o mężczyźnie, który wskoczył na balkon, a potem całował lady Elizabeth i żądał jakichś diamentów. Pelham usiłował słuchać jej uważnie, ale to było bez sensu. Lady Elizabeth miałyby całować się z jakimś Lucyferem? Czyż ta kurtyzana, ta cała Juliette, nie po to uniosła przed chwilą rękę, żeby mu umyślnie przerwać?

– Pani... madame... – przerwał jej w końcu. – Jeśli moja narieczona istotnie została, jak pani twierdzi, zamordowana, to gdzie jest jej ciało?

– Już panu mówiłam. – Zmarszczyła brwi. – Przerzucił je przez balustradę.

– W takim razie powinno wciąż tam być.

– Tak właśnie sędzę, ale nie mam pewności. Chcę tylko stąd uciec. Proszę, niech mnie pan odwiezie do domu albo pozwoli mi wysiąść.

Sięgnęła ku drzwiczkom, ale chwycił ją za rękę.

– Chwileczkę, madame. Nie może pani uciekać z miejsca zbrodni. Pani jest świadkiem. Musimy wezwać sędziego pokoju.

Gdyby kłamała, ta groźba powinna ją przestraszyć. Ale ona tylko wyglądała na coraz bardziej znużoną.

– Ach, te zasady! – pokiwała głową. – Niech pan wzywa sędziego pokoju, wróci na miejsce zbrodni i robi, co mu się tylko podoba. Ja sobie stąd idę!

Ścisnął jej rękę mocniej.

– Nigdzie pani nie pójdzie. Wróci pani razem ze mną na balkon, tak żebym sam mógł zobaczyć te zwłoki. Jeśli naprawdę tam są, zastanowimy się nad tym, co robić dalej.

Tylko że Pelham wcale nie miał zamiaru się zastanawiać. Oczywiście trzeba było koniecznie wezwać sędziego pokoju.

Juliette spojrzała na niego podejrzliwie.

– Spodziewa się pan, że tam wrócę? Żeby patrzeć na trupa? Nie zrobię tego! A jeśli pan ma choć trochę rozumu, to też tam nie wróci. Przecież on do nas strzelał!

– Kto?

Wyrzuciła ręce w górę.

– Słuchał mnie pan czy nie? Lucyfer! Musiał mnie widzieć i zrozumiał, że byłam świadkiem morderstwa. Dlatego strzelał! On nie chce żadnych świadków!

Pelham uznał, że to ma sens, jeśli reszta jej relacji jest prawdą. Ale nie był o tym przekonany.

– Owszem, to mógł być strzał z pistoletu – zgodził się.

– Sam pan tak przecież powiedział i pokazał mi kulę. – Jej policzki pokryły się czerwienią.

– Ale to nie znaczy, że celowano do pani.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie mówi pan chyba serio.

– Patrzyliśmy na park. To mogli być kłusownicy.

– Kłusownicy?!

Nim zdołał zrozumieć, co chciała zrobić, szarpnęła za drzwiczki powozu. Rzucił się ku niej, sądząc, że próbuje uciec, ale ona wskazała tylko na ulicę.

– Czy pan nie widzi, że jesteśmy w Londynie? W parkach nie ma kłusowników!

Musiał przyznać, że to, co powiedział, było nieprzekonujące, lecz nie bardziej niż jej własne słowa. Kiedy wypowiedział to na głos, zawołała:

– Chyba pan całkiem zbzikował!

Tłumek, który zebrał się już wokół powozu, zaczął nadśłuchiwać.

– Madame, może zechce pani mówić trochę ciszej? Zwraca pani uwagę tłumu.

Wyskoczyła z powozu, nim jeszcze lokaj pomógł jej wysiąść.

– Myślałby kto, że o to dbam! Po tym, co pan zrobił dzisiejszego wieczoru, moja reputacja legła w gruzach.

– Ciekawa uwaga – stwierdził, wysiadając z powozu za nią. – Nie przypuszczałem, że potrzebuje się pani martwić o reputację, będąc kurtyzaną.

– Pan chyba zwariował.

Tłum gwałtownie zaszemrał, a ona zwróciła się do otaczających ich ludzi:

– Tak właśnie jest. Obecny tu Will, książę Pelham, zwariował. Powinno się go odwieźć do Bedlam, szpitala dla obłąkanych! A tymczasem ja mam powlec się razem z nim do Carlton House, potem zaś sama powinnam znaleźć się w Bedlam, bo tylko ktoś, kto postradał rozum, chciałby wrócić do pałacu!

Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

– Co pani robi?!

– Powiedział pan, że chce obejrzeć balkon, a mnie, rzecz jasna, nie wolno będzie odejść, póki nie dowiodę, że mówiłam prawdę. No to chodźmy!

I zaczęła ciągnąć go ku bramie Carlton House. Tłum gapiów postępował za nimi, póki nie doszli do ludzi pilnujących bramy. Pelham i Juliette zostali przez nich wpuszczeni, gapiom natomiast zagrodzono drogę.

Pelham zauważył, że gapie bynajmniej nie byli z tego zadowoleni. Rozległy się gwizdy, okrzyki, doszło do przepychanek.

Juliette zdawała się nie zwracać na to żadnej uwagi.

Pociągnęła go za sobą, zmierzając ku tyłom budynku, a nie w stronę portyku i głównego wejścia. Pelham usiłował oswobodzić rękę, ale spojrzała na niego w taki sposób, że zrezygnował i pozwolił się jej prowadzić. Szedł za nią niemal w zupełnej ciszy, jeśli nie liczyć dolatującego z daleka słabego dźwięku orkiestry i szurania jego butów.

Gdy dotarli na tyły domu i do ogrodów książęcych, Juliette zatrzymała się pod pozorem, że chce przyjrzeć się budynkowi i odszukać właściwy balkon.

– To ten – powiedział Pelham, wskazując na środkowy.

Skinęła głową i znów zaczęła iść naprzód, lecz po kilku krokach potknęła się. Pelham chwycił ją za ramię, nim zdążyła upaść.

– Czy dobrze się pani czuje?

– Tak. Ta suknia nie została uszyta po to, żeby w niej błądzić po ogrodzie.

Nic na to nie powiedział, ale trzymał ją za łokieć, gdy szli wysypaną żwirem ścieżką. Nie rozwieszono tam żadnych lampionów, bo noc była chłodna i księżę regent najwyraźniej nie przypuszczał, by komuś chciało się spacerować w ogrodzie.

Gdy podeszli bliżej, Juliette zaczęła się nerwowo rozglądać. Mógł wyczuć, że cała drży. Przygarnął ją do siebie, osłaniając ją swoim ciałem od strony parku. Nie wierzył, by ktoś zamierzał do nich strzelać, nie było więc w tym geście nic heroicznego. Chciał tylko, by mogła iść dalej bez lęku.

Gdy znaleźli się pod balkonem, stanęła.

– Nie pojmuję tego. Przecież widziałam, jak ją przerzucił przez balustradę.

Pelham nic nie powiedział. Nie zaskoczyło go, że na ziemi pod balkonem niczego nie było, a trawa nie wyglądała na zdeptaną. Gdyby jednak Juliette zamierzała go oszukać, to po co ciągnęłaby go za sobą aż tutaj?

– Może wypięła pani za dużo szampana? – podsunął jej, ale też i sobie samemu najprostsze wyjaśnienie.

– Nie! – odwróciła się w jego stronę. – Co najwyżej trzy łyki.

Nic sobie nie wymyśliłam. Ja to widziałam!

– Madame, jest pani najwyraźniej zbyt zmęczona.

Odsunęła się od niego, podeszła bliżej do balkonu, okrążyła go i schyliła się, usiłując dojrzeć coś w ciemności.

– Upadła tutaj – powiedziała, spoglądając ku górze. – Ja kryłam się po drugiej stronie, a oni stali w tym miejscu. – Wspięła się na palce. – Proszę spojrzeć! Widzę tu krew!

Pelham z powątpiewaniem stanął przy niej i również spojrzął ku górze. Na balustradzie istotnie widniała ciemna smuga, nie mógł jednak stwierdzić dokładnie, co to było.

Juliette nadal wpatrywała się w balkon, Pelham zaś spojrzął na ziemię. Może widziała jakieś damskie okrycie lub szal i wzięła je za ciało? Zaczął się przyglądać starannie utrzymanej trawie poniżej balkonu, sprawdzając, czy nic takiego tam nie leży. Księżyc wyjrzał zza chmur i w jego słabym świetle Pelham dostrzegł coś błyszczącego.

Nachylił się, lecz chmury znów zakryły księżyc, pogrążając ich w ciemności.

– Co się stało? – spytała. – Pan drgnął.

Nie odpowiedział jej od razu. Padł natomiast na kolana i rozgarnął trawę. Niemal fizycznie poczuł, jak plami ona jego spodnie i zirytował się tym dużo bardziej, niż należało.

A potem jego palce natrafiły na coś chłodnego i Pelham zapomniał o plamach. Podniósł z ziemi delikatny naszyjnik z diamentem i powoli wciągnął powietrze w płuca.

– Co to jest? Naszyjnik?

Pelham wstał, z naszyjnikiem zwisającym mu z palców.

– Należał do mojej matki. Dzisiejszego wieczoru zapinałem go na szyi lady Elizabeth.

Zwrócił się ku kurtyzanie. Cofnęła się przed nim.

– Gdzie ona jest? – spytał. – Co pani z nią zrobiła?

Oczy Juliette błysnęły.

– Proszę nie podnosić na mnie głosu, sir.

– No więc proszę mi powiedzieć, gdzie ona jest.

– Przecież już mówiłam, co się stało – odparła cicho.



– Naopowiadała mi pani bzdur o jakimś Lucyferze. Teraz chcę usłyszeć prawdę.

– Ależ to właśnie jest prawda! Lucyfer ją zabił i przerzucił ciało przez balustradę.

Pelham wskazał na trawę.

– W takim razie gdzie jest ciało? Gdzie jest ona?

– Ja... ja nie wiem. Ale myślę, że nie powinniśmy tutaj stać i szukać jej. Lucyfer może powrócić. Już do mnie przecież strzelił.

– Niech pani robi, co chce. Ja się rozejrzę za kolejnymi dowodami.

Znów się nachylił i zaczął przeszukiwać trawę, ale nic więcej nie znalazł, mimo że księżyc znów wyjrzał zza chmur. Czy lady Elizabeth istotnie tu upadła, jak twierdziła kurtyzana, czy coś innego stało się z jego narzeczoną?

A może ona wymyśliła sobie całą tę niesłychaną historię i lady Elizabeth po prostu z własnej woli opuściła salę balową?

– Myślę, że lepiej zrobimy, wracając na bal – powiedział. – Chcę spytać kilkoro gości. – Gdy się jednak odwrócił, nikogo już nie ujrzał. Rozglądał się na wszystkie strony, lecz nigdzie nie było ani śladu Księżnej Zalotów.

Usiłował być zadowolony z tego, że się jej pozbył. Gdy jednak wracał do Carlton House, coś mu mówiło, że to nie koniec ich znajomości.

Suknia była zniszczona, a kosztowała niemało, ale Juliette się tym nie przejęła. Z wielką ostrożnością wracała do domu od strony mrocznego ogrodu na jego tyłach, aż wreszcie dotarła do drzwi kuchennych. Zastukała w nie mocno, a potem stała w mroku, drżąc z zimna.

Wybrała tę drogę świadomie, choć było to niemałym wyczynem z jej strony i ze strachem brnęła przez liczne mroczne zaułki. Nie budziły one w niej jednak takiego strachu jak Lucyfer. Nie, wolała już najciemniejszą nawet uliczkę od spotkania go po raz wtóry.

Nie wiedziała, czy przypadkiem nie obserwuje on jej domu, a nie chciała ryzykować. Pragnęła uciec z Londynu najszybciej jak się da. Zamierzała z początku udać się do Somerville, lecz później uznała, że nie jest to najlepszy pomysł. Nie chciała ściągać zagrożenia na lady Sinclair.

Zastukała do drzwi drugi raz, jeszcze mocniej, modląc się w duchu, by ktoś ze służby ją usłyszał.

Ciekawa była, czy Pelham wciąż jeszcze pełza na czworakach wokół balkonu. Nie potrafiła zapomnieć wyrazu jego twarzy, gdy znalazł naszyjnik. Malowało się na niej osłupienie.

Nie wierzył jej. Co za uparciuch.

Szczerze żałowała jego narzeczonej, lecz sądząc z tego, co widziała, byłoby mu lepiej bez tej kobiety.

Nie, nie pragnęła go dla siebie. Nigdy by do siebie nie pasowali. Ona była normalną ludzką istotą, a on – kompletnym osłem.

Drzwi uchyliły się nieco i wyjrzała przez nie kucharka Juliette, usiłując coś dojrzeć w ciemności.

– Dzięki Bogu! – jęknęła Juliette. – To ja!

– Och, Księżno! – Kucharka chwyciła ją za ramiona i wciągnęła do środka. Była tęgą kobietą o czerwonej twarzy, włosach rudych jak marchewka, rozłożystych biodrach i najbardziej obfitym biuście, jaki Juliette kiedykolwiek widziała. W kuchni było, jak zwykle, za gorąco, ale przynajmniej raz Juliette to nie przeszkadzało. – Ależ pani cała skostniała z zimna, Księżno! Zrobię pani herbaty, a potem bulionu.

– Będę za to wdzięczna.

Kucharka posadziła ją na krześle i Juliette poczuła, że jej mięśnie zaczynają się odprężać. Wszystko ją bolało po przeżyciach tej nocy, cała była zeszywniała i spięta.

– Strasznie się cieszę, że pani wróciła – powiedziała kucharka, nalewając chochlą zupę jarzynową do talerza. Potem, razem z ciepłą grzanką, postawiła go przed nią. – Bardzo się baliśmy, bo jakiś mężczyzna wypytywał tu o panią.

Juliette zakrztusiła się pierwszym łykiem zupy.

– Co takiego?!

Kucharka odparła z miejsca, wzdychając ze skruczą:

– Oj, nie trzeba mi było tego mówić. Rosie mi powiedziała, żebym ani słowa nie pisnęła. Że będzie pani zmęczona, a z tą nowiną można poczekać do rana, skoro ci dodatkowi lokaje, co ich pani najęła, przepędzili go, gdzie pieprz rośnie.

Juliette zaniemówiła. A więc Lucyfer tu był! Szukał jej! Dzięki Bogu, że zatrudniła tych lokajów, ale jak długo zdoła utrzymać Lucyfera z dala od siebie? Jeśli mógł dopaść lady Elizabeth na balu w Carlton House, może dopaść i jej, niezależnie od wszelkich lokajów.

– Księżno, ma pani tu herbatkę – powiedziała łagodnie kucharka.

Juliette wstała.

– Muszę zaraz stąd pójść.

– Nie, Księżno. Proszę usiąść i zjeść bulion. Trzeba mieć coś ciepłego w żołądku, bo albo się pani śmiertelnie zaziębi, albo umrze z głodu.

– Nic mi nie jest – odparła Juliette. – Zapewniam cię, że jestem jak najdalej od śmierci głodowej. – Wybiegła z kuchni i popędziła do swego pokoju, przeskakując po dwa stopnie naraz.

– Księżno! – wołała za nią kucharka. – Co się pani stało?

– Przyślij mi Rosie! – odpowiedziała jej Juliette, lecz kiedy znalazła się w swoim pokoju, ujrzała, że Rosie już tam na nią czeka.

– Wie pani o wszystkim – stwierdziła. – Kto się wygadał?

– Sza! Muszę się zastanowić. – Juliette zaczęła krążyć po pokoju. Trzeba pomyśleć. Trzeba pomyśleć!

Pomysły zjawiały się natychmiast, i to liczne, ale zrezygnowała szybko ze wszystkich.

– Księżno, niech mi pani pozwoli przygotować sobie kąpiel – powiedziała Rosie.

– To nie pomoże – wyjąkała Juliette. – Niemożliwe.

Rosie objęła ją ramieniem.

– Zrobię miłą, ciepłą kąpiel. I dam gorącej herbatki. Tego pani trzeba.

Zabrzmiało to wręcz cudownie, ale Juliette odmówiła.

– Muszę uciekać, Rosie. Zanim on wróci.

– Ależ Księżno, on się stąd zabrał i...

– Spakuj mały sakwojaż i pomóż mi się przebrać. Czy w domu jest jakaś gotówka?

– Zaraz... chyba ma pani w szufladzie parę funtów, madame.

– Zapakuj również i te funty. – Odwróciła się do Rosie plecami, a pokojówka zaczęła rozwiązywać tasiemki sukni i wyjmować z fryzury szpilki.

– Dokąd pani pójdzie, Księżno?

– Nie mogę ci tego powiedzieć. Im mniej będziesz wiedzieć, tym lepiej. No i posłuchaj mnie. Gdy tylko stąd wyjdę, spakuj się i ty. Powiedz całej służbie, żeby zrobiła to samo, i wyjedźcie z Londynu na jakiś czas. Odwiedź matkę albo brata. Bylebyś tylko stąd wyjechała.

– Dobrze – odparła po chwili Rosie, pomagając Juliette zdjąć srebrzystą suknię.

– Przykro mi, że nie mogę ci teraz zapłacić – powiedziała Juliette, wrzucając do bielizniarki gorset, koszulę i szybko naciągając na siebie ciepłą suknię, odpowiednią do podróży. – Spróbuję nieco później. Tak czy owak.

– Proszę się nie spieszyć, Księżno. Wróci pani niezadługo. Juliette odwróciła się w jej stronę.

– Mam nadzieję, Rosie. Mam taką nadzieję. Ale teraz się pospiesz. Pomóż mi się ubrać.

Juliette stała na stopniach rezydencji Pelhama, wpatrzona w wielkie, czarne drzwi, które wręcz błyszcząły. Wspaniałe heban lśnił nawet w mroku londyńskiej, pochmurnej nocy.

Wcale nie chciała się tutaj znaleźć. Ani stukać do tych drzwi, prosząc go o pomoc. Nie wiedziała jednak, co mogłaby zrobić innego. W swoim domu nie czuła się bezpiecznie, a do Fallon czy Lily bała się pójść, żeby nie ściągnąć na nie nieszczęścia. Pospiesznie napisała kartkę do Fallon i kazała lokajowi zanieść ją do jej domu, nim opuściła własny. Donosiła tam przyjaciółce, że wyjeżdża do Somerville i chce się tam z nimi spotkać. Całe szczęście, że Fallon i Lily usłuchają jej bez wahania i również wyjadą z Londynu, zyskując zapewne bezpieczeństwo.

Bezpieczeństwo!

Juliette nie wiedziała, co to słowo znaczy. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła się bezpiecznie. Chyba już minęły całe wieki od czasu, gdy nie musiała oglądać się za siebie lub nie budziła się cała spocona. A teraz zagrażał jej jeszcze i Lucyfer.

Nie, nie chciała stać na progu domu księcia Pelham, lecz nie wiedziała, dokąd mogłaby pójść. Książę jej nie ufał i nie mogła go za to winić. Z pewnością był człowiekiem żyjącym wedle ustalonych zasad. Naruszyła harmonię jego życia.

Większość znanych jej książąt zwykle umiała postawić na swoim. Mieli władzę, wpływy i zazwyczaj też bogactwo. Spodziewali się zaspokojenia swoich potrzeb i zawsze dostawali, czego chcieli. Właśnie na to liczyła. Pelham mógł jej zapewnić bezpieczeństwo. Nie dwóch dodatkowych lokajów, by jej strzegli,

ale wręcz całą ich armię, gdyby zechciał.

Ale jak sprawić, żeby zechciał...

Mogła po prostu przedstawić mu nagie fakty, one zaś mówiły, że tak czy inaczej wplątany jest w aferę z Lucyferem. Ten zaś, nim zabił Elizę, zażądał od niej diamentów. Eliza powiedziała wtedy coś o księciu, nim Lucyfer się jej pozbył. Juliette nie sądziła wprawdzie, by książe wiedział o tych diamentach więcej od niej, ale skoro Lucyfer nie zdołał ich gdzie indziej znaleźć, to mógł po nie przyjść i do księcia.

A to czyniło z nich partnerów lub przynajmniej dawało jej powód, by się księcia trzymać. Jeśli bowiem zdoła sam się ochronić przed Lucyferem, to może też ochronić i ją.

Tylko w jaki sposób się do tego zabrać...

Drzwi otwarły się i stanął w nich kamerdyner. Spojrzał na nią podejrzliwie, z zaciśniętymi wargami. Był młodszy niż jej kamerdyner, Hollows, i bez wątpienia bardziej arogancki. Kamerdynerzy książąt zawsze byli tacy. Poruszył nozdrzami, jakby wyczuł jakąś niemiłą woń.

– Madame, czym mogę pani służyć?

– Och, ja... – Przypuszczała, że poprosi o widzenie się z księciem, choć składanie przez damę wizyty kawalerowi w jego rezydencji było czymś krańcowo niestosownym. Nie dbała co prawda zbytnio o konwenanse, ale widziała wyraźnie, że dba o nie ten kamerdyner.

– Stoi tu pani już od dobrego kwadransa – powiedział. I nie tyle powiedział, ile te słowa ostentacyjnie wygłosił.

– Aż tak długo?

– Tak. Sprawdziłem to na zegarku. – Wskazał na swój kieszonkowy zegarek. – Miała pani aż za dużo czasu, żeby się zastanowić, co powiedzieć. Nie wiem, czego pani chce, ale tego pani tutaj nie znajdzie. Proszę zatem łaskawie oddalić się wraz ze swoimi rzeczami – tu wskazał na jej sakwojaż – od tych szacownych progów.

Szacowne progi? Słyszała o szacownych osobach, ale o progach – nie. Kamerdyner zatrzasnął jej drzwi przed nosem, lecz

Juliette otworzyła je ponownie silnym pchnięciem. Kamedyner mógł je jednak zamknąć, tak czy inaczej. Ten silny czterdziestolatek, brunet z wytwornie szpakowatymi skrońmi, wyglądałby na przystojnego, gdyby nie jego zaciśnięte usta. Był wysoki i ubrany z nieskazitelną starannością. Spojrzał na nią z jawnym zniecierpliwieniem.

– Chcę się widzieć z księciem.

– Nie można. – Drzwi znów zaczęły się zamykać.

Pchnęła je mocniej.

– Muszę się z nim zobaczyć. To sprawa życia lub śmierci.

– Czyjej śmierci?

– Mojej.

– Żegnam.

Juliette zdumiała się. Ten człowiek był bez serca, ale ona już od lat umiała sobie radzić ze służbą. Kamedyner był dobrym sługą, ale ona była lepsza od niego.

– Sir! – Powiedziała swoim najbardziej stanowczym tonem. Kamedyner już jej niemal przytrzasnął drzwiami palce. – Jak się pan nazywa?

Wyprężył się w całej okazałości.

– Richards.

– Doskonale. Panie Richards, proszę powiedzieć Jego Wysokości, że przyszła Księżna.

Richards wlepił w nią wzrok. Mogłaby rzec, że przetrwał tę nową informację, zastanawiając się, czy można jej uwierzyć. Pokręcił głową.

– Nie sędzę, żeby tak było. Nawet jeśli pani jest księżną, w co nie wierzę, żadna księżna w środku nocy nie dobijałaby się do drzwi mężczyzny.

– Już powiedziałam, że to sprawa życia lub śmierci. Na razie mojej, ale wkrótce może chodzić o życie samego Willa. A teraz proszę przywołać tu Willa, czyli Jego Wysokość, i to natychmiast.

Właśnie słowo „Will” podziałało. Dojrzała zmianę, jaka zaszła na twarzy tego człowieka, gdy tylko posłużyła się imieniem Pelhama, skądinąd w swojej własnej, zdrobniałej wersji.

Kamerdyner był jednak człowiekiem dumnym i łatwo się nie poddawał.

– Proszę wejść do środka i tu zaczekać – powiedział, uchylając drzwi tylko na tyle, by mogła wślizgnąć się do środka. Postawiła sakwojaż na marmurowej posadzce westybulu, jeśli można było tak nazwać to wnętrze. Sklepienie było wysokie i głos kamerdynera rozległ się echem w tej rozległej sali. Wspaniałe, kręte schody z marmuru wiodły na pierwsze piętro, a balkony upiękzone rzeźbionymi kolumnami czekały na księżniczkę czy króla, którzy mieliby po nich stąpać. – Proszę niczego nie dotykać – ostrzegł ją kamerdyner. – Nie siadać na niczym. Nie chodzić i nie odzywać się do nikogo.

– A oddychać mi wolno?

Spojrzał na nią ponuro.

– Nie.

Potem zaś zniknął za pobliskimi drzwiami z ciemnego drewna.

Juliette stała i czekała. Zaskoczyła ją cisza panująca w tym domu. Mogła dosłyszeć, jak gdzieś tyka zegar, słyszała też własny, świszczący oddech. Poza tym dom był cichy jak grób. Dojrzała, jak bezszelestnie przesunął się po westybulu lokaj, i zauważyła, że liberie Pelhama są czerwono-złote.

Był to piękny dom. Nie wątpiła, że jego umeblowanie wszędzie jest gustowne i eleganckie. Przypominał jednak grobowiec. Nie było w nim życia. Służba poruszała się cicho jak myszki i całkiem inaczej niż w jej skromnym domostwie; nikt się tu nie ośmielał wydawać żadnych dźwięków. Juliette zawsze lubiła słuchać, jak służba przekomarza się ze sobą i śmieje. Czuła się wtedy mniej osamotniona. Przypuszczała, że to trochę nietypowe, bo większość ludzi wynajmujących służbę wołała udawać, że ich służące i lokaje wcale nie istnieją.

Wiedziała jednak, co to znaczy czuć się poniżonym, i nigdy nikogo w ten sposób nie traktowała.

Drzwi rozwarły się tak gwałtownie i głośno, że aż podskoczyła. Odwróciła się, czując, że serce podjeżdża jej do



gardła. Widok Pelhama, który spoglądał na nią z otwartych drzwi, nie uspokoił jej wcale. Serce znów zaczęło jej łomotać.

Był przystojny. Musiała mu to przyznać. Przystojny i ani trochę nie przestraszony. Zmierzył ją spojrzeniem ciemnobłękitnych oczu. Brązowe włosy miał rozwichrzone. Wciąż jeszcze nosił strój wieczorowy i prócz potarganej czupryny wyglądał tak, jakby dopiero co zostawił w garderobie lokaja, który go ubierał. Nic w nim nie przypominało, że nie tak dawno pełzał wraz z nią na czworakach po trawie.

Ale te rozwichrzone włosy ani trochę nie licowały z jego skłonnością do ładu i sztywności. Były rysem świadczącym o uporze, o niechęci do posłuszeństwa.

Spodobało się jej to. Dało jej nadzieję.

– To znów pani – powiedział, zaciskając wargi.

Złożyła mu ironiczny ukłon.

– Will, jak to miło, że znów cię widzę.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo, madame. Czego pani sobie życzy?

Spojrzała szybko na kamerdynera, który stał za nim. Pelham, nie patrząc na niego, powiedział:

– Richards, zostaw nas samych.

– Tak jest, Wasza Wysokość. – I sługa odszedł.

– Pytam jeszcze raz, czego pani sobie życzy?

– Czy tak się traktuje gości? Niczym się ich nie częstuje? Nie poprosi mnie pan nawet do salonu?

– Nie jest pani gościem, tylko intruzem.

– Czy znalazł pan lady Elizabeth? – spytała.

Zmrużył błękitne oczy.

– Pani dobrze wie, że nie.

– Wierzy mi pan wreszcie?

– Nie. Jestem pewien, że istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie tego, co pani rzekomo widziała. Powiedziałem jej rodzicom, żeby mnie zawiadomili, gdy tylko wróci do domu.

– Ona tam nie wróci.

– W takim razie to jeszcze jedna sprawa, o której trzeba

będzie pomówić rano z sędzią pokoju.

Juliette spojrzała na niego przerażona.

– Z sędzią pokoju? Posłał pan po niego?

– Tak, ale nie uznałem, by należało go z tego powodu wyciągać z łóżka. Przyjdzie tutaj o świcie, a kiedy z nim pomówię, pošlę go do pani.

Jego narzeczona padła ofiarą morderstwa, a on uważa, że to nie jest dostateczny powód, by wyciągać sędziego z łóżka? Chyba myliła się, sądząc, że Pelham może ją ochronić. Najwyraźniej był kompletnym durniem.

– Chyba panu mówiłam, że Lucyfer wyraźnie zabronił mi wzywania sędziego pokoju. Powiedział, że zniszczy mnie i wszystko, na czym mi zależy.

Pelham skrzywił się lekceważąco.

– To czcze pogrożki.

Juliette przymknęła oczy.

– Nie wiem, dlaczego właściwie uznałam, że mógłby mnie pan wysłuchać i dojść wreszcie do wniosku, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Potrzebna mi twoja pomoc, Will.

Podeszła do niego o krok bliżej. Pelham się cofnął. Również o krok.

– Nie widzę, w czym mógłbym tu pomóc.

– Kiedy wróciłam do domu, służba powiedziała mi, że szukał mnie jakiś mężczyzna. To musiał być Lucyfer. Teraz zaś wiem, że widział mnie tam na balkonie, i zamierza mnie zabić.

– Madame, proszę się uspokoić.

– Ależ ktoś chce mnie uśmiercić! Jak mogę być spokojna? No pewnie, po śmierci będę miała spokój!

Znowu podeszła ku niemu, a on ponownie się cofnął. W ten sposób znaleźli się w salonie, dużym, przestronnym pokoju z tapetami i boazerią, pełnym krytych jedwabiem mebli.

– Czy chcesz tego, czy nie, tkwisz już w tym po uszy, Will.

– Niech mnie pani przestanie tak nazywać.

– Słyszałam, co mówiła, zanim ją zabił. Klócili się. Był wściekły, bo okłamała go co do jakichś diamentów. Musiała mu

chyba powiedzieć w pewnym momencie, że ja je mam. – Znów podeszła bliżej, lecz tym razem już się nie cofnęła, choć niemal sobie życzyła, żeby to zrobił. Znalazła się niebezpiecznie blisko niego. Dotarł do niej zapach miętowego mydła, którego używał.

– To bez sensu.

– Wydałoby ci się to sensowne, gdybyś czytywał „Kronikę Poranną”. Cały Londyn sądzi, że mamy ze sobą romans. Twoja narzeczona najwyraźniej ukradła te diamenty i powiedziała Lucyferowi, że dała je tobie, a ty z kolei mnie.

– Bzdury. To najbardziej niewiarygodne...

– Ale Lucyfer zjawił się u mnie po te swoje diamenty. Nie jest jednak głupcem, jak niektórzy... – tu stuknęła Pelhama palcem w pierś – i zrozumiał, że nie mam pojęcia o żadnych diamentach. Wrócił więc do Elizy i znów zażądał wyjaśnień, gdzie one są, a ona rozpaczliwie próbowała się uratować i powiedziała mu coś o tobie. Co oznacza, że zostałeś w to wplątany, czy chcesz, czy nie. Gdy zaś Lucyfer nie znajdzie swoich diamentów, będzie zagrażał tobie. Właśnie dlatego tu przyszedłem. Jesteś księciem. Uznałam, że tylko ty możesz mnie ochronić. Może się jednak myliłam.

– Eliza... – mruknął.

– O co chodzi? – spytała zaskoczona.

– Nazwała ją pani Elizą.

– Naprawdę? Pewnie dlatego, że on tak się do niej zwracał.

Pelham, z zagadkowym wyrazem twarzy, usiadł w fotelu krytym błękitnym jedwabiem.

– Nikt jej tak nie nazywał, prócz rodziców i najbliższych przyjaciół. Nawet ja.

Może zdołała go w końcu przekonać? W każdym razie sprawiła przynajmniej tyle, że przestał się zastanawiać, czy to, co ona mówi, jest prawdą.

– Proszę się nie obrażać, Wasza Wysokość, ale sądzę, że chyba nie znał jej pan zbyt dobrze.

Juliette siadła naprzeciw niego na kremowej sofie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że się ślania ze zmęczenia. Jakże to wspaniałe, że mogła usiąść!

– Przynajmniej raz nazwała mnie pani Waszą Wysokością, zanim mnie obraziła.

– Proszę się do tego nie przyzwyczajać.

Uśmiechnął się do niej, choć ledwie dostrzegalnie. Potem zaś przejechał ręką po włosach, tak że potargał je jeszcze mocniej.

– Z trudem mogę uwierzyć, że to robię – powiedział.

Juliette uniosła się na sofie.

– Co?

– Czy gdybym pozwolił pani zostać tu na noc, tylko na jedną noc, odejdzie pani rano bez sprzeciwu?

– Pozwoli pan mi tu przenocować?

Nie odpowiedziała na jego pytanie. Nieprzypadkowo.

– Niech to diabli, tak! Nie chcę mieć pani na sumieniu.

Byłaby to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył.

– Czuję się bardzo... zobowiązana – wykrztusiła.

– Czy pani powóz czeka?

– Nie. Uznałam, że to zbyt ryzykowne. Wzięłam dorożkę.

Pelham wstał i wsparł się ramieniem o gzyms kominka, patrząc z roztargnieniem na obraz przedstawiający stary zamek.

– Czy prawdopodobieństwo mojej śmierci kazało panu zmienić zdanie? – spytała, chcąc odwrócić swoją uwagę od jego urodziwej postaci, którą jego poza ukazywała w całej okazałości. Jak on może nosić aż tak obcisłe spodnie? A frak leży na nim jak ulał. Zaczęła się też zastanawiać, jak może wyglądać jego naga pierś...

– Muszę na kilka pytań znaleźć odpowiedzi – odparł, nie odrywając wzroku od malowidła. – Sądzę, że może pani znać niektóre z nich.

– Dlatego chce pan, żebym była obecna, kiedy będzie pan rozmawiał z sędzią pokoju?

Znów uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, ale uśmiech ten znikł z jego twarzy tak szybko, jakby się rozwiął.

– Dotarło do mnie, że może pani coś grozić.

Przestał opierać się o gzyms kominka i zadzwonił na służącego.

– Polecę gospodyni zaprowadzić panią do czerwonego pokoju.

– Do czerwonego pokoju?

– Tak, tam właśnie lokuję wszystkie kurtyzany, które zostają u mnie na noc.

Myślała, że żartuje, ale w jego przypadku nie miała co do tego pewności.

W sypialni istotnie sporą część wystroju sporządzono ze szkarłatnego jedwabiu i aksamitu, ale, jak wszystko w tym domu, urządzono ją ze smakiem. Nie była ani zbyt duża, ani za mała, co oznaczało, że książę nie przykładął wagi do miejsca, w którym Juliette przenocuje. Wielkie łoże osłaniały czerwone zasłony również z luksusowego aksamitu. Gospodyni rozsunęła je i położyła na łóżku sakwojaż Juliette.

– Przyślę służącą, żeby pomogła pani przy toalecie, madame.

– Dziękuję – odparła z roztargnieniem Juliette. Podeszła do okna, rozsunęła czerwono-białe kotary z adamaszku i wyjrzała na ulicę. Dzielnica Mayfair była spokojna o tej porze nocy, a raczej rana. Wszyscy jej mieszkańcy leżeli w łóżkach po długim ciągu wieczorków i balów. Ziewnęła. Musiała już dochodzić czwarta.

– Książę chciał, bym panią pouczyła o zasadach, zanim się pani położy.

Juliette odwróciła się i kotary ponownie zasłoniły okno.

– O zasadach?

– Tak. Jego Wysokość bardzo ich przestrzega.

– Cóż to za niespodzianka! – Juliette zastanawiała się, czy gospodyni, w środku nocy, nie czuje się zmęczona, ale nie wyglądało na to. Ubiór jej był świeży i czysty, czepek wykrochmalony. Juliette również miała na sobie czystą i odprasowaną suknię, a Rosie związała jej włosy w prosty pęk błękitną wstążką harmonizującą z kolorem sukni.

– Śniadanie jest punkt ósma i trwa trzydzieści minut – poinformowała ją gospodyni. – Potem następuje półgodzinny spacer po ogrodzie. Następnie książę pracuje w bibliotece, ale powiedziano mi, że sędzia pokoju przybędzie o dziewiątej, tak

więc ksiązę będzie zmuszony odłożyć swoją pracę na kwadrans.

– Skąd pani wie, że sędzia pokoju skończy swoje przesłuchanie po kwadransie? – zdumiała się Juliette.

Gospodyni zmarszczyła brwi, słysząc to pytanie, a jej mina świadczyła, że uznała je za impertynenckie.

– Ponieważ sędzia odejdzie stąd kwadrans po dziewiątej. Trudno bowiem przypuszczać, by ksiązę tolerował dłuższą niż piętnaście minut zmianę w swoim rozkładzie dnia. Ksiązę woli też jeść obiad o...

– Ależ teraz jest już po czwartej – przerwała jej Juliette. – Z pewnością Jego Wysokość nie oczekuje, żebym zasiadła do śniadania o tak skandalicznie niezgodnej z wszelkimi standardami porze jak ósma. Zjem śniadanie tutaj i skończę toaletę przed widzeniem się z sędzią pokoju.

Gospodyni gwałtownie pokręciła głową.

– To nie do przyjęcia, madame. Ksiązę wymaga, by wszyscy goście stosowali się do jego rozkładu dnia i spożywali posiłki w jadalni, chyba że przeszkodzi temu poważna choroba.

Juliette skrzyżowała ręce na piersi.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tak zawsze robiono i dlatego, że Jego Wysokość jest księciem i mówi, że tak właśnie powinno być. Przyślę tutaj służącą. Dobranoc, madame.

– Dobranoc. Ale nie mam zamiaru zbyt długo spać.

Juliette otworzyła sakwojaż, nie czekając na służącą, i wyjęła prostą, białą nocną koszulę, którą kazała Rosie zapakować. Potem rozpuściła włosy i wstrząsnęła nimi. Bolała ją głowa, wsunęła więc w nie palce i zaczęła ją masować.

– Och, panienko, trzeba to było zostawić mnie!

Juliette odwróciła się. Do pokoju weszła pospiesznie młoda dziewczyna w sztywno wykrochmalonym stroju, dygnęła przed nią równie sztywno i zajęła się jej włosami.

– Trzeba mi jedynie rozsznurować suknię – powiedziała Juliette. – Resztę mogę zrobić sama.

– Och, nie, panienko. Jego Wysokość nie chciałby nawet o

tym słyszeć.

– No to nic o tym nie powiemy Jego Wysokości.

Dziewczyna tak mocno pokręciła głową, że aż się jej zatrzęsły brązowe kędziory.

– Ale on się o tym dowie, panienko. On zawsze o wszystkim wie.

– Bardzo wątpię, ale jestem zbyt znużona, żeby się o to spierać. No i nie musisz mnie nazywać panienką. Od dawna nią nie jestem.

– Dobrze, madame.

– A jak ci na imię?

– Jane, madame.

Jane zaczęła rozpinać jej suknię.

– Czy mogę pani zadać jedno impertynenckie pytanie, madame?

Juliette roześmiała się.

– Czy są jakieś inne pytania, Jane, niż impertynenckie?

Jazda, zadawaj je.

– Czy pani naprawdę jest kurtyzaną?

– Naprawdę. Nazywają mnie Księżną Zalotów.

– Czy rzeczywiście ksiązę regent panią tak nazwał?

– Och, Jane, nie mogę ci zdradzić wszystkich moich sekretów. Przynajmniej nie podczas naszej pierwszej nocy.

Jane zaśmiała się, co zabrzmiało jak dźwięk dzwoneczka.

– A teraz, Jane, czy z kolei ja ci mogę zadać nieco impertynenckie pytanie?

W lustrze nad gotownią Juliette ujrzała, że Jane zagryza wargi.

– Myślę, że sprawiedliwość tego wymaga.

– Dlaczego księciu tak strasznie zależy na jego rozkładzie dnia? Gospodyni wydawała się przekonana, że odmowa zjedzenia obiadu z Jego Wysokością to niemal akt zdrady.

Jane pomogła Juliette włożyć nocną koszulę i zaczęła szcztokować jej włosy.

– Chyba nie powinnam o tym mówić, madame.

Jakiś sekret? Juliette uniosła brwi. Czyżby książę Pelham miał sekret? Zupełnie się tego nie spodziewała.

– Obiecuję, że nikomu nie pisnę ani słowa.

– To nie tak, madame. To tylko... Ja myślę, że... Mnie tam jest żal Jego Wysokości.

Juliette okręciła się na pięcie, tak że wytrąciła szczotkę z ręki Jane.

– Dlaczego?

Nie mogła sobie wręcz wyobrazić kogoś mniej zasługującego na współczucie niż książę Pelham.

– Widzi pani, to nie jego wina – powiedziała Jane, schylając się po szczotkę. – On nie chciał wcale być tak... tak... – I zamachała ze zniecierpliwieniem ręką.

– Zdyscyplinowany? – podsunęła jej Juliette.

– O to, to. – Jane skinęła głową. – Zdyscyplinowany. Ale Jego Wysokość nie może nic na to poradzić.

Juliette chyba nigdy nie była bardziej zaintrygowana. Miała słabość do sekretów, ale nie kłamała, gdy powiedziała Jane, że nie pisnę ani słowa. Nigdy nie zdradziła cudzej tajemnicy.

– Dlaczego nie może? – spytała.

Poznała jednak po minie Jane, że dziewczyna i tak sądzi, iż była zanadto niedyskretna. Juliette wiedziała, że nie powinna nalegać – to nie był dobry sposób na poznanie sekretu. Ale nie mogła wytrzymać. Musiała go poznać i już. Jeśli książę miał jakąś swoją słabość, jakąś piętę Achillesa, czyniło go to tylko bardziej ludzkim. Ogromnie pragnęła poznać charakter tego sekretu.

Jane pokręciła głową.

– Już i tak powiedziałam za dużo, madame. O wiele za dużo.

– Ależ nie! – Juliette próbowała ją uspokoić. – Wcale nie.

Obiecuję ci, że...

– Czy jeszcze coś, madame?

Juliette westchnęła, widząc, że poniosła klęskę.

– Nie.

– W takim razie zobaczymy się rano, madame.

Juliette wsunęła się do łóżka z aksamitnymi zasłonami i



zaciągnęła je obiema rękami.

– Jane...

– Tak, madame? – Służąca odwróciła się ku niej.

– Przecież już jest rano.

Juliette zaciągnęła zasłony do samego końca i padła na poduszki. Spodziewała się, że nawiedzą ją teraz wspomnienia okropnych chwil, które przeżyła tego wieczoru. Spodziewała się, że będzie drżeć ze strachu.

A tymczasem poczuła się bezpieczna. Dom księcia wydawał się jej fortecą, której żadne przerażające siły z zewnątrz nie potrafiłyby zdobyć. Nawet hałas uliczny docierał tu stłumiony. Wewnątrz szkarłatnego pokoju księcia, za jego szkarłatnymi zasłonami, pod szkarłatną narzutą, Londyn wydawał się bardzo daleki.

Zamknęła oczy, czując, jak przytłacza ją ciężar wyczerpania. I po raz pierwszy od lat spokojnie zasnęła.

*Pelham* krążył po długiej, czworokątnej jadalni i spoglądał na kieszonkowy zegarek. Gdzie ona do licha była? Odwrócił się ku gospodyni. W postawie pełnej szacunku stała koło zapełnionego daniami kredensu, mnąc w palcach falbankę białego fartucha, który zwykle nosiła rano.

– Powiedziała jej pani, że śniadanie będzie punkt o ósmej?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Uprzedziła ją pani, że trzymamy się rozkładu dnia?

– Tak, Wasza Wysokość.

*Pelham* znowu spojrział na zegarek.

– Jest już pięć po ósmej, a jej tutaj nie ma. To nie do przyjęcia.

– Tak, Wasza Wysokość. Czy mam ją tu sprowadzić, Wasza Wysokość?

*Pelham* pozwolił temu pytaniu zawisnąć przez chwilę w powietrzu i spojrział na stół. Wszystko było, jak należy. Jego talerz i filiżanka stały na zwykłych miejscach. Egzemplarz „Timesa”, złożony na pół, położono po prawej stronie talerza.

Korespondencję, której zażądał, chcąc ją przejrzeć, ułożono w równy stosik po lewej.

Przy drugim końcu stołu położono drugie nakrycie.

Nieczęsto miewał gości i anomalia w postaci dodatkowego talerza przyciągnęła jego wzrok. Zażądał, by egzemplarz „Kroniki Porannej” położono po prawej stronie tegoż talerza, a mały wazonik róż z jego ogrodu umieszczono po lewej. Na Boga, pomyślał o wszystkim, tak jak powinien uczynić dobry gospodarz. Gdzież więc był jego gość?

– Pójdę po nią – powiedział do ustawionych w rząd

służących, którzy czekali, żeby go obsłużyć.

– Wasza Wysokość... – Gospodyni wyszła za nim z jadalni i spieszenie, nie odstępując go, wchodziła na marmurowe schody. Stukot jego butów na marmurze rozlegał się echem w całym domu.

– Słyszałaś, co powiedziałem.

– Tak, Wasza Wysokość. Czy na pewno chce pan to zrobić? Ona może nie być ubrana.

– W takim razie zamknę oczy – odparł, choć wcale nie miał ochoty tego zrobić. Chętnie by ją zaciągnął do stołu naga, gdyby się to okazało konieczne. Przyspieszył kroku i przeszedł wzdłuż popiersi królów, portretów wcześniejszych książąt Pelham oraz starodawnych gobelinów, aż wreszcie pozwolił gospodyni na zaczerpnięcie tchu.

Gdy doszedł do drzwi czerwonego pokoju, zapukał donośnie, choć wcale nie musiał. Były to jego drzwi i jego pokój, przypomniał sobie jednak, że jest dżentelmenem.

Za drzwiami panowała cisza, więc Pelham, coraz bardziej zniecierpliwiony, zapukał powtórnie.

Zdawało mu się, że słyszy wewnątrz jakiś szmer. Przyłożył swoje zdrowe ucho do drzwi i... nic.

Zapukał w nie gwałtownie po raz trzeci, a potem nacisnął klamkę.

Były zamknięte.

– Proszę odejść! – rozległ się słaby głos ze środka.

– Proszę natychmiast otworzyć drzwi! – huknął.

Za sobą usłyszał pospieszne kroki. Odwrócił się i ujrzał, że zbliża się gospodyni wraz z młodą dziewczyną.

– Co to ma znaczyć? – spytał, wskazując oskarżycielskim gestem na drzwi.

Dziewczyna dygnęła sztywno jak marionetka.

– Strasznie mi przykro, Wasza Wysokość. Proszę mi wybaczyć!

Spojrzał na gospodynię, spodziewając się wyjaśnienia.

– Jane próbowała obudzić gościa, Wasza Wysokość, ale lady okazała się niechętna do współdziałania. Jane poszła więc po mnie,

w nadziei że zdołam jej pomóc.

Pelham wyciągnął kieszonkowy zegarek.

– Jest teraz dziesięć po ósmej. Już nie ma czasu na żadne współdziałanie. Odejdźcie na bok – rzekł, przygotowując się do wywalenia drzwi kopniakiem.

– Wasza Wysokość, proszę poczekać!

Pelham spojrział na dziewczynę. Podawała mu klucz. Spojrział na niego niechętnie, lecz go wziął. Gdy miał jednak zrobić z klucza użytek, drzwi się otwały.

Pelham zajrzał do środka i pierwszą rzeczą, jaką zauważył, było to, że miała stopy małe i gołe; wydawały się różowe na tle czerwieni i błękitów dywanu. Przeniósł wzrok wyżej i dojrzał najpierw prostą, białą koszulę, a potem splątane włosy rozsypane na ramionach. Wyglądały jak kaskada księżycowego blasku na porcelanowej skórze. Usiłował nie patrzeć na jej ciało zbyt długo i nie widzieć, że rękaw zsuwa się z ramienia, ale nie mógł oderwać od niej wzroku.

A gdy wreszcie spojrział na jej twarz, uznał, że to było jeszcze gorsze. Oczy o ciężkich powiekach, zaróżowione policzki i pełne wargi nadawały jej wygląd dziecka. Wyglądała niesłychanie młodo i niewinnie bez swojej zwykłej, lodowatej miny.

Naszła go dziwna myśl. Zapragnął chwycić ją w ramiona i położyć ponownie na łóżku. Nie chciał pozwolić, by kiedykolwiek spotkało ją coś złego.

Najwyraźniej wciągała go w szaleństwo. To nie była kotka, która dawałaby się głaskać i pieścić. Ten kot miał pazury.

Jakby na dowód, że miał rację, spytała:

– Co jest powodem tego piekielnego łomotu?

Spiorunował ją wzrokiem. Ziewnęła w odpowiedzi.

– Madame, jest już... – tu spojrział na kieszonkowy zegarek, który wciąż trzymał w ręce – ...jedenaście po ósmej. Spóźniła się pani.

– Spóźniłam się? – przejechała ręką po włosach. Nocna koszula, którą nosiła, była obszerna, a jednak ten ruch podkreślił krągłość jej piersi. – Czy sędzia pokoju już przybył?

Pelham odwrócił się ku służącej.

– Czy uprzedziłaś ją o moim rozkładzie dnia?

– Tak, Wasza Wysokość, przysięgam – odparła, kiwnąwszy pospiesznie głową.

Odwrócił się z kolei w stronę kurtyzany z wyczekującym spojrzeniem. Ona zaś jedynie naciągnęła zsunięty rękaw z powrotem na ramię i się cofnęła.

– Pańska Jane jest dobrą dziewczyną. Powiedziała mi o tym, ale obawiam się, że jestem zbyt zmęczona, by dziś rano jeść śniadanie.

Pelham, stojąc przy drzwiach, patrzył ze zdumieniem, jak Juliette pada z powrotem na łóżko. Rozchyliła zasłony:

– Niech mnie pan zbudzi, kiedy przyjdzie sędzia pokoju.

Zasłony zetknęły się i zapadła cisza.

Pelham stał bez ruchu przez całe trzy tyknięcia zegarka. Miał niemalże nadzieję, że w następnej chwili się obudzi. Ale to nie był koszmarny sen.

Na szczęście wiedział, jak sobie radzić z wyzwaniem.

Wkroczył do sypialni, gwałtownym ruchem rozsunał zasłony i utkwiał wzrok w kurtyzanie. Leżała na wznak, z jasnymi włosami rozsypanymi na poduszce. Spojrzała na niego.

– Nie zapraszałam pana do mojego łóżka.

– To jest moje łóżko – rzekł, dźgając palcem w zasłonę. – A ja nie mam zamiaru go z panią dzielić. Nie dotknąłbym pani nawet wtedy, gdyby pani była ostatnią kobietą na ziemi.

– To nieco drastyczne stwierdzenie. – Juliette uniosła brwi.

– Proszę wstać! – zażądał.

– Dlaczego?

– Proszę wstać i zejść na śniadanie.

Ani drgnęła.

– Czemu śniadanie jest takie ważne?

– Bo jest i już. A teraz proszę wstać, zanim panią stąd ściągnę.

– Podobno nie chciałby mnie pan dotknąć.

– Niech to diabli! – krzyknął. – Jest pani najbardziej

nieznośną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem!

– Nie jest to najpiękniejszy komplement, jaki słyszałam w mojej sypialni, ale wiem, że nie ma pan w tym wprawy.

– Istotnie. – Pelham nachylił się i unióś ją w górę razem z pościelą. Była wysoka, zaskoczyło go więc, że okazała się tak lekka.

I tak miękka.

Nawet przez pościel wyczuwał krągłość jej ciała.

– Proszę mnie położyć z powrotem! – zażądała.

Ruszył ku drzwiom, nie zwracając uwagi na przerażone spojrzenia służby.

– Chyba nie zamierza mnie pan w tym stanie znieść na dół?

– Sama pani tego chciała.

– Nie jestem dzieckiem, Will!

– Proszę mnie tak nie nazywać. – Pelham skierował się ku schodom.

– Proszę mnie położyć z powrotem!

– Nie.

– To jest nie do przyjęcia! – parsknęła gniewnie. – Zdaje pan sobie chyba z tego sprawę?

Zdawał sobie sprawę. Wiedział, że zachowuje się groteskowo, ale nie był w stanie się powstrzymać. Wystawiła jego cierpliwość na próbę – i wygrała. Stracił panowanie nad sobą. Zasługiwał na zamknięcie w domu wariatów. Było to jedyne wyjaśnienie jego obecnego zachowania.

Przeszedł wzdłuż całego rzędu służących na parter. Wszyscy gorliwie ścierali kurze. Tylko odkąd to lokaje ścierali u niego kurze? Otworzył kopniakiem drzwi jadalni, podszedł ciężkimi krokami do najdalszego krańca stołu i spiorunował wzrokiem lokaja, który wyglądał tak, jakby pragnął wtopić się w ścianę.

– Krzesło! – warknął.

Lokaj poderwał się i podsunął kurtyzanie krzesło. Pelham posadził ją na nim bezceremonialnie, po czym spokojnie siadł na swoim miejscu, rozłożył „Timesa” i zaczął go czytać.

Lokaj nalał mu herbaty – mocnej, takiej, jaką lubił. Słyszał,

jak drugi lokaj spytał, czego kurtyzana by się napiła. Miłym głosem poprosiła o czekoladę. No, oczywiście. Musiała zażądać czegoś dekadentckiego.

Nadal czytał gazetę, a przynajmniej udawał, że czyta. Chwilę później lokaj wrócił na swoje miejsce pod ścianą, a kurtyzana wstała. Spojrzał na nią spoza gazety. Przyglądała się temu, co stało na kredensie, wlokąc pościel za sobą, jakby to był królewski tren. Nieważne, że była bosa, że włosy spadały jej skłębioną masą na plecy, że ten przeklęty rękaw znowu się jej zsunął z ramienia. Zachowywała się tak, jakby każdego dnia ściągano ją z łóżka, znoszono po schodach i sadzano z rozmachem na krzesło.

Może tak zresztą i było.

Spojrzał na kieszonkowy zegarek.

– Jest teraz kwadrans po ósmej – oznajmił. – Ma pani dokładnie piętnaście minut na zjedzenie śniadania.

Sądził, że będzie się z nim spierać, ale ona, nie patrząc nawet na niego, zapytała tylko:

– Czemu pan spogląda bez przerwy na zegarek? Całkiem jakby panu przyrósł do ręki.

– Niektórzy muszą żyć zgodnie z rozkładem dnia – odparł.

Sięgnęła po jeden z talerzy.

– A więc pan jada, śpi i spaceruje według rozkładu. Proszę mi powiedzieć, czy do toalety też pan chodzi według rozkładu?

Pelham wstał.

– Niestosowna uwaga. Nie spodziewałem się zresztą niczego lepszego.

Spojrzała na niego. Błękitne oczy były lodowate.

– Jesteś jedynym człowiekiem, Will, który wyciągnął mnie siłą z łóżka. Spodziewałam się czegoś dużo lepszego.

Podszedł do kredensu i zaczął obficie nakładać sobie na talerz jedzenie, bez żadnego wyboru, a potem usiadł, jedząc mechanicznie. Nie wiedział, dlaczego jej ostatnia uwaga ubodła go tak dotkliwie, podczas gdy wieloma innymi wcale się nie przejął. Nie obchodziło go, co sobie o nim myśli ta upadła kobieta. Nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. To ona do niego przyszła.

Powinien był ją wyrzucić.

Zapewne sądziła, że pozwoli jej tu zostać, bo pragnął jej obecności podczas porannej wizyty sędziego pokoju, ale to nie była cała prawda. Gdy stała w jego salonie, dojrzał w jej oczach coś, co wyraźnie wyglądało na strach. Jakże mógł wyrzucić przerażoną kobietę na ulicę?

Za bardzo by wtedy był podobny do...

Zacisnął kurczowo palce na trzonku widelca. Nie! On w niczym nie jest do niego podobny!

Gdy rozmyślał o swoim zachowaniu wobec Juliette, przypomniał mu się ojciec. Co prawda ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś tak skandalicznego jak znoszenie na wpół gołej kobiety po schodach. Byłby zbulwersowany jego zachowaniem i gdyby je widział, zwymyślałby go bezlitośnie.

Ale niegościnnością ojciec by się wcale nie przejął. Pelham spojrzał na kobietę siedzącą naprzeciw niego, a tymczasem właśnie ten jej zarzut dotknął go najbardziej. Zarzuciła mu brak gościnności. Ona! Kurtyzana!

Zmarszczyła brwi, widząc „Kronikę Poranną”, i przez chwilę jej mina nie była już lodowata.

– O co chodzi? – spytał.

Uniosła gwałtownie głowę i szybko odłożyła gazetę.

– Czy już czas na spacer po ogrodzie? – spytała.

– Nie. – Nie był jednak tego pewien. Oparł się chęci wyjęcia zegarka i spojrzał na gazetę.

– Co pani czytała?

– Artykuł o modzie – skłamała gładko, ale on w jakiś dziwny sposób wiedział, że nie mówiła prawdy.

– Proszę mi podać tę gazetę – zwrócił się do jednego z odzianych w szkarłat i złoto lokajów, który natychmiast podszedł do kurtyzany. Juliette chwyciła gazetę i kurczowo przycisnęła ją do siebie, tak żeby nie mógł po nią sięgnąć.

– Niepotrzebne zainteresowanie, Wasza Wysokość.

– Odkąd to zostałem Jego Wysokością?

– Ma pan rację. Pan ma na imię Will. Powinam nadal



nazywać pana Willem.

– Proszę dać lokajowi gazetę.

– Czy cię nie gniewa, Will, że tak się do ciebie zwracam? Nie chcesz, żebym przestała? – Najwyraźniej próbowała desperacko wszcząć z nim kłótnię.

– Chcę, żeby pani dała memu słudze tę gazetę.

Wstała, wciąż przyciskając gazetę do siebie.

– Nie, Will, nie chcesz. Nie zechcesz czytać tego, co w niej wydrukowano.

Pelham wstał.

– A dlaczego?

– Możesz mi uwierzyć.

Odsunął ostrym ruchem krzesło i podszedł do niej. Pościel, w którą była owinięta, wciąż z niej zwisała, a w jasnym świetle poranka jej nocna koszula wydawała się bardzo cienka. Usiłował na nią nie patrzeć, ale widział, jak zarys jej ciała przeziiera przez tkaninę.

– Proszę dać mi gazetę – zażądał, wymawiając z naciskiem każde słowo.

– Dobrze. – Podała mu ją. – Ale niech pan nie ma do mnie pretensji.

Rozłożył gazetę i przejrzał pierwszą stronę. Nie znalazł na niej nic ciekawego. Przeczytał pobieżnie drugą. Zupełne bzdury, ale nic, o co by warto się spierać.

Spojrzał na Juliette.

– Czy to jakiś żart?

– Chciałabym, żeby tak było. – Wzięła od niego gazetę, odnalazła właściwą stronę i podała mu ponownie. – Proszę przeczytać kolumnę *Doniesienia z Cytery*.

– A jest tu coś takiego?

Spojrzał uważniej i odnalazł ją. Przeczytał pospiesznie doniesienia o balu kurtyzan, o Harriecie Wilson i o ostatniej miłostce księcia regenta. A potem zapało mu dech.

„Ostatniej nocy, drodzy czytelnicy, Księżna Zalotów i jej książę w końcu pokazali się razem publicznie na balu księcia Walii

w Carlton House. Rendez-vous nie przebiegło jednak zgodnie z oczekiwaniami. Księżę P. wyrządził swojej damie okrutny wręcz afront. I choć nasza dzielna Księżna zniosła z odwagą ów akt jaskrawej brutalności, jasne jest, że zranił on ją dotkliwie”.

– Dobry Boże! – zawołał Pelham, spoglądając na Juliette. – To najgorszy rodzaj melodramatycznej przesady.

– Proszę czytać dalej.

– Ja... – spojrzał na gazetę. – To jeszcze nie koniec?

„Plotki głosiły, że księżę jest oczarowany swoją narzeczoną, lady E., z którą dopiero co się zaręczył, ale w takim razie, drogi czytelniku, dlaczego widziano go, jak po balu odjechał swoim powozem razem z Księżną Zalotów? Dowiadujemy się też z pewnego źródła, że choć Księżna Zalotów opuściła bal samotnie, jej księżę dopędził ją w powozie i błagał na klęczkach...”

– Na klęczkach! Cóż to za banialuki! Wniosę skargę o zniesławienie! O oszczerstwo!

– Proszę czytać dalej – powtórzyła i opadła ciężko na krzesło.

– „...by wróciła do niego i poślubiła go”.

Pelham zatrzęsł się z wściekłości. Jeśli lady Elizabeth to ujrzy... jeśli ktokolwiek to ujrzy, on będzie skończony. Tylko że, oczywiście, cały Londyn siedzi teraz przy śniadaniu, czyta te idiotyzmy i wierzy w nie.

Doczytał do końca ostatnią szpalnę.

„Redakcja »Kroniki Porannej« pragnęła poprosić porzuconą lady E. o komentarz, lecz nigdzie nie zdołała jej znaleźć. Pojawiły się pogłoski, że udała się pospiesznie na wieś, by oplakiwać utratę miłości księcia”.

Odłożył gazetę.

– Mówiłam, żebyś tego nie czytał.

Pelham oniemiał. Nie był w stanie wykrztusić nawet kilku słów. Zaciskał tylko dłonie w pięści, rozprostowywał je i zaciskał ponownie.

– Ciekawe, że autor tego artykułu też nie mógł odnaleźć lady Elizabeth, nie tylko ty i ja. Sądzę, że dodaje to wiarygodności

mojej relacji o tym, co widziałam ostatniej nocy.

– Myśli pani więc, że ta... – chciał powiedzieć „gazeta”, ale nie był w stanie tak jej nazwać – dodaje wiarygodności pani słowom? Moim zdaniem wyreżyserowała pani całą tę farsę, żeby zyskać jeszcze większą popularność.

– Wiedziałam, że mi to zarzucisz – westchnęła.

– A kogóż innego mogę podejrzewać?

– Nie wiem, ale dlaczego akurat mnie? Jakże mogę być za to odpowiedzialna? Czy sądzisz, że mam ochotę, by o mnie pisano w gazetach, po tym, co widziałam ostatniej nocy? Nie, ja chcę się gdzieś ukryć. Chcę być bezpieczna. Czyż z innego powodu znalazłabym się tutaj? Razem z tobą?

Spojrzał na nią gniewnie.

– Żeby uczynić bardziej prawdopodobnymi te bzdury – powiedział, wskazując znów na gazetę. Wszystko teraz stało się zrozumiałe. Chciała tu zostać na noc, żeby spotęgować plotki, iż romansują ze sobą. Gdyby zaś ktokolwiek spytał jego służących, zgodnie z prawdą przyznaliby, że spędziła tutaj noc.

A on jeszcze by się do tego przyczynił tym, co zrobił rano.

Pelham zawsze żądał, by służący nie mówili, co się dzieje w jego domu, i uważał ich, nie bez racji, za ludzi lojalnych. Każdego można jednak przekupić. Gdyby ktoś chciał skłonić jego służbę do mówienia, znalazłby na to sposób.

– Czy ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz? – spytała. – Jeśli twoje przypuszczenia są prawdą, to w jaki sposób mogłabym namówić lady Elizabeth do zniknięcia? Skąd wzięłabym pistolet, z którego do mnie strzelano? No i czy zdołałabym cię skłonić do ścigania mnie w powozie?

Słowa jej brzmiały wiarygodnie, ale tego ranka nie było go stać na wielkoduszność, więc im nie ufał. Wiedział tylko, że stał się pośmiewiskiem całego Londynu. Każe za to zapłacić i gazecie, i kurtyzanie!

Znów na nią spojrzał. Cofnęła się.

– Czemu patrzysz na mnie w ten sposób? Przecież już mówiłam...

– Ani słowa więcej. Wynoś się stąd. Natychmiast!  
– Ależ...  
– Nie spieraj się ze mną. I nie zmuszaj mnie do wyrzucenia cię na ulicę, bo gotów jestem to zrobić!

Własny głos zabrzmiał mu donośnie w uszach, budząc echo innego, tego z przeszłości. Ale Pelham nie chciał o nim myśleć. Nie chciał też spuszczać z tonu.

Ktoś energicznie zastukał do drzwi jadalni. Wszedł jego kamerdyner.

– O co chodzi, Richards?

– Przyszedł sędzia pokoju, Wasza Wysokość.

Juliette nie czekała, aż Pelham drugi raz zażąda, żeby się wyniosła. Przebiegła chyłkiem obok niego. Prześcieradło ciągnęło się za nią po ziemi. Zamierzała ubrać się i opuścić ten dom najszybciej, jak tylko można. Nie była pewna, dokąd pójdzie, ale chciała się znaleźć jak najdalej stąd. Gdzieś, gdzie byłaby bezpieczna.

No i gdzie nie byłoby morderców, plotkarzy i aroganckich księząt!

Miała trochę biżuterii, którą mogła sprzedać. Nie była nędzarką.

Znalazła się już prawie przy schodach, gdy usłyszała, jak ktoś gwałtownie nabiera tchu. Odwróciła się i ujrzała niewysokiego człowieczka z czarnym wąsem i monoklem, stojącego w drzwiach salonu.

– Na Jowisza! Toż to Księżna Zalotów!

Juliette ani trochę nie czuła się w tym momencie słynną kurtyzaną. Gdybyż socjeta mogła ją teraz widzieć!

Mając świadomość, że Pelham stoi zapewne tuż za nią, zdobyła się jakoś na ukłon i znów pobiegła ku schodom.

– Proszę poczekać! – Sędzia pokoju wszedł pośpiesznie do westybulu. – Ja... Jakże się pani miewa?

– Ona stąd wychodzi. – Głos Pelhama odbił się echem od marmurów.

– Witam Waszą Wysokość. – Sędzia skłonił się przed nim.

Juliette zauważyła, że ubrany był całkowicie na czarno. W przeciwieństwie do stylowego, popielatego surduta Willa i jego śnieżnobiałego halsztuka ubiór sędziego źle na nim leżał, a halsztuk się marszczył. – Nie mogę uwierzyć, że to prawda. W gazetach czytałem, że...

– Dość! – Pelham uderzył pięścią w słupek balustrady.

Juliette się wzdrygnęła.

– Nic z tego, o czym pisał ten przeklęty szmatławiec, nie jest prawdą! – oznajmił księżę takim tonem, jakby artykuł mógł dzięki temu zniknąć.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odparł sędzia, ale spojrzał znów na Juliette i jasne było, że nie wierzy księciu.

– Już lepiej nic nie mów – pouczyła Pelhama. – Ludzie będą i tak myśleć, co chcą, obojętne, czy chodzi o prawdę, czy o kłamstwo. – Wiedziała o tym z własnego doświadczenia. – Dziwne, ale jeśli ktoś upiera się przy swojej niewinności, to wydaje się jedynie bardziej winien. Czy nie mam racji, panie...

Sędzia upuścił monokl, gdy się jej pospiesznie kłaniał.

– Sharpsly. O tak, Księżno, ma pani rację.

Pelham westchnął. Donośnie.

– Ona nie jest księżną.

– Bardzo przepraszam. – Sharpsly nie odrywał od Juliette oczu. – Jak zatem mam się do pani zwracać? Nigdy nie obracałem się przedtem w dworskich kręgach ani nie utrzymywałem bliskiej znajomości z kimś o pani statusie.

– Ona nie jest żadną królową! – jęknął Pelham.

– Może pan zwracać się do mnie „Juliette”. Tak mnie nazywają przyjaciele.

– Juliette... – Sędzia pokoju wymówił to słowo niemal szeptem.

– Obawiam się jednak, że nasza znajomość nie potrwa długo. Will kazał mi się stąd wynosić.

– Will? – Brwi Sharpsly’ego podjechały do góry.

– Księżę – odparła, wskazując niedbale na Pelhama lekkim ruchem głowy. – On uważa, że musiałam mieć coś wspólnego z

tym artykułem w „Kronice Porannej”.

Sharpsly spojrział na Pelhama surowo, a pełna oburzenia mina księcia była wręcz pocieszna. Juliette pomyślała, że mogłaby przez cały dzień droczyć się z Pelhamem i byłaby to niezła zabawa, ale Lucyfer deptał jej po piętach. Nie mogła sobie pozwolić na żarty.

– Do widzenia, panie Sharpsly – powiedziała i ruszyła ku schodom.

– Madame – odezwał się książę.

Juliette zamarła, wbrew woli, słysząc władczy ton w głosie Pelhama.

– Proszę zejść i opowiedzieć panu Sharpsly’emu o tym, co się pani zdawa... co pani widziała ostatniej nocy.

Juliette obejrzała się z gniewem.

– Nie podobało mi się, gdy mi rozkazywano, kiedy byłam mężatką, Will, a teraz też mi się to nie podoba.

Po czym uniosła rąbek okrywającego ją prześcieradła i znów zaczęła się wspinać na schody.

– Madame!

Juliette nadal szła w górę po schodach, nie zamierzając się zatrzymać.

– Juliette!

Z uśmiechem stanęła i obejrzała się za siebie.

– Zechciej łaskawie... – Pelham wymówił te słowa tak, że zabrzmiały jak grzechot morskich muszel rozjeżdżanych przez koła powozu – ...zejść i pomówić z panem sędzią.

– A więc nie chcesz już, żebym sobie poszła? – spytała słodkim głosem. Wiedziała, że przeciąga strunę, lecz jeśli rzeczywiście chciał, żeby została, nie miała nic przeciwko temu. Drażniła ją wprawdzie jego głupota, ale przynajmniej nie był mordercą. Była tutaj bezpieczna, bezpieczniejsza niż u siebie.

– Zejdź.

A więc nie był gotów powiedzieć jej, żeby została. Doskonale. Spróbuje jakoś sobie z tym poradzić. Coś jej mówiło, że powinna trzymać się Pelhama, choć było to dziwne

doświadczenie – zetknąć się z kimś, kto nie miał zamiaru gorliwie spełniać każdego jej kaprysu.

Och, spotkała wielu podobnych do niego mężczyzn, zanim została Księżną Zalotów. Kiedy jeszcze była zwykłą Juliette Clifton, nikt nie zwracał na nią zbyt wiele uwagi. Pelham przypominał jej dobitnie o tym, jak wyglądało tamto życie i jak może ono wyglądać teraz, kiedy nie będzie już dłużej sławną Księżną Zalotów, tylko pogardzaną kobietą upadłą.

Jeśli jednak ma tu zostać z Willem choćby przez pewien czas, trzeba go jakoś utemperować. Nie chciała, żeby na nią krzyczano i grożono jej. Zaznała już takiego traktowania w swoim życiu i miała tego dosyć.

Zeszła więc ze schodów, bardziej po królewsku niż było trzeba, bo widziała, że irytowało to Pelhama. Potem zaś wkroczyła z wdziękiem do salonu, usiadła na sofie krytej jedwabiem w białe i niebieskie prążki, otuliła się prześcieradłem i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Wezwaliśmy tu pana dzisiaj, Sharpsly – zaczął Pelham, stając przy kominku przed tym samym obrazem co zeszłej nocy, i przybierając Pozę Pouczeń, jak zaczęła ją już nazywać w duchu – ponieważ Juliette, przepraszam za tę poufałość, ale ona wciąż odmawia mi wyjawienia swojego nazwiska, uważa, że stała się świadkiem morderstwa.

Juliette zauważyła, że przy ostatnich słowach Pelhama spojrzenie Sharpsly'ego stwardniało. Ten człowiek nie był taki głupi, jak się jej zdawało w westybulu. Wyraźnie dostrzegła, że zaszła w nim zmiana. Stał się teraz wcieleniem surowości i powagi.

– Rozumiem. – Sharpsly odwrócił się do niej. – Czy mogę pani zadać kilka pytań, Księżno?

– Proszę bardzo. – Niemal się wzdrygnęła. Nie chciała znów wracać myślą do wydarzeń ostatniej nocy. Wolałaby przekomarzać się z Pelhamem lub spędzać dzień z Fallon i Lily. Albo nawet siedzieć we własnym domu. Tylko że ten luksus już nie był dla niej.

– Proszę mi powiedzieć, co pani widziała ostatniej nocy.

– Powiem, ale to się wcale nie zaczęło ostatniej nocy.

I opowiedziała mu o wizycie Lucyfera w swoim domu, a potem o tym, co się stało na balkonie w Carlton House i o swoim powrocie wraz z Pelhamem na miejsce, gdzie upadło ciało Elizy.

Sharpsly słuchał uważnie, po czym poprosił o pióro, pergamin i zadał jej mnóstwo pytań. Kiedy skończył, poczuła się całkiem wyczerpana. Spojrzała na pobliski zegar i zobaczyła, że dochodzi dziesiąta. Rozkład dnia Pelhama wywrócił się do góry nogami, ale książkę nie zwracał na to uwagi, tylko odpowiadał na pytania, które zadawał mu Sharpsly.

Sharpsly dopisał jeszcze jedną uwagę na pergaminie, gdzie i tak widniało ich już całe mnóstwo, i podniósł znad niego wzrok.

Pelham uniósł brwi. Juliette wiedziała, że chciał wyjąć zegarek z kieszeni, ale się przed tym powstrzymał i wsparł rękę na gzymsie kominka.

– No i co? – spytał.

Sharpsly zacisnął usta.

– Rad jestem, że mnie pan wezwał, Wasza Wysokość. Rozumiem, dlaczego pani była przerażona, Księżno, ale należało zwrócić się do nas w sprawie tych diamentów. Nie sądzę, by zdołało to uratować lady Elizabeth, ale zmniejszyłoby zagrożenie w pani przypadku.

– A więc pan jej daje wiarę? – spytał Pelham, z wyraźnym niedowierzaniem, którego nie zdołał ukryć.

– Tak. – Sharpsly wstał. – Przede wszystkim dlatego, że Księżna nie ma żadnego powodu, by kłamać, i nic o tym zresztą nie świadczy w jej zeznaniach. Jest naprawdę przerażona.

Pelham spojrzał na nią, najwyraźniej nieprzekonany.

– Miała powody, żeby kłamać. Niech pan zajrzy do dzisiejszych gazet.

– Nie sądzę, by Księżna, która, co jest powszechnie wiadome, utrzymuje się dzięki swej dwuznacznej popularności, miała posuwać się aż do inspirowania artykułów „Kroniki Porannej”. Pismo wspomina przecież o niej niemal codziennie;



wystarczy, by uśmiechnęła się do kolejnego mężczyzny.

Tym razem Pelham zacisnął usta.

– Po drugie wierzę jej, bo wiem, kim jest Lucyfer. To osławiony właściciel domu gry. Wprawdzie nie doszły mnie słuchy, by ktoś z jego klientów doniósł, że go tam okradziono z biżuterii lub innych cennych przedmiotów, ale z takim człowiekiem nigdy nic nie wiadomo, a ma on na sumieniu wiele występków. Po trzecie, lord i lady Nowlund zgłosili nam, że ich córka, lady Elizabeth, nie wróciła na noc do domu.

– Nadal jej tam nie ma? – Pelham wyglądał na zaskoczonego, a Juliette zwątpiła, czy brał dotąd pod uwagę możliwość nieodwracalnego zniknięcia Elizy. Tak głęboko był przekonany o jej kłamstwach, że nie martwił się nawet o los narzeczonej.

– Lady Elizabeth nie wróciła jeszcze, gdy rano wychodziłem, żeby się tutaj udać. I to mnie martwi. Podobnie jak jej zniknięcie i znaleziony przez pana naszyjnik, Wasza Wysokość.

Juliette spojrzała na twarz Pelhama. Nareszcie! Nareszcie wyglądał na zaniepokojonego.

– Musimy odszukać lady Elizabeth – powiedział. – Nie będę szczędził środków, wynajmę, kogo się tylko da...

– Będę wdzięczny za dodatkowe fundusze, Wasza Wysokość – przerwał mu Sharpsly – ale musi pan myśleć o sobie i Księżnej. Jeśli Lucyfer uzna, że pan cokolwiek wie, zaatakuję pana.

Pelham machnął lekceważąco ręką.

– Nie boję się go. Jeśli coś złego spotkało lady Elizabeth, sprawię, by pożałował, że kiedykolwiek o mnie usłyszał.

Juliette uwierzyła mu. Oczy Pelhama groźnie błysnęły – przecież dlatego zwano go Groźnym Księciem.

Ona nie była jednak Groźną Księżną i bała się. Czuła się wprawdzie bezpieczna w tym domu, lecz jak długo zdoła w nim pozostać? Już ją przecież kazał wyrzucić.

Czy Lucyfer czał się za książęcymi drzwiami? Czy wyczekiwał stosownej chwili, żeby w pewnej chwili pojawić się na widowni?

Sharpsly wstał i skierował się ku drzwiom.

– Pójdę do mojego biura, żeby się dowiedzieć, czy nadeszły jakieś nowe wieści. Potem wyślę kogoś do Jaskini Lucyfera, żeby się tam rozejrzał. Jeszcze dziś przyślę wiadomość, jeśli to w czymś może pomóc Waszej Wysokości.

Juliette wyszła za nimi do westybulu, gdzie Richards czekał już z ręką na klamce. Sharpsly ujął jej dłoń i ucałował.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Księżno. Proszę być ostrożną.

– Dziękuję, panie sędzio.

Sharpsly skłonił się nisko.

– Żegnam, Wasza Wysokość.

Richards otworzył drzwi, a wtedy Juliette krzyknęła na cały głos.

*Pelham* odepchnął *Richardsa* i nachylił się, by podtrzymać lokaja, nim ten upadł. Lokaj miał na sobie szkarłatno-złotą liberię *Pelhama*, początkowo więc książę nie dojrzał krwi. Potem jednak poczuł wilgoć i zdał sobie sprawę, że pełno jej wszędzie. Służący wydał z siebie odgłos podobny do bulgotu, oczy miał puste. *Juliette* znowu krzyknęła, lecz wtedy *Pelham* usłyszał spokojny głos *Sharpsly'ego*, którym sędzia zwrócił się do niej, odsuwając ją ku tyłowi.

*Pelham* ukląkł przy rannym. Innemu lokajowi, który podbiegł do niego, kazał sprowadzić lekarza. Spojrzał na *Richardsa*, nie wiedząc, jak się nazywa ten, którego głowę podtrzymywał. Ranny raz jeszcze wydał gardłowy odgłos, ale chyba łatwiej mu było oddychać po uniesieniu przez *Pelhama* jego głowy.

– To *Davenport*, Wasza Wysokość – odparł *Richards* przyciszonym, zbolalym głosem.

– *Davenport* – powiedział *Pelham*, choć zamglony wzrok rannego sprawił mu dotkliwą przykrość. – Posłałem po doktora. Trzymaj się, rozumiesz? Nakazuję ci.

– Tak – jęknął ranny.

– Nic nie mów – nakazał *Sharpsly*, klękając po jego drugiej stronie. *Pelham* nie słyszał, kiedy sędzia wrócił, ale miał nadzieję, że *Juliette* znalazła się z dala od tego wszystkiego. Nie chciał, żeby to oglądała.

– Leż bez ruchu, *Davenport* – powiedział *Pelham*. – Wyjdiesz z tego – dodał, choć nie sądził, żeby to było możliwe. Nie wierzył, żeby lokaj przeżył choćby godzinę. Jego obawy potwierdziły się, gdy *Sharpsly* rozchylił kurtkę i koszulę rannego. Oczy obu mężczyzn spotkały się i *Sharpsly* pokiwał głową.

– Czy chcesz wody? – spytał sędzieja.  
– Albo coś mocniejszego? – zaproponował Pelham. W końcu, skoro ten człowiek ostatni raz w życiu miał okazję, żeby się napić, nie należało mu żałować trunku.  
– Gin – wyszeptał Davenport.  
– Richards... – powiedział Pelham, nie odrywając wzroku od Davenporta.  
– Tak jest, Wasza Wysokość. Natychmiast przyniosę.  
Pelham podtrzymał lokaja, stwierdzając z przerażeniem, że oddycha on z coraz większym trudem.  
– Richards – mruknął Pelham.  
Chwilę później Richards przybiegł z kieliszkiem i butelką ginu. Pelham nie miał pojęcia, skąd je wziął. Nigdy sam nie pił ginu, ale wdzięczny był służącemu, obojętne, skąd ten go wytrzasnął. Richards nalał trunku do kieliszka lekko drżącą dłonią i podał go Sharpsly'emu, a sędzieja przytknął go do ust lokaja.  
– Pij, tylko powoli.  
Lokaj upił jeden łyk, zakrztusił się, potem drugi.  
– Dobrze – wyszeptał. – Raz jeszcze próbował nabrać tchu, ale Pelham znów usłyszał ten okropny, bulgocący dźwięk. Gin zmieszany z krwią wypłynął z ust rannego, a jego oczy się zamknęły.  
– Davenport – powiedział Pelham. Spoglądał na pierś sługi, wyczekując, by się ponownie uniosła. – Davenport!  
Sharpsly położył mu dłoń na nadgarstku.  
– Już po nim.  
Pelham rozejrzał się wokół.  
– Gdzie lekarz?  
– Za późno na to, Wasza Wysokość. Ten nóż – wskazał na zakrwawioną pierś – musiał mu przebić płuca. Są pełne krwi.  
Pelham skinął głową i zaczerpnął ciężko tchu. Ostrożnie złożył głowę Davenporta na zimnym marmurze.  
– Richards, przynieś mi obrus.  
– Z jadalni, Wasza Wysokość?  
Pelham spojrzał na niego groźnie.

– Ależ Wasza Wysokość, to obrus pańskiej babki...

– Przynieś go.

Richards zrobił, co mu kazano, i Pelham zakrył pięknym lnianym obrusem głowę zmarłego sługi. Natychmiast na tkaninie wykwitły szkarłatne plamy. Pelham wstał. Stała koło niego gospodyni z miską, dzbankiem i czystą wodą. Pelham obmył ręce z krwi, która zabarwiła wodę na różowo. Drgnął, gdy dostrzegł Juliette w drzwiach salonu. Była tak blada jak marmur popiersia, przy którym stała.

– Nie powinno cię tu być – powiedział. – Nie powinnaś tego widzieć.

– Ja... – Uniosła drżącą rękę. Tkwił w niej kawałek papieru. – To upadło na posadzkę, gdy... – głos się jej załamał, ale zebrała się na odwagę i ciągnęła dalej – kiedy go chwyciłeś w ramiona. Zdaje się, że ścisnął to w ręce.

Pelham ze zmarszczonym czołem sięgnął po kartkę. Była biała, z krwawymi odciskami palców na brzegach.

Rozłożył ją i przeczytał:

*Moje uszanowanie. Lucyfer.*

Pelham zacisnął zęby i odwrócił się ku Sharpsly'emu.

– Co się tu właściwie dzieje?

– To od niego, prawda? – spytała Juliette. – Od Lucyfera! – Zaczęła się cała trząść. Pelham widział to, ale nie miał pojęcia, co mógłby tu zrobić. Kimże on był, żeby ją pocieszać? Nigdy jeszcze w swoim życiu nikogo nie pocieszał. Do licha, nie mógł sobie nawet przypomnieć, żeby ktoś pocieszał jego.

Podniósł się ostrożnie, niepewny, czy w ogóle powinien coś zrobić. Poklepać ją po ramieniu czy coś w tym rodzaju. Zamiast tego wyjął z kieszeni zegarek.

Dochodziła jedenasta. Jego rozkład dnia diabli wzięli. Zważywszy zaś, że miał teraz na głowie martwego lokaja, przerażoną kurtyzanę i zagadkową kartkę w ręce, nie uważał, żeby tego dnia mogło go jeszcze spotkać coś dobrego.

– Czy to miała być kpina? – spytał, chowając zegarek do kieszeni i podając papierek Sharpsly'emu.

– Obawiam się, że tak, Wasza Wysokość. Radziłbym panu opuścić obecnie Londyn.

– Opuścić Londyn? Przecież mam tu sporo do roboty. Parlament zbiera się na sesję.

– Will, nie upieraj się niemądrze! – krzyknęła Juliette. – Nie będziesz miał co robić, jeśli umrzesz.

– Zgadza się z Księżną – uznał Sharpsly. – Doradzałbym państwu wyjechać stąd jak najprędzej. Nawet i dziś, jeśli jest pan gotów. Proszę przysłać przez mego kancelistę wiadomość, gdzie mogę pana zastać. Spróbuję dostarczać panu najświeższe doniesienia. Do widzenia, Wasza Wysokość; do zobaczenia, Księżno.

Pelham patrzył, jak Richards zamyka drzwi za sędzią pokoju. Zwrócił się ku Juliette.

– Pewnie uważasz, że to także wyreżyserowałam? – palnęła.

– Nie – westchnął – ale życie było dużo prostsze, zanim cię spotkałem.

– Tylko ci się zdaje, że takie było, bo nie znałeś prawdy.

– Być może wcale nie chcę znać prawdy. Może lubię moje nieskomplikowane życie.

– Oczywiście. Natychmiast stąd znikam. Będziesz wtedy mógł powrócić do swego nieskomplikowanego życia – powiedziała, kierując się ku schodom.

Wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, poszedł za nią.

– Gdzie idziesz?

– Do szkarłatnego pokoju, a potem... – Wzruszyła ramionami. – Sama nie wiem.

Nadal szedł za nią i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy weszła do sypialni, gdzie spędziła noc. Stał na progu, nie mając pewności, co ma powiedzieć czy zrobić.

Był księciem. Wiedział wszystko o zobowiązaniach, zależnościach i odpowiedzialności. Posiadał dużo większy majątek niż ktokolwiek powinien mieć i nie chciał większego. Ale miał też w domu martwego lokaja. Na Boga, ten lokaj też był jego, a ktoś go uśmiercił.

Pelham uważał śmierć Davenporta za swoje osobiste fiasko. Nie zdołał ochronić własnego sługi.

Spojrzał na Juliette. Zrzuciła pościel na podłogę i gmerała w sakwojażu, wyrzucając z niego na ziemię coś, co wyglądało jak damska bielizna. Pelham odwrócił wzrok.

Nie należała do niego. Nie wiedział, do kogo należy, ale w jakiś osobliwy sposób stał się za nią odpowiedzialny. Wiedział też dokładnie, w którym momencie to nastąpiło – gdy zaczęła drżeć ze strachu.

Była taka silna, taka niezależna. A jednak widział strach w jej oczach. Wzbudziło to w nim coś, czego nie czuł od bardzo dawna. Coś, czego przysiągł sobie nigdy więcej nie odczuwać.

– Nigdzie nie pójdziesz.

Odwróciła się raptownie, stając z nim twarzą w twarz.

– Co takiego? Najpierw mnie wyrzucasz, a teraz znów chcesz, żebym została?

– Samotna podróż może być dla ciebie niebezpieczna.

Wzięła się pod boki.

– Och, naprawdę? Odkąd zaczęłeś sobie z tego zdawać sprawę? Kiedy ci powiedziałam, że twoja narzeczona została zamordowana? Że Lucyfer poprzedniej nocy był u mnie w domu? Czy dopiero wtedy, kiedy zginął twój lokaj? Czy mi wreszcie wierzysz?

– Nie wiem, w co mam uwierzyć.

Opuściła ręce i odwróciła się do niego tyłem. Słyszał, jak coś mruczała pod nosem.

– Przepraszam, Wasza Wysokość...

Stała za nim jego służąca. Odsunął się, żeby mogła wejść. Patrzył, jak dziewczyna strzepuje suknię i podaje ją Juliette, żeby ta mogła ją obejrzeć.

– Mimo wszystko nie odejdziesz stąd. Jeszcze nie teraz.

– Mam za mało ubrań na dłuższy pobyt.

Nie spojrzała nawet na niego.

– Udam się wraz z tobą do twojego domu, jak tylko się ubierzesz. Weźmiemy stamtąd wszystko, czego ci będzie trzeba.

Obejrzała się. Zaciśnęła usta. Dostrzegł lodowate błyski w jej oczach. Wszystko w jej postawie, wyrazie twarzy, w powstrzymanej z trudem furii świadczyło o wstręcie. Chciała mu odmówić. Chciała z nim skończyć.

– Świetnie.

Zrozumiał, że musi być naprawdę przerażona, jeśli zgodziła się tam wrócić w jego towarzystwie.

– Doskonale. – Stał, patrząc, jak nienawiść wprost z niej emanuje. Niemal czuł, jak lodowate palce nienawiści sięgają ku niemu, żeby go odepchnąć. Tak, jej furia była lodowata – całkiem inaczej niż u jego ojca. Tamta była rozpalona do białości.

– Czy zamierzasz stać tutaj i patrzeć, jak się rozbieram? – spytała, wyrывая go z zamyślenia. – Czy to ma być opłata za twoją ochronę?

– Nie będzie żadnej – odparł cierpko.

– Jesteś pewien? – zapytała, rzucając mu uwodzicielskie spojrzenie. Lodowato uwodzicielskie. – Bo jeśli czegoś chcesz, powinieneś mi to powiedzieć teraz. Lubię płacić z góry, jeśli chodzi o interesy.

Cofnął się o krok, pełen odrazy.

– Jestem pewien, że tak robisz. Ale, jak sądzę, dałem ci jasno do zrozumienia, że nie interesują mnie twoje usługi.

– A jednak wciąż stoisz w drzwiach sypialni – powiedziała z ironią. Uniosła rąbek nocnej koszuli. – Czy jesteś pewien, że nie chcesz przynajmniej rzucić okiem na to, czego sobie odmawiasz?

– Nie – odparł ochryłym głosem, podczas gdy wzrok, niezgodnie z jego wolą, podążył ku jej białym kostkom u nóg i łydkom.

– Nie? Nie jesteś pewien?

– Tak. – Spojrzał jej prosto w twarz, w te lodowate oczy. – Tak, jestem pewien, że niczego od ciebie nie chcę.

A potem odszedł, ale... niech to diabli, jeśli obraz jej kształtnych łydek nie wrył mu się na zawsze w pamięć.



Juliette stała w swojej sypialni i patrzyła na otaczające ją spustoszenie. Zasłony pocięto, z kufrów powyrzucano ubrania, aksamitne poduszki porozpruwano. Pierze, jedwab i tapicerska wyściółka pokrywały podłogę.

– Sądzę, że nie jest to twój zwykły sposób prowadzenia domu.

Juliette odkaszlnęła, nie mając pewności, czy zdoła z siebie wydobyć głos. Cały ten makabryczny widok dobrze знаła. Czowała się tak, jakby cofnęła się w czasie. Musiała sobie samej przypomnieć, że nie jest już dłużej Juliette Clifton, a Oliver nie wejdzie do pokoju, by móc ją w każdej chwili uderzyć. Przełknęła ślinę.

– Nie.

– A to na łóżku?

Spojrzała na łóżko i zadrżała. Właściwie było nietknięte. Mogła dojrzeć róg błękitnego prześcieradła z jedwabiu wystający spod luksusowej narzuty w kremowym kolorze. W środku łóżka widniał krwistoczerwony kawałek pergaminu przygwożdżony do niego nożem. Oliver nigdy by nie zrobił czegoś w tym rodzaju.

– To też nie moje.

Pelham podszedł do łóżka i przyjrzał się pergaminowi.

– Jest tu napis: „Najserdeczniejsze pozdrowienia, Lucyfer”.

Przyglądał się jej, z rękami w kieszeniach, wyniosły i bez skazy. Och, jak bardzo nienawidziła tej jego miny! Uniosła podbródek, jeszcze bardziej umacniając się w chęci sprzeciwu.

– Czy ten Lucyfer był twoim kochankiem?

– Nie! – odparła bez wahania.

– Nie? – Wskazał na łóżko. – Z pewnością wszystkich nie

pamiętasz. Musiało ich być całe mnóstwo.

Chętnie by się roześmiała. Lub zapłakała.

– Całe mnóstwo?

Chyba jeszcze bardziej pragnęła go teraz uderzyć. Właśnie teraz, gdy była tak rozgniewana, sfrustrowana i głęboko zraniona, miała ochotę z całej siły walić pięściami w tę jego odpychającą księżęcą pierś, tak by odebrało mu dech. Ale mogła to osiągnąć również w inny sposób. Przysunęła się do niego i położyła mu na piersi dłoń. Chciał się odsunąć; widziała, miał to wypisane na twarzy. Sprawiała, że poczuł się nieswojo.

– Och, chyba były ich setki. Tylko że, jak ci już powiedziałam, Lucyfer zjawił się w moim salonie dopiero przedwczoraj. Nigdy go przedtem nie widziałam.

– A zatem dlaczego to napisał? – Pelham znów wskazał na łóżko. Wyraźnie miał ochotę się cofnąć. Niczego bardziej nie pragnęła. Czowała jego zapach. Dobrze go już знаła, była to woń mięty. Chciała widzieć, jak ten mężczyzna się złamie. Och, on jej pragnął, ale czy podda się pokusie? Koniecznie musiała się przekonać, jakim jest człowiekiem. Czy mogła ufać jego słowom, czy też poniosą go niskie instynkty?

– Zapewne traktował to symbolicznie – odparła. Gdy już się miał od niej odsunąć, uniosła obciążoną rękawiczką dłoń i powiodła nią po jego policzku. Zesztywniał. – Wiem, że widok mego osławionego buduaru musiał cię rozczarować. Jaka szkoda, że rozwiął twoje fantazje.

– Nigdy nie fantazjowałem...

– Naprawdę? Nigdy nie snułeś fantazji, że leżę w tym łóżku?  
– spytała i usiadła na jego brzegu. – Naga, bez tchu, szepcząca twoje imię? – Położyła się na łóżku i uśmiechnęła do niego przymilnie.

Nadal stał sztywny i nieugięty.

– Wstań. Sharpsly się tym zajmie. Nic ci nie grozi.

– Sharpsly już wie, kto odpowiada za śmierć lady Elizabeth, więc co za różnica? No, chodź do mnie – wymruczała. – Tylko jeden pocałunek...

Skusiła go. Znała dobrze błysk pożądania w męskich oczach. Widziała go teraz w jego spojrzeniu. Było równie groźne jak każde inne, które na nią wcześniej kierował.

– Wstawaj – powiedział, odwracając się do niej tyłem. – Bierz, czego ci będzie trzeba, a potem zejdź do mnie na parter.

Wyszedł, a Juliette zsunęła się ze sprofanowanego przez Lucyfera łóżka. Wiedziała, że już nie będzie w stanie na nim spać. A ona była w oczach Pelhama czymś podobnym do tego łóżka. Czymś nieodwracalnie zbrukany.

A gdyby mu tak powiedzieć całą prawdę?

Po cóż jednak miałyby to robić? Nie uwierzyłby jej. Niech już lepiej myśli sobie, co mu się żywnie podoba. Ani nie chciała, ani nie potrzebowała jego aprobaty. Wzdrygnęła się, podnosząc jedno z przewróconych krzesel, i zaczęła na nim układać suknie. Wcale nie potrzebowała jego aprobaty! Sama nie wiedziała, dlaczego w takim razie jej pragnie. Widocznie zostało w niej jeszcze coś z głupiej dziewczyny, jaką niegdyś była.

Drzwi otwarły się gwałtownie i Pelham wkroczył do środka. Juliette aż podskoczyła.

– Co się stało?

– Jeden z ludzi, których tu rozstawiłem, spostrzegł coś podejrzanego. Jakiś mężczyzna czaił się w zaułku za twoim domem. Obawiają się, że może ci to czymś grozić. Żądam, żebyś zamknęła się w tym pokoju i nie opuszczała go.

Chwyciła go za ramię, gdy już miał odejść.

– Dokąd idziesz? – spytała.

– Chcę spojrzeć na tego Lucyfera.

– Nie rób tego! – Szarpnęła go gwałtownie ku tyłowi. – Nie! On właśnie tego chce. Pragnie cię stąd wywabić, a gdy mu się to uda, zabije cię.

– Nie. – Pelham spojrzał na nią gniewnie. – On chce się tu włamać i rozprawić z tobą.

– Zastanów się, Will! – zawołała, kręcąc gwałtownie głową. – Gdyby on chciał się tu dostać niezauważony przez twoich ludzi, już by to zrobił. Zdołał przecież zabić twoją narzeczoną na

balkonie Carlton House, kiedy trwał tam w najlepsze bal. Zdołał się też jakoś dostać do mojego domu.

Pelham zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Co zatem, jak uważasz, powinienem robić? Ukryć się tutaj razem z tobą?

– Owszem! – Prawie że krzyknęła. Czemuż mężczyźni tak niemądrze gotowi są narażać się na niebezpieczeństwo przy każdej sposobności? Wiedziała jednak, jak sobie z nimi radzić. Miała już za sobą wieloletnią praktykę. – Chroń mnie.

– Ciebie? – zdumiał się. – Rzuć mu jedno z tych lodowatych spojrzeń i uśmierć go nim.

– Cóż za romantyczne bzdury.

Znów na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Nie zostaniemy tutaj – powiedział, ujmując ją za rękę i prowadząc ku drzwiom.

– Czy to zbyt kuszące?

– Zbyt oczywiste. – Wyszedł na korytarz i rozejrzał się wokoło. – Czy jest tu jakiś strych?

– Chyba tak. – Właściwie nie była tego pewna, ale przypomniała sobie, że gdy żądała od służących, by wynieść to czy owo na strych, żadna się jej nigdy nie sprzeciwiła.

– Którędy się tam idzie?

– Ja... hm...

– Czyż to nie jest twój własny dom? Nie obejrzałaś go dokładnie przed kupnem?

– To nie ja go kupowałam, tylko hrabia Sinclair.

Pelham zmarszczył czoło tak mocno, że brwi zetknęły się razem.

– Ach, twój protektor.

Nie czekając, by mu towarzyszyła – co zresztą niewiele by pomogło – zaczął wchodzić na najwyższe piętro. Gdy już na nim stanął, odszukał klapę wjazdu i przystawił do niej drabinę. Juliette spodziewała się, że strych będzie zalatywał stęchlizną, a drabina okaże się zakurzona, ale wszystko miało czystą woń, jak świeżo oczyszczone.

Była szczerze wdzięczna swojej wspaniałej służbie, a jednocześnie cieszyła się, że ją stąd odesłała w obawie przed niebezpieczeństwem.

– Pójdę pierwszy – powiedział Pelham.

Patrzyła, jak wspina się po drabinie. Miał długie, muskularne nogi. Z pewnością jeździ konno w swoim majątku i spędza dużo czasu na świeżym powietrzu, bo nie miał bladej cery, jak większość znanych jej mężczyzn. Tył jego ciała też prezentował się okazale. Miała z dołu dobry widok. Był mocny, krzepki, na pewno nie wąły czy wręcz cherlawy, jak inni arystokraci.

Zniknął na moment, a potem jego twarz ukazała się w otworze wjazdu.

– Chodź tutaj.

Juliette uniosła suknię i weszła na górę po drabinie. Przypomniało jej to, jak bawiła się, jeszcze będąc dzieckiem, w stajniach u sąsiada. Działo się to bardzo dawno temu, kiedy była kimś zupełnie innym niż teraz i żyła zupełnie gdzie indziej. Rozejrzała się naokoło, gdy Pelham wciągnął za sobą drabinę i zamknął wjazd. Z boku znajdowało się małe okienko i Juliette przyszło na myśl, że gdyby miała więcej służących, jedna z nich mogłaby tu sypiać. Pokoik na strychu nie był jednak wystarczająco obszerny, by wygodnie pomieścić dwie osoby, zwłaszcza rosła postać Pelhama zajmowała zbyt dużo miejsca. W kącie stał kufer i Juliette z ciekawością go otworzyła.

Pelham wyjrzał przez okienko. Zapewne wolałby być w tej chwili razem ze swoimi ludźmi.

– Możesz coś przez nie dojrzeć? – spytała.

– Niewiele. – Spojrzał na nią. – Jeśli postawię teraz ten kufer na klapie wjazdu, nie zdoła tu nikt wejść wbrew naszej woli.

Wstała z klęczek, a on zamknął kufer, postawił go na klapie i dopiero wtedy otworzył go ponownie.

– Co to jest? Coś, o czym zapomnieli poprzedni właściciele?

– Nie – zaprzeczyła. – To moje rzeczy.

Ze zdziwieniem wyjął ze środka skromną brunatną suknię i brzydkie buty.

– To było twoje?

– W moim poprzednim życiu – odparła, wyciągając stamtąd z kolei spłowiałą szarą suknię i szkaradny kapelusz. Pelham przyglądał się jej, najwyraźniej próbując wyobrazić ją sobie w tych zwyczajnych, skromnych strojach. Odłożyła je na bok i wyjęła coś zawiniętego w szmatkę. Rozwinęła ją i natychmiast tego pożałowała.

– To musiało być twoje – powiedział Pelham, przechylając głowę, by przyjrzeć się dwóm oprawionym portretom. – Ale kim jest ten mężczyzna? Twoim ojcem?

– To Oliver Clifton. Mój były mąż.

– Och. – Wyprostował się i cofnął, najwyraźniej zażenowany.

– Mówiłam ci, że te rzeczy pochodzą z mojego poprzedniego życia.

Widok jedynych przedmiotów, jakie zdołała zabrać ze sobą, przygnębił ją. Zateśniła za matką i nawet za bratem, choć jemu bardziej zależało na własnej reputacji niż na rodzonej siostrze. Ani matki, ani brata nie widziała od lat.

Wyciągnęła kolejne zawiniątko i wyjęła z niego portret matki i ojca. Ustawiła go tak, by Pelham mógł mu się przyjrzeć. Gotów był sobie nadwerężyć szyję, usiłując je oglądać zbyt dyskretnie.

– To moi rodzice.

– Już nie żyją?

Wpatrzyła się w portret.

– Ojciec zmarł. Nie wiem, co dzieje się z matką. Nie widziałam jej od ośmiu lat. Ale jeśli nawet żyje, ja już dla niej jestem jak umarła. Kiedy Oliver wniósł o rozwód, i ona, i brat powiedzieli mi, że nie chcą mnie więcej widzieć.

– A więc to mąż żądał rozwodu z tobą?

Kiwnęła głową. Nie było to jednak całą prawdą.

– Z jakiego powodu?

– Jakiż mógł być? *Crimen coniugalis*. Niewierność małżeńska.

Pelham zdziwił się wyraźnie, a ona pokiwała głową, zdziwiona z kolei tym, że cokolwiek z tego, co by powiedziała i

zrobiła, może dziś jeszcze kogoś zaskoczyć. Zdumiało ją, że nie wiedział, iż jej rozwód spowodowała zdrada. Ale on niewiele czasu spędzał w Londynie, a już na pewno dużo mniej, niż sądziła, miał do czynienia z półświatkiem.

Chętnie by mu powiedziała, że cała ta historia z jej zdradą jest fałszem, ale wtedy musiałaby mu wyjawić całą prawdę, a tego nie chciała. Wyznała ją tylko Fallon, Lily i lady Sinclair. Doprawdy, nie miała zamiaru wypłakiwać się na ramieniu Pelhama.

– Wygląda na dużo starszego od ciebie – powiedział, najwyraźniej chcąc jakoś przerwać milczenie, które zapadło na strychu.

– No i był. Kiedy za niego wychodziłam, miałam siedemnaście lat, a on czterdzieści jeden.

– A ja myślałam, że zakochałaś się w kimś młodszym.

– Hm... – Wrzuciła portret Olivera z powrotem do środka, nie owijając go już w tkaninę, a za nim wizerunek rodziców. Chętnie by spaliła zawartość kufra, gdyby tylko mogła. Całą, z wyjątkiem...

Wpatrzyła się w brudną szmatkę, a potem ostrożnie odwinęła Pana Wąsika ze zwojów zniszczonego szala.

– Cóż to jest, u licha?

Uśmiechnęła się i przytuliła do siebie ukochaną zabawkę.

– Rzecz jasna, Pan Wąsik.

– Wygląda jak zwitek brudnych szmat.

Juliette przewróciła oczami.

– Brak panu wyobraźni, sir. Pan Wąsik, czyli królik, skoro nie potrafi się pan tego domyślić, był przez całe lata moim dobrym przyjacielem. Matka zrobiła go dla mnie, kiedy ojciec nie pozwolił mi mieć psa. A potem, kiedy już miałam psa...

Zawiesiła głos, przypominając sobie małego, brązowego pieska, którego Oliver dał jej w ślubnym prezencie. Był taki miękki, ciepły, ruchliwy i od pierwszej chwili patrzył na nią dużymi, brązowymi oczami z zaufaniem i miłością.

Skąd mogła wiedzieć, że to się tak okropnie skończy?

– A więc ojciec zgodził się w końcu, żebyś go miała?  
Spojrzała na Pelhama. Siedział teraz na kufrze i miał dziwnie łagodny wyraz twarzy.

– Nie. To mój mąż podarował mi szczeniaka. Piesek był po prostu uroczy.

Poczuła, że łzy się jej zakręciły w oczach, a jedna z nich, ku jej przerażeniu, kapnęła na suknię.

– Co ci jest? – spytał Pelham, a zabrzmiało to tak, jakby się przestraszył. Spojrzała na niego. Wyglądał na wyraźnie przejętego jej słowami.

– Nic. – Starła łzy z twarzy. – Po prostu przypomniałam sobie o tym piesku.

– Co się z nim stało? – spytał ostrożnie. Najwyraźniej bał się, by znów nie zaczęła płakać.

– Nie wiem. Oliver zawsze się odgrażał, że zabije Skrzata, kiedy wpadał w gniew. Nie mam pojęcia, co z nim właściwie zrobił. – Płakała już całkiem jawnie i nie była w stanie przestać, przygnębiona tym, że płacze w obecności człowieka, do którego nie czuła nawet cienia sympatii.

A tymczasem on, ku jej niesłychanemu zdumieniu, ukląkł przy niej, włożył królika ostrożnie do kufra i objął ją, choć nieco sztywno, ramieniem.

Była tak zaskoczona, że przestała płakać i wpatrzyła się w niego.

– Czy on go zabił? – spytał cicho Pelham. Coś w jego wzroku mówiło jej, że ją zrozumiał.

Czy to jednak było możliwe? Jak mógł ją rozumieć ktokolwiek, kto nie żył z człowiekiem, któremu sprawiało przyjemność sianie strachu wśród otoczenia i który wszelkimi sposobami usiłował podporządkować sobie żonę?

– Nie wiem. Ja... ja go czymś rozgniewałam. Jakimś niemądrym postępkim. Uszkodziłam jego dokumenty czy coś takiego. – Zaśmiała się niepewnie. – Może byłbyś tego samego zdania co on, i nie uważał wcale, że to błahostka. Ale ja byłam bardzo młoda i nie przejmowałam się drobiazgami, nawet gdybym



wiedziała, jakie to będzie miało konsekwencje.

Pamiętała, że był wtedy piękny, wiosenny poranek. Wyszła z domu, żeby pomóc gospodyni w rozwieszaniu bielizny, i zabrała baraszkujące szczenię ze sobą. Obydwoje próbowali ciągnąć za sznur, a pies wbiegł za nią w pobliską kępę polnych kwiatów.

Oliver poszedł sobie gdzieś tego ranka, a ona czuła się wolna i szczęśliwa. Po godzinie wpadła razem ze Skrzatem do domu, nie zważając na to, że oboje nanoszą błoto na podłogę. Nalała mu wody z dzbanka i patrzyła, jak Skrzat chciwie chłepcze ją ze swojej miseczki. A potem, jakże niemądrze, postawiła dzbanek na rogu stołu. Oliver zawsze zaś nakazywał służącemu, żeby właśnie tam kłaść jego papiery. Lubił zajmować się interesami nawet podczas posiłków, a ona postawiła mokry dzbanek akurat na nich i zniszczyła te dokumenty.

– Co się wtedy stało? – Głos Pelhama był spokojny, opanowany. Nie spytał, co rozumiała przez konsekwencje, ani nie powiedział, że dla jej męża dokumenty były zapewne czymś wręcz świętym. Zachęcił ją tylko, żeby mówiła dalej.

– Skrzat gdzieś zniknął i więcej go nie zobaczyłam. Szukałam go, zaglądałam wszędzie, ale go nie znalazłam.

– Spytałaś męża o niego?

– Owszem, ale on nie powiedział ani słowa, tylko się złośliwie uśmiechnął. – Zasłoniła oczy. – Och, nie potrafię tego opisać. To ten jego sardoniczny uśmiech uświadomił mi, że skończył na dobre z moim pieskiem. Myślę, że uważał to za odwet. Zniszczyłam coś, na czym mu ogromnie zależało, a on coś, na czym ogromnie zależało mnie.

– Pies to nie to samo co dokumenty, choćby nie wiem jak ważne.

Poczuła wyraźnie, że zrobił się serdeczniejszy. Już jej nie obejmował tak sztywno, jego uścisk był teraz bardziej łagodny. Poczuła woń wełny, z której uszyto jego surduty, i czysty zapach mydła bijący z koszuli. Spojrzała mu w oczy. Były intensywnie błękitne. Co za piękny kolor. Tajemniczy, jak on sam.

– Nigdy bym nie nazwała Olivera dobrym człowiekiem.

– A jaki był?

Wzrok jej powędrował ku jego ustom.

– Wolalabym o tym nie mówić.

Czuła, że jest jej ciepło i bezpiecznie, a prócz tego Pelham zaczynał ją pociągać. Od jak dawna nie całowała mężczyzny? Od jak dawna nie była przez mężczyznę całowana?

Pelham jej nie znosił. Czuła to w duchu. Chciała mu się zrewanżować tym samym, ale jakże miała nienawidzić kogoś, kto tulił ją, gdy płakała nad martwym od lat pieskiem? Jak mogła znienawidzić kogoś, kto siedział z nią na zagraconym strychu, niszcząc zapewne spodnie, które kosztowały więcej niż niejedna z jej najlepszych sukni? Kogoś, kto tak delikatnie obszedł się z Panem Wąsikiem, króliczkiem, który dziś był już tylko niczym więcej niż starą szmatką?

Uniosła się z lekka na kolanach, tak że ich twarze znajdowały się teraz na tym samym poziomie. Czekala, kiedy on wstanie, ale się nie ruszał. Przysięgłaby, że nawet nie oddychał.

Powoli, bardzo powoli uniosła się trochę wyżej i musnęła wargami jego usta. Przeszedł ją dreszcz, ale powstrzymała odruch, żeby się w nie łapczywie wpić.

Nie była już impulsywnym dzieckiem.

W ogóle nie była od dawna dzieckiem.

Zamiast tego powiodła dłonią po jego policzku, czując pod palcami lekki zarost. Niejasno sobie przypomniała, że zdjęła rękawiczki i położyła je na toalecie w swoim pokoju. Teraz była z tego bardzo zadowolona. Podobało się jej, że czuje pod palcami jego skórę. Była ciepła, co świadczyło o tym, że jest człowiekiem.

Wciągnęła w nozdrza jego zapach, poczuła smak herbaty i dżemu na jego wargach, a potem jeszcze raz musnęła je ustami.

Znieruchomiał jak posąg. Spojrzała mu w oczy. Były szeroko otwarte i bardzo pociemniałe. Z lekkim uśmiechem przesunęła końcem języka po jego dolnej wardze.

Gwałtownie wciągnął powietrze i otoczył ją ramionami.

– Czy mam przestać? – szepnęła. – Wiem, że to krańcowo niestosowne.

– Mało co w tobie nie jest niestosowne – odparł schrypniętym głosem.

– Myślę, że mogłoby ci się to spodobać.

– Nie. Ja...

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Nakryła jego usta swoimi w pocałunku, który sprawił, że poczuła żar w dole brzucha, a w całym ciele mrowienie. Na pewno jego też musiała mrowić twarz w tych miejscach, gdzie jej dotknęła. Nie opierał się, ale też nie odwzajemniał pocałunku. Lecz ona miała już dość mężczyzn, którzy za wszelką cenę chcieli sprawić, by czuła to samo co oni.

Cofnęła się i zaczerpnęła gwałtownie tchu.

– Przepraszam. Nie powinnam była tego robić.

Wpatrzył się w nią. Jakże jego oczy mogły być zarazem tak ciemne i tak piękne? Przyszło jej na myśl, że są jak szafirowy aksamit. Przypomniały jej ulubiony strój do jazdy konnej.

– No to dlaczego tak zrobiłaś?

– A dlaczego ktoś coś robi? – Cofnęła się i oswobodziła z jego objęć. – Bo chciałam i już!

Wstała i poczuła, że wszystko w niej wraca na swoje miejsce.

On natomiast wciąż wyglądał jak wyciosany z kamienia.

– Nie zachęcałem cię wcale.

– Ani trochę – zapewniła go, unosząc energicznie podbródek.

– Robiłeś wszystko, żeby mnie zniechęcić. Mogę zrozumieć dlaczego. Twoja narzeczona nie żyje. Całowanie się ze mną, czy zresztą z kimkolwiek, w dzień po jej śmierci zakrawałoby na coś niehumanicznego.

Podeszła do okna, mając nadzieję, że wyjdą stąd na tyle szybko, by przestała się czuć jak ostatnia kretynka.

– A jednak mnie pocałowałaś – usłyszała z tyłu za sobą jego głos, zrównoważony i logiczny. Czyli nie taki jak ona.

– Na chwilę odebrało mi rozum – wyjaśniła lekceważąco. – Uległam twemu męskiemu urokowi.

– Czy to była z twojej strony jakaś sztuczka?

Pelham wstał. Usłyszała, jak otrzepuje spodnie z kurzu.

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Nie. Ale powinnam była zastanowić się nad tym, co robię. Zapraǳnęłam cię i dlatego tak postąpiłam. To się już nie powtórzy.

– Do diaska, ależ jesteś szczerą – mruknął, przypatrując się jej.

– Chciałaś prawdy, no to ją usłyszałaś. Czy wolałabyś, żebym udawała, że cię nie pocałowałam? Że niczego nie czułam, kiedy mnie objąłeś, kiedy ja cię dotknęłam i spojrzałam ci w oczy? Chyba coś się zaczęło dziać między nami, ale Bóg mi świadkiem, że nie chcę już tego, podobnie jak i ty.

Znów odwróciła się szybko ku oknu, ale jego ręka chwyciła ją za łokieć i wciągnęła w jego ramiona.

– Co ty robisz...

Przez chwilę zastanawiała się, czy z nim nie walczyć. Nie lubiła, gdy ją czymś zaskakiwano. Nie lubiła, gdy ją traktowano bezpardonowo. Lecz potem jego uścisk złagodniał i Pelham przygarnął ją do siebie. Wstrzymała dech. Co teraz miało nastąpić? Czy znów usłyszy, że on jest księciem, a ona kurtyzana, istotą nieczystą, niewartą jego uwagi...

A tymczasem on ujął jej twarz w dłonie, zajrzał jej w oczy i powiedział:

– Jestem pewien, że Skrzata oddano jakiejś innej rodzinie. Być może dotąd jeszcze goni za królikami. – Pogładził kciukiem jej policzków. – A co do twego męża, to dobrze, że już go masz z głowy.

Potem puścił ją, a ona omal nie upadła na podłogę. On zaś podszedł ze spokojem do kufra, zepchnął go z klapy wjazdu i zostawił ją samą na strychu.

Nie oczekiwała, by jej wyjaśniał wszystko, co robił, ale chętnie by usłyszała choćby zwykłe „do zobaczenia”.

Siadła na podłodze i mało nie wybuchła śmiechem. Zdumiewające, jak ten człowiek potrafił podniecić ją, oszołomić i rozgniewać w ciągu ledwie dwóch minut. Wciąż brzmiały jej w uszach jego słowa. Czy miał świadomość, że już jej wybaczył, iż jest rozwódką? On, książę i chluba społeczeństwa, dopiero co pochwalił ją za to, że się pozbyła męża!

A w jaki subtelny sposób to zrobił. Nie sądziła, by Pelham był w ogóle zdolny do przejawiania uczuć, ale on najwyraźniej jej współczuł.

Ten człowiek był zagadką, a im bardziej wymykał się jej próbom zrozumienia go, tym bardziej pragnęła go zgłębić i tym mocniej ją przyciągał do siebie. Jane mówiła coś o sekretach. Jakież one były? Dlaczego czuła, że mimo wielkiej – nie, olbrzymiej – różnicy ich pozycji społecznych on ją rozumie?

Och, oby Lucyfera jak najszybciej schwytano! Im wcześniej drogi jej i Pelhama się rozejdą, tym lepiej. Bo ona...

Usłyszała skrzypnięcie podłogi pod strychem i szuranie butów. Było już za późno, by wciągnąć do środka drabinę lub zamknąć klapę, skuliła się więc za kufrem i wstrzymała oddech.

Podłoga znów skrzypnęła, a potem Juliette usłyszała, że jakiś mężczyzna postawił nogę na pierwszym szczeblu drabiny.

**R**zuciła na niego jakiś urok. Tylko to wyjaśniało, dlaczego on, księżę Pelham, pozwolił się pocałować kurtyzanie.

Może stało się tak dlatego, że było mu jej żal, zastanawiał się, idąc przez jej dom do schodów, na których zostawił swoich ludzi. Tylko że wcale jej nie żałował. Po prostu zrozumiał, jak się czuła i przez co przeszła.

Ale on nie chciał ani jej rozumieć, ani wiedzieć, przez co przeszła. Ta nieznośna kobieta zanadto zaprzętała jego myśli.

On także miał swojego Skrzata, tyle że nigdy by go tak nie nazwał. Jego pies wabił się Łowca. Pelham dostał go w prezencie na szóste urodziny. Był wówczas paniczem Williamem, przyszłym księciem Pelham.

Nigdy nie miał jeszcze psa ani niczego innego na własność. Panicz William kochał swojego pieska, a piesek kochał jego.

Jak cudownie było mieć kogoś, kto go kochał! Kogoś, kto lizał go po twarzy, nie odstępował go i zawsze biegł jego śladem. Pelham w swoim krótkim życiu nie miał jeszcze czegoś tak wspaniałego.

Ale powinien był wiedzieć, jak to się skończy. Powinien był wiedzieć!

Zatrzymał się tuż przy drzwiach domu i walnął pięścią w ścianę.

Do pioruna, miał tylko sześć lat! Skąd mógłby wiedzieć? No i dlaczego dopuścił do tego, żeby kazała mu znów wrócić myślą do tamtych dni?

Dawno już minęły. Nie był teraz dzieckiem. Nie był dotkliwie zranionym małym chłopcem. Był mężczyzną. Przeklętym księciem, i , jak wszyscy inni, aż za dobrze wiedział,

że związane z jego tytułem obowiązki znaczą więcej niż złe wspomnienia z przeszłości, które odżyły dzięki jakiejś kurtyzanie. Przeszłość się nie liczyła. Liczyło się to, że Pelham został księciem, który w jego ojcu wzbudziłby uznanie. Spełnił swój obowiązek.

Otworzył drzwi z takim trzaskiem, że przestraszył lokaja stojącego tuż po drugiej ich stronie.

– Wasza Wysokość, posłano mnie po pana. Przeszukaliśmy całą okolicę i nie znaleźliśmy ani śladu czegoś podejrzanego.

– Dobrze. Powiedz stangretowi, żeby powóz zajechał. Natychmiast stąd odjeżdżamy.

Pelham wszedł z powrotem do domu i wbiegł na górę po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zatrzymał się przed sypialnią Juliette, ale jej tam nie było. Spojrzał na jej łóżko, na nóż wbity w pościel. Co by się stało, gdyby w nocy wyrzucił Juliette na ulicę? Czy nóż utkwiłby w jej sercu?

Nie chciał się tym zajmować. Nie chciał brać odpowiedzialności za jeszcze jedną osobę, zwłaszcza za zuchwałą kurtyzanę, która sprawiała, że zaczął odczuwać... o wiele za dużo. Cóż miał jednak począć? W jakiś dziwny sposób należała teraz do niego. Siłą utorowała sobie drogę, która zawiodła ją pod jego opiekę. Cała rzecz w tym, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, nie dając się jej skusić.

Jego wzrok znów spoczął na łóżku.

Pokiwał głową i wyszedł z sypialni. Nie, cała rzecz w tym, żeby nie dopuścić do zrujnowania przez nią jego życia, jego rutyny. Tak, lady Elizabeth zapewne nie żyła, co było doprawdy fatalnym trafem. Nie mógł nic poradzić na to, że jej śmierć traktował jak po prostu fatalny traf, nic więcej. Czyż nie powinien być pogrążony w żalu? Czyż nie powinien myśleć o bezwzględnej zemście?

Za każdym jednak razem, gdy silił się, by żałować lady Elizabeth, myśli jego zaczynała zaprzętać zmiana, jaką jej śmierć wprowadziła w jego planach. Musiał dokonać w nich zmian. Przede wszystkim należało skończyć z ingerencją tej kurtyzany, tej

Księżny, i mordercy, Lucyfera, w jego życie. Nie podobały mu się drastyczne zmiany, jakim uległa przez te osoby i zdarzenia jego codzienna rutyna. Niech to licha, przestał nawet o tym myśleć, a przecież odstępstwo od rutynowych zajęć powinno mu sprawiać męczarnie!

Pelham pokiwał głową i wyjął kieszonkowy zegarek. Było już po dwunastej. Spóźnił się na obiad. Poprzysiągł sobie jednak, że po raz ostatni pozwolił, by coś naruszyło rozkład jego dnia.

Zajrzał do innych pokojów, ale w żadnym nie znalazł Juliette. O dziwo, wykazała się rozsądkiem i pozostała na strychu. Gdy obszedł już cały dom, stwierdził, że na pewno nie kryje się w nim żaden nieproszony gość.

Udał się więc pod włącz i zaczął wchodzić na drabinę. Ledwie jednak uniósł klapę, gdy coś przeleciało nad jego głową z takim świstem, że cały się skulił i omal nie spadł na dół.

– Co u diabła?!

– Och, to ty! – Pasma jej jasnych włosów opadło na najwyższy szczebel, gdy nachyliła się i ujrzała go czepiającego się gwałtownie drabiny.

– A ty myślałaś, że kto?

– Nie chciałam ryzykować – odparła, wzruszając ramionami.

Wspiął się na strych i spojrzał na lichtarz stojący tuż koło klapy.

– Czy to tym o mało mnie nie uderzyłaś?

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Uznałam, że to całkiem niezła broń.

Odsunął lichtarz na tyle daleko, by nie mogła po niego sięgnąć.

– Już nie potrzebujesz żadnej broni. Zejdź na dół i skończ się pakować. Zaraz odjeżdżamy.

– Dokąd?

– Do mojej rezydencji.

Zszedł po drabinie, starając się nie patrzeć w górę. Nie chciał ani przez chwilę ujrzeć jej nóg.

– A co potem? – spytała, gdy stanęła już koło niego.



– Nic.

– A więc nie pójdziemy za radą sędziego pokoju i nie opuścimy Londynu?

– Nie.

Szedł już ku schodom wiodącym do westybulu, zamierzając pozostawić ją samą przy pakowaniu rzeczy.

Pobiegła za nim.

– Dlaczego?

– Bo my, księżęta Pelham, nie uciekamy. – Przez chwilę niemal zapomniał o tej tak ważnej dewizie. – My stajemy do walki.

Sądził, że pobiegnie za nim, lecz kiedy się odwrócił, ujrzał, że Juliette stoi przy drzwiach sypialni z nieodgadnioną miną.

Być może ucieczka była jej problemem, uznała Juliette, gdy upchnęła już ostatnie rzeczy, uznane przez nią za niezbędne, w podróżnym kufereku. Był to już drugi z kolei kuferek, ale miała nadzieję, że Pelham nie będzie się z nią spierał o ilość bagażu. Już trzy razy przychodził ją ponaglać z kieszonkowym zegarkiem w rękę. Najwyraźniej odrywała go od jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawy. Zapewne od posiłku. Mężczyźni zawsze chcą jeść.

Nie wiedziała jednak, kiedy ona tu wróci, jeśli w ogóle wróci. No i, oczywiście, oznaczało to, że robi to, co zawsze. Ucieka.

Pelham powiedział, że nie chce uciekać, ale ona, szczerze mówiąc, nie rozumiała dlaczego. Zdawało się jej, że uciekała od zawsze, przez całe życie. Od śmierci ukochanego ojca. Od Olivera do Grzesznego Hrabiego, co było w gruncie rzeczy jedyną korzyścią, jaką kiedykolwiek zyskała dzięki ucieczce. Potem uciekła do Londynu, w życie olśniewającej kurtyzany. Myślała, że skoro została Księżną Zalotów, może już zapomnieć o wszystkim, czym była przedtem, i o wszystkim, co się jej przedtem przydarzyło.

Ale nie mogła. To wciąż trwało i czekało na nią na jej własnym strychu.

Nigdy też nie zdołała całkowicie uciec od Olivera. Zawsze

się go spodziewała i czekała, że pojawi się kolejny raz. W głębi ducha czuła, że nie uwolni się od niego do końca życia. Przyrzekł jej to przecież. I nie tylko to. A teraz musiała się też spodziewać najścia Lucyfera. Bała się, że choćby ich obydwu zesłano do Nowego Świata, nigdy się ich naprawdę nie pozbędzie. Nie mogła im bowiem stawić czoła, nie mogła z nimi walczyć, ani w przenośni, ani dosłownie.

Po prostu uciekała.

Nie każdy może stanąć do walki. Nie każdy ma przywilej bycia księciem Pelham.

Tylko że ona ujrzała w Pelhamie kogoś innego, gdy na strychu dotknął jej policzka. Pomyślała wówczas, że bycie księciem nie uchroniło go wcale od przykrych stron życia. Tak się jednak złożyło, że gdy zdołała zyskać na chwilę jakiś wgląd w jego serce – serce człowieka podatnego na zranienie – jej własne również się otworzyło. Może nie był takim złym człowiekiem?

Ktoś za nią chrząknął.

Odwróciła się i ujrzała tego złego człowieka w drzwiach jej sypialni, z otwartym kieszonkowym zegarkiem w ręce. Zamaszyście zatrasnęła kuferek.

– Skończyłam.

Pelham uniósł brwi.

– Czy to wszystko? Jesteś pewna, że nie trzeba tam dodatkowo wsadzić jakichś talerzy, poduszki albo jednego czy dwóch służących?

– Jesteś bardzo dowcipny.

Wsiedli do jego karety. Kufarki wstawiono do dwukołowego jednokonnego powoziku, który zajechał, gdy tylko Pelham wyrzekł kilka słów. Milczał jednak podczas jazdy przez Londyn. Juliette zerknęła spoza zasłonek na twarze mijanych przechodniów. Widziała na nich szacunek i uznanie, gdy dostrzegli książęcy herb.

Ona sama też zawsze zwracała uwagę ludzi, gdy jechała przez Londyn, ale spojrzenia, jakimi ją wtedy obrzucano, były dalekie od szacunku. Ludzie darzyli Pelhama respektem, podziwiali go. Nic dziwnego, że dbał o swoje nazwisko i reputację.

Miał czego strzec.

Gdy zbliżali się już do jego rezydencji, zaniepokoiła się. Pelham musiał ją widocznie obserwować, bo spytał:

– O co chodzi?

– Sama nie wiem. Jakiś powóz stoi przed twoim domem, a służący go obścibali. Najwyraźniej kłócą się o coś ze stangretem.

Pelham natychmiast rozsunął zasłonki.

– Niech to diabli! – Spojrzał na nią. – Przepraszam, ale z pewnością słyszałaś już i gorsze przekleństwa.

Oczywiście, że słyszała, ale to nie usprawiedliwiała Pelhama. Dlaczego miałyby się jednak spodziewać, że ma ją traktować jak damę?

– Dużo gorsze – odparła. – Co się tam dzieje?

– Przyjechał markiz Nowlund, ojciec lady Elizabeth. A także... tak, i jej matka.

Znow zaklął, a potem spojrzał na nią gniewnie, gdy powóz zaczął hamować.

– Zostań w środku. Pod żadnym pozorem nie pokazuj się na zewnątrz.

– Tak, sir – odparła, bagatelizując zaistniałą sytuację. Za nic nie chciała, by widział, jak ją rani konieczność ukrywania się. Nie mogła jednak nic poradzić na to, że jej obecność uwłacza Pelhamowi. Myślała, że już się pogodziła z tym, kim jest: niezależną kobietą, ulubienicą Londynu. Więc co z tego, że jacyś godni szacunku mężczyźni i kobiety udawali, że Juliette nie istnieje, i przechodzili na drugą stronę ulicy, gdy widzieli, że się zbliża?

Przedtem jej to w gruncie rzeczy nie przysparzało zmartwienia.

Nawet o tym nie myślała. Aż do dzisiaj. Aż do chwili, gdy znalazła się razem z Pelhamem.

Księżę wysiadł z powozu, a ona cofnęła się głębiej w jego półmrok. Drzwiczki się zamknęły. Usłyszała, jak Pelham wita się z markizem. Głosy obydwu mężczyzn ledwie do niej docierały. Potem dołączył się do nich jeszcze jeden głos, kobiecy, bardzo

wysoki. Przygnębiony.

Głos matki Elizy.

Jej rodzice zbliżali się do powozu księcia, bo stopniowo zaczęła rozróżniać poszczególne słowa.

– ...troszczy się w ogóle o naszą córkę? – spytała lady Nowlund.

– Oczywiście, milady. Już dziś rano rozmawiałem z sędzią pokoju.

– My również – powiedział lord Nowlund. – On niczego nie wie. Przetrzęsaliśmy trzykrotnie cały dom, szukając tych diamentów, ale nie znaleźliśmy niczego.

– Podobno ta... ta... tak zwana Księżna widziała, jak ją mordowano. – To mówiła lady Nowlund.

Juliette wcisnęła się w kąt powozu. Pogarda w głosie markizy była wystarczającym powodem, żeby się ukryć.

– Ale ja temu nie wierzę. Chodzi tylko o kolejną lukę w pamięci Elizabeth. Z pewnością zapomniała powiadomić nas o swoich zamiarach. – To był głos lorda Nowlund. A więc najwyraźniej lady Elizabeth nie po raz pierwszy zniknęła z domu.

– Tak! – Tym razem zabrała głos lady Nowlund. – Jak wtedy, gdy niedawno pojechała do Yorkshire. Nikt nie wiedział, dlaczego zapragnęła się udać właśnie tam. Czy to coś panu mówi, Wasza Wysokość? Czy nie wskazuje, gdzie ona mogłaby się znajdować?

– Nie.

– Och, mówiłam Elizie, że powinna skończyć z tymi swoimi wyprawami. Powtarzałam jej, że mężczyzna taki jak pan pragnie żony godnej zaufania i odpowiedzialnej. Teraz, jak przypuszczam, zerwie pan pewnie zaręczyny?

Juliette próbowała wyobrazić sobie, jaką Pelham ma minę podczas przemowy markizy. Niewątpliwie jego twarz musiała wyglądać jak wykuta z granitu.

– Nie wolno nam teraz mówić o takich rzeczach – powiedział książę. – Najpierw lady Elizabeth musi wrócić do domu. To nasza najważniejsza i jedyna troska w tej chwili.

Potem nastąpiła długa chwila ciszy, a Juliette z trudem

powstrzymywała się od rozchylenia zasłonek. Czy wszyscy troje już sobie poszli? – Nagle wręcz eksplodował głos lorda Nowlunda:

– Nie dam się uciszyć! Muszę panu zadać pewne pytanie!

Pelham się nie odzywał. Juliette widziała oczami wyobraźni, jak stoi sztywno i czeka, co będzie dalej.

– Czy te pogłoski są prawdziwe, Wasza Wysokość? – spytał lord Nowlund. – Czy zadaje się pan z tą... kurtyzana?

– Nie uważam tego pytania za godne odpowiedzi – odparł Pelham. Zręcznie się wykręcił, pomyślała. Może sobie poradzi.

– Czy ta kobieta, ta ladacznica, była powodem ucieczki mojej córki? – spytała lady Nowlund.

Juliette wsparła głowę na poduszkach obicia. W jaki sposób wplątała się w ten koszmar? Chyba nie mogło jej spotkać nic gorszego.

– Nie. Zapewniam, że nie zrobiłem nic, co mogłoby się przyczynić do zniknięcia lady Elizabeth. Nic mnie nie łączy z tą kurtyzana – odparł Pelham. Nawet w głębi powozu Juliette mogła dosłyszeć groźny ton jego głosu.

– Ale to nie jest wcale odpowiedź na moje pytanie – stwierdziła markiza. – Czy jest pan uwikłany w romans z tą kobietą, czy nie?

– Z pewnością nie – odparł Pelham.

A potem Juliette usłyszała na ulicy turkot kół. Gwałtownie nabrała tchu, gdy wyobraziła sobie, jak powozik z dwoma kuferkami zatrzymuje się przed rezydencją księcia.

Zamknęła oczy, gdy otwierały się drzwiczki. Kiedy znowu uniosła powieki, ujrzała lady Nowlund spoglądającą na nią z jawnym obrzydzeniem.

– Ależ ta ladacznica jest tutaj! Siedzi tu, wewnątrz powozu!

Za lady Nowlund Juliette dostrzegła Pelhama. Sądząc po nabrzmiałej żyłce na jego szyi, rozsadzała go furia.

– Jakże pan wytłumaczy obecność tej... tej dziwki? – chciał wiedzieć lord Nowlund, który również na nią patrzył.

Lady Nowlund spojrzała na Pelhama, a także na Juliette. Juliette zaś czuła, że co najmniej połowa okolicznych

mieszkańców patrzy teraz na Pelhama. Wstrzymała dech. Co on im powie? Jakaś bardzo drobna cząstka w niej pragnęła, aby jej bronił. Chciała, by powiedział: „Jak śmiecie nazywać ją dziwką? Jak śmiecie podawać w wątpliwość jej reputację? Nic o niej nie wiecie. Pod tą lodowatą maską jest serdeczną, wesołą, kochającą istotą i ma takie same pragnienia i marzenia, jak wy”.

Pelham zaś odparł:

– Powiedziałem już, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odnaleźć lady Elizabeth. Jeśli to znaczy, że muszę w tym celu mieć do czynienia z najgorszą warstwą społeczności, ze złodziejami, pijakami i nierządnicami, to tak uczynię. Nie oskarżajcie mnie jednak państwo nigdy, nigdy! – o to, że jestem związany z tą kobietą.

Lady Nowland i jej mąż cofnęli się, słysząc stanowczość w jego głosie.

– Czy to rozumiałe? – dodał.

Juliette zrozumiała to jak najbardziej. Zrozumiała doskonale.

*Pelham* siedział w bibliotece z kieliszkiem portwajnu w dłoni. Było późno, bardzo późno, a on czuł się znużony. Nie miał w zwyczaju przesiadywać samotnie nad winem. Lubił kłaść się o jedenastej i wstawać o świcie.

Ale jedenasta dawno już minęła, a on siedział tu i pił.

To ta kobieta nie dawała mu zasnąć. Widok jej twarzy, gdy dawał nauczki lordowi i lady Nowlund, zapadł mu głęboko w pamięć.

Och, było to tylko przelotne spojrzenie trwające nie dłużej niż sekundę, wyparte jej lodowatym wzrokiem. Dostrzegł je jednak. Przez moment widział, jak dotkliwie została zraniona.

To on ją zranił.

Do diabła! Nie chciał się tym przejmować. Jedynym, co mu się w niej podobało, było to, że nie miała w sobie emocjonalnej chwiejności, jaką odznaczała się większość kobiet. W obliczu przerażających wydarzeń, w jakich obydwójce brali udział, nie załamała się i nie wpadła w histerię.

Nie była też jednak z kamienia. Oczywiście, jej rozwiedziony mąż również ją zranił. *Pelham* wątpił, czy ujawniła to wielu mężczyznom.

Ale jemu się do tego przyznała.

A teraz i on ją zranił.

Sięgnął po butelkę z portwajnem i nalał sobie kolejny kieliszek. Już i tak był wstawiony, dlaczego więc nie miał się napić jeszcze kolejny raz?

Czego się jednak spodziewała? W końcu była kurtyzana, na litość boską! Sypiała z mężczyznami za pieniądze. Obydwie jej towarzyszki i ona sama cieszyły się dwuznaczną popularnością z

powodu usług świadczonych hrabiemu Sinclair. Nie wiedział, czy świadczyły je na zmianę, czy też jednocześnie, ale było mu to całkiem obojętne.

W końcu to nierządnicą.

Jaki jednak miała wybór?

Pelham znowu się napił, pragnąc zdusić cichy głos rozbrzmiewający gdzieś wewnątrz jego głowy. Gdzież jednak podział się głos jego ojca teraz, kiedy naprawdę chciał go usłyszeć?

– Zawsze można mieć wybór – mruknął. – Niekoniecznie trzeba kupczyć własnym ciałem, żeby przeżyć.

– Cóż ty o tym wiesz? Jesteś mężczyzną. No i księciem.

– Słusznie. Jestem księciem i wcale, do diaska, nie muszę cię słuchać.

– Jeszcze nic nie powiedziałam.

Drgnął tak gwałtownie, że część portwajnu wylała mu się na rozluźniony halsztuk i spłynęła na koszulę.

Zamrugnął, gdy ją zobaczył, i powąchał portwajn. Może ktoś dolał mu coś do wina, bo chyba nękają go przywidzenia?

– Wyglądasz, jakbyś miał już całkiem dość – stwierdziła, stając przed nim, a nim zdołał jej odpowiedzieć, wyjęła mu kieliszek z dłoni i sama pociągnęła łyk. – Niezłe. – Wzruszyła ramionami. – Wolę brandy, ale ostatnio musiałam przestać ją pić.

– Któreś tu weszłaś?

– Drzwiami. – Spojrzała za siebie, a on skorzystał ze sposobności, żeby się jej bez ceremonii przyjrzeć. Pod jedwabnym szlafrokiem miała na sobie coś, co wyglądało jak zwykła, biała nocna koszula. Była bosa, a jasne włosy związane kawałkiem błękitnego atlasu spadały jej na jedno ramię niby srebrzysta wstęga.

Nie przypominała kurtyzany. Och, przypuszczał, że jedwabny szlafrok mógłby wyglądać uwodzicielsko i podniecająco, gdyby tego chciała, ale nie na lnianej nocnej koszuli. Bez żadnych ozdób i z długimi włosami na ramionach wyglądała młodo i ładnie, wcale nie jak Księżna Zalotów.



Odwróciła się ku niemu, skierował więc szybko wzrok gdzie indziej.

– Nie mogę zasnąć. Przydałaby mi się jakaś książka.

– To ty czytasz?

– Czasami – zaśmiała się. Wskazała puste miejsce na sofie koło niego. – Mogę usiąść?

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Dlaczego? – spytała, a potem i tak usiadła na sofie. Poczuł, że jedwabny szlafrok musnął jego dłoń. Drgnął. – Bo jesteś wstawiony i mógłbyś wykorzystać tę sytuację?

– Nie jestem wstawiony.

– Przecież już nawet mówisz niewyraźnie. – Postawiła kieliszek z portwajnem na podłodze, koło nogi sofy. – No i oczy masz mętne. Zawsze poznam, kiedy mężczyzna jest pijany – stwierdziła rzeczowo.

– Nie jestem pijany. – Owszem, był, ale powiedział już, że nie jest, a był człowiekiem zdecydowanym. Już o czymś zdecydował wcześniej tego wieczoru. O czym właściwie? – Rano wyjeżdżamy.

– Myślałam, że książki nie uciekają.

– Ja nie ucie...kam – zająknął się, ale mówił dalej. – Tylko prowadzę śledztwo. To nie to samo.

– Oczywiście. Teraz widzę różnicę. Czy to śledztwo będzie się toczyło poza Londynem?

– W Yorkshire.

– W Yorkshire? Tam, gdzie masz wiejską posiadłość?

– Ona leży koło Nowlund Park, gdzie się wychowywała lady Elizabeth. Markiza powiedziała coś, co mnie bardzo żywo zainteresowało.

Juliette wyprostowała się na sofie.

– Powiedz, co to było, bardzo cię proszę. Strasznie chciałabym wiedzieć, co bardzo żywo zainteresowało mężczyznę takiego jak ty!

A więc to w ten właśnie sposób stała się osławioną kurtyzaną. Pelham nie przypominał sobie, by aż tyle mówił od...

no cóż, od bardzo dawna, a ona wciągnęła go do rozmowy. Mimo tej lodowatej maski łatwo się z nią rozmawiało.

No bo wcale nie była lodowata. Czuł bijące od niej ciepło.

– Daj spokój.

– Przepraszam, o co chodzi?

– Nieważne. Markiza wspomniała, że lady Elizabeth jakieś dwa tygodnie temu pojechała tam na krótko. Utrzymywała, że chce obejrzeć jeszcze raz ziemie, które przypadną jej w wianie, nim wyrazi zgodę na zaręczyny.

– Ach, więc jej posagiem są ziemskie włości.

– Co masz na myśli?

– Sama nie wiem. Sądziłam, że byłeś w niej zakochany, ale potem zrozumiałam, że tak nie jest. Ciekawiło mnie, co może skłonić takiego mężczyznę jak ty do małżeństwa.

– Jestem księciem. Powinienem spłodzić dziedzica rodu.

– Jasne, ale dlaczego akurat z lady Elizabeth? Teraz już wiem. W grę wchodził majątek ziemski.

Obrażała go pod pozorem prawienia komplementów.

Wyraźnie to wyczuwał.

– Chcę wiedzieć, dlaczego lady Elizabeth wybrała się do Yorkshire. Wcale jej nie obchodził ten majątek.

Juliette otworzyła szeroko oczy.

– Myślisz, że ukryła tam diamenty.

– Nie wiem. Początkowo, jak sądziłem, usiłowała wmówić Lucyferowi, że to ty masz te diamenty. Nie potrafię się domyślić dlaczego.

– Bo nas łączono ze sobą w gazecie. Zapewne powiedziała mu, że ty mi je dałeś. – Pokiwała głową. – Tak, to nabiera sensu. Tamtej nocy Lucyfer mówił mi: „Wiem, że on ci je dał”. Musiał mieć na myśli ciebie, Will.

Pelham nie zwrócił uwagi na krańcowo niestosowną formę swego imienia. Zresztą nie brzmiało ono wcale Will, tylko William.

– Dlaczego właśnie ja miałbym mieć te przeklęte diamenty?

– Po prostu Eliza powiedziała Lucyferowi, że je masz. Nie

wiem, jakie jeszcze kłamstwo wymyśliła. Mogło to być cokolwiek: że na przykład zaskoczyła ją z nimi i zmusiła do wyznania, skąd je wzięła, albo że poprosiła cię, byś je wziął na przechowanie...

– Przecież ja ich nie mam.

– Tylko że Lucyfer tego nie wie, a jeśli uważa, że je masz, grozi ci niebezpieczeństwo.

– W takim razie najlepiej byłoby je znaleźć.

– Czy mu je zwrócisz?

– Nie. Chcę jednak wiedzieć, z jakiego powodu grozi mi niebezpieczeństwo, a także dlaczego zginęła lady Elizabeth.

Chwyciła go za ramię, a on zdał sobie wtedy sprawę, że jest bez surduta. Przez cały czas tej rozmowy siedział bez surduta, a halsztuk miał rozluźniony. Co za niewybaczalne niechlujstwo.

– A więc sądzisz, że ona nie żyje?

– Nie mam powodu sądzić, by było inaczej.

Spojrzał na jej dłoń, którą trzymała go za ramię. Ona również spojrzała.

– Nie zamierzam nadużywać twojego zaufania w tej sytuacji. Cofnęła dłoń.

– Wiem, że nie zrobiłbyś tego.

– Nazwałem cię nierządnicą.

Wiedział, że stwierdza rzecz oczywistą. Co więcej, wiedział też, że nigdy by tego tematu nie poruszył na trzeźwo.

Zaśmiała się, ale zgryźliwie.

– Wiem. Słyszałam, jak to powiedziałeś.

– Wyrzuciłem ci wielką przykrość.

Uniosła podbródek, ale bez wyniosłej rezerwy.

– Nie byłam tym zachwycona, ale słyszałam to nie po raz pierwszy i pewnie też nie ostatni.

– Nie jesteś z lodu.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Dziwne rzeczy mówisz, kiedy jesteś wstawiony. –

Skierowała spojrzenie gdzie indziej, przypatrując się książkom za jego biurkiem. – Tak, nie jestem z lodu – uznała ze spokojem. – Ty również, ale oboje jesteśmy twardo opancerzeni. – Znów

skierowała wzrok na niego, a jasnoblękitne oczy przenikały go jak dwa sople lodu, tylko że były o wiele od nich cieplejsze. – Wiesz, skąd się wziął mój pancerz. A twój?

– Jestem księciem, więc ludzie spodziewają się, że...

– Będziesz pompatyczny?

Zrobił niezadowoloną minę.

– Że będę... budzić respekt.

– Och, budzisz go, ale czuję, że teraz chcesz mnie przeprosić.

– Dlaczego miałbym cię przeproszać? – spytał zaskoczony.

– Bo mnie uraziłeś.

– Książęta nie przepraszają.

– Nie, bo są na to o wiele za arogancy. – Wstała, a on zbyt późno zrozumiał, że Juliette chce odejść. A także, że on nie chce tego. Uświadomił to sobie, gdy spostrzegł, że trzyma ją za nadgarstek.

Jej spojrzenie było tak chłodne jak zimowy dzień.

– Chwycił mnie pan za nadgarstek, Wasza Wysokość.

– Nie nazywaj mnie w ten sposób.

Co on właściwie powiedział? Sam się zdumiał. Coś z nim było nie w porządku, a nawet bardzo nie w porządku. Jego ciało – i jego usta – nie były posłuszne umysłowi.

– Jak w takim razie mam do ciebie mówić? Jaśnie

Oświecony Książę?

– Will.

Coś błysnęło nagle w jej oczach. Rozbawienie? Zaskoczenie?

– Czy zamierzasz wykorzystać tę sytuację, Will?

– Być może.

Z powrotem przyciągnął ją ku sobie, na sofę.

– No i nie będę później za to przeproszał.

– Nie będziesz. Jestem tego pewna.

Wpatrzył się z nią, oniemiały z zachwyty, że ma przy sobie taką piękną istotę. Rankiem pocałowała go na strychu, a on nie potrafił o tym doznaniu zapomnieć. Ani o jej zapachu, ani o smaku. Pragnął czegoś więcej.

Nie mógł tego jednak otrzymać. Był księciem, a ona

kurtyzaną, on zaś nie chciał kochanki.

Nigdy nie będzie miał niczego więcej.

Zamrugła, a potem uniosła jedną z tych swoich wygiętych w łuk brwi.

– I co? Już myślałam, że wykorzystasz tę sytuację.

Mógł to uczynić. Mógł ją pocałować, mógł jej dotknąć. Nie byłoby to bynajmniej wykorzystaniem sytuacji, zważywszy na to, kim i czym była. Nie uważał jednak, by mógł tak postąpić, bo im dłużej ją znał, coraz mniej stawała się Księżną Zalotów, a coraz bardziej Juliette.

– Czy rozmyślasz nad tym, Will? – spytała z westchnieniem.

– Zastanawiam się, co wybrać.

Przewróciła oczami.

– Czy mam się na ciebie rzucić jak dzikie zwierzę? – spytał.

– Robi to większość mężczyzn.

– A czy ty tego chcesz?

– Will... – Ujęła go za ramiona. – Nie chcę, żebyś brał mnie przemocą, ale kobieta lubi się czuć pożądaną. A ja już widzę, jak ty sobie wszystko układasz w głowie. Zaraz wyjmiesz zegarek i sprawdzisz godzinę. – Wstała. Tracił ją. – Całe to twoje zastanawianie dało mi czas na rozpamiętywanie własnej sytuacji. Czy wiesz, co ja rozpamiętywałam? Wczoraj mnie obraziłeś. Obrażałeś mnie zresztą przy wielu okazjach i nazwałeś mnie kłamczuchą. Wyciągnąłeś mnie siłą z łóżka i upokorzyłeś w obecności służby.

Wstał.

– Upokorzyłem cię?

– Tak! Pocałowałam cię tamtego wieczoru, bo czułam się zraniona... no i dlatego, że... – zacisnęła dłoń, jakby zaraz miała powiedzieć coś przykrego – ...byłeś miły. Przynajmniej raz. Ale nie chcę cię znów całować. A już na pewno nie chcę znaleźć się w twoim łóżku. Pewnie patrzysz na ten przeklęty zegarek nawet wtedy, kiedy się kochasz!

Odwróciła się na pięcie. Stał, gotów pozwolić jej odejść

Ale odezwała się w nim duma. Zrobił trzy kroki, objął ją w

talii i obrócił ku sobie.

– No i co teraz?

– To teraz!

Nachylił się lekko nad jej ustami i pocałował ją. Chciał jej dowieść, że potrafi być spontaniczny, że nie jest taki, jakim go odmalowała. Lecz oczywiście, gdy tylko ją pocałował, zaczął się niepokoić, czy to aby nie błąd i czy nie powinien pójść teraz do łóżka, sam, żeby przygotować się do wczesnego wyjazdu.

A wtedy ona oddała mu pocałunek.

Usta jej poruszyły się pod jego ustami i cicho zamruczała, jak zadowolona kotka. On zaś zapomniał o wszystkim prócz kobiety w jego ramionach. Usta jej były miękkie i słodkie, nabrzmiewały pod jego wargami, a oddech miał w sobie lekki smak wypitego przez nią portwajnu. Jedwabny szlafrok był cienki, tak że mógł wyczuć przez tkaninę krągłość jej ciała, gdy wziął ją w ramiona. Była ciepła, kobieca i odpowiedniego wzrostu. Nie musiał się nachylać, by dosięgnąć jej ust.

Ręka jego przesunęła się po jedwabiu na jej plecach i chwyciła za jedwabiste włosy. Były gęstsze, niż na to wyglądały, a także miększe. Mógł je sobie wyobrazić rozsypane wokół niej na tych jej błękitnych prześcieradłach. Mógł sobie wyobrazić ją, mruczącą w jego łóżku, kiedy dawałby jej rozkosz.

Chwyciła go dłońmi za włosy i przyciągnęła ku sobie. Nie mógł się nią nasycić i całował ją głęboko, żarliwie. Wygięła się pod nim i szepnęła:

– Will.

Dźwięk tego zdrobnienia przełamał w nim ostatnią barierę. Przywarł do niej, wodził nosem po jej szyi, wdychając woń lawendy. Całując jej ucho, poczuł, jak zadrżała, i jęknął.

Ale ona nie jęczała, ona mówiła.

– Dotknij mnie – wyszeptała. – Już od tak dawna... Dotknij mnie.

Wzięła jego rękę i powiodła nią po swojej wąskiej talii, po żebrach i pełnych piersiach. Ujął je w dłonie, czując przez cienki materiał, jak twardnieją ich koniuszki. Przypomniawszy sobie

miętkość jej ciała, gdy chwycił ją za ramię w Carlton House. Czy mogło być jeszcze miększe?

Nie myśl teraz, Pelham, upomniał sam siebie i uczynił to, czego żądało jego ciało. Zdarł z niej szlafrok. Ujrzał, jak pada i rozpościera się na podłodze, a potem wpatrzył się w porcelanowe ramię wyzierające spod luźnej nocnej koszuli. Wsunął w jej dekolt palec i przesunął nim ku dołowi.

Oczy ich się spotkały. Zwilżyła wargi językiem. Cały się sprężył, by zedrzeć z niej tę koszulę, lecz pohamował się resztkami sił i został za to nagrodzony widokiem jej pełnych piersi. Chwilę później ukazały się różowe obwódki sutków i ich stwardniałe czubki.

Palec jego prześlizgnął się po tym ciele tak miękkim, że nie potrafiłby tego określić, a sposób, w jaki zareagowała na to jej skóra, doprowadził go do szaleństwa. Gładził sprężone gwałtownie ciało, a głowa Juliette odchyliła się lekko w tył, jakby już mu się oddawała.

Brał ją. Bez namysłu, nachylając usta nad tym niewiarygodnie miękkim ciałem i cudownie zeszywniałym sutkiem. Ujął go wargami, smakując go, liżąc i ssąc delikatnie, póki nie krzyknęła. Przesunął się razem z nią ku sofie, pragnąc poczuć Juliette pod sobą, pragnąc przyglądać się każdemu calowi tego giętkiego ciała.

Zrobili wspólnie dwa lub trzy kroki i nagle coś brzęknęło.

Poderwała się, a on natychmiast oprzytomniał. Czyżby Lucyfer w jakiś sposób zdołał przedostać się do tego domu? Pelham rozstawił na straży wokół niego dodatkowych ludzi. Nie wierzył, by Lucyfer zdołał się pomiędzy nimi prześlizgnąć, ale nie chciał ryzykować. Zasłonił sobą Juliette i rozejrzał się wokoło, szukając jakiejś broni. Najbliżej leżał pogrzebacz.

– Will.

Mógł sięgnąć po niego i...

– Will...

Odwrócił się.

Wskazywała na podłogę. Leżał na niej przewrócony kieliszek

z portwajnem. Ciemny płyn utworzył na posadzce małą kałużę.

– To tylko kieliszek. Potraściłam go stopą.

– Widzę.

Spojrzał na nią. Juliette podciągnęła nocną koszulę i okryła nią piersi. Był to krępujący moment, a on przypomniał sobie, dlaczego unikał wplątywania się w bliższe relacje z kobietami – do diabła, z kimkolwiek – zawsze bowiem nadchodziła ta kłopotliwa chwila, gdy człowiek lęka się, że odsłonił za wiele.

Co powinien teraz powiedzieć? Co zrobić? Dlaczego, do licha, w ogóle zaczął ją całować?

– Skoro nadeszła odpowiednia pora na przeprosiny – Juliette nachyliła się i podniosła z podłogi szlafrok – a obydwójce wiemy, że nie chcesz tego zrobić, to chyba powinnam sobie pójść.

Otuliła się szlafrokiem i zawiązała go starannie. Nie wydawała się ani trochę przejęta tym, że dopiero co dotykał jej całej rękami, nie mówiąc już o ustach i języku. Dłonie wciąż jeszcze drżały mu z podniecenia, ale jej palce poruszały się sprawnie, niczym linoskoczek na linie.

Przyszło mu na myśl, że to dla niej nic nie znaczyło. Dlaczego zresztą miałyby cokolwiek znaczyć? Przecież jest kurtyzaną. To dla niej zwykła rutyna. Czy w ogóle coś czuła, kiedy jej dotykał?

– Wyjeżdżamy jutro o świcie – powiedział, a własny głos wydał mu się zaskakująco spokojny, zważywszy, jak krew tętniła mu w uszach, a także w innych częściach ciała.

– Owszem, i wiem, co się stanie, jeśli nie będę ubrana i gotowa do podróży zgodnie z twoim rozkładem dnia – odparła.

A potem zaśmiała się i tanecznym krokiem wyszła.

Pelham patrzył, jak opuszcza pokój, po czym usiadł i objął głowę rękami. Teraz, kiedy już jej nie było, nie potrafił zrozumieć, co właściwie zrobił. Logicznie i racjonalnie wyjaśniał sobie, że popełnił błąd, dotykając jej. Pocałunek był wręcz skandalicznym błędem. A cała reszta – kompletną katastrofą.

Ale kiedy ona znajdowała się tuż przy nim...

Przejechał dłonią po włosach. Kiedy była tuż przy nim,



wiedział wprawdzie, że robi błąd, ale go jednak popełniał.

Spojrzał na biurko i na portret wiszący po prawej stronie mebla. Doprawdy, jego zachowanie było niewybaczalne, pomyślał, patrząc na wizerunek ojca. Okazał słabość. To był postęp niegodny księcia.

Ale to się już nie powtórzy.

Nie dotknie jej więcej.

Nie oznaczało to jednak, że przestanie jej pragnąć.

Juliette uznała, że ten człowiek jest z kamienia. Jechali jego doskonałą książeczą kareta. Pelham siedział naprzeciw niej, czytał „Timesa” i nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Czytał tak przez całe sześć ostatnich godzin.

Prawda, że nie musiała nawiązywać z nim rozmowy, ale w końcu odgrywała rolę Księżny Zalotów. Powinna była przyzwyczać się już do czegoś takiego, zamiast dopraszać się uwagi rankiem po nocy miłosnej i głowić się, co zrobiła niewłaściwego.

A głowiła się przez całą noc. Gdy przerwał im miłosną grę ten brzęk, spojrzał na nią tak groźnie, że się przestraszyła. Uznała więc, że lepiej będzie jak najprędzej odejść, choć wciąż miała nadzieję, że jej na to nie pozwoli.

Miała nadzieję, że źle go oceniła.

Miała nadzieję, że...

Wyobraziła sobie twarz lady Sinclair. Hrabina spoglądała na nią surowo. Nadzieję mają naiwne, młode dziewczyny, a nie kobiety niezależne. Sama nadzieja niczego nie zdołała.

Mogła mieć nadzieję, że Pelham coś do niej czuje. Niczego więcej nie pragnęła. To, co robił, świadczyło jednak, że jest całkiem inaczej. To, co mówił, również.

Po cóż go w ogóle pocałowała? Przecież od samego początku ją znieważał. Lady Sinclair uniosłaby brew i spytała:

– Juliette, dlaczego chcesz całować mężczyznę, który najwyraźniej nie cierpi cię?

Tylko że tak nie było. Tak się mu jedynie zdawało. W rzeczywistości pragnął jej, pragnął, by ktoś wyrwał go z tej

ogłupiającej rutyny i wniósł coś wesołego w jego życie. Mówił wprawdzie, że jej nie chce, że jej nie lubi, ale jego oczy mówiły coś całkiem innego.

Kiedy na nią patrzył, jego wzrok – surowy i groźny – sprawiał jej przykrość. Nagle jej skóra zaczynała być tak przeczulona, że nawet najmniejsze jedwabie drażniły ją i ocierały. A gdy w chłodzie poranka spierała się z nim, czy doprawdy mają jechać powozem z książęcym herbem, on spojrzał na nią w taki sposób, że poczuła się, jakby stała na środku pustyni.

A także...

Wiem! Wiem! Wiem! Odpowiedziała w duchu lady Sinclair. To było szaleństwo. Chciała, żeby jej pragnął, chciała w jego wzroku odnaleźć to, co ona czuła do niego. Ale nie widniało tam nic poza pożądaniem.

Nie było miłości. Nie było nawet chęci romansu.

Zbyt długo już nie była z nikim związana. Spędziła zbyt wiele długich, samotnych nocy, pragnąc, by ktoś ją trzymał w objęciach. Pelham dał jej jasno do zrozumienia, że nie będzie tym mężczyzną.

Nie chciała zresztą, by właśnie on nim był. Pragnęła mężczyzny, który by ją kochał, który by ją zaakceptował taką, jaka była, a nie taką, za jaką ją uważał.

No i z pewnością nie chciała księcia, który skupiał na sobie całą uwagę, gdziekolwiek się udawał. Nigdy nie byłaby zdolna przewyciężyć przeszłości, gdyby wyszła za księcia. Chociaż zastanawiała się nieraz, czy zdołałaby ją w ogóle przewyciężyć, obojętne, za kogo by wyszła.

Pelham był oziębły i najwyraźniej obojętny względem tego, co zaszło między nimi ostatniej nocy. Czy wiedział, jak rzadko można doznać podobnego podniecenia, podobnej namiętności? Rozmawiała z wieloma kurtyzanami i tylko nieliczne z nich odczuwały cokolwiek podczas sypiania z mężczyznami. To nie było coś, co trafia się każdemu. Gdy zresztą sama całowała się z mężczyznami, czuła jedynie względny niesmak.

Nie umiałyby powiedzieć, dlaczego Pelham wydał się jej

inny. Dlaczego, gdy jej dotykał, całował ją czy choćby tylko z nią rozmawiał, wszystko w niej zdawało się topnieć i rozpląwać. Ale tak właśnie się działo i to nie było w porządku.

– To niesprawiedliwe!

Opuścił gazetę.

– Co nie jest sprawiedliwe?

Zagryzła wargi. Czyżby nieświadomie myślała na głos?

Spojrzał na nią przelotnie. Te jego ciemne oczy znów ją oczarowały. Z trudem zaczerpnęła tchu. Nie będzie więcej robić głupstw!

– Chciałam spytać, czy już dojeżdżamy do celu?

– Przecież jedziemy do Yorkshire – odparł zaskoczony.

Może i jest głupia, ale nie powinna się zachowywać jak nieprzytomnie zakochana kobieta.

– Ale chyba zajedziemy gdzieś na nocleg? Zatrzymywaliśmy się tylko na stacjach pocztowych, a ja wysiadłam z powozu jeden jedyny raz w ciągu sześciu godzin, i to ledwie na pięć minut.

– Prawie na piętnaście – odparł.

– Zapewne wiesz lepiej, skoro wciąż patrzysz na swój bzdurny zegarek.

Spojrzał na nią gniewnie, a było to spojrzenie, przed którym cofnąłby się nawet pierwszy minister. Juliette jednak nie przestraszyło. Była już żoną Olivera, czyhał na nią Lucyfer. Byle Groźnego Księcia nie będzie się bała.

– Ktoś z nas dwojga musi pilnować rozkładu dnia – odparł. – Z pewnością nie ty.

– Och, ten twój rozkład dnia i rutyna! – I twoje zimne serce, dodała w myśli. – Czy kiedykolwiek odstępujesz od tego rozkładu? Czy choć raz poprosiłeś stangreta o zatrzymanie powozu, żeby z niego wysiąść i przejść się po polu pełnym kwiatów? – spytała, rozsuwając zasłony i wskazując mu piękną łąkę. Nie było na niej wprawdzie polnych kwiatów, ale z drugiej strony niskiego ogrodzenia jakiś gniady kucyk skubał wschodzącą trawę. – Czemu nie zatrzymasz się i nie dasz mu kilku jabłek? Słońce już wzeszło.

– Wskazała na niebo, które było raczej szare i zachmurzone, ale

chwilami zza chmur wyglądało słońce. – Robi się ciepło. – Jeśli tylko ktoś ma na sobie ciepły spencerek. – Może już nigdy nam się nie trafi taka sposobność.

Spojrzał na nią tak, jakby uznał, że straciła rozum. No i rzeczywiście całkiem zwariowała. Chciała koniecznie wysiąść z powozu, zanim powie lub zrobi coś, czego potem będzie żałowała.

– Nie zatrzymamy powozu ani nie będziemy karmić kucyka, bo... – i zaczął wyliczać na palcach – konie źle znoszą ciągłe przerywanie jazdy. Trzeba je potem chłodzić, wycierać i oprowadzać. Nie można wciąż się zatrzymywać i ponownie ruszać podczas długiej podróży, takiej jak nasza. – Zgiął następny palec, a Juliette westchnęła. – Poza tym nie mamy jabłek dla kucyka. – Zgiął trzeci palec. – Nie wybraliśmy się w tę podróż dla przyjemności. – Po czym zaciągnął zasłonki gwałtownym ruchem i wrócił do gazety.

Urażona Juliette otworzyła książkę, którą zabrała z biblioteki. Był to *Zakon Calatrava* i właściwie lektura powinna jej sprawić przyjemność, lecz w obecności Pelhama nic nie mogło być przyjemne. Jakby na potwierdzenie jej słów pół godziny później zaczął padać deszcz. Nie był to drobny deszczyk, ale gwałtowna burza. Po pierwszym grzmocie Pelham przestał czytać gazetę.

Juliette spojrzała na niego z wyrzutem.

– Zobacz, co narobiłeś!

Chciał jej odpowiedzieć, ale ona otworzyła książkę, nie zwracając na niego uwagi.

Nieznośny osioł!

*Pelham* stał w strugach deszczu i nadzorował stajennych z oberży, którzy wprowadzali jego konie do stajni. Podczas godzinnego brnięcia przez błoto zmęczyły się i zgłodniały. *Pelham* wycierał je osobiście, przemoczony do suchej nitki i niezmiernie wyczerpany. Chciał jechać przez większą część dnia i wieczorem, a teraz jego starannie obmyślony plan legł w gruzach.

A *Juliette* w dodatku obwiniała go o ściągnięcie burzy! Równie dobrze on mógłby jej to zarzucać. W końcu jego życie było idealnie zaplanowane, idealnie uporządkowane, nim ona w nie wkroczyła.

Kiedy końmi zajęto się już jak należy, powłókł się z wysiłkiem przez pełen błota dziedziniec do oberży. Nie była to zła oberża. Jednak zatrzymywał się tutaj nie dlatego, że robili tak również inni członkowie socjety, lub dlatego, że zależało mu na ich towarzystwie. Oberża bynajmniej nie była luksusowa, ale mógł się spodziewać, że właściciel zapewni mu ciepłą kąpiel, gorące jedzenie i czyste łóżko. Korciło go, żeby spojrzeć na zegarek, bo nie był pewien, czy to już właściwa pora na posiłek, ale oparł się tej chęci. Chciał coś zjeść, obojętne, czy był po temu czas, czy nie.

A *Juliette* zarzuciła mu brak spontaniczności!

*Pelham* pchnął drzwi oberży i stanął jak wryty. Gdy odprowadził *Juliette* do głównej izby, było tam cicho i spokojnie, a kilkoro mężczyzn i kobiet siedziało nad filiżankami z herbatą przy małych drewnianych stolikach. Teraz usłyszał donośne, schrypnięte głosy i... chyba jakieś śpiewy! Przyjrzał się grupie mężczyzn w rogu izby. Większość z nich wsparła nogi na drewnianej ławie, wyglądali tak, jakby koniecznie chcieli zwrócić na siebie uwagę.

Poza tym w izbie było tylko kilka dziewcząt obsługujących gości.

Pelham powiódł wzrokiem od mężczyzn do wnętrza izby.

Nie dostrzegł tam żadnej kobiety poza służącymi. Ale nie było też i Juliette. Podeszedł do mężczyzn. Wiedział, co zobaczy, nim ją jeszcze ujrzał.

Przy jego wzroście nie musiał długo szukać jej wzrokiem. Siedziała, śliczna jak obrazek, na krześle, a wokół niej tłoczyło się jakieś pół tuzina mężczyzn, jeśli nie więcej. Podawali Juliette na wyścigi jedzenie i napoje, a każdy z nich robił wszystko, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Ona zaś obdarzała wszystkich uśmiechem lub spojrzeniem.

Owinęła ich sobie wokół palca tak umiejętnie, że mógłby ją podziwiać, gdyby nie to, że był na nią wściekły. Musiał wręcz promieniować wściekłością, bo kilku mężczyzn stojących najbliżej cofnęło się raptownie i wzrok Juliette spoczął na nim.

– Will! – powiedziała i się uśmiechnęła.

Wściekłość Pelhama przeobraziła się w furię, gdyż skupił na sobie powszechną uwagę.

– Co ty wyrabiasz? – warknął.

– Czekam na ciebie – odparła, jakby to było najzupełniej oczywiste.

– A ci ludzie? – wskazał gestem otaczających ją mężczyzn.

– Och, to przyjaciele. Znasz chyba lorda...

– Powiedziałem, żebyś zaczekała na mnie, a nie uprawiała swoje rzemiosło.

Twarz jej pobladła, a oczy się zwęziły. Wstała powoli.

– Przepraszam, ale ja tylko rozmawiałam z przyjaciółmi, nic więcej.

Podeszedł bliżej i choć był świadom, że zaraz dojdzie między nimi do sceny – a on scen nie cierpiał – nie mógł się jednak powstrzymać.

– Wszyscy ci przyjaciele pragną wziąć cię do łóżka.

– Czy to twoja sprawa? – spytała, biorąc się pod boki. – Nie jestem twoją własnością. Nic ci do tego, co robię lub czego nie

robię! Z kim śpię albo też nie śpię!

Wyraz jej twarzy powiedział mu dobitnie, do której kategorii go zalicza.

Już otwierał usta, żeby dać jej odpowiedź, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Miała rację. Ale to, że jej nie pragnął (ta myśl była jawnym kłamstwem), nie znaczyło, że chciał, by ktoś inny ją miał. Spojrzał na otaczających ją mężczyzn. Odniosł wrażenie, że uśmiechają się szyderczo i tylko czekają, by z niej zrezygnował, żeby sami mogli zająć jego miejsce.

Tylko że on wcale nie zamierzał zrezygnować.

Chwycił Juliette za ramię, przyciągnął ją do siebie, objął w talii i pocałował. Próbowwała protestować, ale uciszył ją jednym ruchem języka. Nie omdlała jednak w jego ramionach, jak wtedy w bibliotece. Poznał po jej zeszywniałych plecach, że jest oburzona, lecz mimo to poddała się pocałunkowi.

A gdy się od niej oderwał, w obozisku wybuchły głosy uznania i wiwaty. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Spojrzała na niego w sposób, który u kogoś innego wywołałby ognisty rumieniec i chęć ucieczki, gdzie pieprz rośnie.

– Gospodarzu! – zawołał donośnie.

– Słucham, Wasza Wysokość! Jestem do usług! – Oberżysta podbiegł ku niemu.

– Proszę odprowadzić Księżnę do mojego pokoju. Nie biorę drugiego. Jeden mi wystarczy.

– Tak, Wasza Wysokość.

Nie spodziewał się po Juliette kłótni ani protestów. Nie postępowała w ten sposób. Była naprawdę księżną w każdym calu. Po królewsku, z wysoko uniesioną głową, poszła spokojnie za oberżystą.

Okazała się dużo lepszą księżną niż on księciem! Jego ojciec byłby z niej dumny, a zgorszony zachowaniem syna. Pelham pokręcił głową. Cisza dzwoniła mu w uszach.

Czyjaś dłoń klepnęła go po plecach tak mocno, że omal nie upadł.

– Właśnie tak trzeba robić, Pelham! Pokaż babie, gdzie jest

jej miejsce.

Odwrócił się ku temu człowiekowi, gotów pokazać mu, gdzie jego miejsce, kiedy zdał sobie nagle sprawę, że go zna. Był to wicehrabia McCullough, nałogowy gracz, który roztrwonił całą swoją fortunę.

Bez słowa ruszył ku schodom, gdy zagadnął go drugi mężczyzna, syn hrabiego, którego wyrzekła się rodzina. Studiowali razem w Eton. Czyżby dzisiejszego wieczoru zgromadziła się tu cała socjeta?

– Szczęściarz z ciebie, Pelham. Kiedy już będziesz miał jej dość, to wiesz, gdzie można mnie znaleźć!

– No i mnie! – krzyknął piskliwym głosem inny. Pelham poczuł, że robi mu się niedobrze. Co ich opętało? Juliette była kobietą, nie kapeluszem, który można oddać komuś innemu, gdy się już nim znudzi.

Czy na tym właśnie polegało jej życie? Na przechodzeniu od jednego mężczyzny do drugiego? Skrzywił się z niesmakiem, torując sobie drogę między gośćmi.

– Chyba nie lubisz się nią dzielić? – spytał następny mężczyzna. Pelham odwrócił się i uderzył go. Nie miał zamiaru tego robić, ale najwyraźniej jego pięść zadziałała niezależnie od niego. Pelham patrzył, jak ten ktoś pada na wznak, przewracając krzesło, i w końcu uderza o nogę stołu. Z nosa pociekła mu krew, a Pelham stał nad nim, czując się tak, jakby był jedynie widzem.

Uderzony gość splunął i zerwał się na nogi.

– Za kogo ty się, do diabła, masz?

Syn hrabiego podbiegł pospiesznie do swego przyjaciela i odciągnął go na bok.

– To Groźny Książę! Ciesz się, człowieku, że ci nic więcej nie zrobił.

Pelhamowi wystarczyło spojrzeć na pozostałych mężczyzn. Kilku z nich cofnęło się.

– Nie mieliśmy zamiaru ci uwłaczać – powiedział McCullough.

– Na przyszłość żądam dla niej większego szacunku – odparł



Pelham i wyszedł.

Był już w połowie schodów, nim zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. „Szacunek” i „kurtyzana” nie pasowały do siebie. Czemu oczekiwał szacunku dla niej, skoro sam przed chwilą potraktował tych ludzi bez żadnego respektu?

Na piętrze spotkał oberżystę, który skwapliwie chciał mu wskazać pokój. Pelham skinął głową i udał się tam, żądając kąpieli i ciepłego posiłku.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak znużony jak wtedy, gdy stanął przed drzwiami swego pokoju. Z jego wnętrza nie dolatywał żaden odgłos. Nie słychać było ani szmeru, ani szelestu, ani szeptu.

Czy zrobiłby z siebie głupca, gdyby zażądał od oberżysty oddzielnego pokoju? Nie. Był przecież księciem. Nie musiał się troszczyć o to, że zrani uczucia kurtyzany lub wzbudzi jej gniew. Wolał też, by znajdowała się bliżej niego. Łatwiej mu będzie jej bronić przed tymi wstrętnymi typami z dołu.

Oczywiście, poradziłaby sobie bez niego, ale to nie miało nic do rzeczy.

Nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Juliette stała przed kominkiem. Spojrzała za siebie, a potem znów wpatrzyła się w ogień.

Zdjął płaszcz i ściągnął rękawiczki, a ona nadal milczała. Powinien się cieszyć, że nic do niego nie mówi, ale po chwili uznał, że chciał, by coś powiedziała. Gotów był do walki.

– Czy nie zamierzasz mnie ukarać za to, jak cię tam potraktowałem? – spytał i siadł na krześle, żeby ściągnąć buty. Rozbieranie się w jej obecności było czymś całkowicie niestosownym, ale czy stosowność miała teraz jakikolwiek sens? Cała socjeta dowie się o tym incydencie i uzna, że on z nią sypia. Jeśli zobaczy jego stopę, to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia.

– Byłam już gorzej traktowana – odparła, nie patrząc na niego. – Nie przejęłam się tym.

– Nie wierzę.

– Czy uważasz, że jestem zdolna do ludzkich uczuć?

– No oczywiście. – Trzymając w ręce jeden z butów, spojrział na nią, nie rozumiejąc, dokąd ta rozmowa zmierza i dlaczego dał się w nią wciągnąć.

– Jestem kurtyzaną. Rozpustnicą. – Odwróciła się ku niemu i rzuciła mu szybkie, uwodzicielskie spojrzenie. – To, co czuję, wcale się nie liczy.

Pelham miętosił but w ręce.

– Jak możesz pozwalać, żeby tacy mężczyźni, jak ci tam – wskazał na drzwi – dotykali cię? Całowali? Szli z tobą do łóżka?

– Czujesz się obrażony z tego powodu? Po tym, jak potraktowałeś mnie haniebnie w ich obecności, a później odesłałeś do swojego pokoju?

Zaczął rozsznurowywać drugi but, żeby nie musiał na nią patrzeć.

– Czego ode mnie żądasz? Żebyś zdjęła ci buty?

Podeszła do niego, nachyliła się i ściągnęła mu but z nogi. Usiłował nie patrzeć z podziwem na jej plecy, ale nie potrafił.

– Zdjąć ci halsztuk? – Wsunęła palec w węzeł i go rozwiązała. Jedwab zsunął się z koszuli. Pelham nie zdążył jej odpowiedzieć, gdy ktoś głośno zastukał.

– Nie, nie! – powiedziała, biegnąc do drzwi. – Ja się tym zajmę.

Otworzyła je na oścież.

– Kąpiel. Znakomicie. Teraz będę mogła umyć ci plecy. Proszę postawić wannę bliżej ognia – poleciła mężczyznom, którzy ją przydźwigali. Była to duża, miedziana wanna, a nie niasiadówka, do której nawykł. Niosło ją aż trzech służących, którym towarzyszyło kilka dziewcząt służebnych. Postawili wannę z hukiem na podłodze i dziewczęta nalały do niej z ogromnych wiader parującej wody. Jedna z nich podała Juliette ręcznik i mydło, dygnęła, po czym służba wyszła. – No, przynajmniej będziesz czysty, kiedy ci usłużę. Ja...

– Przestań! – krzyknął.

Zaskoczona, zamrugła.

– Nie będziesz mi usługiwała ani myła mi pleców! – warknął,

podchodząc do niej. – Chcę cię mieć przy sobie w trosce o twoje bezpieczeństwo!

– Gdzie tam! Chcesz tego, bo jesteś o mnie zazdrosny.

– Zazdrosny? Za-zdros-ny? Jestem księciem. Komu miałbym więc zazdrościć?

Ku jego najwyższemu zdumieniu zasłoniła sobie uszy i zawołała:

– Jeśli jeszcze raz usłyszę od ciebie „jestem księciem”, to nie odpowiadam za siebie! Książęta nie są bogami, Will. To tylko ludzie. Błądzą, przepraszają, a przynajmniej powinni przepraszać, i doznają najróżniejszych uczuć.

– Sądzę, że znasz się na tym pierwszorzędnie.

– Znałam kilku książąt.

– Tak, a ja też jestem księciem...

Zacisnęła wargi, oczy jej się rozszerzyły.

– Ostrzegałam cię! – Popchnęła go.

– Juliette...

Popchnęła go znowu, a on zawadził o brzeg wanny, zachwiał się i wpadł do niej, rozchlapując gorącą wodę po całej podłodze. Odzież miał teraz przemoczoną jeszcze bardziej niż od deszczu.

Wytrzeszczył na nią oczy, zalewane wodą. Oczekiwał, że go przeprosi, że spojrzy na niego z przerażeniem i będzie błagać o przebaczenie.

A tymczasem ona wybuchła śmiechem.

Juliette wiedziała, że nie powinna się śmiać. Wiedziała, że uraziło to jego godność, na której tak strasznie mu zależało, ale cóż miała zrobić? Wyglądał teraz jak zmokły szczur z włosami przylepionymi do czoła i w nasiąkniętym wodą ubraniu, które z niego zwisało.

Prychnął gwałtownie i spróbował się podnieść, ale tylko osunął się głębiej w wannę. Zaśmiała się jeszcze głośniej.

A potem poczuła, że jego ręka obejmuje ją w talii, i przestała się śmiać. Spojrzała na niego, zauważyła błysk w jego oczach i pokręciła głową.

– Nie!

Przyciągnął ją ku sobie.

– Will! Nie!

Przyciągnął ją jeszcze bliżej.

– Wasza Wysokość!

– Och, już cię to nie uratuje!

Po ostatnim, potężnym szarpnięciu wpadła z pluskiem do wanny na niego. Woda dostała się jej do nosa i Juliette zaklęła głośno, a potem zaniósła się kaszlem. Wreszcie wynurzyła się i zdołała jakoś usiąść, raczej ostrożnie. Siedziała mu teraz na kolanach, otaczając go nogami.

– No i co – powiedział, odgarnawszy włosy z twarzy. – Jak ci się to podoba?

– Jestem zachwycona.

Zmierzył ją takim spojrzeniem, jakby już wcześniej uważał ją za stukniętą, a całe to zdarzenie tylko potwierdziło słuszność jego domysłów.

– Will, byłeś spontaniczny! Czyż to nie cudowne zrobić coś, co nie było z góry zaplanowane?

– Przemokłem do nitki – mruknął.

– No pewnie. Przecież siedzisz w wannie! – Ucałowała go szybko w czubek głowy. – Uważam, że robisz postępy. Może pewnego dnia zdołasz przez całą godzinę nie spojrzeć na zegarek!

– Mój zegarek! – Zanurzył rękę w wodzie, a kiedy go wyciągnął i otworzył, spojrzął na nią ponuro. – Jest do niczego.

– Przykro mi.

– Wcale nie jest ci przykro.

– Istotnie! Właśnie tego było ci trzeba. Zerwania z rutyną. Bardzo jednak żałuję, że przyczynili się do tego Lucyfer i biedna lady Elizabeth.

– Ty jesteś przyczyną. – Było to oskarżenie, choć wypowiedziane tonem bynajmniej nieoskarżycielskim. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Przyglądała się Pelhamowi. On przyglądał się jej. Przysięgłaby, że woda stała się gorętsza o dobre dziesięć stopni.

– Czy znów mnie oskarżasz?

– Masz moje uznanie – powiedział. Gładził dłonią jej rękę, w której poczuła mrowienie. – Wyrwałaś mnie z rutyny.

– Kopiać i krzycząc.

– Nie powiem, żebym to lubił, ale i tak wyrażam uznanie. – Dłoń Pelhama powędrowała wyżej, ku jej ramieniu, i odsunęła rękaw sukni, odsłaniając skórę.

– Czy sądzisz – usłyszała samą siebie, mówiącą schrypniętym głosem – że mógłbyś to polubić? Że mógłbyś polubić mnie?

– Ależ ja cię lubię, Juliette. O wiele za bardzo. – Ucałował jej obnażone ramię. Musiała zdusić w sobie jęk.

– O wiele za bardzo? – wyszeptała. – Dlatego, że ty jesteś księciem, a ja kurtyzana, kimś o znacznie niższej pozycji niż twoja?

– Może pod pewnymi względami mnie przewyższasz.

– Masz na myśli inteligencję?

Roześmiał się. Był to donośny, gardłowy śmiech. Uwielbiała ten śmiech. Chętnie by coś zrobiła, żeby zaśmiał się tak jeszcze raz.

– Nie. Miałem na myśli to, że raczej brak mi doświadczenia w tych sprawach. – Wskazał na wannę.

– Z kąpielą?

– Z kobietami. Nie jestem jednym z twoich galantów.

Juliette wpatrzyła się w niego. Przez dobrą minutę nie rozumiała, o co mu chodzi. A potem odetchnęła gwałtownie.

– Masz na myśli, że ty nigdy... – tu wskazała na łóżko – przedtem?...

– Raz... czy dwa. – Odwrócił wzrok, a ona wiedziała już, że choć pozbył się swojej książęcej arogancji, ten temat wciąż był dla niego żenujący. Och, gdyby tylko poznał prawdę o niej! Ale, oczywiście, spodziewał się, że ona jest w tej materii ekspertem. Któż sądziłby inaczej? Była przecież Księżną Zalotów.

Rzecz jasna, spała z mężczyzną niejedną raz. Miała przecież męża. Ale było to tak dawno temu! Nadal jednak sądziła, że kochanie się to jedna z tych rzeczy, których nie sposób zapomnieć

– bo dwoje ludzi sam na sam wie, co mają z sobą robić.

Serce zaczęło jej gwałtownie bić, gdy zdała sobie sprawę, co ona i Pelham zaraz z sobą zrobią. Czy tego pragnęła? Przecież pragnęła męża, rodziny, a było nieprawdopodobieństwem, żeby Pelham w ogóle brał pod uwagę możliwość poślubienia jej. Był księciem – i przypominał jej o tym w każdej chwili.

Gdy jednak znów na niego spojrzała, dostrzegła raz jeszcze, że jest człowiekiem wrażliwym. Miał w sobie coś więcej prócz pychy i arogancji. Krył w sobie sekrety. Chciała je poznać.

Chciała poznać jego.

Ujęła w dłonie jego twarz.

– Może byśmy zapomnieli o tym, co było wcześniej, i myśleli tylko o tym, co będzie teraz?

– Jesteś w tym bardzo dobra.

– O tak, czasami nawet za dobra.

Nachyliła się i pocałowała go. Był to pocałunek delikatny i powolny, bo od dawna nie całowała żadnego mężczyzny. Pragnęła więc utrwalić w pamięci dotyk jego warg na swoich wargach, szorstkość zarostu na policzkach pod jej palcami, twardość jego ud pod sobą.

Usta ich stykały się i rozdzielały, stykały i rozdzielały, a do niej tylko częściowo docierał zapach czystej bielizny, trzask ognia na kominku i bębnienie deszczu o szyby. Chciała zapamiętać smak jego ust, gęstość włosów, w których błądziła palcami, i szmer oddechu, nadal jeszcze wyrównanego, podczas gdy ona już dyszała z pożądania.

Był mężczyzną z niewielkim doświadczeniem, wiedział jednak, jak trzeba całować, by skurczyły się jej palce u nóg, a z płuc uciekło powietrze. Czowała, jak twardniał, jak sztywniał tam, gdzie stykały się ich ciała. Gdyby mu przyzwoliła, już by się w nią zagłębił. Chociaż jej ciało żądało natychmiastowej satysfakcji, a serce ostrzegało ją przed robieniem czegokolwiek, co wzmogłoby jej zauroczenie Pelhamem, zignorowała jedno i drugie. Ostrożnie podciągnęła go w górę, tak by stanął na nogi.

– Pozwól, niech zdejmę z ciebie mokre odzienie.

Rozbierała go, a on stał bez ruchu, ułatwiając jej zadanie. Był przyzwyczajony do tego, że mu usługiwano. Do tego, że inni ludzie troszczyli się o jego potrzeby.

A gdyby role się odwróciły? Gdyby to on miał usługiwać jej?

Zachwycająca myśl, nie tylko dlatego, że spodobał się jej pomysł, by księżę usługiwał księżnej. Zapragnęła rzucić mu wyzwanie. Zapragnęła zobaczyć go w całkowicie nieznanym mu sytuacji.

Ściągnęła mu koszulę przez głowę i postanowiła się upewnić, czy zdoła urzeczywistnić swój pomysł. Było jednak gorzej, niż myślała. Wiedziała, że jest atrakcyjnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną, ale nie spodziewała się, że ma pierś tak muskularną, ramiona tak szerokie, a w pasie jest tak wąski.

Z trudem przełknęła ślinę. Jego brunatne ciało lśniło w migocie płomieni na kominku, a ona poczuła gwałtowną chęć, by lizać każdy cal tego ciała.

Ale nie! Przecież to on miał jej usługiwać. Jednak rozebranie go okazało się dobrym posunięciem.

– Czy zaczęłaś mieć jakieś wątpliwości? – spytał.

Juliette zrozumiała, że przypatruje mu się bez ruchu za długo.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie, ja cię tylko podziwiałam.

Zmarszczył brwi i spojrzał na siebie, jakby nigdy nie oglądał własnego ciała.

– Jesteś piękny – wyszeptała.

– Chyba powinienem ci powiedzieć to samo.

– A więc powiedz – rzekła z uśmiechem. – Tylko przy tym nie zemdlej.

– Ja miałbym zemdleć? Jestem...

Nim jeszcze zdążył powiedzieć „księciem”, rozluźniła jego spodnie i ściągnęła je z niego. Zaniemówił, co właśnie było jej celem. Rzuciła spodnie na krzesło i odsunęła się, żeby go podziwiać.

– Pogniotą się – powiedział – nie mówiąc już o tym, że zawilgocą krzesło.

– Mhm – mruknęła z roztargnieniem. Och, był naprawdę

imponującym okazem męskiej urody. Miał muskularne nogi, kształtne łydki, a choć jego uwagi na temat pogniecionego ubrania temu przeczyły, budziła w nim zainteresowanie. Było to oczywiste.

Całkiem oczywiste.

– Słyszałeś plotki, że mężczyźni mdleją, gdy tylko zaczną się rozbierać?

Pelham uniósł brwi.

– Nie wiem, skąd się one wzięły, bo nigdy się to nie zdarzyło, ale w tej chwili to ja o mało nie mdleję, patrząc na ciebie.

– A ja na to odpowiem, że czuję się raczej... jak przedmiot.

Roześmiała się.

– Przepraszam! Znam to uczucie, wcale nie jest ono przyjemne. Przypuszczam jednak, że możemy być wobec siebie sprawiedliwi. Zaczynasz na mnie patrzeć z wyraźnym zainteresowaniem.

Obróciła się tyłem do niego, a kiedy na kilka sekund zamarł bez ruchu, obejrzała się przez ramię.

– Czy mnie rozbierzesz?

– Ja...

– Nie mogę rozebrać się sama. Czyba się nie obawiasz zemdlenia?

– Nie. – Chwycił ją za ramię, żeby stała prosto, i zaczął rozbierać. Najwyraźniej nigdy przedtem nie rozbierał kobiety, gdyż nie mógł sobie poradzić z tasiemkami, sznurówkami i szpilkami. Nie dawała mu jednak wskazówek, bo mężczyźni tego nie cierpią, tylko po prostu pozwoliła, żeby zdejmował z niej ubranie, nawet niezręcznie. Aż wreszcie – wreszcie! – została jedynie w jedwabnej koszulce.

– Jak ty sobie do licha z tym radzisz każdego dnia? – spytał.

– Mam sporo służby. – Odwróciła się do niego i ujrzała, że patrzył na jej ramię, z którego zsunął się rękaw koszulki. – A to – wskazała na bieliznę – można zdjąć bardzo łatwo. Pociągnij tylko za tę tasiemkę i koszulka sama spadnie.

Oczy tak mu pociemniały, że przybrały odcień indygo, gdy chwycił w palce tasiemkę. Przytrzymała jego dłoń.



– Tylko nie zemdlej!

Rzucił jej mordercze spojrzenie, a gdy cofnęła rękę, pociągnął za tasiemkę. Wpatrywał się przy tym bez przerwy w jej twarz, co ją zaskoczyło, a potem powoli, bez pośpiechu, przyjrzał się jej od stóp do głów i w końcu spojrzął jej w oczy.

– Czy czujesz się bliski zemdlenia? – spytała z uśmiechem.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się teraz położyć.

Ujęła go za rękę, podeszła wraz z nim do łóżka i położyła się na boku. On zrobił to samo, a gdy już leżeli koło siebie, nachylił się, żeby ją pocałować. Włożyła rękę pomiędzy ich ciała.

– A miałbyś coś przeciwko jeszcze jednej rzeczy, Will?

W jego wzroku dojrzała jednocześnie i nieskrywane zainteresowanie, i zgrozę.

– Mam dość bogatą bibliotekę i czytałam o czymś, co chciałabym wypróbować.

– Czytałaś o tym w książce?

– Już była mowa o tym, że umiem czytać.

– Oczywiście.

– Czytuję nie tylko „Kronikę Poranną”.

– Niewątpliwie. Czy ty zawsze tyle mówisz?

– Nie. Pozwól mi powiedzieć krótko i węzłowato: chcę, żebyś sprawił mi przyjemność...

– To bardzo ogólne pojęcie.

– ... językiem.

– Jakiego rodzaju książki czytujesz? – zdziwił się.

– Takiego, z którego i ty skorzystasz. – Poglądziła go po policzku. – Chyba nie powiesz „nie”?

– Dlaczego, do licha, miałbym tak powiedzieć?

Pocałował ją, ona zaś zrozumiała, że jej zamiar obrócił się przeciwko niej. Zamierzała go kontrolować, ale nie sądziła, że sama też zostanie wzięta pod kontrolę.

Teraz zaś on przejął inicjatywę, co poznała po sposobie, w jaki ją pocałował, i przejął ją całkowicie, tak że nie zdołała nawet zaczerpnąć tchu przed jego szturmem. A gdy do niego przystąpił, poczuła strach, że i ona może się całkowicie zatracić.

Usta ich wciąż się spotykały, a potem Pelham nakrył ją całym ciałem, wspierając się na łokciach, tak że nie mogła się poruszyć. Gdy poczuła go na sobie, doznała czegoś zbliżonego do wypicia zbyt dużej porcji najlepszego koniaku. Poczowała zawrót głowy, wszystko wokół niej zaczęło wirować. Gdy oderwał od niej usta, zapragnęła krzyknąć, ale zamiast tego wygięła się w łuk, kiedy jego wargi musnęły skórę jej szyi, a zęby pochwyciły delikatny koniuszek ucha. Wbiła mu palce w plecy, czując napięte mięśnie i gładką, wilgotną skórę.

– Jak daleko mogę się posunąć? – szepnął.

– Ja... – Chciała mu dać jakąś dosadną i zarazem zabawną odpowiedź, w końcu była uważana pod tym względem za mistrzynię, ale nie potrafiła zebrać myśli, gdy czuła na karku jego gorący oddech.

– Milczenie uznaję za oznakę przyzwolenia.

Wciąż mówił tak spokojnie, z takim opanowaniem.

Zapragnęła zburzyć ten jego spokój, lecz musiałyby się zastanowić jak.

A potem jego wargi zacisnęły się na szczycie jej piersi, ona zaś ledwie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa, a co dopiero zastanawiać się nad tym, jak wstrząsnąć nim do głębi. Wsunęła palce w jego włosy i wydyszała:

– Błagam cię!

Jego język delikatnie napierał na jej sutek, okrężał go, a ona wprost konała z rozkoszy. Ujął w dłonie obie jej piersi, a potem długo, powoli błędził palcami w dole jej brzucha, bawiąc się delikatnymi, jasnymi kędziorkami w miejscu złączenia ud.

– Juliette – mruknął. – Czy mogę ci coś powiedzieć?

– Tak. Wszystko. – Nie wiedziała, czego by jeszcze chciała, ale pragnęła więcej. Wciąż więcej. Wszystkiego.

– Jesteś przepiękna. Rozumiem, dlaczego mężczyźni mdleją na twój widok.

Otworzyła oczy i napotkała jego wzrok. Patrzył na nią z niesłychanym przejęciem, a w chwili, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, poczuła, że łączy ich coś więcej niż tylko wzajemny

pociąg, więcej nawet niż wspólny fizyczny akt. Nie potrafiła wyrazić, dlaczego jego słowa znaczyły dla niej tak wiele. Tysiące razy mówiono jej, że jest piękna. Ale on prawil komplementy bardzo rzadko, jeśli w ogóle, i dobrze wiedział, co mówi.

Czuła się piękna, gdy na nią patrzył. Gdy leżała w jego ramionach, cały świat zewnętrzny znikał, a ona czuła się bezpieczna w tym drugim, wewnętrznym, który oboje tworzyli. W jakiś dziwny sposób właśnie w nim ona była naprawdę Księżną Zalotów, a on szóstym księciem Pelham. W tej chwili niczego nie musiała udawać.

– Ja... – zaczęła, choć sama nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Sza! – Położył jej palec na wargach. – Nic nie mów, tylko odczuwaj.

Jego usta przeraźliwie powoli sunęły krętym szlakiem wzdłuż jej podbrzusza, zatrzymując się, by całować ją w najbardziej wrażliwe miejsca. Gdy dosięgły szczytu ud, zmusiły ją do ich rozsunięcia. Juliette nie wiedziała, dlaczego miałyby się temu opierać. Spojrzał na nią pytająco, a ona zapragnęła mu wyznać, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiła. Zrodziłoby to jednak w nim niedowierzenie lub zaskoczenie, a ona nie chciała, żeby zaprzestał pieszczot.

Rozsunął jej nogi jeszcze szerzej i potarł policzkiem pokrytym lekkim zarostem o wrażliwą skórę wnętrza ud. Jęknęła, gdy zaczął ją tam delikatnie całować, coraz bardziej zbliżając się do najbardziej intymnego miejsca jej ciała.

A gdy dotknął ustami tego gorącego punktu, cała stanęła w płomieniach. Wyginała się pod naporem jego ust i krzyknęła, kiedy wysunął raptownie język, by trafić nim prosto w to miejsce. Sądziła, że musiało go przerazić jej zachowanie, ale nie potrafiła się pohamować. Chwyciła dłońmi prześcieradła i ścisnęła je kurczowo w ekstazie, unoszącej ją coraz wyżej i wyżej w nieustannym crescendo. Myślała, że umrze od intensywności tych wrażeń, że wyzionie ducha, pragnąc desperacko tego, co obiecywało jej każde dotknięcie jego języka. Potem zanurzył w nią palce, a ona aż zaszlochała, pragnąc pełni zaspokożenia.

Kiedy nadeszło, straciła oddech. Ogłuszyło je tętnienie krwi w uszach, cały świat stanął w oślepiająco białym blasku, a ona otwarła się na oścież. Złapała go kurczowo za włosy, chcąc zyskać jakiś punkt oparcia w tej burzy doznań.

*Pelham* patrzył, jak *Juliette* zamyka oczy, jak wznoszą się i opadają jej piersi w rytm oddechu, o którego spowolnienie walczyła. Nie potrzebował pytać, czy ją zadowolił. Gdyby doznała jeszcze większej rozkoszy, chyba dowiedziałyby się o tym cała oberża. Obawiał się zresztą, że lokatorzy najbliższych pokoi doskonale się orientują, co oni przed chwilą robili.

Ale na razie nie dbał o to. Rozkosz *Juliette* dała też rozkosz jemu, a kiedy spojrzał na jej zaróżowioną twarz i smukłe, gibkie ciało, zapragnął, by doznała jej jeszcze raz. Była przepiękna, miała wręcz idealne ciało – miękkie i zaokrąglone, jak należy. Nogi były długie, piersi pełne, a wspaniałe włosy leżały splątane na poduszce.

A on ją zadowolił.

On, który miał tak niewielkie doświadczenie w tych sprawach, zdołał zadowolić najstynniejszą kurtyzanę Londynu. Nie oznaczało to, że nie miał w ogóle żadnych doświadczeń tego rodzaju. Jak każdy młodzieniec, był ich ciekaw i bez trudu znalazł wiele kobiet, które mogły mu ich dostarczyć. Przespał się z jedną czy z dwiema i uznał wprawdzie owe doświadczenia za satysfakcjonujące pod względem czysto cielesnym, lecz czegoś mu w nich zawsze brakowało. Gdy dorósł, sądził, że mogłyby mu dać nieco więcej satysfakcji, lecz zawsze był zbyt zajęty. Większość zaś dam, którym go przedstawiano, nie budziła w nim chęci do flirtu.

Mógłby sobie zapewnić płatne usługi, jednak budziło to w nim niesmak. Później zaś spotkał lady Elizabeth i musiał tylko poczekać do chwili zawarcia małżeństwa, by potem mieć ją na każde zawołanie.

Oczywiście dzięki Juliette zrozumiał, że obcowanie z płcią piękną nie jest czymś tak prostym, jak sobie wyobrażał. Nie był też na tyle naiwny, by sądzić, że każdy mężczyzna czy każda kobieta doznają namiętności równej tej, jaką ona w nim budziła. Gdy patrzył w jej oczy, widział w nich coś, czego wcale nie chciał badać zbyt wnikliwie.

Spojrzał znów na nią, prosto w jasnoblękitne oczy, którymi się w niego wpatrywała.

– Najwyraźniej nie potrzeba ci wcale książek, żebyś wiedział, co masz robić.

Uśmiechnął się. Potrafiła go rozbawić. Nawet gdy wcale tego nie potrzebował, trudno mu się było nie uśmiechnąć. Chłodna, władczą Księżną Zalotów była pogodna, zabawna i śmiała się wręcz zaraźliwie. Bóg jeden wiedział, że najwyraźniej wciąż nie miał jej dość.

– Uwielbiam lekturę.

Usiadła, jasne włosy opadły jej na ramiona.

– Ja także.

Pchnęła go lekko w pierś. Domyślił się, że chciała, by znów się położył; zrobił to, ciekaw, co zrobi z kolei ona.

– Pozwól, żebym ci powiedziała, o czym czytam.

Zapragnął jej natychmiast, a jego pragnienie wzmogłoby się jeszcze bardziej, gdyby nie przyszło mu na myśl, że jego pożądanie mogłoby stać się jeszcze silniejsze niż przedtem. Aż do bólu.

– Dlaczego nie miałabyś mi tego zademonstrować?

– A dlaczego nie miałabym zrobić jednego i drugiego? – Nie spuszczała z niego oczu, a jej dłonie głaskały go powoli. W górę i w dół. Potem nastąpiła pauza. – Czytałam, że najwrażliwsze miejsce mężczyzny znajduje się tutaj.

Zataczała tam kręgi kciukiem, drażniła je.

– Chciałbyś się o tym przekonać?

– Zgoda – odparł zduszonym głosem i odchrząknął, a ona znów zaczęła go głaskać.

– Teraz naciśnę cię lekko w tym miejscu. – Zamilkła i

nacisnęła go tam dokładnie tak, jak trzeba. Jęknął głucho i sam się zdumiał wydanym przez siebie dźwiękiem, którego nie był w stanie powstrzymać. – Albo nacisnę delikatnie palcem tutaj.

Znów jęknął i chciał się podnieść.

Pchnęła go lekko.

– Nie bądź taki niecierpliwy, Will. Nic, co dobre, ci nie ucieknie.

Dotknęła jego piersi dłonią lekką jak piórko. Mógłby strząsnąć z siebie tę jej rękę i znaleźć się w niej w jednej chwili. Doznałby wtedy ulgi, a być może dałby rozkosz również i jej. Ale był cierpliwy. Był zdyscyplinowany. Legł więc z powrotem na łóżku, a ona znów zaczęła go głaskać. Doprowadzała go do szaleństwa. Zacisnął obie dłonie w pięści i usiłował nie spuszczać wzroku z jej twarzy, lecz ona oblizwała tylko wargi tym swoim małym, różowym języczkiem, musiał więc przenieść spojrzenie gdzie indziej. Na jej piersi. Końce sutków były różowe i stwardniałe. Zapragnął wziąć któryś z nich w usta i ssać go delikatnie...

Nachyliła się, a jej pełne piersi otarły się o jego uda.

– Co ty...?.

A wtedy jej usta zamknęły się na jego męskości, gorące, wilgotne, i wzięły ją w siebie.

– Och, Boże! – krzyknął, a potem zabrakło mu słów, gdy przesuwała po jego męskości ustami, drażniła ją językiem i ssała, powoli i mocno. Czuł się tak, jakby za chwilę miał eksplodować wewnątrz niej. Nie chciał do tego dopuścić, ale wiedział, że wkrótce nie będzie się mógł powstrzymać.

A gdy miało już do tego dojść, przerwała i usiadła. Żadnymi słowami nie można było opisać jego pożądania. Sięgnął tam sam, ale ona chwyciła jego dłoń i położyła ją na swojej piersi, a potem wdrapała się na niego i siadła na nim okrakiem.

Była najcudowniejszą istotą, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia. Skóra, włosy i figura były aż do bólu zachwycające. Przejęła inicjatywę, kierując go wprost ku wilgotnemu wnętrzu swego ciała. Powoli. Cał po calu.

Przywarła do niego całą sobą, a on dokładał starań, by nie wnikać w nią zbyt ostro i szybko. Wreszcie przyjęła go w siebie całkowicie. Odczekała chwilę, póki nie otwarł oczu, i spojrzała w nie.

Te oczy. Te zimne, jasne oczy. Nigdy by ich nie zapomniał. Zaczęła się poruszać, a on razem z nią, jakby stanowili jedność. Każde z nich stało się częścią drugiego, tak że mógł wręcz czytać w jej myślach i wiedział, kiedy pragnęła większego, a kiedy mniejszego nacisku, ona zaś zdawała się odgadywać, kiedy jej ruchy powinny być szybsze lub wolniejsze. Pieścił ją i utrwał sobie w pamięci każdą pozycję jej ciała, świadomy każdej jej reakcji.

Potem przechyliła do tyłu głowę, muskając włosami jego kostki u nóg, a jej biodra zaczęły poruszać się we wściekłym rytmie. Nie mógł już wytrzymać dłużej.

Chwycił ją w talii i, nie przerywając ich wzajemnego kontaktu, przewrócił ją na wznak. Zagłębił się w nią szybko i ostro. Każde pchnięcie zmniejszało jego pożądanie i zarazem zdawało się je wzmacniać. Wykrzykiwała na głos jego imię i wychodziła naprzeciw każdemu jego pchnięciu. Ręce mu drżały, włosy spadły na oczy, lecz otwarł je i patrzył na nią, gdy zbliżał się gwałtownie do szczytu. Zacisnęła mięśnie wokół jego męskości i zadygotała. Uniosła ramiona i objęła go za szyję, a on opadł czołem na jej czoło.

Pocałowała go, delikatnie, błogo, gdy osiągnął w niej spełnienie. Potem zaś obydwójce, złączeni, legli jednocześnie na boku i zapadli w głęboki sen.

Pelham ocknął się po jakimś czasie. Nie wiedział, czy to były godziny, czy minuty. Leżał w łóżku sam, słysząc czyjeś ruchy. Uniósł się na łokciu i wpatrzył w ciemność nieznanego mu pokoju.

– Juliette?

– Jestem tutaj.

Kominek dawał dość światła, by ją dostrzec. Wsunęła się zza stojącego w kącie parawanu.

– Co ty robisz?



– Myję się. Nie zabezpieczyliśmy się wcale przed poczęciem dziecka. Nie sądzę, żeby zwykłe mycie temu zapobiegło, ale chyba też nie zaszkodzi.

Pelham opadł z powrotem na poduszki i przesłonił ręką oczy. Nie brał pod uwagę możliwości, by Juliette mogła począć dziecko, jego syna lub córkę.

W co on się wplątał?

Byłoby to doprawdy wielkim kłopotem. Wyobraził sobie cudowne ciało Juliette noszącej w łonie dziecko. Ciało to byłoby piękne, może nawet bardziej niż w tej chwili.

Tylko że on tego nie chciał. Kurtyzana nie mogła być matką siódmego księcia Pelham. Skąd mógłby mieć pewność, że to on jest jego ojcem?

Usłyszał jakiś szelest i zobaczył, że Juliette stanęła koło łóżka. Miała na sobie biały szlafrok i wyglądała niemal dziewiczo.

– Nie martw się. Nie sądzę, żeby to był właściwy czas do poczęcia. Może też jestem bezpłodna. Nigdy nie zaszłam w ciążę z Oliverem.

– A jak się zabezpieczałaś przed... twoimi protektorami?

Zmieszała się, a potem zastanowiła.

– Och, ja... – mruknęła i urwała, jakby nie mogąc znaleźć właściwych słów. – Nie chcę o tym mówić. – Siadła przy nim na łóżku. – Nie chcę myśleć o innych mężczyznach.

Ale urok – bo musiał na niego paść jakiś urok, by postąpił w ten sposób – prysnął. Nie mógł przestać myśleć o innych mężczyznach, z którymi spała. Czy był tylko jednym z długiego szeregu?

Odsunął się na drugą stronę łóżka. Spojrzała na niego zaskoczona.

– Co ci jest?

– Nic. – Tylko że, oczywiście, była to nieprawda. Spędził noc z kurtyzaną! Wiedział, że ma do niej słabość, no i przywiodło go to do upadku. A mogło być jeszcze gorzej. Pelham odwrócił się do niej tyłem i zaczął naciągać spodnie, wciąż jeszcze wilgotne i niewygodne, o co również mógł ją obwiniać. Nie chodziło mu

jednak tylko o spodnie. Był rozgniewany, bo wszystko, co ich łączyło, było dla niego ważne. Przez krótki czas, kiedy ją całował, dotykał jej, poruszał się w niej, całkiem zapomniał, że był księciem, a także członkiem Izby Lordów, że zginęła tragicznie jego narzeczona, że musi odnaleźć skradzione diamenty, że stał się Willem, tylko Willem. Nie myślał już o tym, która jest godzina, ani o tym, że deszcz zrujnował jego rozkład dnia. Myślał bowiem tylko o Juliette – o jej zapachu, smaku, o jej włosach, które przesuwał między palcami.

Nigdy jeszcze nie stracił do tego stopnia kontroli nad sobą. Nigdy! Każdy jego czyn, każdy krok, każda myśl były przedtem analizowane, osądzone i dokładnie rozważane. Ojciec wpoił mu metodyczność i precyzję. Rutynę. Punktualność. Godność.

Przysięgłby, że słyszy wciąż jego głos, nawet podczas snu. Śnił o tym starym sadyście.

Lecz skutek jednej chwili spędzonej w ramionach Juliette w jakiś sposób stał się kimś innym niż człowiek, którym uczynił go ojciec. Był teraz niezależnym mężczyzną z własnymi pragnieniami, potrzebami i upodobaniami. Ojciec, ten szkielet, który zawsze nad nim ciążył, został pokonany.

Teraz jednak poprzedni książę powrócił i odzyskał nad nim władzę, a Pelham nie mógł się zdobyć, by spojrzeć na Juliette, i rozmyślał, jak bardzo by rozczarował ojca, gdyby ten ożył i mógł go teraz zobaczyć.

– Will? – spytała cicho.

Wciągnął koszulę przez głowę. Koszula też była wciąż wilgotna, ale nie miał czasu, żeby szukać suchego odzienia. Wciągnął buty, które na szczęście nie zamokły.

– Powiedz, co ci się stało.

– Trzeba mi świeżego powietrza. – Ruszył ku drzwiom, nie patrząc na nią.

– Czy powiedziałam coś niewłaściwego?

Spojrzał na nią kątem oka i przeklął w duchu siebie samego. Klęczała na łóżku, włosy opadły jej na ramiona, a dzięki bieli szlafroka i pościeli wyglądała jak anioł.

Nie była jednak aniołem.

– Will?

Otworzył drzwi.

– Przecież na dworze pada...

Zamknął drzwi, nie pozwalając jej dokończyć. W głosie Juliette dosłyszał ból. To on jej go sprawił.

Nie był w niczym lepszy od Olivera.

Nie był w niczym lepszy od swego ojca.

Następny dzień był jasny i zimny, nawet jak na tę porę roku. Lodowaty nastrój panował także w powozie, bo Will ani na nią nie patrzył, ani się do niej nie odezwał przez pierwsze dwie godziny drogi do jego domu w Yorkshire.

Juliette była rozsądną kobietą. Żyła z pozbawionym rozsądku mężczyzną prawie przez trzy lata, a potem hrabina Sinclair pouczała ją o męskich obyczajach przez jeszcze jeden rok. Później spędziła sześć lat w Londynie, opierając się zalotom mnóstwa mężczyzn i grając rolę olśniewającej kurtyzany.

Rozumiała więc mężczyzn.

Rozumiała, że Will jej pragnął, ale nie potrafił przyznać się do tego, bo był księciem. Rozumiała, że to, co między obojgiem zaszło ostatniej nocy, wstrząsnęło nim, gdyż wstrząsnęło również i nią. Miała też na tyle rozsądku, by pojąć, że nęka go także coś innego, ale nie wiedziała co.

Być może nie był jeszcze gotów, żeby się razem z nią nad tym zastanawiać, ale czas na uprzejmość i względy – a żadne z nich nie było teraz wobec drugiego ani szczególnie uprzejme, ani pełne względów – skończył się, gdy tylko spadła na podłogę w oberży ostatnia część jej przemoczonej odzieży.

Juliette nie łudziła się, że ona i Will mają przed sobą jakąś przyszłość. Uważała jednak, że należy się jej jakieś wyjaśnienie przyczyn jego zachowania po nocy miłosnej. Że powinien jej być rano powiedzieć parę słów, po których nie czułaby się jak zwyczajna dziwka.

Lecz on zapewne tak o niej właśnie myślał, podczas gdy ona... już się prawie w nim zakochała. Popełniła straszne głupstwo, pozwalając sobie zakochać się w człowieku takim jak

on. Pragnęła męża i rodziny, a nie kochanka. A Will, rzecz jasna, nie był gotów zostać ani jednym, ani drugim.

– Nie zamierzam przerywać twoich rozmyślań – powiedziała, a jej głos przerwał pełną napięcia ciszę – ale sądzę, że powinieneś mi powiedzieć kilka słów dziś rano.

Spojrzał na nią nieufnie. Co ona chciała mu zrobić? Napastować go? Uwieść? Ani jedno, ani drugie nie zapowiadało się przyjemnie.

– Dzień dobry, madame. – Trzymał w ręce egzemplarz „Timesa” i udał, że wraca do jego lektury. Wiedziała jednak, że wcale go nie czyta, bo przez godzinę ani razu nie odwrócił strony.

– Ach, więc znowu stałam się madame. A co z Juliette?

Spojrzał w jej stronę. Rysy mu stwardniały.

– Z przykrością muszę powiedzieć, że to, co się stało zeszłej nocy...

– ...było błędem – dokończyła za niego. – Wiedziałam, że coś takiego powiesz.

– Zgadzasz się z tym chyba?

– Nie.

– Nie? – zdumiał się.

– Nie. Błędem było to, że opuściłeś moje łóżko i spędziłeś resztę nocy w stajni. Tak mi się przynajmniej zdaje, sądząc po zapachu koni i skóry.

Spojrzał na nią niechętnie.

– Jeśli urażam twoje uczucia, madame, to...

– Och, zamknij się. Nie potrzebuję twoich nieszczerych przeprosin.

– „Zamknij się”? – spytał gniewnie. – Jestem...

– ...księciem. Tak, wiem o tym, i jestem pewna, że wiesz, jak sobie poradzić w Izbie Lordów i z tymi tam... książęcymi sprawami. – Machnęła niedbale ręką, nie umiejąc dokładnie określić, jakie to mogą być sprawy.

– Miałaś na myśli książęce obowiązki – poprawił ją.

– Właśnie. Widzisz, ty wiesz wszystko o książęcych i książęcych sprawach, ale nic o ludzkich. Nie masz pojęcia o

uczuciach i jeśli wolno mi to powiedzieć, nie znasz samego siebie.

– A ty mnie znasz? – spytał lodowatym tonem.

– Nie! Ale chcę cię poznać.

Przesiadła się z miejsca naprzeciwko na siedzenie obok niego. Wcisnął się w kąt.

– Nie rozumiesz, Will? Ja chcę poznać ciebie. Nie księcia. Chcę poznać Willa, ale za każdym razem, gdy się do ciebie zbliżam, ty mnie odtrącasz.

Odwrócił wzrok.

– Tu nie ma nic do poznawania. Jestem księciem i tyle.

– Znów mnie odtrącasz.

– To, co się stało w nocy, było błędem – upierał się.

– Już to raz powiedziałaś. Daremnie chcesz mnie odtrącić.

Wrócił do lektury gazety. Nie, nie. Nie pozwoli mu się zmusić do milczenia.

– Will, dlaczego uważasz to za błąd?

Nie odpowiedział.

– Bo dobrze się zabawieś? Bo sprawiło to przyjemność tobie i... – tu westchnęła – kurtyzanie?

Spojrzał na nią gniewnie, a ona chwyciła go za rękę, musiał więc odłożyć gazetę.

– Bo na chwilę zapomniałeś, że jesteś księciem, i byłeś tylko mężczyzną.

– Madame...

– Juliette. Nazywaj mnie Juliette. Ze mną nie musisz być księciem, tylko po prostu mężczyzną.

– Madame... Juliette. Nie chcę z tobą o tym rozmawiać.

– Dlaczego? Bo mam rację?

– Tak! – Prawie wykrzyczał to słowo. Juliette niemal się wzdrygnęła, ale uparcie trzymała go za rękę. Nie był Oliverem. – Masz rację. Czy chciałaś, żebym to właśnie powiedział?

– Chcę, żebyś był ze mną szczerzy.

– Szczerzy? Doskonale. Zrobiłem błąd, kiedy się z tobą zeszej nocy przespałem, bo jestem księciem Pelham. Nie mogę zapominać, kim jestem. Nie mogę robić błędów, jakie popełniają

inni.

– Dlaczego? Czy nie jesteś człowiekiem?

Pokręcił przecząco głową, jakby chciał powiedzieć, że nie o to chodzi.

– Oczywiście, że nim jestem, ale moje zachowanie było... niedopuszczalne. Muszę być kimś lepszym niż wszyscy inni.

– Bo jesteś księciem?

– Nie, bo jestem Williamem Henrym Charlesem Arthurem Cavingtonem, wicehrabią Southerby, markizem Rothingham i księciem Pelham. Od samego urodzenia wpajano mi, że trzy podstawowe zasady to godność, dobre obyczaje i honor.

– Nie zapominając o nudnej rutynie i obsesji punktualności – mruknęła.

Udał, że tego nie słyszy.

– Zeszłej nocy, spędzonej z tobą, pogwałciłem wszystkie te trzy zasady.

– Z pewnością wiesz, jak pochlebić kobiecie, a ja poczułabym się dotkliwie obrażona, gdyby nie fakt, że to wszystko zupełnie bzdury. – No i gdybym się w tobie nie zakochała, dodała w duchu.

– Bzdury? – otworzył ze zdumieniem usta. Widocznie nikt do niego jeszcze w ten sposób nie mówił.

– Tak! Kto ci wmówił, że musisz przestrzegać tych zasad? Kto je wymyślił, kto kazał ci się kurczowo ich trzymać niczym rozbitek resztek wraku w morzu pełnym rekinów? Ciągłe mi powtarzasz, że jesteś księciem. No to zachowaj się jak książę i ustanów własne reguły.

– Zachowaj się jak... – Spojrzał na nią oniemiały. Nie ruszał się, nie oddychał, nawet nie mrugał. Po dwóch minutach zaczęła się obawiać, czy to nie jakaś odmiana katatonii. A potem wyciągnął ku niej rękę. Cofnęła się zaskoczona, lecz on tylko dotknął dłonią jej policzka.

– Miałbym ustalać własne reguły?... – powiedział z niedowierzaniem.

– Podsunęłam ci to.

- A ja mogę ci coś podsunąć?
- Oczywiście.
- Przestań się mądrzyć i pocałuj mnie.

Nim zdołała zaprotestować, że wcale się nie mądrzy, uniósł jej podbródek i ucałował. Czule, tak czule, że o mało się nie rozpłakała.

Odwzajemniła mu pocałunek, zarzuciła ręce na szyję i mocno przytuliła go do siebie. Dlaczego nie mógł być przez cały czas tym mężczyzną, który ją teraz całował? Dlaczego musiał ponownie stawać się Pelhamem z jego głupimi książęcymi manierami?

Przerwał pocałunek i wsparł się czołem o jej czoło.

– To mój ojciec – powiedział tak cicho, że turkot powozu niemal zagłuszył jego słowa. – To on od urodzenia wpajał mi te trzy zasady.

Nie przeprosił jej, nie przyznał, że miała rację – ale czy naprawdę spodziewała się, że to zrobi? – lecz zdobył się na pewien wysiłek. Milczała. Miała dość rozumu, by wiedzieć, że jeśli coś teraz powie, to on zamilknie.

Och, nie myśl, Willu. Tylko mów. Po prostu mów do mnie.

– Piąty książę Pelham był człowiekiem bezwzględny. Poważnym. Dostojnym. Srogim.

Innymi słowy, nieprzystępnym i niezdolnym do miłości. Jej własny ojciec rozpieszczał ją niesłuchanie. Może rozpieszczał ją za bardzo? Może dlatego brat ją znienawidził i wyrzekł się jej? Rodzina może być i błogosławieństwem, i przekleństwem.

– A twoja matka? – spytała.

– Umarła, kiedy miałem dziesięć lat – odparł i zacisnął szczęki. – Nie, to nieprawda. Mój ojciec ją wygnał. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego to zrobił ani co się z nią stało. Kilka lat później usłyszałem, że zmarła na kontynencie, samotnie i w biedzie.

– Och, Will! – Wyciągnęła ku niemu rękę, ale on się odsunął.

– Właściwie to umarła na długo przedtem. Mój ojciec był trochę podobny do twojego Olivera. Wszystko należało robić w konkretny sposób albo wcale. Rozczarowała go, a nie wolno było



rozczarowywać mojego ojca. Przede mną miała jeszcze troje dzieci. Wszystkie zmarły po urodzeniu albo niedługo później. Opłakiwała je, ale sądzę, że raczej opłakiwała samą siebie, dziewczynę piękną, pełną życia. Widziałem jej portrety z początku ich małżeństwa. Była po prostu promienna.

Spojrzał na Juliette.

– Całkiem jak ty. Mówiono mi, że gdy wchodziła do pokoju, wносиła ze sobą jasność i pogodę. Była niczym magnes. Ale mój despotyczny ojciec zesłał ją na wieś, gdzie się zmarnowała.

Juliette objęła go mocno, z całego serca żałując chłopca, którego matka zanadto wypaliła się wewnątrz, by móc go kochać, a ojciec nie znosił najłżejszego nawet nieposłuszeństwa. Ledwie sobie mogła wyobrazić takie dzieciństwo. Jej rodzice wyrozumiale traktowali swoją jedyną córkę, gdy była mała. Czy wiedziałyby, że Oliver traktuje ją podle, gdyby wychowywano ją tak jak Willa? Czy zgodziłyby się, że miłość nie istnieje i że właśnie w taki sposób należy żyć?

– Miałem raz psa – powiedział cicho Will, opierając głowę na poduszkach powozu i przymykając oczy. – Takiego jak twój Skrzat, tylko że ja nazwałem mojego Łowcą. Był psem myśliwskim najlepszej rasy.

– Ile miałeś wtedy lat? – spytała szeptem, zwijając się w kłębek na siedzeniu. Wiedziała, co się stało. Nie chciała wprawdzie o tym słuchać, ale sama zachęciła go do wyjawienia sekretów. Uzbroiła się w cierpliwość i spojrzała na niego.

Miał zamknięte oczy i głowę odchyloną do tyłu, mogła więc uważnie przyjrzeć się jego twarzy. Podobała się jej zdrowa, śniada karnacja, arogancki wykrój warg, piękny zarys policzków i klasyczny, rzymski nos. Miał długie rzęsy, nieco rudawe, jak jaśniejsze pasma w jego włosach. Przypomniała sobie jego pierś pokrytą kasztanowatymi kędziorkami i poczuła lekki dreszcz, bo zapamiętała, jak ocierały się o jej skórę.

– Miałem sześć lat. Ojciec dał mi tego psa w prezencie, lecz ja nie powinienem był mu ufać. Ale, do licha, byłem tylko sześciolatkiem! – Otworzył oczy i siadł wyprostowany, z twarzą

pełną bólu. – Chciałem być kochany, a ten pies był pierwszym stworzeniem, które mnie kochało.

Juliette zapragnęła powiedzieć mu, że go kocha. Kochała go zaś dostatecznie mocno, by wynagrodzić brak miłości sześciolletniemu chłopcu, który jej nie zaznał. Zamiast tego zapytała:

– Co się stało z Łowcą?  
– Spóźniłem się – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.  
– Spóźniłeś się?  
– Na obiad. Zawsze jedliśmy go wpół do siódmej. Zawsze. Ani minuty wcześniej, ani później. Mój ojciec wpadł w furję.

Nie spodobał się jej wyraz twarzy Willa. Złożyła dłonie na kolanach.

– Wypadł bez słowa z jadalni, pobiegł do psiarni, złapał Łowcę za kark i rzucił nim tak mocno o ścianę, że go zabił, a potem zmiażdżył mu łeb butem.

Juliette poczuła mdłości. Jak ktoś mógł uczynić coś tak okrutnego? Jak można było tak postąpić z ulubieńcem małego chłopca?

– Och, Will! – Wyciągnęła ku niemu ręce. Sądziła, że znów się odsunie, ale tym razem pozwolił się jej objąć. – Tak mi strasznie przykro!

– Staralem się, jak tylko mogłem, już nigdy więcej się nie spóźnić – powiedział. – Póki nie spotkałem ciebie.

A ona nie rozumiała! Wyśmiewała się z jego wierności kieszonkowemu zegarkowi. Will spojrział na nią; pocałowała go delikatnie.

– Teraz jesteś wolny. Możesz ustalać własne reguły i po swojemu pilnować czasu. Już cię nikt w ten sposób nie zrani.

Wziął ją w objęcia.

– Nie byłbym tego pewien.

Pocałował ją powoli, a ten pocałunek wręcz zapał jej dech. Kiedy Pelham ją wypuścił z objęć, dopiero po dłuższej chwili oprzytomniała i mogła otworzyć oczy.

– Powinieneś to robić częściej.

– Dobrze. – Objął ją i zaczął wyjmować szpilki z jej włosów. Kiedy ich pasma opadły w dół, uniósł je do nosa i powąchał. – Twoje włosy pachną tak jakoś... nie potrafię określić tej woni.

– To lawenda – szepnęła. Kochała dotyk jego rąk na swoich włosach.

– Naprawdę? – spytał, nachylając głowę, i powiódł wargami po jej szyi. – Pasuje do ciebie. – Ściągnął rękaw sukni z jej ramienia, a ona aż westchnęła, czekając na to, co nastąpi potem. Miał czułe usta – i robił to tak zręcznie. Wodził nosem, językiem i ustami po jej skórze, póki nie zaczęła cała płonąć z pragnienia.

– Will?

– Co? – spytał, przesuwając wargami po jej ramieniu i jeszcze niżej ściągając rękaw.

– Ty chyba nie zamierzasz... – Musiała zamilknąć na chwilę, bo ją to rozpraszało. A potem jego dłonie znalazły się na jej piersiach, ona zaś nie chciała już nic mówić. Wolała doznania od słów. – Nie będziesz mnie już wyrzucał, prawda?

Zawahał się, a ona o mało nie rozplakała się z rozczarowania. Ciemne oczy Willa spojrzały w jej oczy.

– Nie. Nie będę cię wyrzucał. Zrezygnowałem.

– Zrezygnowałeś?

– Nie mogę się tobie oprzeć. Próbowałem. Nadaremnie. To na nic.

Zrobiło się jej duszno i poczuła, że nie może zaczerpnąć tchu. To na nic? Co to właściwie znaczyło? Czy on czuł do niej coś takiego, jak ona do niego? Czy uznał, że mógłby ją kochać?

– Pragnę cię. Pragnę, byś naga wiała się przede mną. Żebyś stanęła na czworakach na moim łóżku. Żebyś znalazła się nade mną, z włosami rozsypanymi na piersiach.

Mówiąc to, głaskał jej pierś, a ona poczuła, jak twardnieją jej sutki.

– Pragnę cię tutaj.

Zsunął z niej suknię i koszulkę.

– Pragnę cię teraz.

– Ja także cię pragnę – powiedziała, a gdy ujął wargami jej

sutek, wszystko, o czym mogła myśleć i co mogła wiedzieć, stało się pożądaniem. Pożądanie, jakiego nigdy jeszcze nie знаła, owładnęło nią i rozpaczliwie zapragnęła, żeby go osiąść, przyjąc w siebie tak, by błagał o spełnienie.

Pchnęła go na poduszki siedzenia, robiąc z nim, co tylko chciała, póki nie zaczął dyszeć. A wtedy uniosła spódnicę i drażniła się z nim, biorąc go w siebie tak powoli, że przeklinał ją, zanim wreszcie gwałtownym ruchem bioder pozwoliła mu się zagłębić w siebie do końca.

Jęknęła, podniecona sposobem, w jaki to zrobił. Jego ręce obejmowały ją w talii, ale pozwolił jej narzucić tempo, a ona unosiła się i opadała, dopóki nie dotarła w końcu do zachwycającej, oślepiającej rozkoszy. Poczowała, że wszystko w nim wezbrało, a chwilę później krzyknął.

Wreszcie legła, z głową na jego ramieniu, ciężko dysząc. Objął ją ramionami i trzymał mocno, aż uznała, że już wystarczy. Że powinno wystarczyć.

Ale tak się nie stało.

Było już późno, gdy Pelham dojrzał słupy milowe wskazujące, że zbliżają się do Rothingham Manor. Rezydencję tę wzniósł pierwszy książę Pelham, gdy był jeszcze markizem Rothingham. Dał siedzibie nazwę wywodzącą się od jego tytułu, a potem urządził ją w stylu odpowiednim dla księcia. Był człowiekiem bogatym, poślubił zamożną dziedziczkę i zostawił najstarszemu synowi fortunę. Drugi książę Pelham ją pomnożył, zawarł korzystne małżeństwo – i tak się działo nadal.

Aż dotąd. Aż do mnie, pomyślał Pelham.

Juliette leżała przy nim skulona, z ręką na jego piersi, z głową na jego ramieniu. Nie narzekała, kiedy jej powiedział, że nie chce się zatrzymywać na noc. Nie narzekała, gdy dawał jej tylko dziesięć minut co cztery godziny, by rozprostowała nogi i skorzystała z toalety.

Właściwie rzadko w ogóle narzekała.

Nie narzekała nawet na sposób, w jaki ją potraktował poprzedniej nocy. Próbowwała tylko zrozumieć, dlaczego postąpił

właśnie tak, a on, ku swemu własnemu zdumieniu, stwierdził, że jej to wyjaśnił.

Przypuszczał, że właśnie dlatego była tak dobrą kurtyzaną. Mężczyźni lubili z nią rozmawiać. Lubili również z nią sypiać. Nie było w tym nic zagadkowego. Była piękna, bez zahamowań i dobrze wiedziała, jak sprawić mężczyźnie satysfakcję.

Wciąż nie potrafił się nią nasycić. Jakże mógł myśleć, że zdoła się jej oprzeć? Uważał jednak, że to tylko chwilowa słabostka. Będzie z nią żył, póki nie zakończy sprawy diamentów, a potem znów poszuka sobie żony wśród dobrze urodzonych panien na wydaniu.

Owszem, „Kronika Poranna” i podobne szmatławce rzuciły się chciwie na jego romans z Księżną Zalotów, ale zawsze ktoś zrobiłby coś jeszcze bardziej skandalicznego – można tu było liczyć na przykład na Darlingtona – i gazety szybko zapomną o Pelhamie, gdy tylko on zapomni o Juliette.

Kłopotliwa myśl, że być może nie zdoła nigdy zapomnieć o Juliette – o jej miękkich włosach, pełnych piersiach i słodkich ustach – przybierała na sile, ale starał się ją stłumić. Oczywiście, że o niej zapomni. Była kobietą i kurtyzaną, a kurtyzany istniały dlatego, że mężczyznom szybko nudziły się kobiety.

Głównym jego obowiązkiem było teraz odnalezienie diamentów. Czy lady Elizabeth ukryła je gdzieś w Nowlund Park? Jeśli tak, to powinien ustalić, dlaczego to zrobiła. Dlaczego właściwie miałyby kraść diamenty komuś takiemu jak Lucyfer? Czemu w ogóle uwikłała się w znajomość z podobnym człowiekiem?

Pelham spojrział na Juliette, gdy powóz wjeżdżał na długi podjazd w Rothingham Manor, zwalniając bieg, a jego koła zazgrzytały na żwirze, po którym od dziesiątków lat przejeżdżały istne procesje karet. Wiedział, że drgnęła nieznacznie, a on niczego by bardziej nie pragnął niż zanieśienia jej prosto do łóżka i kochania się z nią przez resztę nocy.

Był jednak księciem i musiał się zachowywać tak, jak księciu przystało.

Zły był, że musi zbudzić Juliette, ale należało ją przedstawić służbie. Pocieszało go jedynie to, że będzie mogła odpocząć tu, w jego domu, i nie obawiać się Lucyfera. Mogła pozostawać w nim spokojnie całymi dniami, podczas gdy on zasięgnie wiadomości o lady Elizabeth, o jej ostatnim pobycie w Yorkshire i o tych diamentach.

A noce spędzać będą razem. Spodziewał się szybko zakończyć poszukiwania w Yorkshire, a choć on i Juliette mieliby tam spać jedynie przez kilka kolejnych nocy, chciał je w pełni wykorzystać.

Potrząsnął nią delikatnie.

– Juliette.

Uśmiechnęła się.

– Miałam cudowny sen. – Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła ku sobie, chcąc go pocałować. – Chodź tu do mnie i spraw, żeby stał się rzeczywistością.

Ogarnęło go pożądanie, ale teraz nie miał na to czasu. Wyswobodził się z jej objęć. Otworzyła te swoje lodowato zimne błękitne oczy, teraz znacznie cieplejsze, gdy na niego patrzyła.

– Co się stało?

– Dojeżdżamy do Rothingham Manor.

– Ach. – Rozchyliła zasłonki i wyjrzała na zewnątrz.

– Wciąż jest ciemno.

– Nie mam kieszonkowego zegarka, ale myślę, że musi być koło trzeciej nad ranem.

Zaczęła układać włosy i szukać wśród poduszek szpilek, którymi umacniała fryzurę. Z podziwem spostrzegł, że potrafiła uczesać się bez lustra. Jej płynne i pełne wdzięku ruchy wręcz go hipnotyzowały.

Musiał chyba postradać rozum, skoro zachwyca go sposób, w jaki kobieta układa sobie włosy. To wręcz żalosne.

Poprawił halsztuk i spróbował wygładzić pognieciony surdut.

– Służba powita nas przy głównym wejściu.

Podniosła z poduszki siedzenia kapelusz, o którym prawie zapomniała, i włożyła go.

– O trzeciej nad ranem?  
– Oczywiście. Czy życzysz sobie czegoś, o co mógłbym dla ciebie poprosić?

Spojrzała na niego, poprawiając jednocześnie kapelusz, tak by osłonił jej twarz.

– Jak mnie przedstawiś?

– To moja służba. Nie muszę się przed nią tłumaczyć.

Powóz zwolnił. Dostrzegł już lokajów z pochodniami. Służba ustawiła się rzędem, żeby go powitać. Złote lamówki szkarłatnych liberii połyskiwały w blasku ognia.

– Ale oni będą plotkować. Służba zawsze plotkuje. Zdajesz sobie chyba sprawę, że wieść o naszym... związku wkrótce dotrze do Londynu, jeśli już tam nie dotarła.

Przypomniawszy sobie mężczyzn w oberży, gdzie się zatrzymali poprzedniej nocy. Wieści z pewnością wędrowały już do Londynu.

– Niech sobie w Londynie myślą, co chcą. Są ważniejsze sprawy, którymi musimy się zająć.

– Diamenty?

– A cóż by innego?

– No tak, cóż by innego – mruknęła, wyglądając przez okienko. Rotheringham Manor było już widać w całej okazałości. Westchnęła ze zdumieniem. Sprawiało mu to przyjemność, choć sam nie wiedział dlaczego. Ani sobie życzył, ani potrzebował jej aprobaty.

– Jest wspaniały. Mogę sobie wyobrazić, jakie wrażenie robi za dnia.

Dom istotnie był imponujący, zwłaszcza w świetle lamp i pochodni. Służbę zawsze uprzedzano o jego przyjeździe i pewien był, że w każdym oknie wychodzącym na podjazd płonie światło. Wolał widok domu od tej właśnie strony. W świetle dziennym pałac wyglądał pięknie i szlachetnie, ale w nocy fasada z szarego kamienia zaczynała przypominać alabaster i zdawała się wręcz unosić, jak coś niematerialnego, na tle dzikich wrzosowisk Yorkshire.

Powóz zwolnił, skręcił w łagodnie wygięty podjazd i

zatrzymał się przed rzędem służby, która ustawiła się półkolem na kamiennych stopniach wiodących do wejścia.

Jeden lokaj otworzył drzwiczki powozu, drugi spuścił schodki, trzeci podał jej dłoń w białej rękawiczce. Juliette zawahała się na moment, nim ujęła jego rękę. Powiew zimnego wiatru Yorkshire owionął jej suknię i poruszył wstążkami kapelusza. Pelham uważał przedtem, że wyda się tutaj osobą nie na miejscu, tak wyraźnie była kimś z miasta, kobietą z Londynu. Gdy jednak przyjęła dłoń lokaja i zeszła po schodkach, przysięgłby, że żyła tutaj od zawsze.

Wysiadł za nią i podając Juliette ramię, podszedł z nią ku gospodyni. Gdyby była księżną, przedstawiłby ją służbie. Ale nie była jego księżną. Choć służący byli nieskazitelnie formalni i nikt z nich nie przejawiał żadnego zaskoczenia, Pelham wiedział, że zauważyli brak oficjalnego przedstawienia im Juliette.

– Witam Waszą Wysokość. – Pani Waite złożyła mu głęboki ukłon. – Jak to wspaniale, że pan do nas wrócił.

Nie dodała „tak szybko”, ale Pelham dopowiedział to sobie w myśli.

– Dziękuję, pani Waite. Zabawię tu kilka dni w pewnej sprawie. A to jest...

Nie był pewien, jak ma ją nazwać. Wiedział, że nie chce być nazywana panią Clifton. Z pewnością nie mógł jej przedstawić jako Księżny Zalotów. Nie chciał też, by służba zaczęła tytułować Juliette Księżną, jak zwracano się do niej w Londynie, co wzniesiłoby plotki o ich małżeństwie.

Jak zwykle wmieszała się w to sama Juliette. Uniosła dłoń.

– Jestem panna Juliette, zaprzyjaźniona z księciem.

– Witam panią, panno Juliette. – Pani Waite pochyliła głowę, a Pelhamowi zdawało się, że dojrzał lekkie skrzywienie w kącie jej ust, co wskazywało na dezaprobatę.

– Proszę umieścić pannę Juliette w naszych najlepszych pokojach – polecił jej Pelham.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Pelham wszedł na stopnie rezydencji, a pani Waite



postępowała za nim.

– Jestem pewna, że wszystko będzie panu odpowiadać.

Pelham zatrzymał się przed drzwiami.

– Chyba nie będę jadł śniadania o ósmej, pani Waite.

Otworzyła usta ze zdumienia. Pelham bardzo rzadko odstępował od rutynowego rozkładu dnia.

– To zbyt wcześnie dla panny Juliette. – Zwrócił się z kolei ku niej. – Czy dziesiąta byłaby w sam raz?

Uśmiechnęła się, nie dając poznać po sobie zaskoczenia.

– W sam raz.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – wyjąkała pani Waite. – Śniadanie zostanie podane o... o dziesiątej. Czy jeszcze coś, Wasza Wysokość?

– Tak. Nie mam kieszonkowego zegarka. Która godzina?

Gdyby któryś z gwałtownych porywów wiatru z Yorkshire wybrał sobie akurat tę chwilę, by wionąć przez dziedziniec, z pewnością by przewrócił panią Waite.

– Ja... ja... – Pogrzebała w swoim fartuchu. – Jest kwadrans po trzeciej, Wasza Wysokość.

– Dziękuję – odparł i z uśmiechem wprowadził Juliette do wnętrza.

Juliette spodziewała się, że rezydencja księcia będzie duża. Często bywała w Somerset, rodowej siedzibie hrabiów Sinclair, i zawsze wywierała ona na niej wielkie wrażenie. Ale Somerset wyglądał jak wiejski domek w porównaniu z Rothingham Manor. Być może sprawiała to lokalizacja dworu w Rothingham. Wrzosowiska Yorkshire, porośnięte wełnianką i czernicami, byłyby świetnym tłem dla każdego domu, zwłaszcza takiego, który się wyraźnie odcinał od pełnego dzikości krajobrazu. Mogła sobie wyobrazić, jak wspaniałe dwór wygląda, gdy wrzosa kwitną.

Pałac wzniesiono na planie prostokąta – był długi, elegancki w formie i miał więcej okien, niż mogła zliczyć. Park wokół niego, starannie utrzymany, wyglądał równie pięknie jak parki w Londynie. Somerset także miał piękne ogrody, ale leżał w Hampshire. Utrzymywanie ładnego ogrodu nie było czymś trudnym w Hampshire.

A jednak, choć Rothingham robił już wrażenie z zewnątrz, właśnie jego wnętrze zaparło Juliette dech. Korytarze zdawały się ciągnąć bez końca, pełne portretów sławnych osób. Obrazy, we wspaniałych ramach, wisały na każdej ścianie. Pokoje były przestronne i wysokie. Wszystko w nich, od najmniejszej statuetki po sztukaterie na sufitach, tchnęło dobrym gustem i wytwornością. Nigdy jeszcze nie znalazła się w równie pięknym domostwie i wątpiła, czy kiedykolwiek się znów znajdzie.

Była tak zaintrygowana tym, co pobieżnie zobaczyła po przyjeździe, że szczerze zapragnęła dołączyć do Pelhama podczas śniadania. Zbudziła się i zaczęła krążyć po domu jeszcze przed wyznaczoną godziną, i tak dla niej nieznośnie wczesną.

Nie dojrzała jednak nigdzie Willa. Przekazał ją w sprawne

ręce gospodyni jeszcze zeszłej nocy. Sądziła, że przyjdzie do jej pokoju, ale nie pojawił się. Usiłowała stłumić w sobie urazę. W gruncie rzeczy miała nawet nadzieję, że to, co do niego czuła, przygaśnie. A jednak nie. Nadal była w nim zakochana – i w tym jego przepięknym domu. Zdołała już rano obejść trzy bawialnie, jeden salon, salę balową, jadalnię, pokoik muzyczny, pokój bilardowy i drugi, ze zbiorem map. Nigdzie jednak nie trafiła na Willa.

Nie było go nigdzie w tym domu. Mógł być jedną z tych osobistości na portretach w bezkresnych korytarzach, ale nie natknęła się na jego podobiznę. Widziała za to wizerunki jego ojca. Wisiały w wielu wnętrzach, łącznie z sypialnią, gdzie ją zaprowadzono w nocy.

Gdy spytała służącą, kim był mężczyzna na obrazie wiszącym nad wielkim kominkiem, dziewczyna odparła, że to książę. Juliette spojrzała przelotnie na portret. Mężczyzna widniejący na nim z pewnością zdradzał podobieństwo do Pelhama, ale oczy miał czarne i zimne, natomiast Will – ciepłe i niebieskie. Był szpakowaty, a włosy Willa wciąż jeszcze miały odcień głębokiego brązu. Z pewnością każdy artysta godny tego miana chętnie by namalował kasztanowate i złote błyski, jakie w nich lśniły, gdyby tylko dano mu do tego sposobność.

– A więc to ojciec obecnego księcia? – spytała Juliette.

– Tak – odparła służąca, nieco zakłopotana. Jeśli ktoś znał ojca Jego Wysokości, trudno mu chyba było myśleć o kimś innym jako o księciu.

Ale to Will był teraz księciem i, jak się jej zdawało, nie zrobił nic, by nadać temu domowi własne piętno.

Och, wszystko było tu gustowne i pięknie utrzymane. Żaden dywan ani trochę nie wyblakł, żaden wyściełany mebel nie zdradzał nieznaczących nawet śladów zużycia. Całość przypominała jej jednak siedzibę hrabiny Sinclair. Choć hrabina miała dobry smak, wołała styl znany jej od lat. Oznaczało to, że wystrój Somerset był nieco staromodny.

Juliette stała akurat w korytarzu, patrząc na wizerunek

jednego z przodków Willa, gdy zegar wybił gdzieś dziesiątą. Uznała, że lepiej będzie pójść do jadalni, by nie narażać się na jego gniew. Dom, choć rozległy, miał jasny plan i nietrudno się było w nim poruszać. Trafiła do jadalni bez trudu.

Gdy tam jednak weszła, nie znalazła Willa. Dwaj lokaje stali po obu stronach drzwi, ale nie umieli jej powiedzieć, gdzie jest książkę. Juliette wzruszyła więc ramionami, nalała sobie herbaty i siadła przy jednym końcu stołu. Zamieszała w filiżance cukier i spojrzała na puste krzesło w drugim jego końcu. Nie był to przesadnie długi stół, mogło się przy nim zmieścić najwyżej osiem osób. Pokój zaś najwyraźniej służył spożywaniu śniadań, bo do oficjalnej jadalni zajrzała już wcześniej. Na stole stało nakrycie Willa i leżała gazeta położona we właściwym miejscu, ale jego samego tam nie było.

Juliette piła powoli herbatę i spojrzała na kredens, próbując podjąć decyzję, co ma teraz zjeść, i zastanawiając się, kto jeszcze miał być tu obecny, bo kucharka przygotowała mnóstwo potraw.

Już miała wstać od stołu, gdy do pokoju zajrzała pani Waite. Spojrzała na puste krzesło Pelhama ze zdumieniem i zniknęła ponownie. Juliette znowu wypila łyk herbaty, uznała, że zje teraz owsianą bułeczkę, i już się podnosiła ze swojego krzesła, kiedy gospodyni zajrzała tam po raz drugi.

– Dzień dobry, pani Waite – powitała ją Juliette.

Gospodyni, która już miała się wycofać, przystanęła.

– Panno Juliette, czy mam coś podać?

– Zdaje się, że śniadanie zjem samotnie. Czy nie zechciałaby mi pani dotrzymać towarzystwa?

Gospodyni wręcz oniemiała.

– To byłoby bardzo niestosowne, madame.

– W porządku. – Juliette wstała. – Chodźmy więc razem na krótki spacer.

Gospodyni pokręciła przecząco głową.

– Jestem dziś rano bardzo zajęta...

– W takim razie będę pani towarzyszyć.

Pani Waite zacisnęła usta, najwyraźniej zdając sobie sprawę,

że Juliette gotowa jest nalegać.

– Już lepiej pójdę z panią na ten spacer.

– Bardzo bym chciała się przejść – Juliette wstała – jeśli pani nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Oczywiście. – Gdy opuściły jadalnię, pani Waite pokazała jej rozmaite pokoje, ale Juliette już je wszystkie widziała. Kiedy znalazły się w pokoiku muzycznym, Juliette zatrzymała się przy fortepianie.

– Czy Jego Wysokość umie grać?

– Zdaje mi się, że uczono go tego w dzieciństwie, madame.

Juliette okrążyła fortepian, uniosła wieko i przebiegła dłonią po klawiszach.

– Czy dawno pani służy w Rothingham?

– Od trzydziestu czterech lat, madame.

Juliette zagrała kilka taktów z solowej partii trzeciego koncertu fortepianowego Beethovena.

– W takim razie musi pani wiedzieć wszystko, co tylko można, o księciu i jego ojcu.

– Owszem. – Gospodyni miała bardzo niepewną minę. Spojrzała ku drzwiom. – Czy możemy pójść znów w obchód po domu, madame?

– Oczywiście. – Juliette zagrała urywek wariacji z sonaty Mozarta KV 331. – Czy przez cały ten czas... jak długo pani zna księcia? Od trzydziestu lat?

– Od trzydziestu czterech, madame.

– A więc czy przez te trzydzieści cztery lata choć raz pani widziała, żeby się spóźnił?

– Raz czy dwa – gospodyni przymknęła oczy.

Juliette zagrała gamę.

– To godne uwagi. Tylko raz czy dwa w pani obecności, a nigdy w mojej, choć będę szczerą, znam go niezbyt długo. A jednak... – i zagrała fragment transkrypcji suity wiolonczelowej Bacha, która zawsze wydawała się jej utworem posępnym – ... dzisiaj spóźnił się na śniadanie. Należy więc przypuszczać, że dlatego pani do mnie zajrzała?

– Tak, madame. – Gospodyni zaczęła miętosić fartuch. – Byłam zaniepokojona. Księcia nie ma w rezydencji i nikt najwyraźniej nie wie, dokąd poszedł ani kiedy wróci. Trudno mi wprost uwierzyć, że mógł się spóźnić. Mówił przecież, żeby śniadanie podać o dziesiątej.

Juliette spojrzała na klawiaturę, choć nie potrzebowała patrzeć na klawisze, by zagrać ten utwór, i uśmiechnęła się. Pelham wreszcie zrzucił jarzmo ojcowskiej tyranii. Rozumiała, że musi się teraz czuć przejęty i pełen uniesienia. Juliette czuła to samo, gdy wymknęła się Oliverowi.

– Z pewnością nic mu się nie stało – zapewniła gospodynię. Nieszczęsna kobieta wyglądała na zdenerwowaną.

– Ale on się nigdy nie spóźniał. Ostatnim razem, kiedy się spóźnił...

Gospodyni urwała, a Juliette przestała grać. Na twarzy pani Waite pojawiła się groza.

– Co się wtedy zdarzyło? – Juliette wstała od fortepianu. – Czy to wtedy poprzedni książę zabił mu pieska?

– Powiedział pani o tym? – spytała gospodyni ze zdumieniem.

– Ten jego ojciec wydaje mi się prawdziwym potworem. Chyba to mnie właśnie łączy z księciem, bo sama wyszłam kiedyś za potwora.

Gospodyni kiwnęła głową i znów spojrzała ku drzwiom.

– To nie był ostatni raz, kiedy Jego Wysokość się spóźnił – powiedziała niemal szeptem. – Zdarzyło się tak jeszcze raz, po kilku latach. Chyba miał wtedy osiem albo dziewięć lat. Ale nie był winien temu, co się stało. – Znowu spojrzała ku drzwiom i zaczęła mówić tak cicho, że Juliette chciała podejść do niej bliżej, ale nie śmiała tego zrobić, z obawy że gospodyni przerwie swoją opowieść. – Jego Wysokość, to znaczy panicz William, wybrał się na codzienną przejażdżkę. Książęta Pelham zawsze byli znani z tego, że celowali w konnej jeździe. Ale jego koń okulał i panicz William musiał go odprowadzić do domu, bo inaczej zwierzę zostałyby okaleczone.

– To dlatego się spóźnił?

Pani Waite kiwnęła głową.

– I co wtedy zrobił księżę, jego ojciec?

– Zbił go – wyszeptała gospodyni. – Zbił go tak strasznie, że panicz William przez cały tydzień leżał potem w łóżku. A słuchu już nigdy nie odzyskał.

Juliette okrzyknęła fortepian, bo pani Waite mówiła teraz niemal niedosłyszalnie.

– Stracił słuch? Przecież on słyszy bardzo dobrze.

– Tak, na prawe ucho. Na lewe całkiem ogłuchł.

Juliette spojrzała na nią w osłupieniu.

– Własny ojciec tak go potraktował?

Gospodyni przytaknęła.

– A co zrobiła wtedy jego matka?

– Ona już nawet nie wstawała z łóżka, ale jeśli pani sądzi, że zganiła księcia za jego czyn, odpowiedź brzmi „nie”. Zatrudniono mnie tu w rok po ich małżeństwie, więc nie wiem, jak wyglądał ten pierwszy rok, który razem spędzili, ale jeśli mnie pani pyta, to powiem, że księżna bała się męża jak samego diabła.

Juliette odsunęła się od fortepianu i westchnęła.

Obrzuciła wzrokiem muzyczny pokój z jego zwiewnymi zasłonami i pulpitemi do nut. Taki piękny dom, a tyle w nim wstrętnych sekretów.

– Dlaczego nikt nie je śniadania? – rozległ się gdzieś z dala głos Willa, ale zabrzmiał tak donośnie, że Juliette i pani Waite aż podskoczyły. Gospodyni najwyraźniej chciała pobiec do księcia, żeby go przeprosić, ale Juliette położyła jej dłoń na ramieniu i pokręciła przecząco głową.

Ciężko jej było na sercu. Najchętniej sama pobiegłaby do niego, wzięła go w ramiona i całowała, póki nie opuściłby go cały ból, jaki wycierpiał. Pragnęła, by jej miłość do niego – ta miłość, która, jak wciąż sądziła, wkrótce przeminie – uleczyła wszystkie jego rany. Wiedziała jednak, że Will uznałby to za litość. Przybrała więc tylko zalotną minę i lekkim krokiem wyszła z muzycznego pokoju. Zobaczyła Willa stojącego przed jadalnią.

– No, wreszcie jesteś! – powiedziała.

Przechylił głowę. Czyżby zawsze tak robił, bo nie mógł jej usłyszeć?

– Gdzie mam być?

– Och, zesłam już na śniadanie, ale kiedy się przekonałam, że będę je jadła sama, postanowiłam zamiast tego rozejrzeć się po domu. – Przyjęła podane jej ramię. Prawe. Gest ten wydawał się całkiem naturalny. Co by się jednak stało, gdyby ujęła go pod lewe? Jak by sobie wtedy z tym poradził? – Spóźnił się pan, sir. Czy wolno mi dodać, że jest już najwyższy czas na śniadanie?

– Nie rozumiem – odparł, marszcząc brwi. – Nie trzeba też do mnie mówić „sir”.

– Miałam na myśli to, że już najwyższy czas, byś choć raz spóźnił się na śniadanie. Jesteś zanadto punktualny jak na mój gust.

Wprowadził ją do jadalni i podsunął jej krzesło.

– Zrobię, co mogę, żebyś była zadowolona.

– Lubię, kiedy mężczyzna tak postępuje.

Upiła łyk herbaty ze swojej filiżanki. Już prawie całkiem wystygła, lecz Juliette niemal tego nie zauważyła. Dostrzegła natomiast, że Will nie powiedział „przepraszam”. Każdy inny mężczyzna przeprosiłby damę za to, że musiała na niego czekać, nawet gdyby dała do zrozumienia, że mu to wybacza.

Ale w oczach Willa ona nie była damą.

Teraz, gdy już tu był, poprosiła o filiżankę czekolady, a potem wzięła z kredensu owsianą bułeczkę i posmarowała ją kwaśną śmietaną. Uznała, że jeśli już ma grzeszyć, to gruntownie. Odgryzła kawałek bułki, a potem spojrzała przez stół na Willa. Jadł grzankę z herbatą.

– Czy można wiedzieć, dlaczego się spóźniłeś?

W jego oczach, gdy na nią spojrzał, błysnęło coś zblizonego do poczucia winy. Odłożyła widelec i spojrzała na niego z ukosa.

– Will?

– Miałem do załatwienia pewną sprawę – odparł, spoglądając na gazetę.



– Przecież powinieneś być teraz w Londynie. Przyjechałeś do Yorkshire tylko z powodu diamentów.

Odgryzł kawałek grzanki.

– No właśnie.

Spojrzała na niego ostro przez stół.

– Szukałeś diamentów i nie wzięłeś mnie ze sobą?

– Sądziłem, że tak będzie najlepiej.

– Na jakiej podstawie? Lucyfer zagraża mi tak samo jak tobie, a może nawet bardziej. Jak mogłeś mnie zostawić?

Rozluźnił nieco halsztuk i zaczął przeglądać gazetę. Juliette uznała, że miał niewyraźną minę, co było u niego niezwykle.

– Tak będzie najlepiej dla każdego, kogo ta sprawa dotyczy. Odwiedziłem majątek Nowlundów, uznałem więc, że byłoby raczej niezręcznie zabierać cię ze sobą.

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

– Rozumiem. Czy coś odkryłeś?

– Markiza nie ma teraz w rezydencji, a rządca był zdania, że nie może mnie wpuścić do domu, jeśli nie poprosi wcześniej lorda Nowlund o pozwolenie. Zapyta listownie o zgodę. Teraz będę na nią czekać.

– Teraz my oboje będziemy czekać. Muszę brać udział w tych poszukiwaniach.

– Doskonale sobie poradzę sam – odparł gniewnie. – Znałem lady Elizabeth. Mogę się więc domyślić, gdzie schowała diamenty, jeśli istotnie ukryła je w Nowlund Park.

– Ja zaś napotkam Lucyfera, a on mnie już gruntownie wypyta o diamenty. Lepiej od ciebie wiem, czego poszukujemy.

– A czego my, jak sądzisz...

Juliette pokręciła głową i spojrzała na lokajów. Nie ośmieliłaby się więcej powiedzieć w ich obecności.

– Jesteśmy więc na wsi – powiedziała, chcąc przerwać nagłe milczenie.

– Tak by się zdawało.

– Cóż można robić na wsi poza spacerami? Ja nigdy za nimi nie przepadałam.

– Ach... – Will uniósł brwi, jakby się przedtem nie zastanawiał, co można zrobić, gdy ma się dużo wolnego czasu. – A czy mogłabyś się wybrać na przejażdżkę?

– Doskonała myśl. Przejedźmy się razem.

– Nie miałem na myśli...

Juliette podeszła do niego i ujęła go za ramię.

– Nie traćmy czasu. Zanoszą się na deszcz. Czy w Yorkshire zawsze jest równie pochmurno?

Will spojrział na nią tak, jakby chciał zaprotestować, ale w końcu westchnął:

– Dobrze. Każę stajennemu osiodłać dwa konie.

– Świetnie. Zaraz się przebiorę w strój do konnej jazdy – rzuciła, idąc do swojego pokoju. – Tylko, Will...

Spojrzał na nią podejrzliwie. O mało się nie roześmiała. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do żadnych rozrywek. Znakomicie! Im gruntowniej wyrwie go z tej jego rutyny, tym lepiej. Potrzeba mu nieco zabawy.

– ...nie daj mi żadnej starej, ospałej szkapy. Chcę galopować!

– Nie wątpię.

Juliette nie zdołała stłumić chichotu.

Pelham śledził jej rozkołysane biodra, gdy wchodziła po schodach do swego pokoju. Nie poszedł do niej w nocy, choć może powinien. Poczuł, że znów jej pragnie. Właściwie trudno mu było myśleć o czymś innym prócz chęci wzięcia w ramiona jej krągłego, miękkiego ciała, zerwania z niego odzieży i zagłębienia się w nie.

Całkiem go zauroczyła.

Nie oznaczało to jednak, że stracił nad sobą kontrolę. Idąc ku drzwiom stajni, uznał, że wręcz przeciwnie. Postąpiłby jednak nierozsądnie, gdyby wziął ją ze sobą do Nowlund Park. Niewiele dbał o to, co sobie myśli służba, ale sąsiedzi zaczęliby plotkować. On zaś czuł respekt wobec lorda i lady Nowlund. Miał go zbyt wiele, by zabierać tam ze sobą swoją... nie chciał wprawdzie nazywać Juliette kochanką, ale nie wiedział dokładnie, czym ona

właściwie dla niego jest.

W każdym razie sądził, że byłoby to czymś nierozważnym. Prócz tego powinna odpocząć i nabrać sił. Nie trzeba jej dłużej wplątywać w sprawę diamentów.

Oczywiście nie brał pod uwagę tego, żeby mógł mieć jakiś udział w tym nabieraniu sił. Zamierzał zająć się tą sprawą – zawsze w końcu załatwiał jakieś sprawy – gdy ona będzie odpoczywać. Tylko że teraz musiał się udać razem z nią na przejażdżkę.

I to na szybką przejażdżkę.

Zaśmiał się, gdy skinął na stajennego, który spojrzał na niego ze zdumieniem. Pewnie nigdy jeszcze nie widział, żeby Pelham się śmiał. Ale jego rozbawiła myśl o Juliette galopującej na koniu. Czy taka szybka jazda się jej spodoba?

Jeszcze raz się pomylił. To wprost nie do zniesienia, że tak często się mylił co do Juliette. Już by wolał, żeby galopowała, ale ona cwałowała na złamanie karku, tak szybko, że się przeraził. Teren wokoło był płaski, porośnięty trawą i pełen owiec. Rozbiegły się, pobekując w gwałtownym proteście i wypłaszając kilka szkockich kuropatw z ich kryjówek. Choć Pelham jechał na szybszym koniu, Juliette niemalże zdołała go wyprzedzić na drodze do starego domku dzierżawcy, jedyne punktu orientacyjnego, jaki zdołała dostrzec, gdy puściła się pełnym galopem.

Niemalże go pobiła, bo wolał nie zachęcać jej do jeszcze szybszej jazdy. Nie chciał, żeby zrobiła sobie jakąś krzywdę. Gdy jednak zrozumiał, że może z nim wygrać, popędził konia i odniósł zwycięstwo, zwalniając tylko na chwilę, by pozdrowić rodzinę dzierżawcy, która wyległa na zewnątrz, chcąc zobaczyć, co oznacza całe to zamieszanie.

Juliette, oszołomiona, została w tyle za nim. Szpilki wypadły jej z włosów, które smagały ją teraz po zaróżowionej twarzy.

– Żądam rewanżu! – wołała, usiłując przekrzyczeć wiatr. – W drodze powrotnej to ja zwyciężę!

W oddali zahuczał grzmot. Mżyło już od kwadransa, a teraz

rozpadało się na dobre.

– Wasza Wysokość! – zawołał głośno dzierżawca, chcąc, żeby go usłyszano mimo grzmotu. – Z radością udzielimy schronienia panu i nowej księżnej!

Księżnej? Pelham oniemiał. Uznali Juliette za księżną? Spojrzał na nią. Siedziała na koniu, jak należy, a strój jeździecki był elegancki i podkreślał jej dobrą figurę. Ale włosy i oczy... były rozpustne. Żadna księżna – żadna prawdziwa księżna – nie wyglądałaby tak... tak kusząco.

Odwróciła się ku niemu z rozbawieniem w oczach.

– Znakomicie poradzę sobie z jazdą podczas deszczu – powiedziała.

– Och nie, Wasza Wysokość! – zawołała żona dzierżawcy. – Jeszcze się pani na śmierć przezięb! My żyjemy skromnie, ale mamy ciepły kominek i herbatę.

Pelham chciał odjechać. Nie wiedział, jak rozmawiać z dzierżawcami. Nigdy nie czuł się z nimi swobodnie. Juliette już jednak przyjęła pomoc dzierżawcy przy zsiadaniu z konia. Zeskoczyła z końskiego grzbietu i chwyciła w ramiona jedno z kręcących się wokół dzieci.

– Wasza Wysokość, pozwoli mi pan wytrzeć konia? – spytał dzierżawca.

Pelham przestał się przyglądać Juliette.

– Nie.

Mężczyzna cofnął się o krok.

– Ale przyjmujemy waszą gościnę. Wejdz do domu i ogrzej się. Ja zajmę się końmi.

Kiedy już wytarł je należycie i umieścił pod zadaszonym miejscem obok domu, zapukał do drzwi. Nikt mu nie odpowiedział, otworzył więc drzwi.

Pięcioosobowa rodzina skupiła się przy kominku z kubkami herbaty w dłoniach. Juliette siedziała tyłem do niego, a sądząc z tego, jak na nią patrzyli, opowiadała jakąś bardzo zabawną historyjkę. Niech to diabli! Cóż osławiona kurtyzana mogła opowiadać rodzinie dzierżawcy?

Miał właśnie wejść do środka, gdy wszyscy wybuchli śmiechem. Zatrzymał się więc, zamknął drzwi i zaczął słuchać tego, co mówiła Juliette.

– Schowałam prosiątko na poddaszu stajni i powiedziałam ojcu, że uciekło. Na całe nieszczęście ta rozmowa odbywała się właśnie w stajni.

Pelham wszedł do izby. Głos Juliette brzmiał zupełnie inaczej niż przedtem, dużo bardziej bezpośrednio. Na kolanach trzymała jedno z rozczochranych dzieci, które najwyraźniej bardzo dobrze się tam czuło.

– Co się potem stało? – spytała dziewczynka. Pelham przypuszczał, że musiała to być dziewczynka, bo dziecko miało na sobie coś w rodzaju sukienki i wyglądało najwyżej na trzy latka, choć nie miał pewności.

– No, jak myślisz, co? – spytała Juliette, kołysząc dziecko na kolanach. – Założę się, że zgadniesz!

– Świnka zakwicziała „kwii”!

Pelham uniósł brwi. To było bardzo dobre naśladowanie świnińskiego kwiku!

– No właśnie! – I Juliette zaczęła huśtać dziewczynkę na kolanie. – Ledwie zdołałam przekonać tatę, że prosiątko uciekło, ono zakwicziała „kwii!” i zachrząkało „chrum, chrum”! – Juliette, mówiąc to, połaskotała dziewczynkę, która pisnęła głośno. – I w ten sposób odkryto moje kłamstwo.

– Czy cię za to ukarano? – spytał jeden z chłopców. Był wyższy i starszy od dziewczynki, ale miał takie same potargane włosy jak ona.

– Tak. Musiałam pójść spać bez kolacji, bo skłamałam – odparła Juliette z bardzo poważną miną.

– A czy prosiątko sprzedano rzeźnikowi na szynkę? – spytała dziewczynka.

– Och, teraz nastąpi najlepsza część tej historyjki.

Pelham pomyślał, że raczej było nią naśladowanie przez Juliette odgłosów wydawanych przez świnkę.

– Na drugi dzień, kiedy się zbudziłam, prosiątko wciąż stało

w swojej przegrodzie i miało wokół szyi zawiązaną czerwoną wstążkę. Mój ojciec powiedział, że mogę je sobie zachować jako ulubione zwierzątko.

– A czy je pani wciąż jeszcze ma? – spytała dziewczynka, wyraźnie podniecona perspektywą ujrzenia świnki.

Juliette pokręciła głową.

– Nie, ona dorosła i miała potem swoją własną rodzinę, podobnie jak i ty będziesz ją kiedyś mieć.

– A pani wyszła za Jego Wielmożność? – I dziewczynka wskazała na niego, a Pelham nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Za Jego Wysokość – poprawiła ją dyskretnie matka.

– Och, ale on jest bardzo wielmożny – odparła Juliette, patrząc na niego, a Pelham poczuł dziwne ciepło, mimo że był przemoczony do suchej nitki.

– Może ja kiedyś też wyjdę za Jego Wielmożność.

– Co ci też przyszło do tej twojej małej główki – powiedział jej ojciec.

– Dlaczego nie, John? – wtrąciła się jego żona. – Jeśli Jej Wysokość, córka farmera, mogła wyjść za księcia, to każda inna też może.

Juliette spuściła oczy i uśmiechnęła się niepewnie. Pelham odchrząknął.

– Deszcz chyba przestał padać. Lepiej wróćmy, skoro nadarza się sposobność.

– Oczywiście. – Juliette jeszcze raz podrzuciła dziewczynkę na kolanach, a potem postawiła ją na ziemi. – Miło mi było was poznać. – Uścisnęła dzierzawcom rękę, a dzieci ucałowała w czoło.

Pelham złożył dzierzawcom sztywny ukłon. Czuł się jak cudzoziemiec asystujący egzotycznemu rytuałowi. Cóż on wiedział o huśtaniu dzieci na kolanach lub siedzeniu przy kominku w otoczeniu rodziny? Dzieciństwo upłynęło mu wśród guwernantek i wychowawców, w dyscyplinie i rutynie.

Kiedy dosiedli znów koni i wracali, tym razem już w wolniejszym tempie, bo grunt zrobił się błotnisty, a kamienie śliskie od wilgoci, Pelham powiedział:

– Nie wiedziałem, że wychowałaś się na farmie.  
– Nie jest to coś, czym należy się chwalić, będąc Księżną Zalotów.  
– Również tak uważam. – Niebo znów było idealnie błękitne, wyrzało też słońce, ogrzewając ziemię. – Czy myślałaś kiedyś o tym, jak mogłoby wyglądać twoje życie, gdybyś wyszła za porządnego człowieka? Może wciąż żyłabyś na farmie i miała troje własnych małych dzieci?

Spojrzała na niego oczami błękitnymi jak niebo nad nimi.

– Nie. Do przeszłości nie można wrócić, Will. Dokonałam wyboru i nie żałuję go. Uwielbiałam być kurtyzaną. To o wiele zabawniejsze niż życie na farmie. Nie można pozwolić przeszłości, żeby rządziła naszą przyszłością. Trzeba ją samemu tworzyć.

Milczał przez dłuższy czas. Widział teraz, jaką stworzyła sobie przyszłość, i to w bardzo niesprzyjających okolicznościach. Czy on mógł postąpić tak samo? Wyjść z cienia własnego ojca i żyć bez wyrzutów sumienia?

Gdy ujrzeli przed sobą Rothingham Manor, spytał:

– A co zrobisz, kiedy – wskazał ręką dom – będzie już po wszystkim?

– Sama nie wiem. Nie sędzę, żebym mogła powrócić do życia kurtyzany. Nie jestem pewna, czy tego chcę. Byłam nim już znużona, zanim jeszcze wyrzuciłeś mi ten afront w Carlton House.

Pelham zatrzymał konia.

– Naprawdę?

– Pragnę domu i rodziny – odparła, kiwnąwszy głową. – Lubię bale, tańce i zabawę, ale nawet Londyn bywa czasami nudny. A poza tym uroda, moda i popularność przemijają. Chcę czegoś prawdziwego, i to na zawsze. – Odwróciła od niego wzrok.  
– Pragnęłabym kogoś, kto kochałby we mnie zarówno córkę farmera, jak i Księżną Zalotów, a także to wszystko, czym byłam między jednym a drugim. Kogoś, kto również umiałby kochać.

Potem znów spojrzała na niego, a Pelham ujrział, że z oczu płyną jej łzy, błyszczące w słońcu.

– Juliette...  
– Niech cię лихо porwie, Will!  
– Cóż takiego zrobiłem? – spytał zaskoczony.  
– To, że się w tobie zakochałam, a wiem, że ty za nic nie pokochasz mnie. Nigdy.

Wiedział, że ma otwarte usta i że powinien teraz coś powiedzieć. Brakowało mu jednak słów. Juliette nie zdawała się zresztą na nie oczekiwać. Popędziła konia i pojechała naprzód, nie patrząc nawet na niego.

Pelham pozwolił Juliette odjechać. Nie potrafiłby powiedzieć jej niczego, co by ją pocieszyło, bo mówiła czystą prawdę.

Nigdy nie mógłby jej pokochać.



Juliette leżała w łóżku i słuchała, jak deszcz bije w okno. Wkrótce po ich powrocie zaczęło padać ponownie i nie miało zamiaru przestać. Padało przez całe popołudnie, zmuszona więc była snuć się samotnie po domu, patrząc na piękny ogród, zbyt wilgotny, by po nim chodzić.

Znalazła w końcu jakąś książkę i postanowiła ją przeczytać, nigdzie jednak nie było Pelhama. Gospodyni powiedziała, że postanowił zjeść obiad samotnie w swoim pokoju, co – jak się Juliette domyślała, widząc zaskoczoną minę pani Waite – czynił bardzo rzadko, a może nawet wcale.

Dlatego właśnie ona też jadła obiad w jadalni sama. Jadała tak jednak już wielokrotnie przedtem i wiedziała, że zapewne będzie samotnie spożywać posiłki w przyszłości.

Była jednak rozczarowana. Nie przypuszczała, że Pelham okaże się takim tchórzem. Co prawda chyba nie każdego dnia jakaś kobieta mówiła mu, że go kocha, zwłaszcza tak nieodpowiednia dla niego, jak ona.

Ale czy naprawdę była nieodpowiednia?

Juliette sądziła inaczej. Dobrze się z nią bawił, czego rozpaczliwie wręcz potrzebował. Całkowicie mu tego brakowało, nim ją poznał, i to od bardzo dawna. Wreszcie przełamał swoją rutynę i być może pewnego dnia będzie mógł dokonać zmian w swoim domu, tak żeby nie wszędzie się tam musiano natykać na portrety jego ojca.

Ale ona tego nie zobaczy. Sama nie wiedziała, dlaczego wciąż rozmyśla o przyszłości Pelhama. Ona jej przecież nie dotyczyła. Lady Sinclair powiedziałaaby jej, że postępuje niemądrze, czepiając się kurczowo marzeń niemożliwych do

ureczywistnienia.

„Masz się trzymać tylko rzeczywistości, Juliette. Wprawdzie ta poduszka okaże się twarda przy zasypianiu, ale za to rano nadal będziesz ją miała pod głową”.

Strzepnęła miękką poduszkę i ułożyła na niej głowę, póki znów nie poczuła się wygodnie. Spała w domu Pelhama, w jednym z jego – nie wiedziała, jak wielu – łóżek, które wręcz zachęcały do tego, by się w nich położyć. Mógł ją w nim znaleźć, gdyby jej zapragnął. Ale najwyraźniej jej nie pragnął.

A ona nienawidziła się za to, że wciąż pragnęła jego. Cóż złego byłoby w tym, gdyby do niego poszła? Już się w nim przecież zakochała. Mogła cieszyć się nim przez ten krótki czas, który mieli spędzić razem. Gdyby miała w sobie więcej dumy, mogłaby się obrócić na łóżku i próbować zasnąć. Ale czy kiedykolwiek miała w sobie dumę?

Wstała i namacała szlafrok. Nałożyła go, ale potem pośpiesznie ściągnęła go z siebie razem z nocną koszulą i ponownie włożyła suknię. Im mniej odzieży, tym lepiej. Gdy była tuż przy drzwiach, przyszło jej na myśl, że Pelham mógł postanowić, by już z nią więcej nie sypiać. Szła jednak do mężczyzny, który miałby skrupuły nawet wtedy, gdyby naga kobieta wślizgnęła mu się do łóżka.

Nie zrobiła tego co prawda ani razu, ale przez ostatnie lata żyła pośród kurtyzan i zyskała pewną wiedzę, rozmawiając z nimi.

Otworzyła drzwi i wyszła na ciemny korytarz. Wiedziała, gdzie jest pokój Pelhama. Widziała, jak służące go sprzątały, gdy tamtędy wcześniej przechodziła tego dnia. Zdołała dostrzec wielkie łoże z baldachimem oraz pluszowy dywan i od razu domyśliła się, że to pokój księcia. Był zbyt wielki i zbyt bogato przyozdobiony jak na pokój zwykłego gościa.

Znajdował się niedaleko jej własnego, dzieliło ją od niego ledwie kilkoro drzwi. Przeszła na palcach korytarzem, patrząc na własny cień w migotliwym świetle trzymanej przez siebie świecy. Gdy tam dotarła, uniosła dłoń, chcąc zapukać, ale pomyślała, że lepiej tego nie robić. Spróbowała nacisnąć klamkę, przekonała się,

że drzwi nie są zamknięte, i weszła do środka.

Kobaltowo błękitne kotary łóżka były zaciągnięte, ale słyszała jego cichy, miarowy oddech. Jak typowy mężczyzna spał spokojnie, podczas gdy ona zadrezczała się myślami o ich związku. Przez chwilę przyglądała się pokojowi. Łoże z baldachimem było największym ze wszystkich mebli. Wyglądało jak przeznaczone dla króla. Przy oknie znajdowała się wnęka z dwoma głębokimi fotelami krytymi błękitną tkaniną. Umieblowania dopełniało małe biurko. Dostrzegła dwoje wewnętrznych drzwi i domyśliła się, że prowadzą do garderoby oraz do pustych pokoi przeznaczonych dla księżny.

Juliette zdmuchnęła świecę i cicho postawiła ją na stoliku koło drzwi. Na palenisku wielkiego kominka naprzeciw łóżka tlił się jeszcze ogień, ale jej oczy przywykały już do ciemności. Nabrała energicznie tchu i zrzuciła suknię. Poczwała, że chłodne powietrze muska jej nagie ciało. Przejście nago po miękkim dywanie, rozchylenie ciężkich kotar i wślizgnięcie się do łóżka było czymś rozkosznie skandalicznym.

Pelham nawet nie drgnął. Patrzyła długo na niego, na jego ciemne włosy okalające pełną powagi twarz. Nawet we śnie miał poważną minę. Jedną dłoń wsunął pod poduszkę, na której wsparł policzek, druga spoczywała na kołdrze przykrywającej pierś.

Jego nagą pierś.

Nachyliła się i pocałowała tę pierś. Był ciepły i pachniał jak śpiący mężczyzna. Zsunęła z niego kołdrę, odkrywając jego brzuch i wcięcie w pasie. Poruszył się lekko, a ona z uśmiechem powiodła palcami w dół aż do jego pępka, potem zaś zrobiła to samo językiem.

Wtedy cicho jęknął, ale szybki rzut oka na jego twarz powiedział jej, że nadal ma zamknięte oczy i śpi. Obudziło się za to jego ciało, bo dostrzegła wybrzuszenie pod kołdrą. Ściągnęła ją, odsłaniając to miejsce. Jej dłoń objęła go tam, przesuając się w górę i w dół po stwardniałej męskości. Wtedy jęknął już wyraźniej i usłyszała stłumione:

– Co u li...

Nim zdołał się obudzić na dobre, położyła się przy nim i posłużyła się ustami, ssąc go tam delikatnie.

– Och, dobry Boże! – mruknął. – Juliette!

Liznęła go jeszcze raz, drażniąco, potem przestała.

– Kogóż się tutaj spodziewałeś – spytała.

– Nikogo. Co tu robisz?

Siadła, ukazując w całej okazałości swoją nagość.

– Jak myślisz, co? Uwodzę cię.

– Jakże ty...

Znów wzięła jego męskość w usta, a słowa Pelhama przerodziły się w głuchy jęk. Zaciśnęła palce na jej włosach, gdy wykonywała ustami ruchy w górę i w dół. W końcu podrzucił gwałtownie biodrami i pohamował ją.

– Poczekaj.

– Na co?

– Jeszcze się na dobre nie obudziłem.

Spojrzała na niego.

– Wyglądasz na całkiem obudzonego. Czy chciałbyś, żebym jeszcze coś zrobiła? – spytała i siadła na nim okrakiem. – Może to?

– Wzięła go w siebie, a jego dłonie zacisnęły się na jej biodrach.

Poruszała się na nim powoli, dręcząc go, gdy robił wszystko, co mógł, żeby tylko przyspieszyła tempo. Czowała jednak, jak narasta jej własne spełnienie, i nie chciała, żeby ktoś nią teraz sterował.

Wreszcie jej biodra zaczęły się poruszać samorzutnie, ale gdy miała już osiągnąć szczyt, Pelham przewrócił ją na plecy.

– Will! – parsknęła.

Uśmiechnął się szeroko, a rozwichrzone włosy spadły mu na czoło.

– Wet za wet, jak zawsze mówię. A gdy już mowa o... – z tymi słowami nachylił się i zaczął brać to jedną, to drugą z jej sutek w usta. Wygięła się pod nim w łuk, wpychając jego dłoń między swoje nogi. On jednak wrócił do jej piersi, nie dając jej satysfakcji. Drażnił się z nią, szczypał ją, aż wreszcie chwyciła go całą garścią za włosy.

– Will, proszę cię!

Przeciągnął językiem po jej podbrzuszu, zaznaczając na nim wilgotny szlak. Uniosła się pod nim, ale on doprowadzał ją do szaleństwa, łaskocząc jej biodra. A potem jego ręce rozsunęły jej nogi i poczuła jego język między nimi.

– O tak – wyszeptała.

Przywarł do niej lekko. O wiele za lekko.

– Czy tego chcesz?

– Jeszcze! – jęknęła. – Jeszcze!

Lizał ją, sięgał językiem ku temu wrażliwemu wzgórkowi.

– O tak. Tak!

Miotła się jak w konwulsjach, gdy z nią igrał, ssał ją tam, pochłaniał. Doszła do szczytu szybko i gwałtownie, rozpadając się na tysiące rozpalonych do białości odłamków. Nigdy jeszcze nie doznała takiej rozkoszy, która wręcz zaparła jej dech. A gdy tylko poczuła, że znów wraca do życia, on po raz kolejny zagłębił się w nią, ona zaś ponownie aż się cała sprężyła z rozkoszy.

Otoczyła go nogami, biorąc go głęboko w siebie, a on uderzał w nią gwałtownie, raz po raz.

– Jak mi z tobą dobrze! – jęknęła.

– Mnie z tobą także – wydyszał. – Jesteś gorąca i wilgotna.

Ja...

Zacisnęła mięśnie na jego męskości, a on wydał gardłowy dźwięk, doznając spełnienia w niej. A potem opadł na nią, drżąc na całym ciele.

Leżeli tak, spleceni ze sobą, chyba przez całą godzinę.

Wreszcie ześlizgnął się z niej ze słowami:

– Nie mam zamiaru cię rozgnieść.

Było to zapewne najbliższe przeprosinom, na które tkwiący w nim dumny książę nie mógł się zdobyć.

– Nic mi się nie stało – odparła. – Lubię odczuwać na sobie twój ciężar.

Powiodła wyciągniętą ręką po jego piersi.

Chwycił jej dłoń.

– Kobieto! Pozwól mi choć na pięć minut przerwy.

– Tylko pięć? Imponujące.

Uśmiechnął się nieznacznie, a ona nie potrafiła się oprzeć chęci ucałowania jego ust, policzków i oczu. Był tak piękny, tak doskonale męski. Gdyby mógł urodzić się jako ktoś inny, a ona...

Przysięgła sobie jednak, że nie będzie żałować. Życie, jakie wiodła przez ostatnie kilka lat, wybrała sama. Nie miała zbyt wiele możliwości, ale tych wyborów dokonała z pełną świadomością konsekwencji. Teraz chciała jedynie żyć zgodnie z nimi.

– O czym myślisz? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– O wszystkich tych rozwiązłych rzeczach, które chciałabym ci zrobić. Z tobą. Na tobie. Pod tobą...

– Podoba mi się to wyliczenie.

– Tak właśnie myślałam.

Dotknął jej włosów, ujął ich pasmo w dwa palce.

– Wyglądają jak światło księżyca. Srebrzyste światło księżyca.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś poetą – powiedziała zaskoczona.

– Nie jestem. – Dotknął jej twarzy. – Brakowało mi cię dziś wieczorem.

– A mnie ciebie. Musiałam zjeść kolację w tej ogromnej sali samotnie, choć obsługiwano mnie jak najuprzejmiej. To było straszne.

– Rzeczywiście, brzmi to okropnie.

– Nie powinieneś był mnie unikać – wykrztusiła z trudem.

– Myślałem, że tak będzie najlepiej.

Jego twarz przybrała wyraz, którą lubiła w myślach nazywać księżęcą miną. Nagle stał się uroczy, paternalistyczny.

Zapragnęła unicestwić tę jego minę pocałunkami i znaleźć się znów w objęciach mężczyzny.

– Dlatego, że się w tobie zakochałam?

Uniósł się i usiłował usiąść.

– Juliette...

Pchnęła go z powrotem na łóżko.

– Czy myślisz, że jak będziesz mnie unikał, to się odkocham?

Nie jestem naiwna, Will. Nie zakochuję się łatwo. W gruncie rzeczy zakochałam się pierwszy i jedyny raz, jeśli nie liczyć Johna Millera, kiedy miałam trzynaście lat. Skoro wszystkie twoje wysiłki jak dotąd nie zdołały zdusić moich uczuć, to nie sędzę, by unikanie mnie mogło do tego doprowadzić.

– Ja cię nie unikam. Jestem...

– Mężczyzną. Mężczyźni czasami wolą unikać kobiecych uczuć. Ale ja nie mam zamiaru nękać cię potokami łez lub sentymentalizmem. Wiem, że mnie nie kochasz.

– Juliette, ja...

Uniosła brwi i czekała.

– Bardzo mnie lubisz?

– Tak, ale czuję do ciebie coś więcej.

Przesłonił dłonią oczy i potarł czoło.

– Nie wiem, jak to wyrazić. Nie jestem w tym dobry.

Ujęła go za rękę.

– Nie musisz nic mówić. John Miller także tego nie zrobił.

Zmarszczył brwi. Och, jak bardzo lubiła cienkie bruzdy, które pojawiały się, kiedy marszczył brwi.

– Czy powiedziałaś temu Johnowi Millerowi, że go kochasz?

– Oczywiście.

Roześmiał się. Tak rzadko słyszała jego śmiech, że zaśmiała się również.

– Nie jesteś tchórzliwa, muszę ci to przyznać. A co ci odpowiedział John Miller?

– No cóż, nic. Złapał mnie tylko wpół i pocałował. To był mój pierwszy pocałunek,

– Romantyczna historia.

– Nie zanadto, bo w jego oddechu czuć było cebulę i przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie będę się całować z chłopakiem. Chyba nie muszę dodawać, że od razu przestałam się kochać w nieszczęsnym Johnie Millerze.

– Z pewnością zmarł ze złamanym sercem.

– Nie, ożenił się z Sally Johnson i mieli chyba sześcioro dzieci. Najwyraźniej lubiła oddech zalatujący cebulą.

Pokiwał głową.

– Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

– Bo zbyt wiele czasu spędzasz z damami. Gwarantuję ci, że Fallon, Lily i ja jesteśmy o wiele zabawniejsze niż każda prawdziwa hrabina czy markiza.

– Nie wątpię. Wasza przyjaźń jest bardzo interesująca.

– Dlaczego?

Wiedziała dlaczego, ale chciała, żeby on to powiedział.

Poruszył się nerwowo.

– No cóż, zważywszy, że się nawzajem dobrze znacie...

– Masz na myśli to, w jaki sposób się spotkałyśmy? Co o tym słyszałeś?

– Nic nie słyszałem. Ja...

– Czybyś nie słyszał, że Grzeszny Hrabia zaprosił mnie do swojego łóżka, a kiedy się w nim znalazłam, zastałam tam już Fallon i Lily świadczące mu wiadome usługi?

Pelham otworzył usta i zaraz je zamknął. Najwyraźniej nie była to ta historia, którą słyszał. Wyglądał raczej na zszokowanego.

– Albo może słyszałeś, że zbieramy się w Somerset House, a on odwiedza co noc jedną z nas?

– Juliette...

– A więc to tę historyjkę słyszałeś. Wierzysz w jej prawdziwość?

– To nieprawda?

Westchnęła rozczarowana.

– Jestem kurtyzaną, Will. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz...

Siadła i odsunęła się od niego.

– Chyba jestem bardziej znużona, niż myślałam. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę do siebie.

Chwycił ją za ramię, nim zdążyła zeskoczyć z łóżka.

– Mam coś przeciwko temu.

Spojrzała na rękę, którą przytrzymał jej ramię.

– Pewnego aspektu małżeństwa nigdy nie mogłam znieść.



Nie cierpię być czyjąś własnością, a nie jestem twoją własnością, Will. Będę spać, gdzie mi się spodoba.

– Wcale nie chcę, żebyś była moją własnością. – Złagodził swój chwyt, ale nie puścił jej. – Nie jesteś dla mnie Księżną Zalotów, tylko Juliette. Zależy mi na tobie.

Przeniosła wzrok z jego ręki na twarz. Ujrzała na niej czułość i szczerłość. Nie przeprosił jej za to, co mówił teraz i przedtem. Nie powiedział, że nie obchodzi go, czy jest kurtyzaną. No i najważniejsze: nie powiedział, że ją kocha.

Ale czy to nie mógł być jego pierwszy krok?

Och, słyszała niemal, jak lady Sinclair zaciska zęby z desperacji.

Juliette wiedziała, że jest niemądra. Cóż jednak mogła zrobić? Kochała go i już.

Odwróciła się ku niemu, a Will wziął ją w ramiona. Przeszedł ją dreszcz, gdy poczuła go na sobie, ciepłego i nagiego. Zapragnęła pozostać w jego uścisku na zawsze, zwinąć się tam w kłębek, zamknąć oczy i wiedzieć, że należy do niego. Chciała być bezpieczna, kochana i mieć świadomość, że zawsze będzie bezpieczna i kochana.

Pragnęła, żeby Will ją kochał.

Pocałował ją, tulił jej głowę w dłoniach, szepcząc, że jest piękna.

Tej nocy ofiarował jej swoją delikatność, swoją opiekuńczość. Jakby to mogło wystarczyć.

Nie było go przy niej, gdy się zbudziła. Nie czuła się tym zaskoczona. Każdy mężczyzna, który z własnej woli nawet w Londynie jadał śniadanie o ósmej, był oczywiście z natury rannym ptaszkiem. Leżała w jego łóżku przez większą część poranka, piła czekoladę i jadła różne znakomite ciasta. Potem jednak uznała, że dzień jest zbyt ładny, by go spędzać w domu. Pogoda bardzo się poprawiła w ciągu nocy, zapowiadał się jasny i słoneczny dzień. Wciąż było co prawda chłodno, ale w spencerku nałożonym na jej najcieplejszą suknię i z dłońmi w mufce czuła się całkiem dobrze w świetnie utrzymanym ogrodzie Willa.

Było ich właściwie dwa. Jeden, wypielęgnowany i perfekcyjnie zadbane, odpowiadał dokładnie wyobrażeniom o tym, jak powinien wyglądać angielski ogród. Spędziła w nim jakiś kwadrans, podziwiając kwiaty i krzewy forsycji oraz przechadzając się po wysypanych żwirem ścieżkach. Było tam co podziwiać – różowe i czerwone róże, kokoryczkę z jej białymi kwiatami zwisającymi z nachylonych ku dołowi gałęzi, a także bratki błękitne, purpurowe, pomarańczowe i w wielu jeszcze innych kolorach. Ujrzała fiołki, ogrodowe psizęby, zwyczajne dzikie fiołki, krokusy i żonkile. Uwielbiała hiacynty, zwłaszcza niebieskie. Tulipanów jeszcze nie było, ale wiedziała, że za jakieś dwa tygodnie już wzejdą.

Przeszła wreszcie do ogrodu za domem, celowo utrzymywanego w stanie dzikości. On również był obsiany i starannie utrzymany, ale pozostawiony w stanie naturalnym. Przepływał przez niego mały strumyczek, ocieniony karłowatymi drzewkami. Juliette uznała, że cała atmosfera tchnie tu spokojem. Oczywiście jej buty i obrąbek sukni zabłocily się, ale po wczorajszym deszczu nie można było nic na to poradzić.

Natknęła się na resztki starego rzymskiego muru, usiadła na nich, machając nogami, i wpatrywała się w bezchmurne niebo. Strumyczek koło niej szemrał, ptaki ćwierkały. Przymknęła oczy i runęła w tył.

Zerwała się natychmiast, ale czyjaś dłoń zatkała jej usta, dławiąc krzyk, a potem została powalona na ziemię i powietrze uciekło jej z płuc. Dyszała i usiłowała oprzytomnieć, lecz mężczyzna, który ją trzymał, znajdował się z tyłu za nią. Nie mogła go zobaczyć.

– Mógłbym cię zabić od razu – syknął głosem zmienionym co prawda i niskim, ale dziwnie znajomym. Czyżby to był Lucyfer? – Śledziłem cię i wyczekiwałem odpowiedniej chwili, a ty dałaś mi ją niczym jakiś głupek. Gdzie twój gach, ty nędzna kurewko? Gdzie on jest teraz, kiedy ci go potrzeba?

Potrząsała gwałtownie głową, usiłując strącić z ust jego rękę, ale trzymał ją mocno. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że

unieruchomił jej też ręce za plecami.

– Pozostaje tylko jedno pytanie: w jaki sposób mam cię zabić? – Głos miał tak schrypnięty, że z trudem rozumiała, co mówi, ale słowo „zabić” dotarło do niej całkiem wyraźnie. – Czy mam cię zamordować od razu, czy wcześniej zgwałcić? – Wpił się boleśnie palcami w jej pierś. – Hm, myślę, że najpierw cię zgwałcę.

– Nie! – zdołała jakoś wykrzyknąć. Wyrывała mu się i wiała, musiał więc trzymać ją obiema rękami. – Na pomoc! – krzyknęła. – Na pomoc, Will!

Uderzył ją mocno w tył głowy, tak że upadła na twarz. Przez chwilę zrobiło się jej ciemno przed oczami, ale nie pozwoliła sobie na utratę przytomności. Czowała, że złapał ją za łydkę i przytłoczył ciężarem swojego ciała. Zadarł jej do góry suknię, chcąc wziąć ją od tyłu. Jedną ręką przydusił jej szyję, leżała więc z głową na ziemi, ale mimo że miała w ustach pełno błota, krzyknęła ponownie.

Dźgnął ją czymś od tyłu – zapewne kolaniem – a ona wydała z siebie zdławiony, głuchy dźwięk. Potem mocnym szarpnięciem odchylił jej głowę w tył i uderzył nią o ziemię. Wszystko nagle pociemniało, a szemranie strumyka stało się nieznośnie głośne.

Poczuła jego rękę na swoim obnażonym biodrze i przestała cokolwiek widzieć.

Chyba odzyskuje przytomność, Wasza Wysokość.

Pelham odwrócił się od swego rządcy i podszedł do łóżka, gdzie leżała Juliette. Policzki jej drgnęły i poruszyła się lekko.

– Proszę leżeć bez ruchu, madame – upomniął ją lekarz. – Można otworzyć oczy, ale na razie nie wstawać.

Pelham stał nad nią zatroskany. Była śmiertelnie blada, tak blada, że mógł dostrzec niebieskawe żyłki na powiekach. Choć dosyć wysokiego wzrostu, wydawała się drobna na wielkim łożu przeznaczonym dla gości.

Otworzyła powoli oczy i spojrzała w sufit. Pelham pragnął, żeby skierowała je na niego. Chciał ujrzeć w nich ten figlarny błysk, do którego przywykł, ale ona nie zwróciła ku niemu głowy.

– Gdzie ja... – zaczęła schrypniętym, niskim głosem. Po jednej stronie twarzy miała szkaradnego siniaka. Policzek był czerwony i spuchnięty, ale lekarz powiedział mu, że potem zżółknie, a jeszcze później stanie się sinogranatowy.

Uniosła rękę i dotknęła ostrożnie policzka. Pelham zacisnął pięści. Chętnie wziąłby na siebie jej ból, gdyby tylko mógł. To była jego wina. Spojrzał morderczym wzrokiem na rządcę, który patrzył w ziemię.

– Will...

Pelham drgnął i przyjrzał się jej uważniej.

– Czy nic ci się nie stało? – spytała.

Ukląkł przy niej, częściowo dlatego, że jej schrypnięty głos był tak słaby, a częściowo dlatego, że chciał się znaleźć blisko niej.

– Ze mną wszystko w porządku. To ty zostałaś napadnięta.

– Czy pani cokolwiek pamięta, madame? – spytał lekarz.

– Tak. Byłam w ogrodzie, a... on próbował mnie zgwałcić,

ale uderzyłam o coś głową i nic więcej nie pamiętam.

– Niech go piekło pochłonie! – krzyknął Pelham. – Gdyby wpadł w moje ręce, pokrajałbym go na kawałki!

Lekarz poklepał Juliette po ramieniu.

– Usłyszano pani krzyki, nim zdołał to zrobić. Ma pani posiniaczoną twarz, ale poza tym żadnych obrażeń.

Juliette uśmiechnęła się do Pelhama, choć z pewnym trudem, bo najwyraźniej nie bardzo mogła się uśmiechać.

– Usłyszałeś mnie, Will. Przybiegłeś mi z pomocą.

Jakże chciałby być tym, który ją uratował. Zamordowałby Lucyfera i wypruł z niego flaki.

– To nie byłem ja – odparł przez zaciśnięte zęby. – Usłyszał cię ogrodnik.

– Och. – Rozejrzała się wokoło. – Czy on tu jest? Chciałabym mu podziękować.

– Możesz być pewna, że mu to przekażę.

Rządca Pelhama zbliżył się do łóżka.

– Madame, przepraszam panią najpokorniej.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego? Kim pan jest?

– To mój rządca, Cargrove – wyjaśnił Pelham.

– Nie wiem, jak on mógł się prześlizgnąć między nami – rzekł Cargrove. – Jego Wyskość polecił mi rozstawić straż wzdłuż drogi i na stacjach pocztowych. Nikt z nich nie spostrzegł mężczyzny odpowiadającego opisowi Lucyfera.

– Wypytam ich wszystkich – powiedział Pelham. – A gdy się dowiem, kto zaniedbał swoje obowiązki, ów człowiek ciężko tego pożałuje.

– Chwileczkę – Juliette dotknęła jego ręki. Palce miała lodowate. – Panie Cargrove...

– Słucham, madame?

– Czy Lucyfer mógł w jakiś sposób zmylić czujność tych ludzi?

– Madame – przerwał jej lekarz – proszę oszczędzać siły. To nie pani sprawa.

Pelham był rad, że spiorunowała wzrokiem doktora, a nie jego.

– Proszę mi wybaczyć, ale ja zostałam napadnięta. To moja sprawa.

– Jak pani sobie życzy, madame. – Doktor wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że umywa ręce.

Juliette przeniosła wzrok na Cargrove'a.

– Może to niezupełnie wina tych ludzi.

– Wybrałem do tego najlepszych, milady... przepraszam, madame. Nie pojmuję, jak Lucyfer mógł ujść ich uwadze. Yorkshire jest terenem niełatwym do przebycia. Niemożliwe, by się tu dostał inaczej, niż jadąc głównym traktem.

– A jednak zdołał nie tylko wyminąć strażników na drodze, ale i przedostać się niepostrzeżenie do mego ogrodu. Jak rozstawieni strażnicy to wyjaśniają? – spytał ostrym tonem Pelham.

– O Boże! – zawołała Juliette. – Nie miałam pojęcia, że żyjemy w prawdziwej twierdzy!

– Najwyraźniej wcale tak nie jest – odparł Pelham, patrząc surowo na Cargrove'a. – Ale z pewnością ktoś musiałby dostrzec Lucyfera – powiedział Juliette – i donieść o tym.

– Chyba że przybył tu w przebraniu – wtrącił Cargrove. – Ktoś, kto nie odpowiadał jego opisowi, mógł nie zwrócić na siebie uwagi. Czy widziała pani w ogóle jego twarz, mila... madame? Czy był w przebraniu?

– Nie przypominam sobie jego twarzy – przyznała Juliette. – Nie widziałam jej. Chwycił mnie od tyłu.

– W takim razie jak najbardziej mógł być przebrany – uznał Pelham. – Musimy zmienić treść polecenia. Trzeba meldować o każdej nieznannej osobie.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparł Cargrove. – Natychmiast się tym zajmę. – Skłonił się przed Juliette i wyszedł, a wkrótce wyszedł też za nim i doktor.

Pelham bez słowa dał znak służącym i wszystkie rozeszły się natychmiast. Gdy w pokoju zostali tylko oni dwoje, Pelham usiadł

koło Juliette.

Spodziewał się, że usłyszy od niej jakąś bystrą i dowcipną uwagę, lecz ona z roztargnieniem patrzyła tylko w okno. Po kilku minutach ujął ją za rękę.

– Jesteś zmęczona? Czy mam sobie pójść?

Nie odpowiedziała mu ani nie zwróciła nawet głowy w jego stronę.

– Juliette...

Spojrzała na niego.

– Ach, przepraszam. Zamyśliłam się.

– O czym myślałaś?

– O niczym. Tylko...

Pelham czekał, aż powie coś więcej, ale ona znów wpatrzyła się w okno.

– Tylko... że ta wzmianka o przebraniu dała mi do myślenia.

– Zwróciła wzrok ku niemu. Ich oczy się spotkały. – A gdyby ten mężczyzna, który na mnie napadł, nie był Lucyferem? Gdyby to zrobił... ktoś inny?

– Kto? – zdumiał się Pelham.

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Tylko myślałam, że... – Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, dlaczego przyszedł jej na myśl Oliver. Rozwiodła się z nim dawno temu. Dlaczego miałby jej zagrażać teraz, po tylu latach? No i dlaczego w Yorkshire? Oliver nigdy nie był w Yorkshire.

– Któż inny mógłby to zrobić? Ogrodnik nie rozpoznał tego człowieka, choć przyznał, że nie zdołał mu się dokładnie przyjrzeć. Poznałby jednak kogoś z miejscowych ludzi. To musiał być Lucyfer.

– Oczywiście. Masz rację – zgodziła się z nim. – Gdzie się wszyscy podzieli?

– Poszli sobie.

– Czyżbyś zamierzał i mnie stąd przepłoszyć? – spytała rozbawiona.

– Czyż nie mogę być z tobą przez chwilę całkiem sam? Poza

tym potrzebujesz odpoczynku.

– Nic mi nie jest. Czuję tylko lekki ból głowy. Nie mógłbyś się tak położyć koło mnie?

Niczego nie pragnąłby bardziej, ale ona naprawdę powinna odpocząć.

– Może posiedzę tutaj – przysunął fotel do łóżka – kiedy ty będziesz wypoczywać.

– Nie to miałam na myśli.

– Ale musisz na razie przestać o tym myśleć. Zamknij oczy i zdrzemnij się.

– Nie mogę zasnąć na zawołanie – zaśmiała się. – Może opowiesz mi bajeczkę na dobranoc?

– Nie znam żadnej.

– To wymyśl jakąś.

Otworzył usta, ale znów je zamknął, bo brakło mu słów.

– Przecież chciałeś, żebym usnęła.

Pelham westchnął. Coś musiał wymyślić. Jakąś historyjkę.

– Pomogę ci zacząć. Był sobie raz...

Spojrzał na nią zdumiony.

– No! Był sobie raz... – ponagliła go.

– Był sobie raz... – odchrząknął – ...chłopiec imieniem... – żadne imię nie przychodziło mu do głowy. Absolutnie się nie nadawał na narratora.

– Imieniem Will – podsunęła mu i ziewnęła.

Był to dobry znak. Gdyby zasnęła, uratowałoby go to przed opowiadaniem bajki.

– Will żył w fortecy...

Kiedy znów urwał, powiedziała:

– No, dalej, dalej. Do licha, Will, nie mogę robić wszystkiego.

Dobrze, że nie mogła się teraz ruszyć, bo gdyby mogła, chyba by ją udusił.

– Był sobie chłopiec imieniem Will.

Ziewnęła ponownie i dała mu znak, żeby mówił dalej.

– Will żył w fortecy przez całe życie i tę fortecę lubił. Póki



nie spotkał... – spojrzał na Juliette. Miała powieki przymknięte, ale je uniosła, a spojrzenie tych bladoniebieskich oczu zdawało się przewiercać go na wskroś – ...księżniczki.

Popatrzyła na niego sceptycznie i ponownie zamknęła oczy.

– Księżniczka przekonała Willa, że nie musi wcale żyć w fortecy. Że może wyjść poza jej mury. – Zagłębił się w fotel i spojrzał w sufit. Na kominku migotały pomarańczowe i żółte płomienie ognia. – Mógł się śmiać. Mógł się bawić. Nigdy się przedtem nie bawił, bo był księciem, a książęta powinni być poważni i zachowywać się w sposób zgodny z ich pozycją. Książęta się nie bawią.

Rozmyślał o swoim dzieciństwie i próbował sobie przypomnieć, czy choć raz się bawił, kiedy był chłopcem. Z pewnością znał jakieś gry, jak wszystkie dzieci. Niejasno pamiętał nianię, która często się śmiała i klaskała w ręce, ale to wspomnienie ustąpiło miejsca obrazowi ojca. Dotknął głuchego ucha. Nie, jego dzieciństwo nie było wesołe.

– Ale ta księżniczka zawsze była pogodna i śmiała się, bo lubiła się bawić. Will z początku był wobec niej nieufny, ale dał się jej namówić i wkrótce jemu też było wesoło. – Spojrzał na Juliette. Znów miała zamknięte oczy, a jej oddech wydawał się miarowy. Uznał, że musiała zasnąć. Zniżył głos do szeptu. – A pewnego dnia księżniczka powiedziała Willowi, że go kocha. To go wprawiło w jeszcze większe zakłopotanie niż jej próby wciągnięcia go do zabawy, bo przedtem nikt Willa nie kochał. Nie rozumiał zresztą, dlaczego ktoś miałby go kochać. Nie rozumiał, dlaczego miałyby go kochać księżniczka. Była piękna, dowcipna i powszechnie lubiana za pogodne usposobienie, on natomiast był ponury, oschły, a chciano z nim przestawać tylko dlatego, że miał książęcy tytuł.

Nachylił się i ujął ją za rękę. Nie poruszyła się, a jej ręka była bezwładna. Pogłaskał jej miękką skórę.

– Will chciał zasłużyć sobie na jej miłość, próbował więc ją chronić i dbać o jej bezpieczeństwo. Ale nawet tego prostego zadania nie potrafił porządnie wykonać.

Pelham nachylił się i dotknął ustami ręki Juliette.

– Daję słowo, że odtąd będę lepiej dbać o twoje bezpieczeństwo. Odnajdę diamenty i powstrzymam Lucyfera przed nowym atakiem. To bardzo niewiele w porównaniu z tym, co ty zrobiłaś dla mnie.

Juliette ścisnęło się serce po jego słowach. Jak mógł się uważać za niegodnego miłości? Jak mógł sądzić, że musi odpłacić jej za nią w jakiś sposób? Chciała przecież w zamian tylko jego miłości. Nie musiał jej chronić ani szukać diamentów. Pragnęła jedynie, by ją kochał.

Nie sądziła jednak, by Will wiedział, czym jest miłość. Jakże mógł to wiedzieć, skoro tak go wychowywano? Gdyby była córką jakiegoś wicehrabiego lub barona, może by ją pewnego dnia pokochał. Może gdyby nigdy nie została kurtyzaną, mieliby przed sobą jakąś przyszłość. A ona rozpaczliwie pragnęła przyszłości z tym mężczyzną, który przysiągł, że ją ochroni, który tak delikatnie ucałował jej dłoń, który wsparł się czołem o nią i zdawał prosić o przebaczenie.

W pewnej chwili chyba jednak przysnęła, bo gdy się ocknęła, w pokoju było ciemno, a ogień na kominku przygasł. Skrzywiła się, czując ból głowy, ale wtedy jeszcze bardziej rozboleł ją posiniaczony policzek. Odwróciła się na łóżku, usiłując znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję. Obok niej, z głową przechyloną na bok, spoczywał w fotelu Pelham. Zasnął w tej niewygodnej pozycji i zapewne spędziłby tak całą noc.

Długo mu się przyglądała, usiłując utrwalić w pamięci cień rzęs na jego policzku, kosmyk rozwichrzonych włosów na czole i miękki zarys warg, zazwyczaj dumnie zaciśniętych. Musiało mu być bardzo niewygodnie. Miał co najmniej tuzin łóżek w tym domu, ale wzgardził nimi, żeby siedzieć przy niej.

O mało nie rozplakała się z radości. A więc naprawdę pragnął się o nią troszczyć!

Chciała go zbudzić i nakłonić, by położył się do łóżka, ale wiedziała, że odmówi, a poza tym już by i tak nie potrafił zasnąć. Biedaczek. Jakże go kochała! Jakże pragnęła, by ujrzał w sobie łagodnego, troskliwego człowieka, takiego, jakim widziała go ona.

Ale on widział w sobie tylko księcia.

Następnego dnia rano Juliette uparła się, że wstanie z łóżka, zapewniając wszystkich naokoło, że czuje się doskonale. Jedno spojrzenie w lustro powiedziało jej jednak, że wcale tak nie jest. Wyglądała okropnie. Tylko woalka mogłaby zakryć żółtozielone plamy na jej twarzy. Nie zabrała jednak ze sobą żadnej, musiała więc udawać, że nie dostrzega sińców. Kazała służącej uczesać się jak najprędzej i włożyła zwykłą, skromną suknię.

Potem zaś wyruszyła na poszukiwanie Pelhama. Jeden z lokajów stojących przed biblioteką powiedział jej, że Jego Wysokość książę tam jest, ale żąda, by mu nie przeszkadzano. Juliette nie przejęła się tym, otworzyła drzwi i weszła do środka. Will wstał pospiesznie i westchnął z przygnębieniem.

Mężczyzna siedzący naprzeciw niego również wstał. Zaczął coś mówić, ale urwał gwałtownie. Kiedy odwrócił się w jej stronę, zamarł z wrażenia.

– Nie jest tak źle, jak na to wygląda – zapewniła go.

– Owszem, jest – odparł Will. – Powinnaś wrócić do łóżka.

Nie chciała dać się wciągnąć w tę dyskusję.

– Czy nie zamierzasz nas sobie przedstawić?

Will westchnął. Miał tak dobrze jej już znaną zgnębioną minę. Oznaczało to, że tym razem wygrała. Rozglądała się przez chwilę po bibliotece, bo jeszcze w niej nie była. Jak przypuszczała, był to istny bastion męskich upodobań. Biblioteki zwykle bywają takimi bastionami, azyłem mężczyzny i miejscem jego schronienia. Jej ojciec co tydzień spędzał w swojej bibliotece całe godziny. Juliette nie wiedziała, co on tam właściwie robił za zamkniętymi drzwiami, ale gdy tylko w domu pojawiali się jacyś goście, z miejsca wycofywał się do niej, żeby zatonać w podniszczonym skórzanym fotelu.

Najbardziej lubiła przypominać sobie, jak ojciec zapraszał ją tam, by siadała mu na kolanach i uprawiała się w pisaniu przy biurku. Chwalił ją też za każdy sukces. Pamiętała, że po jego pogrzebie wchodziła tam i siadała w jego fotelu. Choć nie była już wtedy dzieckiem, w tym przepastnym fotelu czuła się mała. Czuła

się bezpieczna.

I fotel, i cały ten pokój pachniały tak jak ojciec i przypominały jej o nim.

Ta biblioteka też miała męski charakter, ale nie wzbudziła w niej myśli o Willu. Mogła być biblioteką każdego mężczyzny, ze swymi regałami pełnymi książek ustawionych w idealnie równych rzędach i jednakowo oprawionych, z dużym dębowym biurkiem pozbawionym wszelkich osobistych akcentów oraz perfekcyjnie praktycznym umeblowaniem.

No i oczywiście nad gzymsem kominka wisiał portret ojca. Poprzedni książę spoglądał stamtąd surowo na ten pokój i na nią, całkiem jakby jej zabraniał cokolwiek tu zmieniać.

Spojrzała na Willa.

Albo zmieniać kogoś.

– To jest pan Pittinger – powiedział Will. – Rządca Nowlund Park. Panie Pittinger, to jest...

Juliette uniosła brwi.

– ...moja przyjaciółka.

– Co za tchórz – mruknęła pod nosem.

– T...to pani...?

– Księżna Zalotów, owszem. Może mnie pan tytułować Księżną, jeśli się panu tak spodoba.

Siadła w fotelu Willa, by oni też mogli usiąść.

– Czy ma pan jakieś wieści z Londynu?

– T...tak, madame. – Pelham usiadł, a Pittinger ciągnął dalej:  
– Lord Nowlund pozwala Jego Wysokości przeszukać swoją posiadłość.

– Rozumiem. Czy mogę z tego wnosić, że lady Elizabeth jeszcze nie odnaleziono?

– Nikt jej nie widział ani się z nią nigdzie nie zetknął – poinformował ją Will. – Jej rodzice rozpaczliwie pragną wpaść gdziekolwiek na ślad jej pobytu. Nie chcą opuszczać Londynu, gdyż tam ją po raz ostatni widziano, upoważnili mnie więc do podjęcia poszukiwań tutaj.

– Dobrze. Będę je prowadzić razem z tobą.

– Nie, nie będziesz!

Uśmiechnęła się przebiegle i zwróciła do Pittingera:

– Czy wiadomo coś o Lucyferze?

– Wciąż go nie znaleziono, madame. Agenci z Bow Street obserwują jego dom gry, ale samego Lucyfera nie widziano w Londynie. Jak mówi Jego Wysokość, ma pani powody do przypuszczeń, iż pojawił się on w Yorkshire.

Juliette dotknęła policzka.

– Owszem, to możliwe. Powinien się pan upewnić, czy cała służba w Nowlund Park jest o tym uprzedzona. On może pokusić się o włamanie, by samemu przeszukać to miejsce.

– Czego on właściwie szuka? Może mógłbym pomóc w poszukiwaniach, gdybym to wiedział?

Juliette i Will wymienili spojrzenia. Juliette wzruszyła ramionami. Cóż mogłoby to szkodzić?

– Szukamy diamentów. Ten tak zwany Lucyfer miał powiązania z lady Elizabeth i sądzi, że zabrała mu ona diamenty, będące jakoby jego własnością.

– Diamenty? – Pittinger zmarszczył brwi. – Pojedyncze sztuki czy może oprawione?

– Nie wiemy, panie Pittinger. – Juliette pokręciła głową. – Wolno nam chyba przypuszczać, że były to diamenty luzem, ale mogło też chodzić o naszyjnik lub bransoletkę.

– Nie mamy oczywiście pewności, że one zostały ukryte gdzieś w Nowlund Park – powiedział Will. – Chcielibyśmy jednak przeszukać dom, na wypadek gdyby lady Elizabeth je tam schowała. Jeśli je znajdziemy, będziemy mogli posłużyć się nimi, żeby zwabić tutaj Lucyfera i wreszcie go schwytać.

– Doskonale, Wasza Wysokość – uznał Pittinger. – Lord Nowlund nie ma nic przeciwko poszukiwaniom, może pan więc je prowadzić wszędzie. Czy chce pan zacząć już dzisiaj?

– Nie – odparł Will, lecz w tejże chwili Juliette powiedziała:

– Tak.

– Ty tam nie pójdziesz.

– Owszem, pójdę. Panie Pittinger, zobaczymy się za godzinę.

Pettinger wstał, najwyraźniej pragnąc jak najprędzej wyjść.  
– Świetnie, madame. Żegnam.

Gdy wyszedł, Juliette nie dopuściła Willa do głosu.

– Nie spieraj się ze mną. Idę z tobą.

– Nie czujesz się dobrze.

– No i znów się spierasz! – westchnęła.

Skrzyżował ręce na piersi. Stojąc w tej pozie za blatem wielkiego dębowego biurka, wyglądał naprawdę groźnie.

– Nie chcę, żebyś doznała nawrotu choroby.

– Jakiej choroby? Ja nie jestem chora, tylko uderzono mnie w głowę.

Co za niemożliwy człowiek. Bez przerwy musiał wydawać jakieś rozkazy! A jaki był przy tym poważny, śmiertelnie serio! Może by go tak połaskotała? Przywiązałyby go do krzesła i łaskotała bez litości! Juliette wstała. On również.

– Usiądź.

– Nie – odparła, obchodząc biurko dokoła.

– Nie powinnaś była wstawać z łóżka.

Stała przed nim i zaczęła rozwiązywać mu halsztuk.

– Co ty robisz?

– Chcę ci pokazać, jak dobrze się czuję.

– Juliette, to nie jest odpowiedni czas ani miejsce.

Pozwoliła, by halsztuk osunął się na jego lnianą koszulę, i zabrała się do rozpinania guzików na jego piersi.

– Spróbuj mnie powstrzymać.

Gdy skończyła z guzikami, wyciągnęła mu koszulę ze spodni. Kiedy spojrzała na jego twarz, zauważyła, że patrzy na coś po drugiej stronie pokoju. Podążyła za jego wzrokiem ku portretowi nad kominkiem.

– Lepiej byłoby chyba coś z tym zrobić.

– Z czym?

– Z nim. – Wskazała na portret. – Nie możemy się kochać, kiedy on na nas tak gniewnie patrzy.

– Juliette...

Zdarła z niego surdut, nie zważając na protesty. W końcu

mógł ją bez trudu powstrzymać. Tylko że nie powstrzymał. Kiedy uwolniła już Willa od surduta, położyła surdut na pobliskim krześle i zaczęła przesuwając je w stronę kominka.

– Co ty wyrabiasz? – Will natychmiast znalazł się przy niej i odsunął od krzesła. – Pozwól, że będę w tym uczestniczył. Jeśli chcesz zdjąć ten portret, powinnaś wiedzieć, że jest za ciężki, żeby którekolwiek z nas zdjęło go w pojedynkę.

Powinna się była sama zorientować!

– Dziś go jeszcze nie zdejmę. Zamierzałam tylko zasłonić go twoim surdudem.

Will spoglądał kolejno na surdut, na portret i na nią. Widziała, że początkowo chciał zaprotestować, ale zamiast tego wszedł na krzesło i zawiesił surdut na portrecie.

Bez słowa sprzeciwu.

Nauczył się czegoś.

A może też pragnął jej tak, jak ona pragnęła jego.

Gdy zeszedł z krzesła, pchnęła go na nie.

– Proszę usiąść, Wasza Wysokość.

Usłuchał jej, a ona zostawiła go tam i podeszła do zasłon okiennych, podwiązanych grubymi sznurami. Ściągnęła z nich sznury i wróciła z nimi do krzesła.

– Potrzyj je.

Wziął je z rozbawieniem. Zdjęła mu koszulę przez głowę i rzuciła ją na podłogę.

– Mogłabyś przynajmniej powiesić ją na czymś – powiedział zgryźliwie.

– Och, zapewniam cię, że dużo więcej rzeczy niż twoja koszula zgniecie się, kiedy ja to skończę.

– Czy powinienem się tego obawiać?

– Tylko jeśli cenisz swoją godność.

Zmarszczył brwi tak bardzo, że się zetknęły ze sobą.

– Co ty u licha...

– Załóż ręce za plecy – zażądała. Nie miała jednak pojęcia, co z nim będzie robić, kiedy go zwiąże. Nie miała już zamiaru go łaskotać, ale chciała, by choć na chwilę zapomniał, że jest

księciem. Stanęła za nim, ale on się ociągał. – Will, daj ręce – rozkazała.

Niemal słyszała, jak zgrzytnął zębami, ale zrobił, czego żądała. Przywiązała go mocno do krzesła. Mógł się temu przeciwstawić, gdyby naprawdę chciał. Nie była marynarzem i niewiele wiedziała o zawiązywaniu mocnych węzłów. Nie chciała jednak unieruchamiać go na długo.

Stanęła przed nim i nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Czy robisz to dla zabawy? – spytał.

– Oczywiście. Bawię się świetnie. – Powiodła lekko końcami palców po jego ramionach. – Dzięki twoim szerokim barkom. – Przesunęła dłoń niżej. – Dzięki twojej muskularnej piersi. – Zatrzymała się przy jego brzuchu i pozwoliła koniuszkom palców musnąć brzeg spodni. – Dzięki twemu twardemu brzuchowi.

Oczywiście nie tylko jego brzuch był w tej chwili twardy i dotknęła również tamtego miejsca, nim odeszła od krzesła. Wargi miał teraz zaciśnięte, a ona pragnęła złagodzić tę jego minę. Przypomniała sobie, jak odprężony był po ostatniej nocy.

Juliette zsunęła rękawy sukni. Nie zdołałaby rozebrać się sama, skoro nałożenie na nią ubioru zajmowało służącej całe pół godziny. Mogła się jednak z Willem trochę droczyć. Ściągnęła przejrzystą chustkę zakrywającą jej dekolt i pozwoliła jej opaść na ziemię. Wzrok Willa podążył za chustką, a potem skierował się znów ku jej piersiom. Suknia miała skromny dekolt, ale teraz, po zsunięciu rękawów, sama opadła z ramion, odsłaniając nabrzmiałe piersi.

Usłyszała, że Will głośno nabiera tchu.

Miała na sobie długi gorset usztywniony wewnątrz fiszbinami. Służąca umocniła go tasiemką zawiązaną na kokardkę. Rozwiązała ją i chociaż fiszbiny zostały na miejscu, mogła teraz zsunąć gorset tak, by ukazywał piersi ze stwardniałymi sutkami.

– Dlaczego jestem przywiązany do krzesła? – spytał Will niskim, schrypniętym głosem.

– Chciałbyś mnie dotknąć? – spytała i pogładziła się po jednej piersi.



Will jęknął głucho i dostrzegła, że naprężył mięśnie.

– Och, zapomniałam, że nie możesz ruszać rękami. – Uniosła dłońmi obie piersi. Oczy Willa pociemniały wręcz niewiarygodnie. – Na szczęście masz wolne usta. – Siadła mu okrakiem na kolanach, unosząc suknię tak, by mógł dojrzeć jej uda, i zbliżyła piersi do jego warg, ocierając o nie to jeden, to drugi sutek.

Will przymknął oczy, a gdy je otworzył, widniejące w nich pożądanie wręcz nią wstrząsnęło. Musiała oprzeć dłonie na jego ramionach, a on skorzystał z tego, by ująć sutek wargami.

– Och! – Rozkosz była tak nagła, że zaskoczyła ją. Nie wiedziała, czy doznała jej dzięki jego zręcznym ustom, czy może dzięki ciemnobłękitnym oczom, które zdawały się wręcz ją pochłaniać. A on przerzucił się od jednej piersi do drugiej, przesuwając językiem po jej wrażliwym ciele.

Jęknęła po raz kolejny, gdy wziął sutek do ust, i niczego bardziej nie pragnęła niż oswobodzenia go ze spodni, a potem wzięcia go w siebie.

Lecz to był tylko początek. Czas na tamto miał przyjść później.

– Doprawdy, czuję się bardzo dobrze – stwierdziła.

– Powinnaś leżeć w łóżku.

– Podoba mi się ta myśl, ale mam cię tutaj. Teraz. Na mojej łasce.

Odchylił się w tył. Spojrzała na niego.

– Od czego zaczniemy?

– Czemu mnie nie rozwiążesz? Pokazałbym ci zaraz od czego.

– A dlaczego właśnie ja nie miałabym ci tego pokazać? – Przynęła się bliżej do niego i pocałowała go w policzek, wodząc wargami po lekkim zaróżwieciu. Potem przesunęła usta w stronę ucha, wdychając zapach mięty. Wreszcie pocałowała go w ucho, chwytając zębami jego płatek, i szepnęła w nie, co chciała jeszcze z nim zrobić.

– Juliette, to jest tortura.

– A ty sądziłeś, że ja się źle czuję. – Ucałowała jego gołe

ramię, pierś i powiodła językiem wzdłuż jego brzucha. Potem uklękła między jego nogami i pocałowała go w brzuch.

– Juliette, a gdyby tak wszedł tu ktoś ze służby...

– Nikt z nich się nie ośmieli, póki ty tu jesteś. Lokaj postawiony na zewnątrz gwarantuje ci to. Rzecz jasna, domyśla się pewnie, co tu robimy. – Zaczęła rozpinąć mu spodnie. – Już sobie wyobrażam, jak się o tym będzie plotkować dziś wieczór w izbie czeladnej.

– Znakomicie.

Rozchyliła spodnie i jego erekcja ujawniła się w całej okazałości.

– Czy chcesz, żebym przestała?

Spiorunował ją wzrokiem.

– Nie.

– Ja też nie chcę. – Nachyliła się i dotknęła językiem czubka jego wzniesionej męskości. Gwałtownie zaczerpnął tchu, a ona lizała ją nadal, drażniąc go i dręcząc. – Will, czy jakakolwiek inna kobieta robiła to z tobą?

– Nie – odparł chrapliwym głosem.

– Powiem ci coś w sekrecie. Ja też nie robiłam tego nigdy z innym mężczyzną – odparła i wzięła jego męskość w usta. Zamrugął, a wyraz jego twarzy świadczył i o rozkoszy, i o zażenowaniu. – Mówię prawdę – powiedziała chwilę później. – Nie mam nawet pewności, czy robię to we właściwy sposób.

– Całkiem właściwy.

– Och, w porządku. Ale może bardziej by ci się podobało, gdybym posłużyła się rękami.

Jęknął głucho w odpowiedzi, gdy nadal to robiła, a potem jęknął drugi raz, chwilę później.

– Coś ty wcześniej mówiła o godności? Chyba cały dom mnie teraz słyszał.

– Mogę przestać.

– Czemu mnie nie rozwiązesz? Chcę się znaleźć w tobie.

Wstała.

– Wcale nie potrzebuję cię w tym celu rozwiązywać. – Znów

siadła na nim, podciągając wysoko suknię i biorąc go w siebie.

– O, tak! – wydyszał w jej szyję. Pocałował ją, ledwie muskając skórę. Zaskoczyła ją ta delikatność i odwzajemniła mu pocałunek. Usta ich łączyły się raz po raz, podczas gdy ona poruszała się nad nim. Mogła mu powiedzieć, by się nie spieszył, by na nią poczekał, bo czuła, że nadchodzi jej własne spełnienie. Chwyliła go za ramiona, podczas gdy jej biodra wciąż się poruszały, i nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Miał nieprawdopodobnie wręcz błękitne oczy. Z wszystkich jego cech, które pragnęła zapamiętać, właśnie ten błękit oczu utrwalił się w jej pamięci najsilniej.

Rozkosz narastała w niej coraz mocniej, aż do samego kresu. W pewnej chwili posłyszała jęk Willa i poczuła jego spełnienie a potem wsparła głowę na jego ramieniu i usiłowała wziąć głęboki oddech. Poczwała wtedy na sobie ze zdumieniem jego ręce.

– Uwolniłeś się?

– Hm, tak, pozwoliłem ci się wprawdzie zabawić, ale teraz chciałbym cię już objąć.

Zamknęła oczy i padła w jego ramiona.

Will nie był pewien, jak Juliette starczyło sił – widocznie uwodzicielskie zabiegi nie szkodzą zbyt zdrowiu – żeby towarzyszyć mu w drodze do Nowlund Park. Pojechali tam powozem, bo choć twierdziła, że czuje się znakomicie, nie chciał, by musiała się trząść na końskim grzbiecie. W zamkniętym powozie była też bardziej bezpieczna, zwłaszcza że zabrał ze sobą pół tuzina swoich ludzi.

Juliette wyjrzała przez okienko, gdy się zbliżali do celu.

– Imponujący pałac, choć mniejszy od twojego.

– To nie jest główna rezydencja hrabiego.

Kiwnęła głową, przyglądając się budynkowi z czerwonej cegły, niewielkiemu, ale dobrze utrzymanemu. Największym jego walorem byli dzierżawcy, którzy z sukcesem uprawiali tu ziemię, dobrą i pod owies, i do wypasu bydła. Pelham przypuszczał, że Nowlund ją teraz sprzeda, skoro nie miał już córki, którą trzeba byłoby wyposażyć.

Wciąż nie mógł zrozumieć, jak mógł się tak pomylić co do lady Elizabeth. Z trudem przyjmował do wiadomości, że ta rozumna, spokojna kobieta, z którą się zaręczył, mogła się zadawać z mężczyzną pokroju Lucyfera. No i dlaczego ukradła tamtemu diamenty? Po cóż była jej ich kradzież, skoro miała wyjść za jednego z najbogatszych ludzi w Anglii?

– Ta posiadłość mogła się stać twoją własnością – stwierdziła Juliette.

– Tak. Była częścią umowy małżeńskiej.

Juliette spojrzała na podjazd, gdy powóz zatrzymał się pod samym wejściem.

– Czemu o tym wspomniałaś?

– Poznałam po wyrazie twojej twarzy, że myślisz o niej.  
Kojarzy ci się z tym miejscem.

– Tu się poznaliśmy – przyznał, gdy powóz zwalniał.

– Czy przygnębia cię powrót do tego miejsca?

Nie zastanawiał się nad tym, ale odpowiedział bez chwili wahania.

– Nie.

Nie chciał więcej o niej mówić. Jak miał wytłumaczyć, że lady Elizabeth nic już w gruncie rzeczy dla niego nie znaczy? Zabrzmiałoby to brutalnie. Jeszcze kilka dni temu nie rozumiał, czym jest troszczenie się o kogoś, pragnienie czyjejś obecności, wyczekiwanie na czyjś uśmiech.

Nie wiedział, jak dotkliwą udręką jest troska o czyjeś bezpieczeństwo i zdrowie, a ból po stracie – czymś nie do zniesienia.

Rozumiał teraz, co miał na myśli Darlington tamtego wieczoru w klubie White’a. Uważał, że Will nie kocha lady Elizabeth, a on mu odpowiedział, że narzeczona budzi w nim ciepłe uczucia. Myślał wówczas, że to prawda. A tymczasem było inaczej. Teraz już wiedział, czym jest... no, może nie miłość do kogoś, ale wielka troska o tę osobę. Zrozumiał, że nie czuł względem lady Elizabeth nic więcej niż względem swego radcy prawnego.

Sądził, że jest chłodnym i silnym człowiekiem. Ale to oznaczało też, że nie doświadczał uczuć. Uczuć, które pozwoliłyby mu poznać, dlaczego właściwie lady Elizabeth skradła diamenty Lucyferowi, jeśli istotnie należały one do niego. Co zaś ważniejsze, chciał je odnaleźć. Nie natrafiono na nie w Londynie, a więc Nowlund Park był najbardziej logicznym miejscem ich ukrycia. Rodzice lady Elizabeth twierdzili, że udała się tam niedawno, a Juliette podejrzewała, że jego narzeczona powiedziała Lucyferowi, iż ma je właśnie on, Pelham. Lady Elizabeth nie spędziła w Nowlund Park dużo czasu. Mogło to jedynie znaczyć, że zostawiła diamenty w tym majątku, który stałby się jej własnością zaraz po ślubie.

Wszedł za Juliette do domu, gdzie spotkali Pittingera. Ukłonił się im, przywitał ich uprzejmie, a potem spytał, od jakiego pomieszczenia chcą zacząć poszukiwania.

– Sądzę, że od apartamentów lady Elizabeth – odparł Pelham.

Juliette przytaknęła mu. Zaprowadzono ich więc po schodach do ciągu obszernych wnętrz. Pelham nie uważał, by umeblowano je stylowo, ale spodobał mu się stonowany koloryt i ogólna prostota wystroju.

Pittinger zostawił ich samych. Juliette pokręciła głową, co zdziwiło Pelhama.

– Nie podoba ci się tutaj?

– Tego bym nie powiedziała, ale te pokoje są sterylne. Nie ma tu nic barwnego, nic kobiecego. Przypominają twoje własne.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał zaskoczony.

– To, że nie urządziłaś ich sam. Nie mają w sobie niczego z ciebie.

Will skrzyżował ramiona.

– Rothingham House to dom stary i odznaczający się dystynkcją. Jego wystrój jest elegancki i pasuje do miana księżąt Pelham.

Najwyraźniej nie spodobała się jej ta odpowiedź. Zaciśnęła wargi.

Do licha, jemu też się nie spodobała. Zabrzmiała pompatycznie i zarozumiale.

– Nie zaczynaj znów odgrywać księcia – powiedziała, stając przy nim. Ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła ku sobie, żeby móc go ucałować w nos. – Twój dom jest śliczny. Chciałam tylko zauważyć, że nie odcisnąłeś na nim swojego piętna. A wcale nie stałby się mniej elegancki, gdybyś to uczynił.

– Chodzi ci o ten portret? – Miał niemiłe wrażenie, że ich rozmowa przybiera obrót, który mu niezupełnie odpowiada.

– O Boże, nie! – roześmiała się. – Ale mógłbyś się zastanowić, czy nie warto zdjąć ze ściany choćby jednego z trzydziestu dziewięciu portretów twego ojca.

– Trzydziestu dziewięciu?

– Tak. Kazałam lokajowi je policzyć. Jest ich dokładnie trzydzieści dziewięć. Dlaczego nie zastąpić ich obrazami, które byś lubił? Twój ojciec z pewnością nie zasłużył sobie na takie sanktuarium. – Dotknęła jego głuchego ucha. Cofnął się.

– A więc wiesz o tym?

Nie wiedział, dlaczego nagle poczuł wstyd. Nie dlatego, że nic nie mógł na to poradzić. Głuchota nie przeszkadzała mu, chyba że hałas zmuszał go do nadmiernego wyężdżania zdrowego ucha. Ale przypominała mu o ojcowskiej karze. I o jego bynajmniej nie idealnym dzieciństwie.

– Tak. Pani Waite powiedziała mi, jak skrzywdził cię twój ojciec. To przerażające.

– Było, minęło. Nie każdemu jest dane takie dzieciństwo jak twoje.

– Owszem, miałam wielkie szczęście. Mogę cię jednak zapewnić, że gdyby ojciec choć raz mnie uderzył, nie upamiętniłabym go, wieszając jego portrety w każdym pokoju. Jak możesz codziennie na nie patrzeć?

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może tam coś zmienić. W Rothingham zawsze wisiały portrety jego ojca. Ani mu się śniło je zdejmować. Ale uwaga Juliette była trafna. Czemu nie miałyby tam wprowadzić pewnych zmian?

Nie miał jednak pojęcia co i jak zmienić! O to właśnie chodziło. Juliette radziła, żeby zastąpić portrety obrazami, które sprawią mu radość. Co jednak mogło go radować? Ojciec lubił obrazy mistrzów holenderskich – Vermeera, Rembrandta, van Haarlema. On sam nigdy w nich zbyt nie gustował, ale wiedział, że są wartościowymi artystami. To ojciec wpoił mu przekonanie o ich wartości.

Cóż to znaczyło, że Will ich nie uważał za ładne i że ich koloryt zawsze go nieco irytował?

– Zmieniłeś się, odkąd cię poznałam – powiedziała Juliette. – Możesz też zmienić swoje życie. Nie musisz być taki jak twój ojciec. Nie musisz być Groźnym Księciem. Możesz być Dziarskim Księciem.

Uniół brwi, a ona się roześmiała, jak zawsze.

– Masz rację. Może słowo „dziarski” niezupełnie do ciebie pasuje. Ale rozumiesz, o co mi chodzi, prawda? – Ujęła jego ręce w swoje ciepłe dłonie. Wciąż go dotykała, wciąż się do niego uśmiechała. Nikt się przedtem tak do niego nie odnosił. Nie wiedział, jak na to zareagować. – Ja zmieniałam się w kogoś innego kilka razy. Byłam dziewczyną z farmy, potem zostałam Księżną Zalotów. A kiedy już będzie po tym wszystkim – wskazała ręką na pokój – stanę się znowu kimś innym. Człowiek może kształtować swój los.

– Ty możesz – powiedział, nim ją całkowicie zrozumiał.

– Doprawdy? Ty masz o wiele więcej środków po temu niż ja kiedykolwiek. Możesz zrobić, co ci się tylko podoba.

Policzek, w który się uderzyła podczas napaści Lucyfera, stał się sinozielony. Opuchlizna już z niego zeszła, ale siniec psuł jej idealnie porcelanową karnację. Uświadomił sobie nagle, że wciąż spogląda na to miejsce, ale wie, iż siniec kiedyś zblednie, a jej cera znów będzie bez skazy. Dlaczego nie było w niej jakiejś innej skazy? Może wtedy nie ciągnęłoby go do niej tak bardzo? Może nie byłoby mu tak łatwo zapomnieć o tej jednej skazie, rzucającej się w oczy?

Była kurtyzana.

– Pochodzę z rodziny, która ma długie dzieje i wiele obowiązków. Nie mogę robić czegoś po prostu dlatego, że tak mi się podoba.

– Nie żądam od ciebie rzeczy niemożliwych, w rodzaju wyprawy do Chin, tylko ci podsuwam myśl, żebyś zawiesił kilka innych obrazów, no i może zmienił draperie.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Co, i draperie też musiałbym zmienić?

Tego już było za wiele. Odszedł od niej energicznym krokiem i zaczął przeszukiwać pokój lady Elizabeth, poczynając od małego biureczka w rogu.

– Will, co robisz?

– Powinniśmy rozpocząć poszukiwania. Zajmą nam sporo



czasu.

– Will, co się stało? – spytała, kładąc mu dłoń na plecach. – Czy powiedziałam coś niewłaściwego?

– Nie. – Uderzył pięściami w blat biureczka i wsparł się na nim mocno. – Masz rację. Powiniennem wprowadzić zmiany w Rothingham Manor i nadać mu własny charakter, ale ja... – Spojrzał na swoje dłonie. Znał każdą z widniejących na nich linii i załamania. To samo mógłby powiedzieć o swoich ramionach, nogach, twarzy. Czemu więc tak mało znał osobę, do której należały? Westchnął. – Sam nie wiem, jaki jestem. – Przymknął oczy. – Doprawdy, nie wiem nawet, kim właściwie jestem.

Spodziewał się, że go wyśmiej. Było to przerażające odkrycie, do którego nigdy by się nikomu nie przyznał. Nie ośmielał się nawet o tym myśleć, chyba w chwilach największego rozgoryczenia. Nie był poetą, nie miał czasu ani skłonności do analizowania własnej duszy.

Poczuł, że obejmują go ramiona Juliette.

– Ale ja wiem, kim jesteś. Dobrym, dzielnym, przystojnym i silnym mężczyzną.

Odwrócił się ku niej.

– Nie mam żadnej z tych cech.

– W moich oczach je masz, a nim znów zaprotestujesz, powinieneś przyjąć te pochwały, bo skądinąd masz też sporo wad.

Roześmiał się. Cóż miał zrobić? Nikt jeszcze nie śmiał rozmawiać z nim w taki sposób.

– Może bym ci pomogła we wprowadzaniu paru zmian?

Cofnął się, ale ona nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Małych zmian. Może kilka innych obrazów. Może jakiś nowy dywan. Moglibyśmy kazać lokajom zdjąć choć parę portretów twojego ojca i po prostu cieszyć się, że nic innego tam nie wisi.

Kiedy o tym mówiła, nie wydawało się to aż tak uciążliwym zadaniem. Spodobała mu się nawet jej energia. Przynajmniej była z nim szczerą.

– W porządku – uznał. – Zgoda.

Klasnęła w dłonie ze śmiechem.

– Och, jak dobrze! To będzie świetna zabawa.

– Juliette, ale to muszą być niewielkie zmiany.

Przewróciła oczami.

– Wiem, wiem!

Rozejrzała się po pokoju i musiała przyznać, że jest raczej spartański.

– Lepiej zacznijmy poszukiwania. Wiem, że nie będziemy się mogli w żaden sposób bawić, póki z nimi nie skończysz.

Ani myślał się temu przeciwstawiać. Gdzieś w pobliżu czaił się Lucyfer, który już parę razy dowiódł, że może zabić za te diamenty. Pelham chciał je odnaleźć. Zanim jeszcze ktoś inny za nie zapłaci.

Juliette opadła na szeszlony w bawialni, czy może w salonie, i westchnęła głośno.

– Mam już dość tego przeszukiwania zakamarków, Will. Jesteśmy tu od dwóch dni. Plecy mnie bolą, kark mi zeszywniał, oczy pieką. W tym domu nigdzie nie ma diamentów Lucyfera. Jeśli lady Elizabeth schowała je w jakiejś skrytce, to nie mam pojęcia, gdzie się ona może znajdować.

Will, który na czworakach zaglądał pod sofę, spojrzał na nią z drugiego końca pokoju.

– Może moje domysły były niesłuszne i ukryła je gdzieś w Londynie. Wiem jednak, że rodzice przeszukali jej rzeczy i nic nie znaleźli.

– To beznadziejne – powiedziała Juliette, patrząc w sufit. Po lewej widniał na nim brunatny zaciek, podobny z kształtu do jabłka. – Nikt nie mógłby prowadzić tych poszukiwań dokładniej od nas. Obawiam się też, że pan Pittinger chętnie by się nas stąd pozbył.

Zamiast zacieku zobaczyła teraz nad sobą twarz Willa, co było widokiem o wiele miłszym. Uśmiechnęła się.

– Czemu w takim razie nie wrócimy do domu i nie zajmujemy się czymś przyjemniejszym?

Przez ostatnią godzinę pragnęła go pocałować. Nie mogła się

też doczekać zmiany draperii w salonie. Miała świetne pomysły co do ich kolorów i tkanin, ale się jeszcze z nimi nie zdradzała.

Nie chciała zbytnio urazić Willa.

Starła się nie okazywać, jak bardzo jej zależy na nowym wystroju jego domu. To nie był jej dom i zapewne nigdy w nim nie zamieszka, w sumie więc urządzałyby go może dla innej kobiety. Nie chciała jednak o tym myśleć. Po prostu pragnęła pomóc Willowi we wprowadzeniu kilku zmian.

A ona uwielbiała zmieniać wystrój domostw. Zwłaszcza za cudze pieniądze.

– Mam na myśli kilka sposobów dostarczenia ci rozrywki.

– Naprawdę? – Objęła go za szyję i przybliżyła jego usta do swoich. – To czemu od razu nie zaczniemy?

Pocałował ją delikatnie, a ona od razu poddała się temu. Zawsze gdy go dotykała, czuła, jak przenika ją dreszcz podniecenia. Uwielbiała jego usta. Uwielbiała ich kształt, smak, fakturę. Uwielbiała sposób, w jaki się nimi posługiwał, gdy muskał nimi jej wargi raz czy dwa, a potem przesuwał je ku skroniom. Pocałował ją w ucho, a ona zaśmiała się i skierowała jego wargi ku swoim ustom.

On się również uśmiechnął. Zachwycał ją kształt jego warg, kiedy się uśmiechał, a uśmiechał się o wiele za rzadko. Jego pocałunek stawał się coraz głębszy i cały świat zawirował wokół niej. Nie słyszała nic poza szmerem jego oddechu i łomotem własnego serca. Wdychała zapach mięty, który skojarzył się jej z nim na zawsze. Nie czuła nic poza Willem. Żar tlił się w jej trzewiach i przenikał całe jej ciało niczym płomień.

– Pragnę cię – jęknęła, gdy pocałował ją w szyję. – Zróbmy to! – Usiadła i przyciągnęła go do siebie. Obmyślała już różne rzeczy, które zamierzała zrobić razem z nim podczas drogi powrotnej.

Wstał. Ujrzała rezerwę w jego oczach.

– Myślałem, że...

Położyła mu palec na ustach.

– Przestań myśleć. Chcę cię mieć w sobie, Will, chcę poczuć

na sobie swoje ręce. Wszędzie. Tu nie ma nic do myślenia!

Oczy mu pociemniały, a wyraz twarzy świadczył o tym, że stał przed koniecznością dokonania trudnego wyboru. Wzięła go za rękę i pociągnęła ku drzwiom salonu.

– Nie wiem, czy należycie przeszukaliśmy stajnie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Stajnie? Will, ona nie schowałaby diamentów w stajniach.

– Ale szukaliśmy wszędzie poza nimi i nie znaleźliśmy ich. –

Położył jej rękę na plecach, chcąc ją wyprowadzić z salonu. –

Chcę się upewnić, że niczego nie przeoczyliśmy. – Skierował się ku tylnemu wejściu i stajniom, zamiast ku głównemu, gdzie stał powóz.

– Ależ, Will – zaprotestowała – przeszukanie stajni zajmie kilka godzin.

– Wrócimy więc w odpowiedniej porze na obiad.

Mówił stanowczym tonem, poczuła więc, że jej protesty są daremne. Nie wierzyła, by udało się im przeszukać stajnie pełne końskiego nawozu i siana. Zbyt często przebywała w innych stajniach, by nie mieć na to teraz żadnej ochoty. Powiedziała mu jednak, że nie chce być wykluczona z poszukiwań. Nie mogła się więc wycofać.

Mogła jednak odwlec to, co nieuniknione, o kilka minut.

Zatrzymała się przy drzwiach wiodących ku stajniom.

– Wrócę za chwilę. Muszę pójść do damskiej gotowalni.

– Czy chcesz, żebym na ciebie poczekał? – spytał zniecierpliwiony.

– Nie, idź pierwszy, zaraz do ciebie dołączę.

Pocałował ją delikatnie i wyszedł. Patrzyła w ślad za nim, zbyt zaskoczona, by ruszyć z miejsca. Kimże był ten mężczyzna, który całował ją tak łatwo, śmiał się razem z nią i przekomarzał? Z pewnością kimś innym niż sztywny, arogancki książę, z którym zetknęła się w Carlton House niecałe dwa tygodnie temu.

Nie spieszyła się ze znalezieniem gotowalni, gdzie doprowadziła do porządku włosy i ubranie. Kiedy jednak uznała, że dłuższa zwłoka zmusi Pelhama, by kogoś po nią posłał, ruszyła

ku stajniom. Gdy tylko wyszła, poczuła napór gwałtownej, północnej wichury. Zanosiło się na deszcz, ciężkie szare chmury zasnuły niebo. Pożałowała, że nie ubrała się cieplej, i założyła ręce na piersi, chcąc choć w ten sposób bronić się przed zimnem.

Może to właśnie opóźniło jej refleks. A może to, że wpatrywała się w niebo i myślała o pocałunkach Willa, o powrocie do Rothingham Manor i kubku gorącej herbaty? W każdym razie nie dostrzegła wcale tego mężczyzny, póki jej mocno nie złapał i nie zaczął wlec w stronę przeciwną niż stajnie i dom.

Z początku była tak zaskoczona, że potknęła się i musiała skupić całą uwagę na tym, by się nie przewrócić. Dopiero potem dotarło do niej, co się właściwie stało, i usiłowała wyrwać się z jego uścisku. Zaczęła wreszcie krzyczeć, wiedziała jednak, że na próżno. Wiatr wył zbyt głośno, a stajnie zostały daleko w tyle. Will nie usłyszy jej, zajęty poszukiwaniami, a parskanie i rzenie koni zagłuszy jej krzyk.

– Puść mnie! – wrzasnęła i zaczęła się szarpać z całych sił, ale Lucyfer trzymał ją w isticie żelaznym uchwycie. Włosy spadły jej na oczy i nie mogła przez nie dostrzec jego twarzy, lecz wiedziała, że musi to być on. Jakim cudem zdołał jej dopaść? Will podjął wszelkie możliwe środki ostrożności.

– Nie mam tych diamentów! Puść mnie, a będziesz miał dość czasu, żeby uciec!

– Uciec? Bez ciebie? Czemu miałbym uciekać?

Krew zastygła jej w żyłach. Przechyliła głowę, chcąc strząsnąć pasma włosów z oczu, i wreszcie zdołała dostrzec, kto ciągnie ją ku wrzosowiskom.

To nie był Lucyfer.

Will sięgnął po kieszonkowy zegarek i zaklął ze złości, kiedy go nie znalazł. Zaraz po powrocie do Londynu kupi nowy. Do diabła ze spontanicznością! Musi przecież wiedzieć, która godzina. Wyjrzał przez drzwi stajni i usiłował się jakoś tego domyślić, patrząc w mroczniejące niebo. Nie był pewien, ile czasu już minęło, ale na pewno więcej, niż chciał. Gdzież się podziewała Juliette?

Wyszedł na zewnątrz i spojrzął ku domowi w nadziei, że gdzieś ją dojrzy, ale ścieżka była pusta. Kropla deszczu spadła mu na rękę, a drugą poczuł na policzku. Podszedł do niego jeden ze stajennych.

– Zanosi się na burzę, Wasza Wysokość. Czy mam zaprzęgać konie, żeby zdążył pan wrócić do domu, zanim się na dobre rozpęta?

Will spojrzął z przygnębieniem na stajnie. Chciał przeszukać je dokładniej, ale nie miał ochoty utknąć w drodze powrotnej do Rothingham z powodu burzy.

– Tak, niech powóz zajedzie – powiedział stajennemu i ruszył ku domowi, zauważając, że zaczął już padać drobny deszcz. Zrobiło się zimno, a wiatr był wręcz lodowaty. Gdy Pelham wszedł do domu, powitał go Pittinger.

– W czym mogę pomóc, Wasza Wysokość?

– Odjeżdżamy. Gdzie jest panna Juliette?

– Sądziłem, że była w stajniach razem z panem – zaniepokoił się Pittinger.

– Nie, musi być gdzieś tutaj – powiedział niechętnie Will. – Chciała pójść do gotowalni.

– Przecież sam widziałem, jak kwadrans temu szła ku stajniom, Wasza Wysokość. A przynajmniej przypuszczam, że tam się udała, kiedy stąd wyszła.

Will poczuł, że z wolna narasta w nim paniczny strach. Całkiem jakby żelazna pięść ścisnęła mu płuca. Ledwie dyszał i nie mógł wymówić ani słowa.

– Co panu jest, Wasza Wysokość? Czy nie doszła do stajni?

Will przełknął z wysiłkiem ślinę, usiłując przemóc strach.

– Nie.

Miała na sobie tego dnia ciemnoczerwoną suknię i jej kolor odcinałby się mocno od płowych i brunatnych wrzosowisk. Podszedł do okna, ale nigdzie nie ujrzał nic czerwonego. Deszcz rozpadał się zaś na dobre. Wielkie jego krople pokryły ziemię i zaczęły tak mocno bić w okno, jakby chciały wedrzeć się do środka.

Will zacisnął pięści. Jeśli napadł na nią Lucyfer... nie, nie wolno mu tak myśleć! Nic nie mogło się stać Juliette i nic się jej nie stanie. Odwrócił się raptownie w stronę Pittingera.

– Niech pan zbierze wszystkich ludzi: mężczyzn, kobiety, dzieci, jacy tylko tu są. Żądam, żeby wszyscy jej szukali. Proszę przeszukać cały dom, przyległe budynki, ogrody, wrzosowiska!

– Ależ Wasza Wysokość, deszcz pada!

Will chwycił za kołnierz Pittingera tak, że niemal uniósł go ponad ziemią.

– Nie dbam o to! Może nawet śnieg padać! Chcę, by ją odnaleziono. I to zaraz!

– Tak jest, Wasza Wysokość!

Pittinger odbiegł, a Will nie czekał, aż jego rozkaz zostanie wykonany. Otworzył drzwi kopniakiem, a potem wypadł prosto w wicher i ulewę. Postawił kołnierz na sztorc i puścił się biegiem.

– Oliver – powiedziała drżącym głosem. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Znów się potknęła. Spojrzał na nią z wściekłością w oczach.

– Jazda, ty niezdarna krowo!

Uśluchała, patrząc na niego jak na widmo. Postarzał się przez te wszystkie lata – ile ich było? Siedem? – a brązowe włosy przyprószyła siwizna. Twarz miał wynędzniałą i stracił mocno na wadze. Skóra zdawała się wręcz zwisać mu w fałdach z policzków, ubranie wydawało się za obszerne.

Nigdy nie był zbyt wysoki, dorównywał jej wzrostem, a teraz wyglądał, jakby się wręcz cały skurczył. Może zresztą zapamiętała go większym, niż był w rzeczywistości? Ręce wciąż miał jednak wielkie i czerwone, a teraz wpijały się jej w przedramię.

Gdy zdołała się obejrzeć, zrozumiała, że Oliver zamierza ją zawlec gdzieś daleko od domu. Daleko od Willa.

Zaczęła mu wyrywać ramię, ale trzymał je mocno. Zaparła się nogami w ziemię i krzyknęła:

– Will! Will!

– Zamknij się! – huknął. – Twój kochaś nigdy cię już nie dosłyszy, a twoje wrzaski działają mi na nerwy!

Ciągnął ją jednak bez trudu. Jak na niedużego, żyłastego mężczyznę był silny. Wiedziała, że będzie potem mieć na ramieniu siniaki podobne do tych na twarzy.

Na twarzy!

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– A więc to byłeś ty, wcale nie Lucyfer! To ty na mnie napadłeś!

Pchnął ją tak mocno, że ledwie zdołała utrzymać się na nogach. Padła na kolana, a Oliver stanął nad nią. Wiedziała, że nikt jej już teraz z domu nie dojrzy. W dodatku zaczął padać deszcz. Will pewnie uzna, że schroniła się gdzieś, chcąc przeczekać ulewę, a w takim razie znajdzie ją dopiero wtedy, gdy będzie już za późno. Nie miała złudzeń co do zamiarów Olivera. Tym razem chciał ją zabić.

– Za kogo mnie wzięłaś? Za upadłego anioła Lucyfera? Zrobię z tobą coś takiego, żebyś pożałowała, że nie jesteś w piekle! Długo czekałem na sposobność. A kiedy już myślałem, że mam cię w garści, ty się zabrałaś do uwodzenia Pelhama! Trochę to było kłopotliwe, ale skoro jesteś dziwką, z którą spało pół Londynu, to czego można się spodziewać?

Deszcz ściekał mu z ronda kapelusza i skapywał na ramiona.

Juliette drżała z zimna. Straciła wszelką nadzieję. Naokoło nie było żywej duszy. W oddali dojrzała kilka skulonych owiec, ale żaden człowiek by nie wyszedł na zewnątrz w taką ulewę.

– Jazda! – Oliver złapał ją za ramię i postawił na nogi. – Ruszaj, bo chcę się znaleźć gdzieś dalej.

Juliette wiedziała, że jest zdana tylko na siebie i nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Może zdołałyby się uratować, biegnąc. Była młodsza od Olivera, biegłaby więc szybciej od niego, mimo że musiałyby uporać się z ciężką od deszczu suknią i przemokniętymi pantoflami. Gdyby zdołała go wyprzedzić, miałyby jakąś, choć nikłą, szansę ratunku. Zaczęła więc iść, wiedząc jednak, że krok za krokiem oddala się od Willa.

– Myślałaś, że ode mnie uciekniesz – warknął. – Że się mnie pozbędziesz. Ale ty się mnie nigdy nie pozbędziesz. Należysz do



mnie!

Miał rację. Zawsze wiedziała, że on jej dopadnie. Zawsze wiedziała, że kiedyś to nastąpi, a jednak nie poddawała się. Nie tym razem. Nie była już młodą dziewczyną, z którą się ożenił, ale kimś silniejszym i dzielniejszym.

Znów zaczął ją wlec za sobą, trzymając z całej siły za ramię, ale patrzył na nią, a nie pod nogi, i potknął się, a wtedy jego uścisk nieco zelżał.

Juliette wykorzystała tę szansę, wyrwała mu się i zaczęła chwiejnie biec. Biegła na oślep, desperacko, najszybciej, jak tylko mogła.

Usłyszała za sobą wrzask Olivera i tupot jego butów.

Will zatrzymał się, padł na czworaki i wpatrzył w krajobraz przed sobą. Deszcz lał teraz jak z cebra i nie pozwalał dojrzeć dokładnie niczego w promieniu ponad kilku stóp. Już wskutek tego wpadł przedtem na jednego lokaja z Nowlund Park. Wprawdzie to, że służbę wysłano na poszukiwania, wzbudziło w nim początkowo pewną nadzieję, teraz zaczął jednak uważać, że wszelkie wysiłki są daremne. Miał wrażenie, że wciąż kręci się w kółko po tym samym terenie.

Nie poddawał się jednak. Nie mógł stracić Juliette. Nie teraz, kiedy...

Nie chciał jednak zagłębiać się w żadne rozważania. To nie było miejsce ani czas po temu. Dopiero kiedy ją odnajdzie i weźmie w ramiona, nadejdzie odpowiednia chwila, by rozstrzygnąć, co właściwie do niej czuje.

Znów zaczął biec powoli pod górę, po niewielkim wzniesieniu. Nie przypominał go sobie i wziął to za znak świadczący, że posuwa się do przodu. Deszcz nie pozwalał mu rozróżnić żadnych szczegółów, ale przysięgłby, że w oddali zamajaczyło coś czerwonego.

– Juliette! – krzyknął. Czy to była ludzka postać? Może kobieta? Jeśli tak, to chyba uciekała przed nim.

Przetarł oczy i usiłował się rozejrzeć. Nie, uciekała nie przed nim, tylko przed innym mężczyzną, który ją gonił.

– Juliette!

Wiedział jednak, że już jest za późno.

Juliette potknęła się o kamień. Wprawdzie zdołała wstać, gdy wsparła się na rękach, ale ta krótka chwila kosztowała ją wiele. Była zziębnięta i zeszywniała, ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Zachwiała się i znów upadła, ocierając sobie boleśnie ręce o kamienie. Z dzikim krzykiem pełnym bólu i strachu poderwała się i chwiejnym krokiem pobiegła naprzód. Krew zmieszana z deszczem zaróżowiła jej dłonie.

Słyszała chrapliwe dyszenie Olivera z tyłu za sobą. Przestał ją przeklinać, pewnie po to, by oszczędzać siły potrzebne do jej schwytania. Wciąż jeszcze go wyprzedzała, ale już ją doganiał. Musiała nadal uciekać. Nadal biec.

Nagle rozbłysły jej w pamięci słowa wypowiedziane przez Willa zdawałoby się całe wieki temu: „Księżęta Pelham nie uciekają”.

Nie była księciem Pelham i w dodatku straszliwie zmęczyła się ucieczką, bo biegła bardzo długo. Nadszedł już chyba czas, żeby stanąć twarzą w twarz z problemami i ponieść ich konsekwencje, nawet jeśli była nimi śmierć.

Dojrzała przed sobą kamień wielkości pięści, nachyliła się, by go chwycić, i obróciła twarzą ku Oliverowi. Deptał jej wręcz po piętach, był o wiele bliżej, niż się spodziewała. Zrozumiała, że nigdy nie zdołałaby mu uciec. Już za chwilę złapałby ją za włosy albo za łokieć, przewrócił do tyłu – i to byłby koniec wszystkiego.

Chciała jednak przynajmniej umrzeć, walcząc. Uniosła kamień.

– No, chodź! – krzyknęła. – Chcesz mnie dopaść? Jestem tutaj!

Oliver spojrział na nią podejrzliwie i zwolnił bieg. Dyszał ciężko i usiłował ją dokładniej dostrzec. To była jej jedyna przewaga. Wiatr wiał w jego stronę, zalewając mu oczy deszczem, ona zaś stała frontem do niego.

– Zapłacisz mi za wszystko! – zawył. Był już niedaleko, ale wiatr zagłuszał jego słowa.

– Świetnie. Rób, co masz robić. Już przed tobą więcej nie będę uciekać, Oliverze Clifton. Nie będę się dłużej ciebie bać. Nie będziesz miał nade mną władzy.

– Zobaczysz zaraz sama, czy nie będziesz się mnie bać, ty nędzna zdziro.

Zbliżał się do niej, a ją aż świerzbiły palce, by rzucić w niego kamieniem, który ścisnęła mocno w dłoni. Ostre kandy wrzynały się jej w ciało, ale ten ból sprawiał, że była przytomna.

Czekaj, upomniała samą siebie. Czekaj, póki nie podejdziesz całkiem blisko.

Miała tylko tę jedną szansę. Jeśli go nie trafi, umrze.

– Nędzna zdziro? – prychnęła. – Przez całe lata zmuszałeś mnie, żebym w to wierzyła. Poniżałeś mnie i robiłeś, co tylko mogłeś, żeby złamać we mnie ducha. No i prawie ci się udało, ale nie zdołałeś złamać go całkowicie, Oliverze. W głębi duszy czułam, że jestem jednak coś warta, a teraz tego dowiodłam. Zdobyłam sławę. Piszą o mnie w gazetach. Każdy wie, kim jestem. Jadam obiady z księciem regentem!

– Wzięłaś go sobie do łóżka. Nie jesteś niczym więcej niż osławioną dziwką!

– A kim ty jesteś? Niczym! Nikim! Starym zwyrodnialcem, którego pokona zdziro! Dam sobie z tobą radę! Zapomnę o tobie! Ale ty nigdy nie zdołasz o mnie zapomnieć!

– A ty nigdy nie zapomnisz mnie!

Rzucił się na nią, a ona uniosła ramię i cisnęła w niego kamieniem. Ze zgrozą dojrzała jednak, że trafiła go tylko w policzek, a nie w środek twarzy, jak zamierzała.

Zachwiał się jednak i upadł, zaskoczony zarówno jej czynem, jak i ciosem, a Juliette uderzyła go w głowę. Zapewne zadała mu tylko tyle bólu, ile sama go poczuła, ale nie chciała umierać bez walki. Oliver zwałił ją z nóg potężnym ciosem. Upadła na skalisty grunt i przez chwilę wszystko wokół niej zasnęła ciemność. Deszcz zmieszany ze łzami pokrył jej twarz. Potem jednak oblicze Olivera wyłoniło się przed nią. Krew ciekła mu z rany na policzku, wyszczerzył zęby, w oczach miał mord.

Zrobiła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej na myśl – uderzyła go pięścią w nos. Cofnął się, ona zaś poślizgnęła się i upadła, po czym usiłowała wstać. Oliver złapał ją za ramię i przewrócił, a potem chwycił oburącz za szyję. Desperacko walczyła o oddech, ale on ścisnął jej szyję z całej siły, dusząc ją.

Próbowała wbić w niego palce, lecz nie mogła go dosięgnąć, znajdował się zbyt wysoko nad nią. Szarpała się i wrywała, póki znów nie pociemniało jej w oczach. Oliver siadł na niej okrakiem i nachylał się nad nią coraz bardziej, w miarę jak jej ruchy słabły. Chciał znaleźć się jak najbliżej jej ciała, gdy będzie wyduszała z niej resztkę życia. Otworzyła oczy, chcąc się zorientować, w jakiej pozycji pozostają względem siebie, a potem chwyciła się ostatniej szansy. Uniosła kolano i pchnęła go nim jak najmocniej między nogi.

Oliver zawył, ale jej nie puścił. Wtedy zdobyła się na ostateczny wysiłek, zebrawszy resztkę sił, która jeszcze jej pozostała – i wzięła nad nim górę. Jego uchwyt osłabł, a ona potoczyła się na bok. Kiedy nie zdołał natychmiast rzucić się na nią ponownie, zaczęła się czołgać po ziemi i namacała dłonią inny kamień. Tym razem był to długi odłamek skalny z ostrym szpicem i wyszczerbionymi brzegami. Dźwignęła się na kolana, a potem zdołała chwiejnie wstać. Powoli obróciła się w stronę Olivera. Sunął ku niej, zataczając się, a jego twarz była maską pełną bólu i wściekłości. Zalany krwią policzek nadawał mu wygląd groteskowy i zarazem przerażający. Kiedy znów chwycił ją za szyję, uniosła ramię i z rozmachem wbiła mu ostry odłamek prosto w szczękę.

Zamarł, z wytrzeszczonymi oczami, potem puścił ją, sięgnął ku odłamkowi wystającemu z jego ciała i runął na ziemię, kurczowo usiłując go wyrwać, a ona stała nad nim, nie czując ani litości, ani triumfu.

Nie czuła nic prócz tego, że deszcz spływa jej strugami po plecach.

Will ujrzał, jak Lucyfer dogania Juliette. Widział też, jak jej dopada. Zrozumiał, że wkrótce będzie za późno. Biegł teraz, biegł w nieznośnym deszczu, ślizgając się po wilgotnej trawie. Słyszał, że ktoś wciąż krzyczy: „Nie, nie, nie!” Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to on zachowuje się w tak całkowicie pozbawiony godności sposób. Nie było to zachowanie, którego można by się spodziewać po księciu.

Nie dbał jednak o to. Biegł i wrzeszczał, ale było to daremne, bo widział, że Lucyfer ją schwytał. A potem przeraził się, że majaczy, widząc, jak Lucyfer wali się na ziemię, Juliette zaś stoi nad nim z zaciśniętymi pięściami i twarzą jak wykutą z kamienia.

– Juliette! – krzyknął. Był już na tyle blisko, że mogła go usłyszeć, ale nie odwróciła się i w żaden sposób nie dała do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z jego obecności. Wyciągnął ku niej rękę i dotknął jej ramienia, jakby nie wierzył, że jest realną osobą, a nie wytworem jego imaginacji.

Drgnęła gwałtownie, gdy poczuła, że jej dotknął, i z głuchym jękiem przyjęła obronną postawę. Wzniósł rękę do góry, oniemiały na widok dzikiego gniewu w jej wzroku. Gniew stopniał jednak błyskawicznie, a on znów miał przed sobą dawną Juliette.

– Will?

Nie zdążył nic powiedzieć, bo natychmiast padła mu w ramiona. Była zmarznięta na kość, ale żywa. Trzymał ją mocno, szepcząc coś, czego nie mogła chyba dosłyszeć, a czego on sam nie pojmował. Wtuliła głowę w jego ramiona, a on zdołał z tyłu za nią dojrzeć Lucyfera.

Tylko że to nie był Lucyfer! Nie poznawał tego człowieka, nie tylko zresztą dlatego, że ze szczęki wystawał mu duży odłamek

skały.

– Kto to taki, u diabła?

Juliette uniosła głowę i rozejrzała się naokoło.

– Oliver, mój były mąż.

– Nie rozumiem.

– Przez cały czas sądziliśmy, że napadł na mnie Lucyfer, ale to był Oliver. Tamtej nocy, kiedy zginęła lady Elizabeth, kucharka powiedziała mi, że wypytywał o mnie jakiś mężczyzna, uznałam więc, że chodzi o Lucyfera. Ale to musiał być Oliver. A tego dnia, kiedy byliśmy na strychu, twoi ludzie dostrzegli kogoś myszującego w zaułku. I znowu wzięliśmy go za Lucyfera, choć nie odpowiadał on jego opisowi. Bo to wcale nie był Lucyfer, tylko Oliver.

– Gdzie w takim razie jest Lucyfer?

– Nie mam pojęcia.

Oliver jęknął głucho, a Juliette cofnęła się gwałtownie. Will przytulił ją do siebie, ale odwrócił się, słysząc, jak ktoś woła:

– Wasza Wysokość!

Will, podtrzymując Juliette, zaczął z nią iść ku domowi.

– Chodźmy stąd.

– Nie możemy go przecież tak zostawić.

Pelham wyciągnął rękę w kierunku domu. Deszcz wciąż padał rzęsiście, ale już nie zaczął tak zaciekle, jak przedtem. Biegł ku nim zdyszany Pittinger.

– Niech on się nim zajmie – polecił Will. – Już nie musisz więcej o tym człowieku myśleć.

– Stałam z nim do walki – powiedziała, patrząc na niego. – Tym razem nie uciekłam i pokonałam go.

Przypomniał sobie zakrwawioną twarz Olivera.

– Nie wątpię.

– Pokonałam go, Will – powtórzyła, chwiejąc się na nogach.

– Nie uciekłam. Całkiem jak księżęta Pelham.

– Juliette!

Znów się zachwiała, ale zdołał ją chwycić, zanim upadła.

Zbudził ją odgłos lekkiego pochrapywania. Nie wiedziała,

gdzie się znajduje, ale leżała wygodnie, w ciepło, i nic jej nie groziło. Spoczywało na niej coś ciężkiego. Dotknęła tego czegoś ostrożnie. Ramię miała obolałe, podobnie jak całe ciało. To, co na niej ciążyło, okazało się męskim ramieniem. Nawet z zamkniętymi oczami wiedziała, że należy ono do Willa.

Uniosła powieki powoli i uśmiechnęła się, gdy pierwszą rzeczą, na którą padł jej wzrok, okazała się jego twarz. Spał, leżąc koło niej, całkowicie ubrany, na narzucie. Choć zasłony były zaciągnięte, ujrzała promyczki słońca na suficie i zrozumiała, że jest już dzień. Rozejrzała się pospiesznie dookoła. Leżała w książących apartamentach Rothingham Manor. Czemu się w nich znalazła? Przecież nie była księżną.

Nie mogła sobie przypomnieć, jak się tu dostała, nie pamiętała też jazdy powrotnej z Nowlund Park do Rothingham Manor. Pamiętała jednak Olivera. Wzdrygnęła się na wspomnienie odłamka skały wystającego z jego ciała. Will przygarnął ją przez sen do siebie. Uśmiechnęła się. Nawet śpiąc, usiłował ją pocieszyć.

Powiodła palcem po jego kościach policzkowych, o tak harmonijnej linii, nawet gdy spał. Dotknęła lekko jego rzes, nie mogąc się nadziwić, że tak spokojnie spoczywają na policzkach. Przesunęła palcem po brwiach, po grzbiecie nosa, po wargach. Poruszyły się.

– Już nie śpisz? – spytał.

– Nie pamiętam, kiedy zasnęłam.

Otworzył oczy, a ona poczuła, że mogłaby się w ich ciemny błękit wpatrywać bez końca.

– Nie zasnęłaś, tylko zemdlałaś.

– Niemożliwe – odparła zdziwiona.

– Ale tak właśnie było. Zdołałem cię złapać, zanim upadłaś.

Pokręciła głową i usiłowała się podnieść, ale on łagodnym ruchem ramienia pchnął ją z powrotem na łóżko.

– Nigdy jeszcze nie zemdlałam. Nie jestem wątłą kobietką.

– W każdym razie byłaś wyczerpana i przeżyłaś coś strasznego. Przywiozłem cię tutaj.

Do swojej sypialni. Prosto do niej. Nie udając, że powinni

zajmować dwa osobne pokoje, a potem przekradać się z jednego do drugiego. Co to jednak oznaczało? Obawiała się, żeby jej nadzieje nie były płonne.

– A Oliver? Czy on...

– Żyje, niestety – odparł, nachylając się, żeby pocałować ją w policzek. – Nie zabiłaś go, ale jestem pewien, że zostanie mu na pamiątkę szkaradna blizna. – Poglaskał ją po włosach, jakby była dzieckiem, które trzeba pocieszyć.

– Gdzie on jest?

– Zapewne w areszcie. Pittinger wezwał sędziego pokoju. Chyba nie będziesz musiała zeznawać, bo jest sporo świadków. Pewnie zostanie osądzony i powieszą go. Lepiej jednak nic nie mówić. Nie trzeba, żeby wieści o tym dotarły do Londynu. Pozbyłaś się go nareszcie. – Pocałował ją znowu. – Nie musisz więcej o nim myśleć.

Juliette patrzyła w sufit. Uwolniła się od Olivera. Nigdy już nie będzie jej nękał. Nigdy więcej nie będzie musiała z lękiem oglądać się za siebie ani bać, że na nią napadnie. Nagle poczuła się lekko, jakby była jednym z balonów unoszących ludzi w niebo. Tak lekko, że mogłaby fruwać.

– Rozpoznał go jeden z lokajów, których przywiozłem tu z Londynu.

– W jaki sposób?

– Miałaś rację. To on był tym człowiekiem, który zjawił się pod twoim londyńskim domem. Lokaj ujrzał go tego dnia, kiedy byliśmy oboje na strychu. Nie odpowiadał opisowi Lucyfera, nie zatrzymali go więc ani nie przesłuchali, ale jego obecność w zaułku zaniepokoiła ich na tyle, że mi o niej donieśli. Zamydlił im oczy, mówiąc, że jest dostawcą węgla, więc go puścili wolno.

– A my przez cały czas sądziliśmy, że zagraża nam Lucyfer.

– Nie wiem, czy uwolniliśmy się na dobre od Lucyfera.

Może wciąż jeszcze czai się gdzieś w Londynie.

– On wie, że diamenty są właśnie tam.

– Ale z całą pewnością nie ma ich w Yorkshire. Szukaliśmy już wszędzie.



– Gdzie są w takim razie? Skoro ani my nie znaleźliśmy ich w Nowlund Park, ani lord i lady Nowlund w swojej londyńskiej rezydencji, a w moim domu nie ma ich na pewno, to gdzie mogą być? – spytała Juliette.

– Wiedziała o tym jedynie lady Elizabeth. Może ich nigdy nie znajdziemy, nie musimy jednak wciąż lękać się ataku Lucyfera. Sędzia pokoju na pewno go schwyta, a ja dostarczę mu w tym celu dodatkowych ludzi i pieniędzy.

Juliette skinęła głową. Mogli więc wrócić do Londynu, do dawnego życia. Wiedziała, że nie zostanie tu na zawsze. Postąpiła niemądrze, pozwalając sobie zakochać się w Willu. Wzięła głęboki oddech.

– No i co teraz?

– Teraz? Sądzę, że moglibyśmy na przykład spróbować czegoś takiego...

Uniósł się na łokciu i pocałował ją delikatnie w usta. Oddała mu pocałunek, ale nie przestała się zastanawiać nad swoją przyszłością. Will wiedział niewątpliwie, że zapyta go o powrót do Londynu, ale omijał tę kwestię. Czy to znaczyło, że się tego powrotu nie obawiał?

Z radością oddałyby się pocałunkom, ale musiała wiedzieć, czego ma się spodziewać.

– Will, poczekaj...

Odsunął się i spojrział na nią z niepokojem.

– O co chodzi? Czy wciąż się jeszcze źle czujesz? Może powinienem...

Położyła mu palec na wargach.

– Czuję się doskonale, ale czy wracamy do Londynu?

– Nie ma pośpiechu – odparł, marszcząc brwi. – Czy się obawiasz powrotu?

– Niezupełnie.

– W porządku. A zatem, na razie zostajemy tutaj.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Czy to znaczy, że nie masz żadnych planów, żadnego rozkładu dnia, żadnych reguł?

– Och, mam pewien plan – odparł, biorąc ją w objęcia. – Zaplanowałem sobie, że cię uwiodę.

Zdumiała się jeszcze bardziej, a on uniósł brwi.

– Czyżby rogi mi wyrosły na głowie?

Kimże był ten mężczyzna, tak nagle rozbawiony i beztroski? Co się stało ze sztywnym, śmiertelnie poważnym księciem?

– Nie, nie wyrosły. Ale jestem zaskoczona tym, jak bardzo się zmieniłeś.

Uśmiechnął się szeroko.

– Może zdołam cię zaskoczyć jeszcze czymś innym.

– Sądzisz, że ci się to uda?

– Można przecież mieć nadzieję.

Znów ją pocałował i tym razem poniechała wszelkich myśli o Londynie i przyszłości. Olivera już nie było. Pozbyła się go na dobre. Leżała w łóżku Willa i w ramionach Willa. Tylko to się liczyło. Nakrył ją sobą, uważając jednak, żeby jej nie przygnieść swoim ciężarem. Ucałował jej nos, podbródek, oczy. Był niezwykle czuły i delikatny, a gdy pocałował ją także w policzek, szepnął jej do ucha:

– Już myślałem, że cię utraciłem. Widziałem, jak cię doganiał, i byłem przekonany, że cię tracę.

Jego głos był głuchy i zduszony.

– Nie straciłeś mnie, Will, i nigdy nie stracisz.

– Chybabym tego nie zniósł.

Przez dłuższą chwilę leżeli złączeni uściskiem, a Juliette pomyślała, że nigdy nie była szczęśliwsza. Wszystkim, czego pragnęła, była ta bliskość, ta czułość, ta miłość.

Przez chwilę naszły ją wątpliwości, ale przeminęły. Jak łatwo było zatonać w ramionach Willa, w jego pieszczotach. Jak łatwo było zapomnieć o wszystkim poza nimi dwojgiem.

Powoli, ostrożnie, Will ściągnął z niej nocną koszulę, póki nie legła przed nim naga. Patrzył na nią z takim uwielbieniem, że wprost zapało jej dech.

– Zadał ci wiele bólu – powiedział, wodząc palcami po guzach i siniakach powstałych podczas jej walki z Oliverem.

Dotknął jej kolana, biodra, łokcia, szyi. Skrzywiła się. – Bardzo ci to dokucza?

– Nieważne. – I rzeczywiście nie było to ważne. Nie czuła wcale bólu, gdy Will patrzył na nią tak, jak w tej chwili. Ona zaś patrzyła na niego. Miał wciąż na sobie lnianą koszulę i spodnie. Usiadła wsparta na kolanach i zaczęła ją z niego ściągać. Odsłaniała, cal po calu, brązową skórę brzucha. Ośmieliła się wodzić po niej palcami. Uniósł ramiona, a ona ujrzała na jego skórze odbłask promieni przedostających się przez zasłony okienne, a potem ściągnęła koszulę całkowicie, tak że był nagi do pasa. Dotknęła szerokich ramion, muskularnej piersi, płaskiego brzucha.

– Dlaczego jesteś taki smagły? Tylko mi nie mów, że księżęta chodzą po słońcu bez koszuli.

– Może taki ci się wydaje wskutek kontrastu z twoją białą skórą. A może to dziedzictwo po matce. Słyszałem, że miała włoskich przodków.

– Ach, to dlatego twoje pocałunki są takie słoneczne. – Zahaczyła palcami o brzeg jego spodni. – Chciałabym cię zobaczyć na świeżym powietrzu całkiem bez ubrania, tylko w samych butach.

– Przykro mi, że cię muszę rozczarować. – Jego głos był zdławiony i gardłowy, gdy zaczęła ściągać z niego spodnie.

– Och, wcale mnie nie rozczarowujesz – mruknęła, gdy odsłoniła jego biodra. Uniósł się nieco, żeby mogła zsunąć spodnie całkowicie. Rzuciła je na podłogę, gdzie utworzyły bezkształtny kopczyk, spojrzała na nie i wyzywająco uniosła brwi.

Uśmiechnął się i rzucił na podłogę koszulę. Wylądowała na spodniach. Juliette wybuchnęła śmiechem.

– Jest pan strasznym niecnotą, sir.

– Pozwól mi, żebym ci pokazał, jak wielkim jestem niecnotą.

Kochał ją. Nie powiedział wprawdzie tego, ale Juliette wiedziała, że ją kocha, sądząc ze sposobu, w jaki ją całował, dotykał jej, trzymał w objęciach. Kochał ją, była tego pewna. A gdy już oboje legli nasyceni i wyczerpani, obejmując się

wzajemnie, Juliette czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Zasnęła, marząc o ich wspólnej przyszłości.

A przebudził ją koszmar.

Will patrzył ze zdumieniem na widmo.

Nie był dzieckiem obdarzonym wybujałą fantazją – właściwie wcale nie odznaczał się nią w tamtym czasie – ale ten mężczyzna wręcz zdumiewająco przypominał mu ojca. Zaskoczyło go już to, że Richards, który przyjechał wreszcie z Londynu, wszedł do jego biblioteki i zaanonsował lorda Henry’ego Cavingtona.

– Kogo? – spytał Pelham, podnosząc wzrok znad ksiąg rachunkowych. Wstał koło szóstej, a teraz było ledwie kwadrans po ósmej. Juliette, jak wiedział, jeszcze spała. Wolałby wprawdzie zostać przy niej w łóżku, ale spędzili całe popołudnie, wieczór oraz noc na rozmowach i kochaniu się. Gdyby pozostał przy niej, znów by jej zapragnął, a wiedział, że potrzebowała odpoczynku.

Postanowił więc pracować, póki Juliette się nie zbudzi, a później oboje ustaliliby, czym się zajmą. Dziwnie się czuł, nie wiedząc, co chciałby robić tego dnia i nie planując tego z góry, ale stopniowo się przyzwyczajał. Zaczął się nawet zastanawiać, jakie obrazy zawiesić zamiast portretów ojca. Juliette miała słuszość. Za wiele było tu tych portretów, spoglądających na niego z dezaprobatą. Will z wolna przeglądał rachunki, sprawdzając, czy rządca się gdzieś nie pomylił, i myślał o uroczych ustach Juliette, o jej długich nogach, o pieprzyku na trzecim palcu lewej stopy...

Wyobrażał sobie właśnie, że całuje ten pieprzyk, gdy Richards zapukał, a potem wszedł, anonsując gościa.

– Lord Henry jest pańskim stryjem – powiedział Richards. – Bratem pańskiego ojca.

– Oczywiście. – Cóż ten człowiek, którego Will ostatni raz widział na pogrzebie ojca przed dziesięciu laty, robił w

Rothingham Manor wpół do dziewiątej rano? Musiał chyba jechać przez całą noc. – Wprowadź go...

– Nie mam czasu na takie formalności. – Lord Henry odsunął Richardsa na bok i wszedł bez ceremonii do biblioteki. Will podniósł się właśnie z krzesła, lecz o mało nie usiadł na nim ponownie z wrażenia, gdy lord Henry tam wszedł.

Wyglądał niemal tak samo, jak piąty książę Pelham. Will poczuł się tak, jakby zobaczył upiora. Natychmiast wstał, wyprostował się i sięgnął po kieszonkowy zegarek z obawy, że się z czymś spóźnił.

Richards spojrział na Willa wymownie, co oznaczało, że z miejsca mógłby lorda Henry'ego wyprowadzić, gdyby Will tego chciał, lecz Will nieznacznie pokręcił głową.

– Jechałem przez całą noc – powiedział lord Henry. – Przybyłem tu, gdy tylko o tym usłyszałem. No i chciałbym wiedzieć, co ty sobie, u licha, myślisz.

Will otworzył usta, chcąc mu odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął. Po pierwsze nie miał pojęcia, o czym stryj mówi. Po drugie, to on był księciem Pelham, a nie ten intruz, i powinien był zacząć się zachowywać jak na księcia przystało. Powoli, z wystudiowaną naturalnością, siadł z powrotem na krzesło, pozwalając stryjowi stać przed nim.

– Witaj, stryju. Czemu zawdzięczam przyjemność twojej niezapowiedzianej wizyty?

Odprawił ruchem ręki Richardsa i kamerdyner wycofał się, zostawiając jednak drzwi nieznacznie uchylone, na wypadek gdyby Will wezwał go z powrotem.

– Zapewniam cię, że to żadna przyjemność. Absolutnie żadna. Przyjechałem z Londynu, żeby się samemu przekonać, czy pogłoski odpowiadają prawdzie.

Will zauważył, że stryj nie zwrócił się do niego „Wasza Wysokość” i w ogóle poniechał wszelkich grzecznościowych zwrotów. Zaczął w nim powoli narastać gniew. Złożył obie dłonie razem.

– Pogłoski? Doprawdy, nie mam czasu, by roztrząsać

wszelkie londyńskie pogłoski. Jeśli przyjechałeś tylko w tym celu, stryju, to możesz równie dobrze tam wrócić. Chętnie zapewnię ci wypoczętego konia.

Lord Henry zmarszczył gniewnie brwi, a Will miał ochotę skulić się ze strachu. Jego ojciec miał taką samą minę, kiedy mu się coś nie podobało. Will pokręcił głową. Przysięgłby, że dzwoni mu w jego głuchym uchu.

– Nawet jeśli te pogłoski dotyczą ciebie i pewnej kurtyzany?  
– Lord Henry uśmiechnął się nieznacznie.

Powinien był wiedzieć, że ta wizyta wiąże się z Juliette. Nie mógł zaprzeczyć, że coś go z nią łączy, ale nie chciał też tego potwierdzić. Will odwrócił wzrok.

– Widzę, że to wcale nie plotki, tylko prawda. Zadajesz się z kurtyzana!

O dezaprobacie stryja wyraźnie świadczyły głębokie bruzdy w kątach warg. Will znów otworzył usta – być może po to, by się usprawiedliwić, choć nie wiedział, w jaki sposób. Co się stało? Przecież to on był księciem, a nie stryj. I choć Will darzył lorda Henry'ego szacunkiem, nie odpowiedział mu.

– Nie pojmuję, dlaczego miałbyś się zajmować tym, co robię w prywatnym życiu.

– Pozwól więc, żebym ci to wyjaśnił – powiedział stryj, kładąc płasko dłonie na biurku i zagładając mu w oczy. Will jednak ani nie mrugnął. – Jestem Cavingtonem, tak jak twój ojciec, mój ojciec, mój dziadek i jego dziadek. Moi synowie są Cavingtonami oraz trzecią i czwartą linią domu książęcego po mnie samym. To, co robisz, dotyczy nie tylko Cavingtonów, ale i przyszłych książąt Pelham. Masz obowiązek dbać o honor tego miana i przynosić mu chlubę, a nie hańbę, wiążąc się z nierządnicą.

W Willu wręcz się zagotowało. Była to prawda, najzupełniejsza prawda, ale Juliette nic tu nie zawiniła. Wstał.

– Ona nie jest nierządnicą.

– A w takim razie czym? – Lord Henry uniósł brwi.

Will nie odpowiedział. Czym w istocie dla niego była? Ukochaną? Wybawicielką?

– O Boże, przecież ją nazywają Księżną Zalotów! – parsknął lord Henry. – Nie próbuj mi wmawiać, że jest niewinną dziewczyną.

Will zacisnął pięści.

– Ona ma na imię Juliette.

– Williamie...

Will uderzył pięścią w biurko.

– Czy nie mógłbyś się do mnie zwracać „Pelham”, stryju? Nie upoważniłem cię do mówienia mi po imieniu.

Nie chciał zresztą go upoważnić. Stryjowi należało przypomnieć, że to Will jest szóstym księciem Pelham, a nie on. Brak szacunku, jaki mu okazał lord Henry, zirytował go, ale nie to było prawdziwym powodem jego furii. Nie, Will aż za dobrze wiedział, że jego gniew miał o wiele więcej wspólnego z tematem rozmowy. A on nie miał nic na swoje usprawiedliwienie, bo rzeczywiście związał się z kurtyzaną.

– Doskonale... Pelham. Słyszałem jeszcze interesującą pogłoskę w Londynie. Znalezione ciało twojej narzeczonej.

Will był tak wstrząśnięty, że o mało nie opadł bezwładnie na krzesło.

Odnaleziono ciało lady Elizabeth. A więc naprawdę nie żyła. Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć od stryja. Jego słowa zdawały się rozbrzmiewać echem w bibliotece. Will poczuł szczerze współczucie dla lorda i lady Nowlund. Stracili córkę, swoje jedyne dziecko.

Lord Henry miał dziwnie zadowoloną minę, lecz Will w tym momencie nie zwracał na to uwagi. Jak mógł kiedykolwiek wątpić w prawdziwość słów Juliette?

– Z tego, co wiem, choć nie pisały o tym jeszcze gazety, zginęła od gwałtownego ciosu w głowę.

– Uderzyła nią o balustradę w Carlton House – szepnął Will. Juliette mówiła prawdę. Powinien był o tym wiedzieć. Powinien był o tym dawno wiedzieć, ale nie chciał przyjąć do wiadomości przykrej prawdy, że nie miał pojęcia, kim była kobieta, z którą się zaręczył. Wiedział jedynie, że to córka markiza. Doskonale natomiast wiedział, kim była Juliette. Nie chciał, by miało to dla



niej jakieś znaczenie, ale niestety miało, i to o wiele za duże.

– Nie sądzę, by w śledztwie tak szczegółowo określono przyczynę jej zgonu – powiedział lord Henry – ale to nie wszystko.

– Co stryj ma na myśli?

– Tego Lucyfera, człowieka podejrzanego o zamordowanie lady Elizabeth, wciąż nie odnaleziono. Sędzia pokoju przypuszcza, że uciekł na kontynent. Jego miejsce pracy, jeśli można tak określić dom gry o nazwie Jaskinia Lucyfera, zostało gruntownie przeszukane. Znaleziono tam i zbadano rejestry gości. Sędzia uważa, że lady Elizabeth jest tą samą osobą, co wymieniana w nich Eliza.

– Dlaczego lady Elizabeth miałyby figurować w rejestrach domu gry? – zdumiał się Will. – To nie ma absolutnie żadnego sensu.

– Przesłuchano świadków, Pelham. W tym stałych patronów Jaskini Lucyfera. Wielu z nich to ludzie dobrze urodzeni. Kilku z nich opisało osobę odpowiadającą wyglądowni lady Elizabeth jako bywalczyńnię Jaskini Lucyfera. Jak się zdaje, najbardziej lubiła grać w faraona.

Will pokręcił głową i wstał.

– To nie może być prawda – powiedział i zaczął nerwowo krążyć po dywanie za biurkiem. – Ona była damą, córką hrabiego. Dlaczego miałyby bywać w domu gry? Przecież to nie ma żadnego sensu.

– Może lubiła grę? Wedle rejestrów przegrała w Jaskini Lucyfera ponad trzy tysiące funtów.

Trzy tysiące funtów? Will z trudem przełknął ślinę. Była to mała fortuna. Jak zamierzała spłacić swoje długi? Być może jego pieniędzmi.

A może zamierzała sprzedać jakieś diamenty...

Will spojrzał na twarz lorda Henry'ego i ujrzał na niej nieskrywaną satysfakcję. Ten człowiek był wręcz zachwycony, wprost się delectował tym wszystkim. Will chętnie dałby mu pięścią w twarz, żeby tylko zetrzeć z niej to zadowolenie, ale pohamował się. Nie był swoim ojcem.

– Nigdy nie widziałem, żeby grała – powiedział Will, jakby do siebie samego. – Nigdy nie widziałem, żeby zrobiła coś choćby trochę niewłaściwego. Jej zachowanie było zawsze bez zarzutu.

– Owszem, ale jak się już przekonaliśmy, nie jesteś najlepszym znawcą charakterów. W końcu żyjesz z prostytutką, z którą spało pół Londynu, przynajmniej wtedy, kiedy razem ze swoimi dwiema przyjaciółkami nie zabawiała Grzesznego Hrabiego...

Will obszedł wokoło biurko, chwycił lorda Henry'ego za klapy surduta i walnął nim o regał z książkami. Dwa opasłe tomy wypadły z półki na ziemię i Will uskoczył na prawo, by nie uderzyły go w ramię.

– Nie chcę słyszeć od stryja ani słowa więcej o Juliette. – W rzeczywistości nie chciał patrzeć na niego ani chwilę dłużej. – Niech stryj powie, co ma do powiedzenia, a potem się wynosi!

Lord Henry pokiwał głową.

– Twój ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby cię teraz widział.

Nigdy chyba nie powiedziano czegoś prawdziwszego.

– To świetnie – odparł Will i naprawdę tak myślał – mam nadzieję, że jak się już w nim przewróci, to polecą potem prosto do piekła.

– Hańbisz swój tytuł – wysapał lord Henry i odepchnął go. – Jestem oburzony twoim zachowaniem.

Will nie chciał przywiązywać wagi do słów stryja, ale ubodły go dotkliwie.

– Precz stąd – rozkazał na tyle głośno, by Richards mógł go usłyszeć.

– Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy zamierzasz się ożenić z tą... z tą Juliette? Czy chcesz splamić twój dom i tytuł książąt Pelham, poślubiając tę kobietę?

– To nie powinno stryja obchodzić.

– Owszem, to mnie obchodzi, i moich synów również. Mamy prawo wiedzieć, od kogo będzie się wywodził następny książę Pelham.

Will zgrzytnął zębami. Udawanie nie miało sensu.

– Nie, nie zamierzam się z nią żenić.

Lord Henry skinął głową.

– W porządku.

Po czym poprawił na sobie surduty i ruszył ku drzwiom.

– Pamiętaj o tym, kim jesteś, o swoim obowiązku względem tytułu i o rodzinie.

Otworzył szerzej drzwi, a Will ujrzał stojącą po ich drugiej stronie Juliette. Była blada, sztywna i miała spuszczone oczy. Wyglądała jak królowa lodu.

Lord Henry uśmiechnął się do Willa.

– Miłego dnia, Wasza Wysokość – powiedział i przeszedł koło Juliette tak obojętnie, jakby była powietrzem.

Richards, który stał koło Juliette, nie bardzo wiedział, co robić. W końcu pobiegł za lordem Henrym i odprowadził go do wyjścia.

Will podszedł do niej.

– Juliette...

– Nic nie mów – przerwała mu. – Słyszałam aż za dużo.

Chciał się do niej zbliżyć, ale cofnęła się przed nim.

Wyciągnął ku niej ramiona. Uchyliła się przed uściskiem.

– Juliette, ja nie miałem na myśli...

– Czego? – spytała. – Nie miałeś na myśli tego, co powiedziałaś? – Czekala, ale on milczał. Nie znajdował właściwych słów. – A więc masz zamiar się ze mną ożenić? – Spojrzała najpierw na niego, a potem na posadzkę przed nim. – Doskonale, w takim razie klękaj tu i proś mnie, żebym została twoją żoną.

Will zdawał sobie sprawę, że kilkoro jego służących udaje, iż spełnia w pobliżu swoje obowiązki, ale w istocie są oni świadkami tej sceny.

– Powinniśmy pomówić o tym w cztery oczy.

– Po co? Jeśli mnie kochasz i chcesz wziąć za żonę, powiedz to wobec wszystkich.

Policzki jej pokrył rumieniec, co sprawiło, że sińce na twarzy

i szyi stały się mniej widoczne. On jednak miał świadomość, że nadal się tam znajdują. Nie odrywał od niej wzroku. O mało jej nie stracił. I nagle pojął, że to nie Lucyfer ani nie Oliver zagrażali mu najbardziej. On sam był swoim najgorszym wrogiem.

– Juliette – rzekł spokojnie – mam pewne obowiązki, ale ty być może nie rozumiesz ich natury.

Do diabła ze stryjem, ale on nie mógł zlekceważyć swoich obowiązków tak łatwo.

– Och, rozumiem jak najbardziej! – zaśmiała się gorzko. – Znam wielu takich mężczyzn. Twierdzą, że mnie kochają, ale dla nich miłość oznacza płacenie za moje względy lub umieszczenie mnie w domu z mnóstwem służby i strojów. Ale ty nigdy nie twierdziłeś, że mnie kochasz, prawda? – Cofnęła się o krok. – Co za głupota z mojej strony, że się w tobie zakochałam.

Wyciągnął ku niej rękę, ale daremnie.

– Nie – odparła. – Do widzenia, Wasza Wysokość. Dobrze nam się razem bawiło, ale chyba się teraz pożegnaj i pójdę sobie stąd.

Odwróciła się i odeszła, a jej kroki rozległy się echem w ciszy, która nagle zapadła.

Will pragnął krzyknąć na cały głos „nie odchódź!” i pobiec za nią. Była jedyną osobą, która go kiedykolwiek kochała. Jedyną, której zależało na nim samym, a nie na jego tytule i bogactwie.

A ona odeszła.

A on na to pozwolił.

Cóż innego mógł zrobić? Paść na kolana i błagać ją, żeby za niego wyszła? Był, niestety, tym przeklętym księciem Pelham. Nie padał na kolana. Nie błagał. Słowa stryja dzwoniły mu w uszach. Wręcz słyszał, jak jego ojciec mówi:

„Zhańbiłeś tytuł. Dlaczego muszę być obarczony synem, który nie przyniósł mi nic prócz rozczarowania? Lepiej byłoby, żebyś zmarł tuż po urodzeniu, niż postąpił w ten sposób!”

Juliette weszła na schody i zniknęła. Will wszedł do biblioteki i zamknął za sobą drzwi.

Łzy ciekły jej po policzkach, gdy szła pośpiesznie po

schodach do swego pokoju. Starła je ze złością. Nie chciała płakać. Nigdy nie powiedział, że ją kocha, nigdy nie powiedział, że chce ją poślubić. Nie warto było nad nim ronić łez. Jakże głupia się okazała! Miała za wiele lat i była zanadto światowa, by zakochać się bez opamiętania w mężczyźnie, który całkiem jasno stwierdził, że nie tylko jej nie kocha, ale nawet nie szanuje.

Czy ją kiedykolwiek przeprosił za afront w Carlton House? Za to, że nazwał ją ladacnicą? Za upokorzenie w oberży po opuszczeniu Londynu? Co on takiego powiedział na balu księcia regenta? Że nie jest damą, tylko dobrze opłacaną dziwką?

No cóż, może była i dziwką, ale z pewnością on jej za to nie płacił.

Otworzyła drzwi swego pokoju z takim trzaskiem, że przestraszyła służące, które tam sprzątały.

– Dzień dobry, madame – powiedziała jedna z nich.

– Nie. Właśnie że wcale nie dobry – odparła. Postawiła kuferek na łóżku, podniosła wieko i zaczęła do niego wrzucać stroje. Jej drugi kuferek wciąż jeszcze znajdował się w londyńskiej rezydencji Pelhama. Pośle po niego służącego, kiedy wróci do Londynu.

Och, ale nie miała już służących w Londynie...

No cóż, w takim razie pośle tam którąś ze służących Lily lub Fallon. Zamieszka znowu w Londynie. Słyszała, jak lord Henry mówił, że Lucyfer stamtąd uciekł, więc nie musi się go dłużej obawiać. Mogła pojechać tylko do Londynu i zapragnęła natychmiast znaleźć się razem z przyjaciółkami.

– Czy możemy pani w czymś pomóc, madame? – spytała jedna ze służących.

– Nie. – Juliette otarła ostatnią łzę. – Tak. Powiedźcie lokajowi, żeby zniósł ten kuferek na parter. Chciałabym też wiedzieć, gdzie się znajduje najbliższy zajazd.

– Tak, madame. – Dziewczyna pospiesznie wyszła.

Juliette opróżniła bieliźniarkę i opuściła wieko kuferka. Nie chciało się domknąć i musiała walnąć w nie pięściami, by je zatrzasnąć. Fizyczna agresja pozwoliła jej poczuć się trochę lepiej,

zwłaszcza gdy sobie wyobraziła, że pięści lądują na twarzy Pelhama.

Lokaj przyszedł w końcu i oznajmił, że Jego Wysokość proponuje jej powrót jego powozem.

– To bardzo wielkoduszne ze strony księcia – Juliette pokiwała głową – że będę mogła stąd odjechać jak najwygodniej.

Nałożyła spencerek, kapelusz i niemal biegiem wypadła z pokoju. Gdy schodziła na dół, spodziewała się – a może nawet miała nadzieję? – że drzwi biblioteki się otworzą. Chciała, by Pelham błagał ją o pozostanie. Chciała mu powiedzieć, że prędeż będzie spać w jakiejś pełnej szcurów norze niż pod jego dachem. Och, zamierzała mu powiedzieć jeszcze wiele innych rzeczy.

Ale drzwi biblioteki się nie otwarły i Pelham nie powiedział jej „do widzenia”.

Will wiedział, w którym dokładnie momencie Juliette go opuściła. Nie wtedy, gdy skończyła się krzątania przy jej odjeździe lub gdy umilkł turkot powozu, którym odjechała. To Rothingham Manor powiedział mu o tym.

Bez Juliette dom stał się zimniejszy, ciemniejszy, bardziej pusty. Pelham nadal oczekiwał, że usłyszy jej dźwięczny śmiech lub ujrzy, jak otwiera drzwi jego pokoju i upomina go, by nie spędzał tam zbyt wiele czasu.

Spodziewał się, że za każdym rogiem napotka jej urzekające oczy, jej zaraźliwy śmiech, jej wspaniałe włosy.

Z wolna, w miarę jak mijał dzień, zaczął sobie stopniowo zdawać sprawę z różnych innych rzeczy. Nigdy jej już nie pocałuje, nigdy jej nie dotknie, nigdy nie będzie spał koło niej, jadł z nią obiadu, łaskotał palców u nóg. Może ją przelotnie dostrzeże w Londynie, ale dopiero po jakimś czasie. Teraz nie chciała zatrzymać się w stolicy. Powiedziała, że chce zacząć wszystko od nowa.

Pocieszało go tylko to, że nie zagrażali jej już ani Oliver, ani Lucyfer. Oliver znalazł się w więzieniu, a wszystko wskazywało na to, że Lucyfer uciekł z kraju. Cokolwiek zrobiłaby ze swoim życiem, była w każdym razie bezpieczna.

Błąkał się po domu raczej bez celu, aż wreszcie zajrzał do salonu, gdzie zaczął przyglądać się zasłonom okiennym. Czy właśnie te pragnęła zmienić? Musiał przyznać, że ciężki brokat przetykany złotą nicią był już nieco staromodny. Spojrzał nad kominek i zauważył, że ojciec przygląda mu się z wielkiego portretu, zaciskając surowo usta.

– Pewnie pochwalasz to, że pozwoliłem jej odejść – powiedział do niego. – Nie byłaby odpowiednią księżną.

Podszedł bliżej do obrazu i zauważył kilka detali, takich jak sygnet na palcu ojca. Teraz należał on do niego. Przyjrzał się pierścieniowi, który nosił. Wiedział, że przechodził on z pokolenia na pokolenie.

– Przypuszczam, że w końcu wygrałeś – rzekł i znów spojrzał na portret. – Bo teraz jestem takim głupcem, jakim ty zawsze byłeś. Ty wyrzuciłeś z domu swoją żonę, a ja pozwoliłem odejść jedynej kobiecie, jaką kiedykolwiek kochałem. – Zdjął sygnet i cisnął nim w portret. – O Boże, nie pozwól, żebym się stał takim barbarzyńcą, jak ty. Richards! – Will podszedł do drzwi. – Richards! – zawołał donośnie i spojrzał znów na portret. – Nie chcę nigdy więcej patrzeć na twoją twarz. Zaprzedałem duszę za twe przekłete obowiązki i tytuł. Niech mnie diabli wezmą, gdybym musiał patrzeć na ciebie za każdym razem, kiedy będę tędy przechodził. Richards!

– Słucham, Wasza Wysokość. – Richards nadbiegł pospiesznie. Will nie sądził, by kiedykolwiek przedtem widział go biegnącego.

– W tym domu jest trzydzieści dziewięć portretów mojego ojca.

– Naprawdę, Wasza Wysokość?

– Tak mi powiedziano. Chcę, żeby je wszystkie pozdejmowano.

– Wszystkie, Wasza Wysokość? – Richards uniósł lekko brwi.

– Tak. Zbierz służbę i zaraz zacznij zdejmować.

– Zaraz?

– W tej chwili. Możesz zacząć od tego tutaj. – Wskazał na portret w salonie. Richards stał i patrzył na malowidło. Will klasnął w dłonie. – Pospiesz się, Richards! Tego nam właśnie trzeba.

– Tak jest, Wasza wysokość!

Kilka godzin później zdjęto połowę portretów, a Will asystował zdjęciu tego, który wisiał w pokoiku muzycznym. Cała służba zdawała się wręcz radować tym przedsięwzięciem. Służące i stajenni przybiegali do niego z wiadomością, że znaleźli jeszcze jeden portret w żółtym pokoju albo w cieplarni. Will doliczył się niemal pięćdziesięciu, a nie trzydziestu dziewięciu podobizn, jak utrzymywała Juliette. Stał i patrzył, jak trzech lokajów mocuje się z ogromnym wizerunkiem księcia. Gdy ich przy tym nadzorował, usłyszał, że służba wokół niego rozmawia między sobą i śmieje się. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek słyszał wokół siebie rozmowy i śmiechy.

– Już prawie mu dajecie radę! – powiedział. – Unieście go z lewej strony!

– Czy powiesimy tu teraz coś innego, Wasza Wysokość? – spytał jeden ze służących.

– Hm... a teraz z prawej strony! – polecił im.

– Wydaje mi się to gigantyczną operacją. Być może jednak wyjaśnia, dlaczego nikt nie słyszał, kiedy tu przybyłam.

Will obejrzał się i ujrzał, że stoi za nim jakaś kobieta. Liczyła sobie co najmniej sześćdziesiąt lat, a zapewne nawet i więcej. Siwe włosy miała uczesane w gładki kok, przenikliwe błękitne oczy były jasne i bystre, a drobne ciało – kościste i kruche. Trzymała się jednak prosto, mimo że dłoń, wsparta na spacerowej laseczce, wyraźnie drżała. Will od razu pomyślał, że kiedyś musiała być bardzo przystojna. Zresztą była nią nawet i teraz.

Po chwili namysłu spytał:

– Czy ja panią znam?

– Nie sędzę, żeby nas sobie przedstawiono – odparła i wyciągnęła ku niemu rękę. – Zdaje się, że jestem lepiej znana jako pobłażliwa żona Grzesznego Hrabiego.





Will nie miał pojęcia, dlaczego odwiedziło go nagle tylu gości. Czuł, że część odpowiedzialności za to ponosi Juliette. W końcu zanim ją poznał, nigdy nie przychodzili do niego inni goście niż ci, których sam zaprosił, a że sam prawie nigdy nie zapraszał nikogo – prócz Fitzhugh, który odwiedził go raz czy dwa razy, i jakichś pojedynczych kuzynów czy pociotków – dwoje nieoczekiwanych gości jednego dnia wydało mu się istnym ich potopem.

Nie wiedział, co właściwie ma począć z hrabiną Sinclair. Na szczęście Richards przyszedł mu z pomocą.

– Wasza Wysokość, czy mogę wprowadzić jaśnie panią do salonu?

Zabrzmiało to całkiem jak należy.

– Ależ proszę. No i niech kucharka... – Podkreślił swoje słowa gestem ręki.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Natychmiast poda się herbatę i ciasteczka.

Richards zaprowadził ich do salonu, a Will nie mógł się nadziwić, dlaczego to on właśnie poczuł się nagle tak, jakby był gościem w domu hrabiny. Usiadła na jednym z krytych błękitnym jedwabiem krzeseł, a on naprzeciw niej, na takiej samej sofie.

– A więc – zaczęła, gdy już rozejrzała się po pokoju, zatrzymując wzrok na pustym miejscu po zdjętym portrecie ojca – gdzie jest moja protegowana?

– Pani protegowana?

Zastukała laseczką w posadzkę.

– Słuchaj mnie uważniej, Pelham. Gdzie jest Juliette?

Odchylił się w tył.

– Tu jej nie ma.

– Tego już się domyśliłam i dlatego właśnie pytam, gdzie jest. Doprawdy, Pelham, słyszałam, że jesteś inteligentnym mężczyzną.

Will otworzył usta, ale nie był wcale pewien, czy jakakolwiek odpowiedź nie przysporzy mu jeszcze większych kłopotów. Słowo „protegowana” wydało się mu dość dziwne w odniesieniu do kochanki czyjegoś męża, ale wyraźnie teraz wiedział, skąd wzięła się brawura Juliette. Miała dobry przykład. Wreszcie przyznał:

– Nie wiem. Odjechała dziś rano.

– Tak mi się też zdawało. – Hrabina wsparła się na laseczce ze złoconą gałką. – A coś ty zrobił, że cię opuściła?

– Ja? – Poczł gwałtowną chęć spojrzenia na sygnet, by sobie samemu przypomnieć, że wciąż jeszcze jest księciem Pelham. Niestety, rzucił nim w ojcowski portret. Może właśnie całym problemem było to, że nie zrobił nic?

Hrabina spojrzała na niego przeciągle. Zdumiało go, że nie mrugnęła ani razu przez tak długą chwilę. Nie spuszczała niebieskich oczu z jego twarzy. Nie robiło mu się nigdy nieswojo, odkąd skończył osiem lat, ale teraz właśnie tak się poczuł. Uniosła brwi.

– Może podsłuchiwała coś, co ją przygnębiło.

Hrabina stuknęła laseczką. Jeden raz.

– Dalej.

Will wcale nie chciał mówić dalej, ale najwyraźniej nie miał wyboru. Nie mógł wyrzucić hrabiny za drzwi. Była kobietą, w dodatku starszą.

– Mój stryj złożył mi rano wizytę.

– Lord Henry? – przerwała mu.

– Tak. Zna go pani?

– Niemożliwy osioł, całkiem jak twój ojciec. – Wskazała laseczką na niego. – Chyba że Juliette zdołała cię choć trochę zmienić.

– Milady – Will pokręcił głową – myśmy się z pewnością

nigdy nie spotkali. Chyba nazywa mnie pani niemożliwym osłem trochę przedwcześnie?

– Och, wątpię. – Znow uniosła brwi, a niebieskie oczy zdawały się przenikać go na wskroś. – Wypędziłeś stąd moją kochaną Juliette czy nie?

– Nie wypędziłem jej, ja...

– No to mów, gdzie ona jest?

– Nie chciałem, żeby odeszła – mruknął zgnębiony i spojrzał na nią niechętnie. – Staralem się jej coś wyjaśnić.

– No i co? Jak mocno się starałeś?

Will zacisnął szczęki. Prawdę mówiąc, wcale się zbyt mocno nie starał. Czy mógłby starać się mocniej? A gdyby tak zrobił?

Hrabina wyprostowała się w krześle.

– Właśnie tak sobie myślałam.

Drzwi się otwarły i pani Waite wniosła tacę z herbatą. Gdy gospodyni troskliwie ustawiała na stoliku cukier i śmietankę oraz sprawdzała, czy ciasteczka są należycie ułożone, Will zastanawiał się, czy hrabina istotnie mogła znać jego ojca. Sam nigdy o niej nie słyszał, póki nie spotkał Juliette, i nigdy jej też nie widział na żadnym z wydawanych przez ojca przyjęć, które – trzeba to przyznać – były rzadkością.

– Znała pani mego ojca? – spytał, gdy gospodyni zostawiła ich już samych.

– Och, widywałam go tu i ówdzie. Obracaliśmy się w tych samych kręgach. Zalecał się do mnie nawet przez krótki czas.

Will zdumiał się niesłychanie. Trudno mu sobie było wyobrazić tego bezwzględnego, srogiego mężczyznę jako zalotnika jakiegokolwiek damy.

– Oczywiście nie miał u mnie najmniejszych szans jako niewyobrażalny osioł.

– A... pani obecny małżonek? – Will wiedział, że takie pytanie było dosyć niestosowne, lecz hrabina najwyraźniej zdawała się nie przejmować konwenansami. Zdumiewało go też, jak kobieta, której mąż miał aż trzy kochanki i zyskał sobie przydomek Grzesznego Hrabiego, może nazywać jego ojca osłem.

– O nie, nie, nie! – pogroziła mu palcem. – Widzę, dokąd zmierzasz, i budzi to moje uznanie, ale wtedy musiałabym zdradzić sekret Juliette.

– Jaki sekret?

– Teraz mówimy o tobie. Pozwól, żebym wróciła do tego, co się tu wydarzyło. – Przyjrzała mu się uważnie. – Wyrosłeś pod wpływem człowieka oziębłego i pozbawionego serca. Nietrudno mi sobie wyobrazić, że nie mogłeś wyjść z tego bez szwanku.

Will zjeżył się wewnątrz. Nie był ofiarą.

– Bardzo panią przepra...

– Sza! Teraz ja mówię. Na czym to stanęłam? – spytała z zastanowieniem. – A, właśnie. Jak znam moją Juliette, musiała zakochać się w tobie. Ma nie tylko fatalną słabość do władczych mężczyzn, zważywszy za kogo wyszła, ale też skłonność do ratowania zwierząt, roślin i ludzi. Ty potrzebowałeś ratunku, a ona uznała, że ci przyjdzie z pomocą. Gdy zaś to zrobiła, zakochała się w tobie, bo jak można przypuszczać, masz w sobie coś pociągającego. – Przyjrzała mu się uważnie, całkiem jakby to był temat wart rozważań. – No a ty zakochałeś się w niej.

– Ale ja nigdy bym...

Strzeliła palcami, a Will zacisnął zęby.

– Jeszcze nie skończyłam. O czym to ja... aha, już wiem! Ty się w niej zakochałeś. Nie próbuj przeczyć.

Will zmrużył oczy. Wcale się nie zakochał w Juliette.

Lubił ją. Nawet bardzo. Ale czy ją kochał? Pomyślał o siniakach na jej policzku i o dzikim przerażeniu, jakie czuł, gdy ujrzał, że Oliver zamierza ją powalić na ziemię. No cóż, trochę się w niej może i zakochał.

– Każdy by się w niej zakochał – ciągnęła hrabina – ale ty byłeś zanadto dumny, żeby jej o tym powiedzieć, a także zanadto dumny, żeby jej zaproponować małżeństwo. Bo ona jest kurtyzaną, a ty księciem. A więc odeszła. Czy wszystko się zgadza?

Will utkwiał w niej wzrok.

– Och, a więc teraz wolno mi już mówić?

Wymierzyła w niego kościsty palec.

– Tylko mi się tu nie stawiaj!  
Will wiedział, że znalazł się na przegranej pozycji.  
– W ogólnych zarysach ma pani słuszność – wycedził przez zęby.  
– Wiem. Co zamierzasz teraz zrobić?  
– Nic. – Will pokiwał głową. – Przecież mnie porzuciła.  
– Czy możesz ją za to winić?  
– Tak! – Will wstał. – Nigdy jej niczego nie obiecywałem. Nigdy jej nie powiedziałem, że ją kocham. Wyraźnie dałem jej do zrozumienia, że nigdy jej nie poślubię. Dlaczego więc tak się przejęła, gdy powiedziałem to samo stryjowi? Nie jest naiwną, niedoświadczoną dziewczyną. Kurtyzana nie powinna się zakochiwać ani spodziewać małżeństwa – mówił, chodząc po salonie z zaciśniętym pięściami.  
– Kurtyzana nie powinna – przytaknęła mu spokojnie hrabina – tylko że Juliette... jest inna. Pragnie męża, rodziny, mężczyzny, który byłby ojcem jej dzieci.  
– Nie jestem takim mężczyzną. Dałem jej to jasno do zrozumienia.  
Rzeczywiście tak zrobił. Bez ogródek.  
– No cóż. – Hrabina wstała. – Chyba nie ma tu już nic więcej do powiedzenia.  
– Przyjechała pani z tak daleka, żeby mi oznajmić, że nie ma już nic do powiedzenia? Czy nie lepiej było napisać list?  
– Czy chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia?  
Nie miał na to wielkiej ochoty, ale mógł się zgodzić. Niech to diabli! Szczerze pragnął powrotu Juliette! Może hrabina mogłaby z nią porozmawiać i namówić, żeby do niego wróciła?  
– Tak – odparł, znów z zaciśniętymi zębami.  
– Doskonale. Jesteś głupcem, Pelham.  
Will aż zamrugął ze zdumienia. Tyle tylko miała mu do powiedzenia?  
– Miałeś szansę zyskania szczęścia, która się trafia nielicznym. Szansę na znalezienie prawdziwej miłości. Odrzuciłeś ją, i to bezwzględnie. No i dlaczego, pytam?

– A pani wie dlaczego?

Wskazała na salon.

– Dla tytułu, dla honoru rodziny, dla konwenansu. Pozwól sobie coś powiedzieć, Pelham. Twój tytuł, twój honor i twoje konwenanse nie ogrzeją ci łóżka w nocy. Nie uchronią cię przed samotnością. Nie wspomogą cię, kiedy będziesz stary i słaby, jak ja. Nie dadzą ci dzieci ani wnuków. Nie sprawią, byś się śmiał, płakał czy zachwycał. Zatrzymaj sobie ten swój tytuł, Wasza Książęca Mość, bo nigdy nie odzyskasz Juliette.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i wyszła.

Will stał w pustym salonie z zaciśniętymi pięściami i mnóstwem ciętych odpowiedzi w myśli. Spojrzał na puste miejsce po portrecie ojca, chwycił wazę ze stolika obok sofy i cisnął ją na ziemię. Wpatrzył się w jej skorupy i jaśniejsze miejsce na ścianie, póki nie przestał dyszeć, a potem wyszedł z salonu i trzasnął drzwiami. W korytarzu usłyszał, że służba zdejmuje ze ściany kolejny portret. Było mu to jednak obojętne. Nawet gdyby zdjęto ze ścian wszystkie podobizny ojca, on i tak pozostałby tutaj. Wewnątrz niego.

Jego kroki rozległy się echem, gdy przechodził z jednego pustego pokoju do drugiego. Wszedł w końcu do swojego własnego, ostatniego, w którym przebywała Juliette. Był tylko częściowo wysprzątnany, bo odwołał służbę do zdejmowania portretów, zanim zdążyła skończyć tutaj porządki.

Will podszedł do łóżka i dotknął narzuty. Potem schylił się i powąchał poduszkę, na której spała Juliette. Wciąż jeszcze pachniała lawendą. Poczuł żal tak dotkliwy, że niemal zgiął się wpół. Stał przy łóżku, zaciskając zęby, i usiłował w sobie zdusić tęsknotę za nią.

Tylko że wzmagała się ona z czasem. Tak, pragnął jej, odkąd ją tylko ujrzał, ale teraz nieporównanie mocniej. Nie tylko fizycznie – choć któryż zdrowy mężczyzna by jej nie pożądał? – ale też pod każdym innym względem. Pragnął jej uśmiechu, jej żartów. O Boże, nawet i jej łez.

Wiedział, co było tego przyczyną. Ta przeklęta hrabina miała

słuszność. On się zakochał. Złamał najważniejszą zasadę i zakochał się. Niech go diabli wezmą, jeśli nadal nie myślał, że to znakomita zasada.

Miłość nie była czymś uporządkowanym, zdyscyplinowanym, logicznym ani pełnym godności, tylko czymś, od czego wszyscy głupieli. Will nie sądził, by mógł się zakochać, ale jego pancerz okazał się nieszczelny. Miłość wniknęła do niego przez jakąś szczelinę i utorowała sobie drogę. Myślał, że jako księżę Pelham stoi ponad czymś tak przyziemnym jak zakochanie się w kimś.

Otaczał go zresztą jeszcze jeden pancerz. Nigdy nie był kochany. Ojciec z pewnością nigdy go nie kochał, a matka, jeśli nawet darzyła go miłością, to nie okazywała mu tego w taki sposób, by zdołał jej doznać. Przyjaciele mogli go nawet bardzo lubić, ale wątpił, czy go kochali. Nikt go nie kochał. Nikt go nigdy nie kochał. Nikt nigdy nie chciał go kochać.

Z wyjątkiem Juliette.

A on ją od siebie odepchnął.

Było dokładnie tak, jak mówiła hrabina. Odrzucił szansę na miłość, na szczęście. Kiedyś sądził, że przyniesie mu szczęście odgrywanie roli księcia. Miał majątki, o które musiał dbać, obowiązki parlamentarne, powinności społeczne. Ale po raz pierwszy w życiu Will nie chciał być księciem Pelham. Wolałby nigdy nie słyszeć o takiej osobie.

Co takiego powtarzała ciągle Juliette? Że on może sam kształtować swój los.

Czy to jednak możliwe? Czy istotnie był w stanie to zrobić? Czy mógł zmusić ojca do milczenia? Czy zdołałby się go pozbyć z własnej świadomości, tak jak się pozbył jego portretów?

Siadł na łóżku i objął głowę dłońmi. Juliette nie zgodziłaby się na nic prócz małżeństwa. Wiedział o tym dobrze. Czy mógł się z nią ożenić, wiedząc, że jest kurtyzana?

Jego rodzina zamarłaby ze zgrozy. Jego służba zamarłaby ze zgrozy. Jego przyjaciele... byliby nieco rozbawieni. Socjeta plotkowałaby zawzięcie, a on nienawidził plotkarstwa.



Ale zanadto kochał Juliette. Nie mógł bez niej istnieć. Do diabła z jej przeszłością, z tym, co wcześniej robiła, kogo wcześniej znała. Obchodziło go tylko to, kim była teraz i kim stałaby się później: szóstą księżną Pelham.

Byłaby wspaniałą księżną. Urodzoną księżną.

Will musiał pokonać tylko jedną, drobną przeszkodę. Jak ją przekonać, że powinna zostać tą księżną?

Juliette nie wróciła do swego domu w Londynie. Nie mogła znieść widoku spustoszenia, jakiego Lucyfer dokonał w jej sypialni i poza nią, gdy szukał utraconych diamentów. Uznała, że zrobi tam porządki później. W międzyczasie chciała napisać do służby z prośbą o powrót i znaleźć jakiś sposób, by jej zapłacić. Potrzebowała protektora. Choć nie pragnęła pieśzcot mężczyzny, przymusu zamykania oczu i udawania, że on i ona są kim innym, nie miała wyboru.

Zakochała się. Kochałaby Pelhama – tego aroganckiego łajdaka – zawsze. Ale dzięki miłości nie opłaciłaby usług Rosie czy Hollowsa ani dachu nad głową.

Zamierzała udać się do Lily lub do Fallon. Wiedziała, że obydwie przywitałyby ją serdecznie. Tylko że Lily i Fallon pojechały do Somerset, tak przynajmniej przypuszczała, a ich służba nie pozwoliłaby jej zamieszkać w ich domach, skoro obie były gdzie indziej. Nieważne, że wszystkie trzy się przyjaźniły.

Istniało jednak miejsce, gdzie zawsze była życzliwie widziana. Miejsce, w którym zapewniono by jej pobyt na tak długo, jak tylko by tego potrzebowała. Rezydencja hrabiego Sinclaira.

Kiedy więc przybyła do Londynu, poszła prosto do Sinclair House. Ucieszyło ją, że stary tamtejszy kamerdyner, Abernathy, otworzył jej drzwi. Nie zmienił się wcale, odkąd widziała go po raz ostatni. Nadal miał te same siwe włosy, te same brązowe oczy w pomarszczonej twarzy i te same rumiane policzki. Ale ona czuła się tak, jakby od tamtych czasów minęło sto lat. Gdy tylko Abernathy ją zobaczył, twarz mu się rozjaśniła i o mało nie chwycił jej w objęcia.

– Panienska Juliette! Jakże mi miło, że panienska zawitała tutaj.

– Nie będzie ci miło, kiedy usłyszysz wszystkie dotyczące mnie plotki.

Abernathy machnął ręką.

– Takie tam głupstwa. Nie dbam o plotki. Proszę wejść. Lorda i lady Sinclair nie ma w rezydencji.

– Wiem. Ja... – Przygryzła wargę. – Mam nadzieję, że będę mogła tu przez jakiś czas zostać. Napiszę do nich, oczywiście, z prośbą o zgodę.

– Nie trzeba – odparł Abernathy. – Panienska zawsze jest tu mile widziana.

Te słowa były jak ciepła herbata w chłodny zimowy poranek. Juliette o mało nie rozplakała się z ulgi. Jak dobrze było spotkać się gdzieś z życzliwym przyjęciem, jak dobrze mieć gdzieś swoje miejsce. W Rothingham Manor nie miała go, chociaż bardzo tego pragnęła. Nigdy by się tam nie czuła jak u siebie.

Było to, rzecz jasna, kłamstwo. Potrzebowała jednak powiedzieć sobie coś w tym rodzaju, jeśli miała kiedykolwiek zapomnieć o Pelhamie. Naprawdę potrzebowała zaś tego, by Lily i Fallon powiedziały jej, jak wstrętnym monstrum się okazał. Że ona mogła postąpić dużo lepiej. Że on był ostatnim durniem, skoro pozwolił jej odejść.

– Powiem gospodyni, żeby zaprowadziła panienkę do jej pokoju.

– Abernathy, czy Lily i Fallon są w Londynie?

– Nie widziałem ich, panienko Juliette. Mogę pchnąć posłańca z listem do ich rezydencji, jeśli panienska by sobie życzyła.

Pewnie wciąż jeszcze były w Somerset. Niemniej list już by na nie czekał, kiedy wrócą.

– Tak, chętnie.

A potem siadła, chcąc poprosić listownie obydwie swoje najlepsze przyjaciółki, żeby do niej przyjechały.

Kiedy Will przybył do Londynu, nie poszedł prosto do domu

Juliette. Wprawdzie zamierzał tak zrobić, ale gdy znalazł się już w stolicy, odwaga go opuściła i zaczął się wahać.

A jeśli ona nie przyjmie jego oświadczeń? Powtarzał wprawdzie w myśli słowa, które chciał wypowiedzieć, i ćwiczył gesty, które miały im towarzyszyć, ale co będzie, jeśli się jej nie spodobają? O Boże, a może ona już go nie kocha?

Aż go zemdliło. Poczul się wręcz chory na myśl, że mogłaby dać mu kosza. Może lepiej by zrobił, zatrzymując się na jakiś czas we własnej rezydencji, nim pójdzie do Juliette...

Czyżby się stał zakochanym na zabój smarkaczem? To było wręcz żałosne.

Dlatego właśnie nie kazał stangretowi skrócić i ten zawiózł go prosto pod drzwi Juliette. Pelham siedział w powozie przez dłuższą chwilę, zbierając się na odwagę potrzebną do tego zadania.

Serce mu waliło, dłonie pokrył pot, kolana się ugięły. Wysiadł z powozu, poczul, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, ale zdołał się na nich utrzymać.

Dobrze byłoby napić się czegoś mocniejszego. Raz, może nawet i drugi – myślał, idąc ku drzwiom. Dlaczego nie wstąpił wcześniej do klubu? Ale był tutaj i musiał to mieć za sobą.

Odchrząknął i uniósł niepewnie dłoń ku kołatce. Była jednak zdjęta, co wskazywało, że Juliette opuściła Londyn, ale on w to nie wierzył. Nie miała dokąd pójść. Zapukał, ale tak słabo, że ledwo było słycać. Zgrzytnął zębami, zacisnął pięść i zastukał w drzwi, tym razem donośnie.

Stał i czekał.

Czekał.

Serce zaczęło mu bić jeszcze szybciej. Znow uniósł dłoń i zastukał.

Cisza.

Czyżby nie było jej w Londynie? Czyżby nie wróciła do miasta? Stangret mówił mu, że ją tam zawiózł. Czy opuściła Londyn zaraz po powrocie? Spojrzał na drzwi. A może zatrzymała się gdzie indziej?

Jeśli tak, to w jaki sposób ją znajdzie? Londyn był rozległym

miastem. Jeśli nie chciała, żeby ją w nim znaleziono, to tego dopnie.

Z drugiej zaś strony była też Księżną Zalotów – wyjątkowo piękną kobietą o dwuznacznej sławie. Ktoś musiał wiedzieć, gdzie ona jest. A on wiedział, od kogo zacząć.

Juliette siedziała z Fallon, Lily i hrabiną Sinclair w bawialni.

– Nie jesteś głupia – powiedziała Lily już chyba po raz dziesiąty tego dnia.

– To on jest głupi – powiedziała Fallon, też chyba po raz dziesiąty. – Nie zasługuje na ciebie.

– Ale nie powinnam się w nim była zakochać. Wiedziałam, że on mnie nie pokocha. Wiedziałam, że nigdy nie będzie chciał ożenić się z kurtyzaną. A poza tym to okropny człowiek: sztywny, arogancki, bezwzględny...

Hrabina uniosła dłoń i Juliette umilkła. Nikt nie ośmielał się mówić, kiedy ona zabierała głos.

– Dziewczęta mają słuszość, Juliette. On jest głupcem. Co więcej, jest strasznym głupcem, bo się w tobie również zakochał. Tylko że ma w sobie zbyt wiele dumy, by się do tego przyznać.

– Jakim cudem pani o tym wie? – spytała Juliette. – Przecież nawet go pani nie zna.

Hrabina spojrzała na nią przeciągle i Juliette zaczęła się zastanawiać, czy hrabina czasem go nie poznała. Juliette nigdy nie wykluczała niczego, jeśli chodziło o hrabinę. Zerknęła na Lily i dostrzegła spojrzenie, jakie jej rzuciła Fallon.

– O co wam chodziło? – spytała.

– O nic – odparła Fallon. Juliette wiedziała, że nigdy nie zmusi Fallon do wyjaśnień, utkwiała więc wzrok w Lily.

– Lily...

– Nieważne. – Lily odwróciła głowę.

– Lily, powiedz mi, o co chodzi.

– Tu nie ma nic do powiedzenia. – Lily rzekła to odrobinę za głośno i Juliette wiedziała, że Lily kłamie.

– Powiedz mi.

– Och, możesz to zrobić – odezwała się hrabina. – I tak w

końcu się domyśli.

– Czego mam się domyślić? – Juliette chwyciła Fallon za ramię. – Chyba nie umarł? Czy nic mu się nie stało? Myślałam, że Lucyfer uciekł na kontynent. Czy napadł na niego?

– Juliette, Pelhamowi nic nie jest. – Hrabina uniosła brwi. – Przed chwilą mówiłaś, że to okropny człowiek.

– To nie znaczy, że ona pragnie jego śmierci – dodała Lily. – Wszystko z nim w porządku, Juliette. On jest w Londynie.

– W Londynie? Tutaj? Od jak dawna?

– Już prawie tydzień – wyjaśniła hrabina.

– Och! – W Juliette zamarło serce. Nie sądziła, żeby to było możliwe, ale podjechało jej aż do gardła. Z całej siły. Przypuszczała, że tak właśnie będzie odtąd wyglądało jej życie. Usłyszy o Pelhamie od innych ludzi. On będzie w Londynie albo na wsi, ale bez niej. Dotrą do niej jakieś nowiny o nim z drugiej ręki, ktoś coś powie, ona zaś gdzieś przeczyta. Może pewnego dnia zobaczy w „Timesie” ogłoszenie o jego zaręczynach.

– Och, niech to wszyscy diabli!

– Fallon! – upomniała ją lady Sinclair. – Jak ty się wyrażasz.

– Nic na to nie poradzę. Spójrzcie na nią. Jest zdruzgotana.

Juliette, on cię szuka.

Całe jej ciało zadygotało z wrażenia.

– Naprawdę?

– Tak, przyszedł do mojego domu i do Lily również.

– A nawet i tutaj. Możesz być pewna, że Abernathy go nie wpuścił.

– Jasne, że nie. – Ale Juliette ledwie ich słuchała. Pelham jej szukał. Pelham chciał się z nią widzieć.

– Zapewne przyjdzie jeszcze raz – stwierdziła hrabina. – Jak sądzę, on wie, że tu jesteś. Czy chcesz go zobaczyć?

Juliette z początku chciała zawołać: „Tak, tak!” Gorąco pragnęła ujrzeć Willa, uściskać go, ucałować. Powściągnęła jednak ten odruch. Czy naprawdę chciała go zobaczyć? Co jeszcze mieliby sobie powiedzieć? On wyraźnie dał jej poznać swoje zdanie. Ona jemu również. Nie zgodziłaby się zostać jego

kochanką. Obawiała się jednak, że gdy go znów ujrzy, może zapomnieć o swoich zasadach i zgodzić się na wszystko, co jej zaoferuje.

– Nie – rzekła w końcu. – Nie, nie chcę się z nim widzieć.

– Świetnie! – powiedziała Fallon. – Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie powtórnie do mnie, ja będę tam obecna. Powiem mu, żeby sobie poszedł do diabła.

– Fallon! – westchnęła hrabina. – Jak ty się wyrażasz?

– Myślę, że powinnaś się pokazać na mieście – uznała Lily. – Ukrywasz się całymi dniami.

Juliette rozłożyła bezradnie ręce.

– Gdzież mam wyjechać? Byłam podobno kurtyzana, ale teraz straciłam popularność. Powinam znaleźć sobie inną profesję.

Lady Sinclair poklepała ją po ramieniu.

– Jeszcze nie pora na to, moja droga. Lily ma rację. Może byśmy tak poszły wieczorem do opery? W przyszłym tygodniu będą grać *Urowadzenie z seraju* Mozarta.

Fallon przewróciła oczami, ale Lily klasnęła w dłonie.

– Och, ależ cudownie będzie ujrzeć znów wszystkie Trzy Diamenty razem. Musimy zacząć myśleć nad tym, w czym się pokażemy ludziom.

Przerwało jej stukanie do drzwi, ale Juliette nie zmartwiła się tym. Wcale nie miała pewności, czy chce wystawić się w teatrze na spojrzenia połowy socjety. A już na pewno nie miała ochoty myśleć o strojach.

Do pokoju zajrzał hrabia Sinclair.

– Bardzo nie lubię wam przerywać, moje drogie, ale nalegam, by hrabina odpoczęła.

Wszystkie trzy zerwały się na nogi.

– Ależ oczywiście – powiedziała Lily. – Hrabia ma zupełną rację. Zamęczymy ją na śmierć.

– Nie jestem dzieckiem, które musi się przespać po południu – zaprotestowała hrabina. Hrabia podszedł do niej i pomógł jej wstać. Juliette widziała, że hrabina istotnie wygląda na zmęczoną.

Hrabia, człowiek bardzo czynny, znalazł jednak czas, by się upewnić, że żona wypocznie, tak by mogła całkowicie wyzdrowieć po chorobie. Patrzyła, jak pomagał hrabinie się położyć, i pozazdrościła tej kochającej się parze.

– Pocałujcie mnie, zanim sobie pójdziecie – powiedziała do dziewcząt. Fallon, Lily, a na końcu Juliette posłusznie cmoknęły ją w policzek. Hrabia poklepał każdą z nich po ramieniu ojcowskim gestem.

– Zobaczymy się przy obiedzie – rzekła Juliette, całując ją.

Lily i Fallon wyszły. Obie miały być wieczorem na balach i musiały zacząć się krzątać wokół swojej toalety. Juliette niczego sobie nie zaplanowała. Otrzymała co prawda kilka zaproszeń, ale wszystkie przysłali jej drugorzędni, osławieni rozpustnicy. Nie była w tak beznadziejnej sytuacji, żeby je przyjmować.

Poszła do swojego pokoju i stanęła przy oknie wychodzącym na ulicę. Wytworne powozy przejeżdżały po niej, przewożąc mieszkańców dzielnicy Mayfair w różne strony. Patrzyła na nie długo, zastanawiając się, czy nie ma wśród nich powozu księcia.

A potem znów zaczęła rozmyślać o miłości między hrabią a jego żoną. Czyż mogłaby poprzestać na czymś gorszym?

Zasunęła firanki i odeszła od okna.

Will siedział w swoim klubie, patrząc w ogień i pijąc portwajn. W jakimś sensie musiał przyznać, że ją utracił.

Utracił Juliette.

Jej przyjaciółki nie przynosiły mu żadnych wiadomości o niej, wiekowy kamerdyner w Sinclair House upierał się, że nic mu o niej nie wiadomo, a służba z jej własnego domu co najwyżej uprzejmie się do niego uśmiechała.

Ciekaw był, czy Juliette zamierza zjawić się ponownie w swojej rezydencji. Służba tam powróciła, ale sądząc z tego, co słyszał od swoich informatorów, Juliette nadal kryła się w Sinclair House.

A Will miał informatorów. Z całego Londynu różni ludzie donosili mu o najmniejszym śladzie kobiety podobnej z wyglądu do Juliette. Niektórzy z nich obserwowali domy jej przyjaciółek i Jaskinię Lucyfera. Wydałby fortunę, byle tylko móc wziąć ją znów w objęcia. Zaczął jednak wątpić, czy w ogóle zdoła jeszcze zamienić z nią choć parę słów, a co dopiero wziąć w objęcia.

Usiłował nie myśleć zbyt wiele o tym, gdzie teraz przebywa lub co tam może robić. Czy powróciła w ramiona Grzesznego Hrabiego? Czy ogrzewała teraz jego łóżko? Zaciskał pięści, gdy tylko myślał o innym mężczyźnie dotykającym Juliette. Cóż jednak mógł na to poradzić? Była niezależną kobietą. Mogła się widywać, z kim tylko chciała. Musiał ją w jakiś sposób nakłonić do tego, by zechciała się z nim zobaczyć.

Jak to jednak miał zrobić, skoro nie mógł się nawet do niej zbliżyć?

Usłyszał jakiś stłumiony dźwięk i obejrzał się w samą porę, by zobaczyć, że Fitzhugh siada po jego lewej stronie.



– Co powiedziałeś? Nie słyszałem tego, bo mówiłeś do mojego głuchego ucha.

– Że masz taką minę, jakby twój ulubiony koń właśnie okulał. Co ci się stało? – spytał i skinąwszy na kelnera, zamówił brandy.

– Och, nic specjalnego.

– Nie sądzę. Snułeś się osowiały przez cały ostatni tydzień. Czy to z powodu śmierci lady Elizabeth? Lord i lady Nowlund nie posiadają się z rozpaczy.

Niech go diabli. Całkiem zapomniał o lordzie i lady Nowlund po powrocie do Londynu. Powinien ich odwiedzić i złożyć kondolencje. Nie doszło do ogłoszenia jego oficjalnych zaręczyn z lady Elizabeth, nie postąpił więc wbrew regułom dobrego wychowania, nie nosząc po niej żałoby. Winien im był jednak grzecznościową wizytę.

– Widzę, że nie o to ci chodzi – powiedział Fitzhugh. Kelner przyniósł mu brandy, ale Fitzhugh nie zaczął pić. Postawił kieliszek na stoliku i powiódł palcem po jego brzegu.

– Przestań mi wiercić dziurę w brzuchu – powiedział Will. – Ja nie wtykam nosa w twoje prywatne sprawy.

– Robię to, bo jestem lepszym przyjacielem od ciebie. Wiem też coś niecoś o prywatnych sprawach i wiadomo mi z dobrego źródła, że chciałbyś się zobaczyć z Księżną Zalotów.

Will wyprostował się w krześle, a potem zmusił do odczekania kilku sekund, nim powiedział:

– Ona ma na imię Juliette.

Fitzhugh wzruszył ramionami.

– Możesz ją nazywać, jak ci się podoba, ale ona najwyraźniej nie chce się z tobą widzieć.

Will zacisnął zęby. Zdawało mu się, że dość ostrożnie postępował, chcąc ujrzeć Juliette. Jak to się stało, że wszyscy o tym wiedzą, a cała socjeta wręcz staje na głowie, żeby dowiedzieć się więcej? Czy znowu stanie się pośmiewiskiem dzięki „Kronice Porannej”?

– Skąd o tym wiesz? – spytał cicho.

– Lubię wiedzieć o różnych rzeczach. Przestań przyglądać mi się, jakbyś chciał mnie udusić. Nie mam zamiaru wywlekać na wierzch twego sekretu i nie jest on wcale sekretem poliszynela. To zapewne twój czysto osobisty problem.

Will skinął głową. Fitzhugh był jednym z jego nielicznych znajomych, którzy mieli trochę rozumu, ale to, co teraz mówił, nie było rozumne.

– Nie mam żadnego problemu. Chciałem po prostu chronić Juliette. Najwyraźniej lady Elizabeth została zamordowana wskutek powiązań z mężczyzną zwanym Lucyferem.

Teraz to Fitzhugh wyprostował się w krzesle.

– Z tym człowiekiem, który prowadzi dom gry zwany Jaskinią Lucyfera? Słyszałem o nim. To niebezpieczny typ, z którym lepiej nie zadzierać.

– Na szczęście doniesiono mi, że uciekł z kraju po zamordowaniu lady Elizabeth.

– A Juliette była świadkiem morderstwa? – Fitzhugh zmrużył oczy ze zrozumieniem. – Owszem, wszystko do siebie pasuje. Skąd jednak lady Elizabeth знаła Lucyfera?

– Najwyraźniej zanadto lubiła grać w faraona i strasznie się zadłużyła. A potem popełniła fatalny błąd. Skradła Lucyferowi diamenty.

– Żeby spłacić dług?

– Być może. Albo zamierzała sprzedać je i uciec z kraju. Może też ekscytował ją sam fakt kradzieży. Nie dowiemy się tego nigdy.

– Postąpiła niemądrze, sądząc, że Lucyfer jej nie przyłapie.

– A kiedy tak się stało, wplątała w to Juliette. To był kolejny powód, dla którego zabrałem ją ze sobą do Yorkshire. Lucyfer przewrócił do góry nogami jej londyński dom, szukając tam diamentów, nim uciekł za granicę.

– Gdzie one teraz są? – spytał Fitzhugh.

– Nie wiem. Szukałem ich wszędzie, gdzie tylko mogłem.

Nie wiem nawet, jak one wyglądają.

Fitzhugh założył ręce na piersi.

– Chętnie bym ci w tym pomógł, ale powierzono mi pewną misję.

– Myślałem, że już się wycofałeś z tej profesji.

– Zaangażowano mnie ponownie. Jeden z ludzi, z którymi współpracowałem na kontynencie, został zamordowany.

– Czy sądzisz, że ktoś go namierzył?

– Nie wiem, ale zamierzam to wykryć. Poproszę kilku znanych mi ludzi, żeby się zajęli tą sprawą z Lucyferem.

Chciałbym się dokładnie dowiedzieć, gdzie on teraz może być.

Will przytaknął mu ruchem głowy.

– Byłbym ci bardzo wdzięczny.

– Naprawdę? – Fitzhugh uniósł brwi. – Chyba po raz pierwszy pomyślałeś o tym, żeby mi za coś podziękować. Miałem przedtem wrażenie, że książęta rzadko dziękują.

– Ostatnio robiłem bardzo wiele rzeczy, których książęta robić nie powinni. – Will dał znak kelnerowi, żeby przyniesiono mu drugą porcję portwajnu. Czuł, że będzie jej potrzebował.

– Co na przykład robiłeś?

– Przewróciłem do góry nogami cały Londyn w poszukiwaniu Juliette. Jeśli się to rozniesie, wyjdę na głupca.

– Mówiłem, zdaje się, że to tylko twój problem.

– Fitzhugh – Will wypił spory haust portwajnu, który kelner przed nim postawił – bądź rozsądny.

Fitzhugh jedynie się uśmiechnął, co nie poprawiło Willowi nastroju.

– Pozwól mi się upewnić co do pewnych szczegółów twojej sytuacji. Zakochałeś się w Księżnej Zalotów.

– Nie uważam, żeby jakieś uczucia wchodziły tu w grę – mruknął zgryźliwie Will.

– O Boże, człowieku, jeśli nie powiesz tego nawet mnie, to jakże będziesz rozmawiał z nią samą?

Will uznał, że to słuszna uwaga.

– Doskonale. – Zacisnął szczęki. – Owszem, zakochałem się w niej.

– W osławionej kurtyzanie.

– No cóż, jest nią.  
– Czy zamierzasz ją poślubić?  
– Czy jesteś pewien, że to istotne pytanie?  
– Nie, ale bawi mnie, kiedy widzę, jak się chcesz wykręcić, a ostatnio mało mnie bawiło w moim życiu.

– Fitzhugh!

– Odpowiedz na moje pytanie, bo inaczej ci nie pomogę.

– Nie wiem, czy ty w ogóle chcesz mi pomóc.

– A więc nie chcesz wiedzieć, jak zdobyć Juliette?

Will spojrział na Fitzhugh zmrużonymi oczami. Czyżby on naprawdę wiedział, jak to zrobić? W końcu wiedział o Lucyferze. Może wiedział też, w jaki sposób można by przez kwadrans porozmawiać z Juliette.

– W porządku. Tak, zamierzam się z nią ożenić.

Fitzhugh gwizdnął z cicha.

– Twój stryj nie pochwali tego małżeństwa.

– Dał mi to jasno do zrozumienia. Na szczęście to ja jestem księciem, a nie on. A teraz mów, jak mogę zdobyć Juliette.

– Jeszcze jedno pytanie.

– Fitzhugh – powiedział Will ostrzegawczym tonem.

– Jak bardzo jej pragniesz? Czy zaryzykowałbyś dla niej utratę wszystkiego, co dla ciebie najcenniejsze?

Will przechylił się przez stolik i chwycił Fitzhugh za halsztuk.

– Co to ma znaczyć? Czy to jakiś podstęp? Powiedziałem ci, że ją kocham i chcę poślubić. Złamałem już moją główną zasadę, zakochując się, w dodatku nie tylko w kobiecie, ale, do licha, w kurtyzanie! To poniżej godności.

– Właśnie dlatego powinieneś zaryzykować.

Will zmarszczył brwi, a Fitzhugh wyciągnął halsztuk spomiędzy jego palców.

– Jeśli chcesz ją zdobyć, musisz zrezygnować ze swojej godności. To jedyny sposób, by jej dowieść, że mówisz prawdę.

Will odchylił się do tyłu wraz z krzesłem i spojrział groźnie na Fitzhugh. Wiedział, że nie chce tego słuchać. Zrobiłby

wszystko, tylko nie to, co Fitzhugh mu podsuwał. Wszystko. Był księciem Pelham. Musiał chronić swój tytuł i ród.

– Nie znam wcale Księżnej, to znaczy Juliette, ale nawet ja widzę, że jest inteligentną kobietą. Czy kurtyzana może wyjść za księcia? Nie będzie to czymś łatwym dla was obojga.

A jednak ona zaryzykowała wszystko, zakochując się w nim – własną dumę, utrzymanie, serce. Co zaś on jej dał? Nigdy nie powiedział, że ją kocha. Czemu miałyby mu teraz uwierzyć? Po tym, jak ją potraktował, nie dziwiłby się, gdyby dała mu w twarz.

– Powinienem ją przeprosić – mruknął.

– Bez wątpienia.

Will zajrzał Fitzhugh w oczy.

– Książęta nie przepraszają.

– Znakomicie. To jej uświadomi, jak wiele dla ciebie znaczy, skoro ją przepraszasz. Czego jeszcze książęta nie robią?

– Nie żenią się z kurtyzanami.

– Właśnie. – Fitzhugh uderzył dłonią w blat. – Musisz oświadczyć się jej publicznie. Przeprosisz, powiesz, że ją kochasz do szaleństwa i poprosisz o jej rękę. Na oczach wszystkich.

Will pomyślał, że za chwilę oszaleje.

– Co jeszcze nie zgadza się z książęcym kodeksem honorowym?

Will przeszył Fitzhugh wzrokiem.

– Czy moje publiczne upokorzenie to nie dosyć? Muszę zrobić coś więcej?

– Pragniesz jej czy nie?

– Skąd mam wiedzieć, czy ty po prostu nie bawisz się moim kosztem? – Will skrzyżował ręce na piersi. – Odkąd to stałeś się ekspertem w tych sprawach?

– Czy znasz moją matkę?

Will istotnie ją znał. Hrabina Winthorpe była jedną z tych matron, która nawet w nim wzbudzała chęć ucieczki. Jeśli wbiła sobie do głowy, że jakiś mężczyzna byłby odpowiednią partią dla jednej z jej córek, to nieszczęśnik nie miał żadnych szans, by uniknąć małżeńskich więzów.

– Wydała za mąż trzy moje siostry i wyswatała obydwu starszych braci. Przyglądałem się uważnie jej strategii. Nie mówiąc już o tym, że widziałem, ile moi bracia i szwagrowie musieli przejść, by zyskać spokój w swoich małżeństwach. Wierz mi, Pelham, ty z tego wyjdiesz obronną ręką.

– Nie mogę sobie wyobrazić czegoś jeszcze gorszego niż to, o czym dotąd mówiliśmy.

Fitzhugh pociągnął łyk brandy i zamyślił się. Przez jakiś czas milczał i Will już się niemal odprężył. Niemal.

Nagle Fitzhugh siadł wyprostowany jak struna.

– Już mam!

Will miał ochotę jęknąć.

– Wiesz, Pelham, przyszło mi na myśl, że nigdy nie widziałem cię w tańcu.

– Taniec uwłącza godności.

– Świetnie! – Fitzhugh klasnął w dłonie. – Właśnie to musisz zrobić.

– Nie wzięłaś pod uwagę jednej istotnej rzeczy.

– Wątpię.

– Juliette nie chce mnie widzieć. Trudno by mi więc było tańczyć, oświadczyć się i – o czym jeszcze mówiłaś?

– Przeprosić.

– Właśnie. Trudno by mi było zrobić którąś z tych rzeczy, skoro ona nie chce się ze mną zobaczyć.

– Nie musi się zgadzać na to, by cię widzieć. Powinieneś to wszystko zrobić publicznie.

– Ale ona nigdzie się nie pokazuje.

– Dobrze, że jestem twoim przyjacielem, Pelham – odparł Fitzhugh.

Will wcale tak nie uważał.

– Wiem, gdzie ona się wybiera dziś wieczór.

– No, gdzie?

Fitzhugh uśmiechnął się.

– To będzie najodpowiedniejsze miejsce.

– Nie wiem, dlaczego jestem taka zdenerwowana –

powiedziała Juliette, gdy ona, Lily, Fallon i hrabiostwo Sinclair jechali powozem do Covent Garden.

– Nie masz się czym denerwować – zapewniła ją Lily. – Wyglądasz olśniewająco.

Juliette nie mogła zaprzeczyć temu stwierdzeniu. Fallon i Lily przez cały dzień krzątały się gorliwie wokół jej fryzury i stroju. Wszystkie trzy wystrojone były w powłóczyste suknie z białego jedwabiu pokryte tysiącami cekinów. Lily powiedziała, że jeśli Juliette ma się znów stać jednym z Trzech Diamentów, to musi wyglądać stosownie do tej nazwy. No i wszystkie trzy rzeczywiście wyglądały jak błyszczące diamenty.

Juliette miała już na końcu języka, że wcale nie pragnie odgrywać na nowo roli olśniewającej kurtyzany, ale skoro nie wiedziała, co chciałyby robić innego, nie powiedziała nic. Pomyślała jedynie, że hrabina mogłaby odgadnąć, jakie są jej odczucia. Spostrzegła, że lady Sinclair kilka razy na nią spojrzała z dosyć dziwną miną, jakby się zastanawiała, co Juliette ma zamiar robić w przyszłości.

A może czekała, aż Juliette poprosi ją o radę? Juliette nie wiedziała, dlaczego właściwie dotąd tego nie zrobiła. Może dlatego, że czuła się aż za bardzo wdzięczna hrabinie za wszystko, co dla niej uczyniła.

Może zaś dlatego, że obawiała się wybuchnąć płaczem, myśląc zbyt wiele o swojej przyszłości bez Pelhama. Nie chciała się rozpląkać na ramieniu hrabiny kolejny raz.

Wzięła głęboki oddech i spróbowała się uśmiechnąć. Zarówno Lily, jak i Fallon miały zaciekawione miny, obydwie też śmiały się i były rozbawione. Musiała przyznać, że nigdy nie widziała, by wyglądały piękniej. W kasztanowatych włosach Lily skrzyły się złociste błyski, a ona sama wydawała się lśnić od stóp do głów. Na szyi i w uszach miała diamenty pożyczone przez lady Sinclair. Była po prostu promienna.

Fallon wyglądała mniej ostentacyjnie. Ciemne włosy uczesała prosto i niczym ich nie ozdobiła prócz klejnotu w kształcie róży wpiętego za uchem. Czerwony akcent był dokładnie

tym, czego potrzebowała, aby biel sukni nie uczyniła jej oliwkowej karnacji zbyt bladą.

Juliette miała na szyi podobny barwny akcent w postaci jasnobłękitnej wstążki. Zwieszał się z niej duży diament o prostym szlifie, który wcześniej włożyła jej w ręce hrabina. Juliette z niedowierzaniem spojrzała na ciężki klejnot, a hrabina dodała:

- Nie zgub go, bo Sinclair urwie mi głowę.
- Nie zgubię go, milady – odpowiedziała.
- Wszystkie cztery wyglądacie przepięknie – powiedział hrabia. – Jestem szczęśliwym człowiekiem. – I rzeczywiście, ludzie z socjety powinni wyjątkowo zazdrościć Grzesznemu Hrabiemu idącemu z trzema najsłynniejszymi kurtyzanami u boku. A jednak gdy to mówił, poklepał po ręce hrabinę i patrzył tylko na nią.

Juliette wątpiła, by kiedykolwiek było inaczej.

Mimo to sumiennie odgrywał w operze swoją rolę najbardziej rozwiązłego mężczyzny w całej Wielkiej Brytanii. Gdyby tego nie robił, hrabina zmyłaby mu solidnie głowę.

Torowali sobie drogę wśród mnóstwa innych powozów, które również zmierzały ku Covent Garden, póki wreszcie po długim czasie, który Juliette wydał się wiecznością, nie dojechali na miejsce. Lily już ją wcześniej pouczyła, że wysiądzie z karety ostatnia. Wszyscy się zgodzili, że wzmoże to zaciekawienie gapiów przyglądających się ich przybyciu.

Gdy więc powóz w końcu się zatrzymał, a lokaje otworzyli drzwiczki i opuścili schodki, hrabia opuścił go jako pierwszy, a po nim jego żona. Stała w królewskiej pozie u jego boku, on zaś podał rękę Lily i pomógł jej przy wysiadaniu. Lily zajęła swoje miejsce przy hrabinie, która nie patrzyła na nią, wkrótce zaś dołączyła do niej Fallon. Hrabia kłaniał się wszystkim naokoło i ucałował jej dłoń. A potem zamarł bez ruchu.

Wewnątrz powozu Juliette biło gwałtownie serce. Wiedziała, że zrobił to, by wzmóc napięcie. Tłum gapiów zżerała ciekawość, kto jeszcze pozostał w powozie. Snuli różne pomysły, wpatrzeni we wspaniałe, iskrzące się suknie dwóch z Trzech Diamentów.



A wtedy hrabia Sinclair znów wyciągnął dłoń i ukazała się Juliette. Poruszała się jak we śnie. Nie czuła się już Księżną Zalotów i całe to przedstawienie wydawało się jej groteskową farsą. Ale światło padło na jej błyszczącą suknię i usłyszała, jak tłum gwałtownie nabiera tchu. Nie mogła się jednak odwrócić.

Ujęła osłoniętą rękawiczką dłoń hrabiego, a on uspokajająco uścisnął jej palce. Juliette wysiadła z powozu z największą gracją, na jaką ją było stać, i zatrzymała się, tak by hrabia mógł pocałować ją w policzek. Był to ojcowski pocałunek i miał na celu tylko jej uspokojenie, a socjeta mogła sobie o nim myśleć, co się jej żywnie podobało.

Potem Lily i Fallon stanęły po obu jej stronach i trio olśniewających kobiet, wzięwszy się za ręce, zaczęło sunąć za hrabią i hrabiną. Juliette była przyjaciółkom wdzięczna za wsparcie, a gdy przechodziły pod sklepieniem portyku, odprężyła się nieco. W końcu chodziło tylko o jeden wieczór w teatrze. Zawsze lubiła Mozarta, a któraż z jego oper bardziej do nich pasowała niż *Urowadzenie z seraju*?

Nabrała w płuca powietrza i spróbowała się dyskretnie uśmiechnąć do kilku mężczyzn, których rozpoznała w tłumie. A potem poczuła, że Lily gwałtownie sztywnieje, po niej zaś Fallon.

Było to coś nowego. Obie zawsze były pewne siebie i zrównoważone.

– Co się stało? – spytała, uśmiechając się wciąż przez zaciśnięte zęby.

– Nic – odparła Lily. – Idź dalej.

– Fallon, co się stało?

– Nie zatrzymuj się.

– Ale dlaczego wy...

A wtedy go ujrzała i zrozumiała, co tak poruszyło obydwie jej towarzyski. Księżę Pelham, wprost niewiarygodnie przystojny w intensywnie błękitnym fraku, znakomicie dobranym do koloru jego oczu, stał tuż przy drzwiach. Przechylał się niedbale przez poręcz schodów wiodących do łóż. Twarz miał niby wyciosaną z granitu, policzki i usta wyglądały jak wyrzeźbione dłutem

najwspanialszego mistrza. Halsztuk był perfekcyjnie zawiązany, spodnie obcisłe i bez najmniejszej fałdki, a jego buty wręcz lśniły. Tylko fryzura wykazywała oznaki buntu, uroczo rozwichrzona, a Juliette nie mogła nic poradzić na to, że przypomniała sobie ich pierwszą wspólną noc.

Wpatrywał się w nią, gdy przechodziła tuż koło niego. Poczula, że ten palący wzrok przeszywa ją na wskroś. Nie miała pojęcia, w jaki sposób nogi ją jeszcze niosą. Może była podtrzymywana przez Lily i Fallon?

Wreszcie minęła go i weszła do łóżki hrabiego.

Książę nie podążył za nią i jeszcze raz pozwolił, żeby mu się wymknęła.

**B**yla tak piękna, że niemal nie mógł uwierzyć, iż nie jest wytworem jego imaginacji. W jaki sposób ktoś mógł wyglądać równie oszalamiająco? Całkiem jakby widział jakiś cudowny sen, tylko że on wcale nie śnił, a przynajmniej nie uważał, żeby coś mu się śniło.

Fitzhugh poklepał go po plecach a książkę ruszył chwiejnie naprzód.

– Nabierz odwagi, Pelham.

Nie, to nie był sen, bo Fitzhugh mógłby się komuś ukazać tylko w jakimś koszmarze.

– Straciłeś szansę. Wszyscy na was patrzyli. To był idealny moment.

Owszem, byłby idealny – gdyby przemówił. Ale gdy usłyszał Juliette, oniemiał. Jak zdoła przez to przebrnąć? Już teraz czuł się niewiarygodnie głupio, choć jeszcze się nawet do niej słowem nie odezwał.

Fitzhugh gniewnie zmrużył oczy.

– Tylko mi nie mów, że się rozmyśliłeś.

Czy nie lepiej byłoby zwlekać jeszcze przez chwilę?

Nie.

Musiał przystąpić do działania. Książęta Pelham nigdy nie byli tchórzami. Powinien wejść do loży Sinclaira, powiedzieć Juliette, że ją kocha... i te wszystkie inne bzdury, których Fitzhugh go wyuczył. A jeśli ona go nie zechce, nic na to nie poradzi. Nie mógł jej do tego zmusić.

O Boże, jak bardzo chciał, żeby nadal go pragnęła. Jakże mógłby bez niej żyć? A gdyby tak porwać ją, przerzucić sobie przez ramię i zanieść do swojej rezydencji? Byłby to sposób prosty

i wcale pociągający.

– Pelham – mruknął Fitzhugh.

– Już idę. – Wyprostował się.

– Masz tu coś mocniejszego. – Fitzhugh podał mu buteleczkę. – To gin. Doda ci odwagi.

Will pokręcił głową, ale pociągnął tęgi łyk. Skrzywił się i znów pokręcił głową. Teraz albo nigdy. Wszedł na schody prowadzące do łóż, choć jego nogi, niby para narowistych koni, robiły wszystko, by skierować go w inną stronę. Oparł się jednak temu.

Juliette była tego warta. Była warta wszystkiego.

Oczywiście, gdy już dotarł do łóż, nie wiedział, która z nich należy do Sinclaira, ale prędeż zjadłby własny kapelusz, niż spytał o to kogoś. Szedł korytarzem, póki nie ujrzał dużej grupy ludzi o wyglądzie bezmyślnych gapiów. Na końcu korytarza, podobnie jak przedtem przy wejściu do teatru, ujrzał to, czego szukał. Korciło go, by ciosem pięści usunąć z drogi pierwszego z ciekawskich, który stał mu na przeszkodzie, lecz byłoby to stratą czasu – czasu, który mógł spędzić z Juliette.

– Co to ma znaczyć?! – wykrzyknął zawałidroga.

– Och, przepraszam, Wasza Wysokość! – powiedział drugi.

Will precyzyjnie się między nimi i wszedł do łoży Sinclaira.

Hrabia miał z niej wspaniały widok na scenę i w ogóle na cały teatr. Pelham rozglądał się za nim, podziwiając wielką scenę skrytą za szkarłatną kurtyną i zwieńczoną eleganckim łukiem. Po każdej jego stronie stały greckie w stylu, płaskorzeźbione figury kobiet. Z wysoko umieszczonej łoży mógł też podziwiać ozdobione malowidłami sklepienie teatru.

Pelham skupił uwagę na samej łoży. Sinclair wynajmował jedną z najlepszych. Była przestronna, oddzielona od innych pozłacanymi kolumnami. Każdą z łoż oświetlały świeczniki z rżniętego kryształu zawieszane na szczycie kolumn, a ich blask zapewniał widzom wspaniały widok na to, co się działo w łoży hrabiego. Will niemal namacalnie czuł, że lornetki zwracają się ku niemu. Przeniósł jednak wzrok z publiczności na widzów w łoży.

Hrabia z hrabiną siedzieli na samym jej przedzie, Trzy Diamenty bezpośrednio za nimi, a Juliette pomiędzy obydwoma przyjaciółkami.

Gdy Will patrzył na Trzy Diamenty lśniące w świetle świeczników, coś przyszło mu raptownie na myśl. Próbował to coś odepchnąć, chcąc jak najprędzej zwrócić się do Juliette, ale nie dawało mu ono spokoju.

Czy diamenty Lucyfera rzeczywiście były klejnotami? Znowu spojrzął na trzy kurtyzany. Trzy Diamenty. A gdyby tak chodziło tu o coś innego, równie cennego jak diamenty, równie rzadkiego i pożądanego? Może i on, i Juliette szukali niewłaściwych obiektów?

Spojrzał znów na Juliette, gdy jakiś nieznany mu mężczyzna schylił się nad jej fotelem, a ona uśmiechnęła się do niego. Potem dostrzegła jego i uśmiech znikł z jej twarzy.

– Co się stało? – spytał młody mężczyzna, patrząc na Willa.

– Zejdź mi z drogi – powiedział Will.

– Hejże, co do licha...

– To księżę Pelham, Gillivray. Lepiej cofnij się trochę – powiedziała ciemnowłosa kurtyzana. Rudowłosa uśmiechnęła się do niego, jakby chcąc mu dodać odwagi, a Juliette patrzyła na niego tak, jakby ujrziała widmo.

– Pelham – rzekł hrabia, wstając. – Nie przypominam sobie, żebym cię tu zapraszał.

Hrabina uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

– Chciałbym zamienić kilka słów z Juliette – zwrócił się do hrabiego.

– Juliette, co ty na to? – spytał hrabia.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia.

Serce w nim zamarło. Wiedział, że to nie będzie łatwe, ale nie spodziewał się z jej strony podobnej oziębłości. Jej spojrzenie było lodowate.

– Chcę ci coś powiedzieć – nie ustępował. – Ja... – Nie miało sensu robić tego połowicznie. Wyciągnął ku niej rękę. – Wstań.

– Całkiem dobrze się czuję, siedząc.

Will oparł się chęci zerwania jej z krzesła.

– Proszę cię – dodał. Spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie przyjęła jego ręki, ale wstała. Zbliżył się do niej jeszcze bardziej, a jej przyjaciółki odsunęły swoje krzesła nieco dalej. Jego i Juliette można było doskonale widzieć zewsząd. Czy poniosła go wyobraźnia, czy też wszyscy zamilkli?

– Chcę ci coś powiedzieć. Nie musisz mi dawać żadnej odpowiedzi. – Chyba że będziesz tego chciała, dodał w myśli. – Jestem ci winien przeprosiny, Juliette, i to za niejedno. – Ujął ją za rękę, a jej oczy stały się ogromne jak spodki. – Madame, szczerze przepraszam, jeśli w jakikolwiek sposób panią uraziłem. Przepraszam, że nie broniłem pani przed zniewagami. Przepraszam za moje słowa na balu księcia regenta i głęboko żałuję tego, że nie potraktowałem pani wtedy tak, jak na to zasługiwała. Jest pani damą w każdym sensie, a ja daję słowo, że nigdy już nie odniosę się do pani tak, jakby damą nie była.

Juliette pokręciła głową.

– Dlaczego mówi pan to wszystko?

Przykląkł na jedno kolano, wciąż trzymając ją za rękę.

– Ponieważ cię kocham, Juliette. Chyba zakochałem się w tobie, kiedy tylko pierwszy raz cię ujrzałem. A od tej chwili moja miłość się wciąż wzmagala. Jesteś najniezwyklejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Uczyniłaś ze mnie kogoś lepszego i dlatego mam zaszczyt prosić cię, żebyś została moją żoną, moją księżną.

Wszyscy wstrzymali oddech. Nie poniosła go w tej chwili wyobraźnia. Nie dbał jednak o to. Obchodziła go jedynie Juliette. Wpatrywała się w niego, usta jej drżały, a w oczach błysnęły łzy.

– Ależ ja jestem kurtyzana. Nie mogę być twoją księżną.

– Juliette, jesteś moją miłością. Żadna inna kobieta nie może zostać moją księżną. Nie każ mi się błagać, ale zrobię i to, jeśli tego zażadasz. Bóg jeden wie, że zasłużyłem na to, a nawet na więcej.

– Will. – Juliette zakryła usta ręką. Serce w nim zamarło.

Zwróciła się do niego zdrobieniem jego imienia, którego od początku używała. Pragnął, aby to był dobry znak. Nie odpowiedziała mu jednak.

– Powiedz mu „tak”, moja droga – rzekła hrabina.

Juliette skinęła głową, wciąż z ręką na ustach.

– Jest jeszcze coś – powiedział, wstając. – Chyba winien ci jestem jeden taniec.

– Taniec? – Zmarszczyła brwi. W jej głosie zabrzmiało głębokie wzruszenie. – Nie sędzę.

– Ale ja tak.

– Przecież tu nie ma muzyki.

Will spojrzał w dół na scenę i na muzyków poniżej, w kanale orkiestrowym.

– Panie dyrygencie, chyba nadeszła odpowiednia chwila.

– Tak, Wasza Wysokość. – Dyrygent uniósł batutę, a orkiestra zaczęła grać walca. Juliette gwałtownie zaczerpnęła tchu.

– Zaplanowałeś to?

Will podał jej dłoń.

– Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała ze mną zatańczyć.

– Ależ... tu nie ma miejsca.

Na te słowa hrabina wstała, klasnęła w dłonie i dała znak stojącym obok niej mężczyznom, żeby odsunęli krzesła. Potem zaś, razem z mężem i dwoma pozostałymi Diamentami, cofnęła się ku wejściu, a Will objął Juliette i zaczął z nią tańczyć powolnego walca.

Kręciło się jej w głowie. Czuła się jak we śnie. Znów była w ramionach Willa, a on ją kochał. Powiedział jej to nawet wobec wszystkich! Nienawidził publicznego dawania upustu uczuciom, ale teraz trzymał ją w objęciach i tańczył z nią na oczach całej socjety. Przywykła od dawna, że wszyscy na nią patrzą, ale wiedziała, że Will tego nienawidzi.

A jednak zrobił to dla niej.

Bo ją kochał. Kochał! Chciała wykrzyknąć to na głos, skakać i wirować bez końca, póki z zawrotu głowy nie padnie na ziemię. Zamiast tego trzymała jednak Willa mocno w ramionach i

pragnęła, żeby ten sen nigdy się nie skończył.

– O czym myślisz, najdroższa? – szepnął jej do ucha.

Juliette zadrżała.

– O tym, jak bardzo jestem szczęśliwa. Uczyniłeś mnie niewiarygodnie szczęśliwą. – Zajrzała mu w oczy. – Naprawdę mnie kochasz?

Pocałował ją delikatnie.

– Całym sercem.

– Ale po co to wszystko? – Wskazała na publiczność i teatr. – Nie musiałeś tego robić.

– Zdaje mi się, że jednak musiałem.

Spojrzał ku wejściu do loży. Juliette spostrzegła tam jakiegoś wysokiego bruneta, którego nie знаła. Skinął im głową i wmieszał się w tłum.

– Chciałem ci pokazać, jak bardzo się zmieniłem, a także dowieść ci, jak wiele dla mnie znaczysz.

– Dziękuję. – Wsparła czoło na jego ramieniu i poczuła czystą woń mięty. Ramiona, które ją obejmowały, były ciepłe i miękkie. – Czy wiesz, o czym teraz myślę? – spytała.

– Może się jakoś domyślę.

– Zabierz mnie do domu, Will. Pragnę znaleźć się w twoich objęciach tak, by nic nie dzieliło naszych ciał.

– Niczego nie pragnąłbym bardziej – odparł, śmiejąc się z cicha.

Przestała tańczyć i ujęła go za rękę.

– No to chodźmy.

– Nie mogę. Oboje nie możemy.

Poczuła, że jej szczęście nagle słabnie, a sen się zaczyna rozwiewać. Jak mogła nie wiedzieć, że jest zbyt piękny, by mógł trwać?

– Czy coś się stało?

– Nie. Ale ja uznałem, że powinniśmy zaczekać.

– Zaczekać? Na co?

– Na nasze małżeństwo.

Zdumiała się. Czy dobrze usłyszała?



– Ale my przecież już... – odparła i wykonała falisty ruch ręką. – Nie ma potrzeby czekać.

Uniósł jej podbródek końcem palca i pocałował ją dyskretnie w usta.

– Na znak szacunku dla mojej przyszłej żony. Chcę, żeby nasza noc poślubna była czymś wyjątkowym.

Łzy znów napłynęły jej do oczu.

– Czy wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony.

Skinęła głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

– Na pewno? Przecież ty płaczesz.

Wyglądał na nieco zaniepokojonego, a ona omal nie wybuchła śmiechem.

– Tylko ze szczęścia – odparła, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– No oczywiście – wymruczał. – Ja zawsze płaczę tylko ze szczęścia.

– Zostawmy je na chwilę same, chłopcze – powiedział Sinclair, odciągając go na bok, a wtedy Juliette wprost zatonała w uściskach Fallon, Lily i hrabiny. Otaczała ją miłość, a także łzy.

Jeszcze nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

Will nie był specjalnie zachwycony towarzystwem Grzesznego Hrabiego. W końcu ten człowiek był kochankiem jego przyszłej żony. Co było lepsze – płaczące kobiety czy zrównoważony mężczyzna, choćby nawet niegdysiejszy kochanek Juliette? Wybrał towarzystwo mężczyzny.

A potem hrabina odłączyła od pań i hrabia zostawił Willa samego. Poklepał go przedtem po ramieniu.

– Chyba pójde się trochę przejść.

Will zmarszczył brwi, zaskoczony. Zobaczył, że hrabina wpatruje się w niego.

– Nie przypuszczałam, że pan to robi – przyznała.

– Że zrobię co, milady?

Skinęła głową w stronę Trzech Diamentów, trochę już teraz spokojniejszych. Szeptaly o czymś między sobą. Z doświadczenia wiedział, że szepczące kobiety nigdy nie są dobrym znakiem.

– Nie przypuszczałam, że zrobisz to, co należało, by ją odzyskać. Złamałeś jej przedtem serce, Pelham.

– Wiem. Chcę się z nią pogodzić.

– O tak, myślę, że naprawdę tego chcesz. – Hrabina przytaknęła mu ruchem głowy.

– Zważywszy, jak głupio postąpiłem w Yorkshire, to i tak bagatelka.

– Cieszy mnie, że sam to mówisz.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nawet w moim wieku byłoby mi bardzo trudno powiedzieć jakiemuś księciu, że postąpił głupio.

Will nigdy jeszcze nie słyszał jej mówiącej w ten sposób.

– Jeśli Wasza Wysokość pozwoli, chciałabym o coś spytać.

Dlaczego pozwolił jej pan odejść?

Przejechał ręką po włosach, patrząc na Juliette. Spojrzeli oboje na siebie. Uśmiechnęła się do niego. Ledwie zdołał potem zaczerpnąć tchu.

– Z nadmiernej dumy – odparł.

– Ach, tak. Ja z pewnością wiem, czym jest duma. A także czym może być zraniona duma.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem i zauważył, że patrzyła na Trzy Diamenty. Poczul się zakłopotany. Nic dziwnego, że Sinclair wolał się oddalić.

– Wszyscy myślą, że jestem głupia – ciągnęła. – A ja pozwalam im na to, bo pewni ludzie i pewne rzeczy są ważniejsze niż duma. No bo jakże w innym wypadku pozwoliłabym wszystkim sądzić, że mój mąż sypia z tymi trzema kobietami?

– Ja... – zaczął i urwał. Nie wierzył własnym uszom i musiał mocno odchrząknąć, nim znów się odezwał. – Nie bardzo panią rozumiem, milady.

– Powinam w takim razie wyrazić się jednoznacznie. Mój mąż nigdy nie spał z Juliette.

Will otworzył usta i zamknął je ponownie.

– Na pewno, milady?

– O tak, na pewno – uśmiechnęła się. – To od samego

początku była czysta farsa.

Will z trudem zdołał zdać sobie sprawę z sensu jej słów.

– A więc pani mąż nie był protektorem Juliette?

– Nie w tym znaczeniu, które ma pan na myśli. Uważam raczej, że on w niej widzi córkę, której nigdy nie mieliśmy. Widzi pan, my nie mogliśmy mieć dzieci. Te dziewczęta są dla nas naszymi dziećmi.

– Ależ dlaczego. – Pokręcił głową, usiłując to zrozumieć. – Po co ta cała komedia? Po co pozory rozpusty?

– Powinien pan zwrócić się z tym pytaniem do Juliette, bo to już raczej jej historia, a nie moja. Wystarczy, że powiem jedno: ona nie jest kurtyzaną i nigdy nią nie była. Ale teraz panu chyba wszystko jedno, Wasza Wysokość?

– Tak – odparł i zaskoczył tym sam siebie, bo była to prawda.

– Wszystko mi jedno.

– No, właśnie – zgodziła się hrabina. – Kiedy czyjeś serce jest pełne miłości, nie ma w nim miejsca na dumę.

*Miesiąc później*

Juliette z westchnieniem ulgi padła na kryty błękitnym aksamitem szezlong w salonie londyńskiej rezydencji Willa. Czuła się tak, jakby jej biała atlasowa suknia z błękitną szarfą i perłowym stanikiem ważyła kilkadziesiąt funtów.

– To był ostatni z gości – powiedziała. – Myślałam, że oni sobie nigdy nie pójda.

Will, w eleganckim ubraniu koloru ciemnego grafitu, odsunął jej stopy nieco na bok i siadł koło niej.

– Nareszcie jesteśmy sami.

Ściągnął rękawiczki i położył je tuż obok siebie.

Juliette знаła ten ton jego głosu i uśmiechnęła się do niego.

– Poślubieni i sami.

Również i ona ściągnęła rękawiczki, ale rzuciła je niedbale na podłogę.

– To był najdłuższy miesiąc w moim życiu – uznał Will.

– Mówiłam ci, żebyś załatwił specjalne zezwolenie na ślub.

Will pokręcił przecząco głową.

– Zaslugiwałaś na ogłoszenie w „Timesie” i na zapowiedzi.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem.

Ściągnął jej najpierw jeden, potem drugi z pantofelków i zaczął gładzić stopy. Jęknęła z zadowolenia.

– A teraz – powiedział – kiedy jesteśmy sami i po ślubie, chcę ci zadać jedno pytanie.

Juliette usiłowała otworzyć oczy, ale nie zdołała, wymruczała

więc tylko:

– Ehm...

– Dlaczego to zrobiłaś? – Will wygiął jej stopę, co uznała za cudowne. – Dlaczego wybrałaś odgrywanie roli kurtyzany?

Juliette uniosła nieznacznie powieki.

– A więc wiesz o tym. Ciekawa byłam, czy naprawdę wiesz.

– Nie robi mi to żadnej różnicy.

Wiedziała o tym, ale cieszyła się, że to słyszy.

– Kto ci powiedział? Lily?

– Hrabina. Tamtej nocy w Covent Garden.

Juliette poderwała się i usiadła.

– A więc po co mnie teraz pytasz?

– Mówiłem ci, że jest mi to obojętne. Przeszłość minęła. Ale dlaczego się do tego nie przyznałaś przede mną?

– A uwierzyłbyś mi?

– Może nie od razu.

Uniosła brwi, a on połaskotał ją w stopę.

– Może nawet nigdy – uśmiechnął się. Jakież to było wspaniałe, że ciągle się teraz uśmiechał.

Znów wsparła głowę o szeslong.

– Czy jesteś pewien, że chcesz o tym usłyszeć? To niezbyt budująca historia, a my akurat spędzamy noc poślubną.

– Chcę usłyszeć tę historię.

Juliette westchnęła. No cóż, powie mu o tym i będzie już miała wszystko za sobą. Will miał słuszność. Powinna mu była powiedzieć.

– Kiedy stało się dla mnie jasne, że nie mogę dłużej żyć z Oliverem, bo wtedy by mnie zabił – poczuła w tej chwili, że dłoń Willa na jej stopie tężeje – poszłam do mojego starszego brata i matki, i powiedziałam im, że muszę odejść od niego. – Przesunęła ręką po oczach. – Nigdy nie myślałam o rozwodzie. Po prostu chciałam uciec. Miałam już dość życia w strachu. Przez trzy lata starałam się, jak mogłam, żeby mu się przypodobać, ale na próżno. Bił mnie jeszcze częściej i, jak już mówiłam, zaczęłam się obawiać o własne życie.

Twarz Willa pobladła. Juliette uniosła się na szezlongu i ujęła go za rękę.

– To już teraz przeszłość. Uciekłam.

– Powiniennem był go zabić tam na wrzosowiskach – powiedział. – Zatluc łajdaka na śmierć.

– Może więzienie to coś jeszcze gorszego – odparła. – W każdym razie brat nie chciał mi pomóc. Widzisz, po śmierci ojca stałam się trochę zagubiona. Było mi smutno, czułam się osamotniona, tęskniłam za ojcem. A wtedy Oliver zaczął się do mnie zalecać. Poczułam się przy nim kimś wyjątkowym, całkiem jak za życia ojca. Och, byłam wtedy młoda i naiwna. Miałam siedemnaście lat, ale w gruncie rzeczy wciąż jeszcze nie przestałam być dzieckiem. Mój brat i matka odrzucili jego oświadczenia. Nie sądzili, żeby to były dla mnie dobre widoki na przyszłość. Później okazało się, że mieli rację, choć prawdziwych przyczyn jeszcze wtedy nie znali. Ale ja prosiłam, błagałam, aż wreszcie mój brat ustąpił i zgodził się.

Kiedy chciałam uciec, przypomniał mi, jak go prosiłam, i odmówił wszelkiej pomocy. Utrzymanie matki zależało od niego, nie mogła więc zrobić nic wbrew jego woli. Miała jednak przyjaciółkę, która, o czym wiedziała, mogła mi pomóc.

– Lady Sinclair?

Juliette potwierdziła.

– To właśnie lady Sinclair pomogła mi wymyślić sposób na przekonanie Olivera, żeby się ze mną rozwiodł. Gdyby bowiem wszyscy myśleli, że go zdradziłam, byłoby to ujmą na jego honorze. Trwało to cały rok, ale wreszcie się go pozbyłam. Przez cały ten czas mieszkałam u Sinclairów i zaczęły się plotki, że hrabia i ja romansujemy ze sobą. Była to nieprawda, ale te plotki podsunęły lady Sinclair pewną myśl: a gdybym tak została kurtyzaną? I nie tylko zwykłą kurtyzaną, ale jedną z najbardziej pożądanym w całym Londynie?

– Bardzo pomysłowe. Cóż innego ci pozostało?

– Właśnie. Byłam rozwódką, co już wyglądało dość skandalicznie, ale nie miałam z czego żyć, a rodzina się mnie

wyrzekła. Gdzież miałam pójść? Skończyłabym na ulicy. A tymczasem lord Sinclair pomógł mi osiąść w Londynie. Sama nie wiem, jak on to zrobił, pewnie wydał mnóstwo pieniędzy, ale dzięki niemu zyskałam swoją reputację. A potem Lily i Fallon też trafiły pod opiekę hrabiny i ona postanowiła, że lepiej byłoby, gdybyśmy trzymały się razem. No i tak stałyśmy się Trzema Diamentami.

– Czy żadna z was nie była prawdziwą kurtyzaną?

– Żadna. Ale tym, co dała nam hrabina, okazała się swoboda. Swoboda względnie bezpiecznego istnienia. Mogłyśmy się bawić, cieszyć życiem. Stałyśmy się nowymi ludźmi. Pewnie miałybyśmy też swobodę sypiania, z kim tylko chciałybyśmy, gdybyśmy oczywiście chciały. Żadna z nas nie miała jej wcześniej.

– Zaczynam coraz bardziej lubić hrabinę.

– No, ja myślę! – Juliette roześmiała się. – Nawiasem mówiąc, póki cię nie spotkałam, nigdy nie poznałam kogoś na tyle interesującego, żeby brać go do łóżka.

– Wiesz, że mi to teraz obojętne. Jesteś moja. Nie jesteś Księżną Zalotów, tylko księżną Pelham.

– To brzmi trochę inaczej.

Will zmarszczył brwi, a ona się roześmiała. Siadła na szeszlunku i ujęła jego twarz w dłonie.

– Nie chcę być żadną inną księżną. Uwielbiam być twoją, Will.

Pocałowała go delikatnie i poczuła, że przyjął to niezwykle chętnie. Stopniowo żar zaczął ogarniać całe jej ciało, od stóp do głów. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej jego pocałunków i jak bardzo ich pragnęła. Chciała przyciągnąć go ku sobie i straciła równowagę, tak że upadł na nią. Wybuchła śmiechem i go objęła.

Pocałował ją ponownie, ale zaraz uniósł głowę.

– Czemu nie pójdziemy do sypialni? Wszystko już przygotowałem.

Uniosła brwi, ciekawa, jaka ją tam czeka niespodzianka.

– No to zaprowadź mnie do niej – szepnęła mu do ucha.

Wstał i uniósł ją z szezlonga, lecz jej stopa zaczepiła o skraj sukni i Juliette ze śmiechem chwyciła się stojącego z boku stolika, chcąc utrzymać równowagę. Niestety, grecka waza, która na nim stała, zachwiała się. Juliette usiłowała ją złapać, ale nie zdołała. Naczynie z głośnym trzaskiem spadło na dywan z Aubusson i rozbiło się na drewnianej posadzce. Po dywanie i posadzce rozsypały się jakieś papierki.

– Och, jak mi przykro! Czy to był autentyk? – Juliette nachyliła się, chcąc pozbierać skorupy i zwitki papieru, lecz nim zdołała cokolwiek podnieść, Will chwycił ją za rękę.

– Poczekaj.

– Co to takiego?

Will padł na kolana koło niej i podniósł największy fragment rozbitej wazy. Pod nim leżał mały, złożony w kilkoro kawałek papieru. Był to luksusowy, drogi welin, a nie zwykły papier do banalnych notatek.

– To chyba nie twoje?

– Nie. – Podniósł kremową karteczkę i zaczął ją rozwijać, a potem przez dłuższą chwilę patrzył na tekst, który zawierała.

Juliette, która chciała się jak najprędzej znaleźć w sypialni, spytała ze zdziwieniem:

– No i cóż to takiego?

– Lista nazwisk.

Rozłożył kartkę, a ona zobaczyła cztery nazwiska wypisane eleganckim charakterem pisma. Na górze widniały podkreślone dwukrotnie słowa: „Nieoszlifowane diamenty”.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – Juliette wzruszyła ramionami.

– Dla mnie ma. Poznaję pismo lady Elizabeth. Jestem tego prawie pewien. Jeśli się nie mylę, są to nazwiska czterech agentów rządu brytyjskiego, z których jeden już nie żyje.

– Diamenty Lucyfera – szepnęła ledwo dosłyszalnie.

– Tak. To wcale nie były, jak sądziliśmy, drogie kamienie. Te nazwiska, tożsamość tych ludzi, mogły mieć wartość równą całej garści diamentów, gdyby je zaoferowano odpowiedniemu krajowi



lub rządowi. A co najmniej jeden z tych ludzi został zdradzony i zginął.

Nie miała pojęcia, skąd on to wie, i wcale nie była pewna, czy sama chce wiedzieć. Dostyc już miała Lucyfera i jego diamentów na całe życie.

– Ale to jeszcze nie wszystko. – Will podniósł kilka zmiętych skrawków papieru w gorszym gatunku i zaczął je rozwijać.

– Czy to też kwity lady Elizabeth? – spytała, przypatrując się im uważnie.

– Tak. Większość pochodzi z Jaskini Lucyfera. – Spojrzał na nią. – Czy ona naprawdę sądziła, że ujdzie jej to bezkarnie? Musiała przecież znać reputację Lucyfera.

– Nie wiem. – Juliette wskazała na kwity dłużne. – Zaczynam dochodzić do wniosku, że miała zamiłowanie do ryzyka.

Will włożył welinową kartkę i kwity dłużne do mahoniowej szkatułki ozdobionej złotym filigranem, a potem postawił ją na gzymsie kominka. Juliette poczuła niemiły dreszcz. Zadowolona była, że te papierki znikły jej z oczu. Wydawało się jej, że plami je krew Elizy.

– Znam kogoś, kto szuka tych informacji. Zobaczę się z nim jutrzejszego ranka – powiedział Will, wyjmując ze szkatułki kluczyk i zamykając ją nim. Schował go do kieszonki w kamizelce. – Do tej chwili niech tam zostaną.

Wyciągnął ku niej rękę. Juliette ujęła go za nią, a on przyciągnął ją do siebie i ucałował jej palce. Znowu poczuła się bezpiecznie.

– Chodźmy do łóżka, księżno.

– To bardzo dobra myśl, Wasza Wysokość.

Will stał przy oknie sypialni i spoglądał w noc. W Londynie nigdy nie panował całkowity mrok, ale to okno wychodziło na ogród, było więc za nim ciemniej niż gdzie indziej. Poczł zapach płatków różanych i obejrzał się na łóżko za sobą. Juliette spoczywała na boku, z dłonią pod policzkiem, a biała narzuta okrywała jej gołe plecy. Wokół niej leżały rozsypane płatki

różowych, czerwonych i białych róż. Gdy się kochali, niektóre z nich spadły na dywan i dostały się do dwóch długich kieliszków z szampanem stojących na podłodze koło łóżka.

Uniósł jeden z nich, wyrzucił z niego płatki i wypił resztkę szampana. Przez chwilę miał ochotę położyć się koło swojej śpiącej żony i trzymać ją w objęciach aż do pierwszych różowych promieni jutrzeńki. Przyszedł mu na myśl stryj, który przysłał mu pół tuzina listów, bez wątpienia pomstujących na jego zaręczyny. Ostatniej nocy wrzucił je do kominka bez czytania. Razem z nimi wrzucił w płomień swoje nieszczęśliwe dzieciństwo. Tego ranka wszystko zaczęło na nowo. Stał się innym człowiekiem, innym księciem. Miał przy sobie Juliette.

A ona go kochała.

Odstawił kieliszek i zaciągnął zasłony okienne. Rzucił ostatnie spojrzenie na ogród. Lucyfer wciąż jeszcze gdzieś tam był, czekając na odpowiednią chwilę i sposobność, by odzyskać swoje diamenty – nieznanego ogółowi nazwiska czterech lojalnych wobec kraju ludzi, które zamierzał komuś zdradzić. Musiało być tych nazwisk więcej. Will miał pewność, że welinowa kartka lady Elizabeth była jedynie jej asekuracją. Co zrobiła z resztą informacji o tych ludziach? Komu je sprzedała? Czy Lucyfer zabił ją, nim zdołała sprzedać wszystkie, czy też ludziom z tej listy wciąż groziło niebezpieczeństwo?

Will myślał o drugim z kolei nazwisku widniejącym na karteczce.

Warrick Fitzhugh.

Chciał się z nim spotkać z samego rana. Nie wiedział nic o tych innych „nieoszlifowanych diamentach”, ale był pewien, że jego przyjacielowi coś zagraża.

Wiedział też, że Lucyfer nie zrezygnuje tak łatwo. Miał niemalże ochotę osobiście stanąć z nim do walki. Powinien mu połamać gnaty za to, co zrobił Juliette, i upewnić się, że zawisnie na szubienicy za to, co zrobił lady Elizabeth.

Ale i Lucyferem, i diamentami zajmie się rano. Jedyne diament, którego naprawdę gorąco pragnął, miał przy sobie. Uniósł

więc narzutę i wziął Juliette w objęcia.

E.H.

## **Podziękowania**

*Przede wszystkim niech mi będzie wolno powiedzieć, że nie cierpię pisania podziękowań. Zawsze się obawiam, że pomnę w nich kogoś ważnego. Nie mówiąc już o tym, że nie znam wszystkich tych najrozmaitszych sposobów mówienia „dziękuję”. Dlatego też tym razem zamierzam podziękować jak najprościej.*

*Dziękuję wszystkim moim przyjaciółom i rodzinie. To prawdziwe szczęście, że was mam! Wiem, że nie każdemu się zdarza dysponować dużą grupą osób, która by go wspierała. Dziękuję ci więc, Tero Lynn Childs, moja przyjaciółko i sojuszniczko. Dziękuję ci za to, że w swoim napiętym harmonogramie zajęć znalazłaś czas, by przeczytać tę książkę i podsunąć mi pewne sugestie. Jestem bardzo zadowolona z tego, że spytałam cię, czy nie znasz kogoś szukającego krytycznego partnera. Dowiedz się, że jesteś kochana i ceniona.*

*Dziękuję zespołowi redakcyjnemu wydawnictwa Sourcebooks. Wykonaliście wspaniałą pracę, wydając moje książki, reklamując je, zajmując się marketingiem i wszystkim, co się z tym wiązało. Niezwykle sobie cenię wasze starania, by moja książka stała się wspaniale dopracowanym produktem. Szczególnie mocno pragnę podziękować Deb Werksman za to, że przeczytała te moje okropne wypociny – przyznając jednocześnie, że są okropne – ale tak czy inaczej kupiła książkę. Dziękuję ci za wiarę we mnie, Deb.*

*Dziękuję Joannie MacKenzie i Danielle Egan-Miller. Niezłe się namęczyłyście przy poprawianiu moich beznadziejnych potknięć. Naprawdę nie robiłam ich celowo, po prostu tak mi jakoś wychodziło. W każdym razie dziękuję wam za to, a także za to, że zawsze stałyście za mną murem. Wydaje się to oklepanym*

*frazesem, ale jest prawdą. Wiem, że chodziło wam tylko o to, bym wypadła jak najlepiej.*

*Dziękuję moim piszącym przyjaciółom z Jaunty Quills, Casababes, West Houston RWA, Christinie Hergenrader, Ashleyowi Marchowi, Elise Rome, Shariemu Kohlerowi i Nicole Flockton.*

*Dziękuję maddee at xuni.com za wszystko, co robisz dla mnie online.*

*Dziękuję moim czytelnikom. Uwielbiam dostawać wasze e-maile, czytać wasze komentarze na blogach, wasze wpisy na Facebooku i na Twitterze.*

*Wreszcie dziękuję również mojemu mężowi za jego miłość, wsparcie i pomoc w zajmowaniu się naszą córeczką, Galen. A tobie, córeczko, dziękuję za wszystkie twoje dwu- i trzygodzinne drzemki, dzięki którym mogłam skończyć tę książkę!*

